



MRO CZNA
SERIA

AORTA

BARTOSZ SZCZYGIELSKI

DAWNO NIE CZYTAŁAM TAK DOBREGO POLSKIEGO KRYMINAŁU.
PANIE SZCZYGIELSKI – PROSZĘ O KONTYNUACJĘ!
KATARZYNA BONDA

BARTOSZ
SZCZYGIELSKI

AORTA

Wydawnictwo
ab

Copyright © Bartosz Szczygielski, MMXVI

Wydanie I

Warszawa

*With a gun stuck in your mouth and the barrel of the gun between your teeth, you
can only talk in vowels.*

Chuck Palahniuk, *Fight Club*

Tym, którzy wierzyli, gdy ja przestałem.

Autor

Miała miły głos.

Spokojny i opanowany. Jakby nie była za nic odpowiedzialna, a jej rola ograniczała się tylko do gorzkiego: „Pogotowie, słucha”. Czuł, że to nieprawda, że wieczorami łyka doxepin, oxazepam lub valdix. Ten ostatni w spokojne dni, kiedy nikt na nią nie nawrzeszczał przez słuchawkę wepchniętą na głowę. Po oxazepamie musiał boleć ją brzuch.

Czuł, że stać ją tylko na najtańszą wódkę i papierosy bez akcyzy. Pensja nie wystarczała na luksusy, drogie alkohole i szynkę opalaną w piecu. Pieniądze kończyły się szybko, a gazownia i elektrownia co miesiąc walczyły ze sobą o pierwszeństwo na różowym blankiecie przelewu. On to rozumiał. Czuł, jak bardzo są do siebie podobni, jak ból głowy po nocy nie chce przeminąć, ale to nie szkodzi, i tak jest czymś lepszym niż codzienność. Rozumiał, pewnie lepiej niż jej wiecznie pełen pretensji mąż.

Tylko że teraz miał to wszystko w dupie.

Gównu go obchodziły problemy dyspozytorki. Potrzebował jej skupionej, bardziej niż kiedykolwiek. Całej uwagi skierowanej tylko na niego.

Powinien przecież działać jak automat.

– Kurwa!

– Słucham?

– Nie do pani. – Zamachał rękami, odpędzając od siebie słowa dyspozytorki.

Dzięki Bogu za możliwość włączenia głośnika w telefonie. Miał wolne ręce, ale nadal nie wiedział, co z nimi zrobić. Tylko raz trenował na manekinie – śmierdzącym plastikiem, setkami nieumytych zębów i wydzielinami niewiadomego pochodzenia. Uśmiechnięta kukła na podłodze sali gimnastycznej w niczym nie przypominała postaci rozciągniętej przy jego nogach.

– Należy udrożnić drogi oddechowe. Głowa do tyłu, podciągnąć żuchwę.

– To już, kurwa, zrobiłem! Ile uciśnieć?

– Trzydzieści, potem dwa wdechy.

Ułożył dłonie, jedna nad drugą. Środek klatki piersiowej, to pamiętał. Docisnął. Spomiędzy palców wylała się krew, jakby wyciskał gąbkę do mycia naczyń. Dostała się pod paznokcie i ubrudziła mankiety koszuli.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

– Halo?! – Dyspozytorka nie była już tak opanowana.

...trzydzieści, czterdzieści, pięćdzieści...

– Halo? Proszę podać adres, wyślemy karetkę! Halo?

...dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

– Halo?!

Patrzył, jak z każdym kolejnym uciskiem z jej ust wydobywają się bąbelki krwi. Pochylił się i wdmuchnął powietrze. Poczł opór. Jego oddech nie dotarł do płuc. Człł tylko gorącą ciecz na wargach.

Jeszcze raz.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

– Halo, jest pan tam? Halo!

Opadł z sił. Pachniała płynem do zmiękczenia tkanin, krwią i prochem. Kilkadziesiąt centymetrów dalej leżała łuska, a pod nią pojawił się brązowy ślad. Plama w odcieniu merbau, egzotycznego ciemnego drewna. Odcisk luksusu na imitacji olchy. Druga kategoria ścieralności, drugi sort podłóg. Taniej, jak zawsze. Wszystko: od podłogi, przez meble, żyrandole z papieru po ubrania. Zawsze z tyłu, zawsze drudzy.

Nawet teraz potrzebował pomocy.

– Nie działa! – wrzasnął w stronę telefonu leżącego na podłodze.

– Proszę podać adres, wyślę karetkę! I nie przestawać uciskać!

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Czy zrobił już te dwa wdechy? Bał się, że jak przestanie wbijać dłonie w jej pierś, wszystko zaprzepaści. Że umrze pod rękami bordowymi od krwi. Wyżymał ją z życia każdym kolejnym uciskiem.

...dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

Kolejny wdech się nie udał. Krew zatamowała przełyk, wylewała się strumykami z obu kącików ust. Człł, że to koniec. Wyprostował się i przysiadł na piętach. Krew, spływając po policzkach, kluczyła między stanowczo za długim zarostem, by w końcu oderwać się od skóry i upaść wprost na spodnie.

– Jest pan tam?

Spojrzał na telefon. Trzy minuty. Licznik zbliżał się powoli do czterech. Wcisnął ikonę z czerwoną słuchawką. Na czarnej tafli ekranu odbijał się odcisk palca. Próbował go wytrzeć, ale tylko rozmazał.

Zniszczył ideał.

Raz...

Dwa.

Dzień przed

Trzy krople.

Jedna po drugiej. Każda niemal identyczna i równie nieprzyjemna. Chciał wstać, załatwić sprawę po męsku. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy przeciwnika, by zmienił zdanie. Zimne, zawzięte zielone tęczówki nie dawały najmniejszych szans na obronę, nie mówiąc o ataku. Od dawna nie widział jej w takim stanie. Nie miał wyjścia.

Poddał się.

Gdyby tylko mógł usiąść wygodnie, a twarde krzesło nie zmieniło się w wielki, krwawiący hemoroid, pękający w samym środku służbowego spotkania, nawet by się z tym pogodził. Przełknąłby męską dumę i uśmiechnął niczym gospodarz telewizyjnego show. Gabriel nie należał jednak do cierpliwych. Ani pokornych. Poruszył się odrobinę, by dać odpocząć mięśniom karku.

– Siedź spokojnie, do cholery.

Nawet wkurwiona brzmiała seksownie.

– Niewygodnie mi. To przez moje niskie BMI. – Wysilił się na uśmiech.

Najchętniej wróciłby do czasów, kiedy babcia nakładała mu na talerz kopiastą porcję ziemniaków, i poprosił o dokładkę. Wepchnąłby do ust widelec z rozgotowanymi warzywami, a potem żułby tak długo, aż zęby starłyby się do korzeni. Pokażna warstwa tłuszczu pod skórą przydałaby mu się teraz o wiele bardziej niż wystające kości wbijające się w krzesło.

Wszystko dlatego, że nie słuchał babci. Matki również. Wyniósł to z domu. On tego nie robił, jego ojciec, o dziadku szkoda nawet wspominać. Każda rodzina ma tradycję przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Jego ograniczała się do kłamstw i niesłuchania rodziców. Była gówniana, ale pielęgnował ją najlepiej jak potrafił.

Kolejne oko.

Krople kosztowały niemal jedenaście złotych. Prawie tyle, co paczka papierosów. Cholernie drogo jak na produkt, którego składnikiem jest hialuronian sodu. Myśl, że dawał sobie wpuścić do oczu coś, co równie dobrze nadaje się do nawilżania pochwy, nie działała na niego kojąco.

W przeciwieństwie do papierosów.

– No już, już. Nie było tak strasznie, co? – Zmierzwiła mu włosy. – Słyszałam, że jesteś dorosły.

– Plotki.

– Pamiętasz, że jedziemy jutro na zakupy?

– Kolejna porcja tortur – mruknął.

Kąciki jej ust nieznacznie się podniosły. Wstał i pocałował ją w czoło. Oczywiście

cały czas piekły jak cholera, ale wolał się do tego nie przyznawać. Alicja tylko czekała na kolejną okazję, by go pomęczyć.

Lubił to.

– Głupek.

– Wiesz, że z tego, co mi wpuściłaś do oczu, można zrobić żel do powiększania piersi? Teoretycznie.

– Próbujesz mi coś powiedzieć? – Cały czas się uśmiechała.

– Przestań.

Zabrał buteleczkę z jej dłoni. Nalepka zawierała same podstawowe informacje o produkcie. Czytał takie rzeczy już wielokrotnie.

– Wyczytałeś tam coś interesującego?

– Napisali, że nie powinienem prowadzić pojazdów mechanicznych.

– Od dawna ci mówię.

Droczyła się z nim nie bez powodu. Gabriel za kierownicą zmieniał się we frustrata nieużywającego kierunkowskazów. Tylko Alicja potrafiła go uspokoić. Wystarczył drobny gest, ściśnięcie za udo, by ciśnienie wróciło mu do normy.

– Właśnie. – Spowaźniała. – Wiesz, kogo spotkałam w windzie?

– Szawickiego.

– Gabriel Byś, detektyw roku. – Zmrużyła powieki. – Znowu się czepiał, że parkujesz na jego miejscu. Nie mógłbyś ustąpić głupszemu?

Mógł, jednak nie miał takiego zamiaru. Gdyby ustępował głupszym, przez całe życie chodziłby zgięty wpół, kłaniając się ich niskiemu IQ. Świat wypełniony był idiotami przekonanymi o swojej wyższości, ustępowanie każdemu z nich nie miało sensu. Ojciec nauczył go, jak radzić sobie z takimi ludźmi. Na sąsiada mieszkającego pod nimi również znalazł sposób. Mniej inwazyjny niż na Jacka, tłuściocha, który dokuczał mu w podstawówce. Wtedy odpowiednia dawka kropli przeczyszczających skutecznie unieruchomiła go na sedesie. Szawicki to jednak inny kaliber niż Jacek, który wzywał mamę, siedząc na szkolnym klopie. Poza tym Gabriel nie miał dostępu do napojów Szawickiego. No i był dojrzały niż w czasach podstawówki.

Odrobinę.

Temu facetowi nie miał zamiaru odpuścić. Odkąd wprowadzili się z Alicją do mieszkania jej rodziców, sąsiad zmienił się z miłego starszego pana we wrzód na tyłku. Każde spotkanie musiał skwitować kąśliwym komentarzem. Zbyt głośne rozmowy w nocy, pralka uruchomiona za późno i to nieszczęsne miejsce parkingowe pod blokiem. Każdy powód był dobry. Do Szawickiego nie przemawiały argumenty, że przecież nikt nie wykupił parkingu i każdy może stawiać swój samochód tam, gdzie mu się żywnie podoba i znajdzie akurat wolną przestrzeń. Gabriel potrafił mu odpyskować, ale Alicja wolała unikać konfrontacji z sąsiadem. Szczególnie tym, który zasiadał w radzie spółdzielni mieszkaniowej. Nowoczesnej wersji mafii, na którą nie było mocnych.

– Przecież on nie ma swojego miejsca, to wymysł tego buraka.

– Oj, wiem, ale zobaczysz, że kiedyś przebije nam opony albo podwyższy

czynsz.

Zawsze znajdowała kontrargumenty. Trudno było ją przegadać.

– Przesadzasz.

– Skąd weźmiesz kasę na nowe gumy, detektywie Byś? Może mnie sprzedasz?

Uśmiechnęła się i rozpięła jeden z trzech guzików bluzki. Nosila ją tylko w mieszkaniu, nigdy nie pokazałaby się w czymś takim na ulicy. Nawet kurierowi otwierała dopiero wtedy, gdy nałożyła coś innego. Wytarta, wyblakła i stara szmata, ale wystarczyło, że Alicja ją włożyła, a jej skóra odzyskiwała wszystkie kolory. Gabriel uwielbiał patrzeć, jak żona porusza się po mieszkaniu, a pod cienką warstwą materiału pracują mięśnie.

Tej nocy oprócz bluzki nie miała na sobie nic.

– I jak, detektywie? Oddałbyś mnie komuś innemu?

Następny guzik rozpięty.

– A może już mnie sprzedałeś? Pewnie za grube miliony jakiemuś arabskiemu szejkowi, co, Gabi?

Tylko jej pozwalał tak do siebie mówić.

– Musiałby sporo dopłacić, a wiesz, ile zarabiam.

Wiedział, do czego doprowadzą te przekomarzenia. Ostatni guzik bluzki cały czas pozostawał zapięty.

– Dupek. Idę się wykąpać. – Okręciła się figlarnie, zarzucając włosami. – Zamykam drzwi na klucz i ani się waż do mnie wchodzić.

Zanim zniknęła za zakrętem korytarza, odwróciła się i pokazała mu środkowy palec. Gabriel zapobiegawczo schował ręce do kieszeni dzinsów. Kiedy usłyszał, że zamykają się drzwi do łazienki, poszedł do przedpokoju i wyciągnął z kurtki papierosy. Otworzył paczkę. Przeliczył.

Miał ochotę zapalić w mieszkaniu. Siedząc na kanapie, wlepiając wzrok w telewizor i zapominając o pracy. Alicja nie darowałaby mu tego. Kiedyś, gdy sama jeszcze popalała, może mógłby się z tego jakoś wytłumaczyć. Teraz drażnił ją zapach tytoniu i nawet przy trzaskającym mrozie musiał wychodzić na balkon. Miał szczęście, kwiecień był ciepły, choć nie tak, jak by sobie tego życzył. Przez ostatnie tygodnie owijał szyję szalikiem, kiedy szedł na balkon.

Upewnił się, że słyszy szum wody, i dopiero wtedy otworzył drzwi balkonowe. Zamknął je za sobą i włożył do ust papierosa. Wyciągnął z kieszeni krople do oczu i zapuścił po trzy w każde oko. Praca za biurkiem go wykańczała; gdyby wiedział, że każdą pierdołę będzie musiał wpisywać do raportu, poważnie zastanowiłby się nad wyborem innej ścieżki kariery. Alicja śmiała się, że jeszcze trochę, a będzie przypominał policjanta z powieści kryminalnych. Podstarzałego alkoholika i nałogowego palacza z cukrzycą. Wtedy go zostawi, by dopełnić całości i zrobić z niego jeszcze rozwodnika.

Z wysokości siódmego piętra Gabriel mógł zobaczyć niewiele. Kilka sklepów z odrapanymi dachami, parking szczelnie wypełniony samochodami, rzędy bloków, cmentarz i trasę przelotową przez miasto.

– Pieprzony Pruszków.

Zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i wychylił przez balkon. U sąsiada z szóstego piętra było ciemno.

Bingo.

– Mam cię.

Szawicki wyjątkowo mało sypiał. Gabrielowi wydawało się, że emeryci robią tylko dwie rzeczy: śpią i narzekają. Facet stanowił wyjątek w jednej z tych kwestii. Był rzadko kiedy miał okazję do swojej małej zemsty, więc kiedy już się nadarzyła, nie miał zamiaru jej przepuścić. Podszedł do ściany balkonu i zza poustawianych tam po przeprowadzce kartonów wyciągnął butelkę po wodzie mineralnej. Jego mały skarb.

Ocet zmieszany z płynem do naczyń i solą, idealny środek na chwasty. By to cholerstwo dobrze zadziało, Gabriel potrzebował systematyczności, na którą bezsenność Szawickiego mu nie pozwalała. Mimo wszystko efekty jego pracy były nad wyraz zadowalające. Rododendrony sąsiada zaczynały tracić kolor. Jeszcze trochę, a zupełnie się ich pozbędzie. Musiał uważać. Gdyby rozlał swój wynalazek na płytkach balkonowych Szawickiego, cały misterny plan spaliłby na panewce. Pół litra co kilka dni i od razu czuł się nakręcony.

Skończył palić, niedopałek wrzucił do butelki i szczelnie zakręcił. Syf z filtra papierosowego dodawał smaczku eliksirowi. Schował butelkę za kartony i wrócił do mieszkania. Zanim zamknął drzwi, spojrzał jeszcze raz na miasto.

Wyglądało na wymarłe. Tylko z oddali dochodziło echo pijackich śpiewów.

Pogasił wszystkie światła i poszedł w stronę łazienki. Słyszał, że Alicja jeszcze nie skończyła się kąpać. Złapał za klamkę.

Drzwi nie stawiały oporu.

Ona również.

Dzień pierwszy

Dobrze znał te przekrwione oczy. Nie zwiastowały niczego dobrego. Potwierdzały tylko to, co wiedział od dawna. Arek nie podchodził do pracy tragarza zbyt poważnie. Michał popełnił duży błąd, pozwalając mu prowadzić. Patrząc na zbliżające się z naprzeciwka niebieskie cinquecento, uświadomił sobie, że na narzekanie jest już za późno. Podkulił nogi i czekał na uderzenie.

– Chryste! – wrzasnął. – Odbijaj!

Arek wyrzucił papierosa przez uchylone okno i siarczyście splunął za niedopałkiem. Odbił w prawo i wcisnął się między autobus podmiejski a brudnego dostawczaka. Cinquecento minęło ich o milimetry, trąbiąc przy tym piskliwie. Michał wiercił się na siedzeniu pasażera i po raz piąty, odkąd wyruszyli spod magazynu, sprawdzał, czy dobrze zapiął pas bezpieczeństwa.

– Nie wrzeszcz mi do ucha, okej? Nie mają już chyba o czym gadać. – Arek wyłączył radio. Od rana rozprawiano tylko o tym, czy należy zmienić nazwy ulic po zbliżającej się kanonizacji Jana Pawła II. – Muszę się skupić na drodze, a twoje lamenty nie pomagają. Widziałeś tego dupka z cienkusa?

– Nie nazwałbym go dupkiem, jechał przepisowo.

– No właśnie.

Wjeżdżali właśnie do Pruszkowa, kiedy odezwała się nawigacja. Kojącym i asekuralnym kobiecym głosem oznajmiła, że za pięćset metrów powinni skręcić w lewo. Tuż obok stadionu piłkarskiego, który nawet w sezonie straszyl pustymi miejscami na trybunach.

– Masz telefon do tej paniusi?

Michał wyjął notatnik ze schowka i odszukał zlecenie. Na wydrukowanej kartce powinien mieć wszystko napisane, ale oprócz adresu i nazwiska zleceniodawcy nie było na niej nic.

– Zgadnij.

– Jakim cudem to jeszcze nie pierdolnęło, to ja nie wiem. Lepiej, żeby była w domu, bo za trzy minuty będziemy na miejscu.

Stanęli na światłach, a Michał coraz bardziej się niecierpliwił. Mieli być u klientki dokładnie o dziesiątej rano, co oznaczało, że są już spóźnieni piętnaście minut. Spojrzał na park. Miejsce, w którym chętnie by się teraz znalazł. Drzewa zaczynały pokrywać się zielenią i wracać do życia. Nawet staw wyglądał na czysty i zadbany. Przynajmniej na tyle, że po wpadnięciu do wody nikt nie musiałby jechać do szpitala chorób zakaźnych.

Kolejne światła uliczne i kolejny przestój. Główna ulica przecinająca Pruszków zatykała się nawet w ciągu dnia. Nawigacja poprowadziła ich skrótem, wydłużając tym samym czas przejazdu. Michał zaklął cicho i pożałował, że nie pokierował Arka inaczej. Skrzyżowanie Bolesława Prusa

z Armii Krajowej zabijało nadzieję w każdym zmotoryzowanym mieszkańcu miasta. Sznur samochodów i ich nerwowo migające kierunkowskazy zapowiadały kolejne minuty straconego przez nich czasu. Korki cieszyły tylko właścicieli przydrożnych sklepów, którzy wpatrywali się w ich samochód oklejony zdjęciami kartonów.

Kiedy w końcu wjechali na podjazd, Michał odetchnął. Spóźnienie mieściło się w granicach akceptowanych przez klientów. Stali przed osiedlem, które jak wszystkie nowe sprawiało wrażenie luksusowego. Kostka, zielona trawa między niskimi blokami, monitoring, ochrona. Dwóch starszuchów w czarnych mundurach przechadzało się leniwie między ławeczkami. Michał chciał wysiąść, ale szlaban, przed którym zaparkowali, cicho się podniósł. Ochrona musiała ich zauważyć.

– Klasa. – Arek odpalił kolejnego papierosa. – Ceny też pewnie nie najniższe. Założę się, że mieszkają tu same prostytutki i alfonsi. Wiesz, który to budynek?

Bloki sprawiały wrażenie identycznych. Kremowy kolor fasady, jednakowe klatki schodowe i zasłanki w oknach. W tych, w których cokolwiek już wisiało. Większość mieszkań wyglądała na niezamieszkaną, przez szyby można było dostrzec wygładzone ściany i zwisające z sufitu kable.

– Chyba tamten. – Michał wskazał budynek po prawej stronie. – Nie ma ich za dużo. Zaparkuj pod ostatnią klatką.

Dotoczyli się pod samo wejście, a jeden z ochroniarzy, który od samego początku ich obserwował, ukradkiem wziął łyk z butelki skrywanej pod mundurem. Nowe osiedla to raj dla firm przeprowadzkowych, monterów oraz wszelkiej maści fachowców. A każdy odrobinę wstawiony. Ochroniarz nie miał zamiaru odstawać od ogólnie przyjętych norm.

– Idź pierwszy. – Arek zgasił silnik. – Zaraz przyjdę. I nie patrz tak na mnie.

– Mam nadzieję, bo ostatnio to ja musiałem wszystko ogarniać, zanim się łaskawie wtoczyłeś na górę.

– Dobra, dobra, zaraz będę. Weź graty.

Dyskusja do niczego by nie doprowadziła. Kłótnia tym bardziej. Arek miał swoje przyzwyczajenia, których lepiej było nie ruszać. Michał odpuścił. Wolał unikać sytuacji, kiedy przy znoszeniu szafy ta przypadkiem lądowała na jego stopie.

Klatka schodowa pachniała niewyschniętą szpachlówką, płytkami oraz fugą. Wszystkim, co daje poczucie dobrze wydanych pieniędzy. Michał mógł się przejrzeć w ułożonych na ścianach płytkach. Odbijały niemal wszystko, zupełnie jakby beżowe kafle były ze szkła lustrzanego.

Kiedy przyjechała winda, rozległ się cichy, przyjemny głos oznajmiający, że drzwi się właśnie otwierają. W środku wciąż była wyłożona dyktą, oklejoną praktycznie na całej powierzchni reklamami lokalnych fachowców. Wykładanie płytek, meble na zamówienie, hydraulik, nawet uśmiechnięta pani w wyzywającej pozie, reklamująca żaluzje. Miejsca, gdzie jeszcze nie było naklejek, zapępniały napisane flamastrem numery telefonów tych, którzy nie

mieli pieniądze na drukarnię.

Jak na nowoczesną windę, ta poruszała się wyjątkowo powoli. Michał zdążył przeczytać niemal każdy napis, zanim drzwi otworzyły się na trzecim piętrze.

Korytarz nie wyglądał tak zachęcająco jak lobby. Podłoga wprawdzie świeciła jak generalskie buty, ale ściany pomalowano najtańszą farbą. Wszystkie drzwi były identyczne. Gruba, jasna imitacja drewna z ciemnym judaszem pośrodku i plakietką z numerem przy futrynie. Szukał dwieście szesnaście. Michał szedł korytarzem i czuł na plecach chłód świeżych murów. Miejsce przypominało więzienie w Norwegii. Schludne i nowoczesne, ale śmierdzące gettem. Brak okien i sztuczne światło potęgowały uczucie odosobnienia.

Głośne piśnięcie obwieściło ponowne przybycie windy. Michał drgnął na dźwięk rozchodzący się echem po korytarzu. Zupełnie zapomniał o Arku, który wyminął go, zostawiając za sobą woń papierosów. Szybko znalazł właściwe drzwi i zapukał. Kiedyś nieopatrznie użyli dzwonka, a potem przez cały dzień słuchali narzekań klientki, że obudzili jej dzieciaka.

Po pierwszym stuknięciu drzwi nieznacznie się uchyliły. Arek spojrzał na Michała i wzruszył ramionami.

– Wchodzimy?

– Byliśmy umówieni. – Michał odstawił walizki z wkrętarkami na podłogę. – Policji na nas przecież nie naślą.

Tego nie był jednak pewien. Odkąd zaczął pracować przy przeprowadzkach, natknął się na różnego rodzaju dziwaków. Staruszka, która proponowała mu seks zamiast zapłaty, to tylko jeden, niezbyt odrażający, przykład.

– Dzień dobry.

Nie za głośno, by nikogo nie obudzić, lecz na tyle wyraźnie, by zaakcentować swoją obecność.

– Byliśmy umówieni.

Nie wiedział, kogo chce usprawiedliwić tym stwierdzeniem. Arek stał na korytarzu i nerwowo się rozglądał. Od dnia, kiedy został poszczuty psem przez klienta, zawsze wchodził jako drugi.

– Dziwnie pachnie – powiedział, idąc za Michałem. – Ale smacznie.

Michał stąpał ostrożnie po panelach, patrząc co chwila, czy nie zostawia za sobą brudnych śladów. Nowe rzeczy zawsze niszczą się najszybciej. Podłoga, samochód czy telefon. Po miesiącu wyglądają jak wyrwane siłą z psiego przełyku.

A mógł dać sobie spokój. Od początku, oprócz zapachu, uderzył go panujący w mieszkaniu nieład. Powyrzucane na podłogę ubrania, kosmetyki. Część z nich ciągle w firmowych opakowaniach, z metką i w folii. I cisza. Żadnego dźwięku gotowanej wody, odkurzacza, telewizora czy gaworzenia dobiegającego z sypialni.

Pustka.

Pod butem Michała coś zachrząściło. Zamarł, podniósł lekko nogę, by ocenić

straty.

– Co zepsułeś? – Arek oparł się na jego plecach.

– Nie wiem. Chyba tusz do rzęs.

Opuszczone rolety i panujący półmrok nie zwiastowały niczego dobrego. Mieszkanie było niewielkie. Na wprost mieli zamknięte drzwi do sypialni oraz przejście do otwartego salonu. Gdzieś w jego rogu prawdopodobnie kryła się kuchnia. Lokal miał najwyżej czterdzieści kilka metrów, ale wydawał się znacznie mniejszy. Nieprzemyślany rozkład pomieszczeń zmniejszał je jeszcze wizualnie. Syf na podłodze i ta cisza nie martwiły Michała tak jak to, co zobaczył na drzwiach łazienki.

Czerwień na białej imitacji drewna przechodziła niemal w czerń. Gdzieniegdzie pośród nierównomiernych śladów Michał widział bąbelki powietrza. Tak jakby drzwi zostały czymś zarażone, a ich powłoka zaczęła gnić i puchnąć.

Pierwsze uderzenie gorąca przyszło nagle. Michał poczuł, jak płuca przestają pracować, a ciało mimowolnie się napina. Zdał sobie sprawę, że wymazane cieżą drzwi są pokryte odciskami niewielkich rączek. Raz przedstawiały całą dłoń, a raz tylko któryś z palców. Zapępiały powierzchnię od podłogi aż do klamki. Arek za jego plecami oddychał coraz ciężiej, aż głęboko wciągnął powietrze i zamilkł.

Wtedy go dojrzał.

Stał w salonie i wpatrywał się w nich spokojnie, przechylając głowę nieznacznie w lewo. Podniósł coś z podłogi, uśmiechnął się i ruszył w ich kierunku. Mógł mieć najwyżej pięć lat. Cały umazany czarną, gęstą cieżą.

– Aleś nas przestraszył. – Arek odezwał się jako pierwszy. – Gdzie mamusia?

Chłopiec zostawiał za sobą ciężki, brudny ślad. Podrygiwał, zbliżając się do nich. Stanął przed Michałem. Wyciągnął rękę i czekał. Nawet we włosach miał ślady mazi. Michał nie miał najmniejszej ochoty dotykać bachora, ale złapał go ostrożnie za palce, by nie wyjść na nieczułego. Dzieciak pociągnął go w stronę łazienki.

– Chryste, za dużo horrorów się naoglądaliśmy. – Arek poczłapał w głąb mieszkania.

Stali przed brudnymi drzwiami, a Michał próbował dopatrzeć się na nich jakiegoś wzoru. Dzieciak wepchnął mu coś ciepłego między palce i usiadł na podłodze. Podniósł z ziemi kredkę i zaczął kreślić na jasnych panelach kółka w kolorze morświna.

– Matka cię zabije – mruknął Michał, miętosząc otrzymany prezent.

Czuł, jak dłoń robi się lepka. Rozprostował palce. Wszystko wokół przestało mieć znaczenie. Wrzask Arka dochodzący z salonu, chrobotanie pękających pod nogami kredek i uderzenie gorąca, które rozlało się po całym ciele. Liczyło się tylko to, co drażniło skórę.

Na jego dłoni, między linią życia a linią serca, kołysało się ludzkie oko.

Na miejsce Byś dotarł przed czternastą. Dyżur kończył za dwie godziny. Teoretycznie, bo po tym, co usłyszał, wiedział, że nie ma żadnych szans na wcześniejszy powrót do domu. Alicja nie będzie zadowolona. Z pałacu wyjechał swoim samochodem, wolał nie wracać później na garaże tylko po to, by odstawić służbówkę.

Kiedy dojeżdżał pod wskazany adres, pomarańczowi kręcili się bez celu wokół ambulansów. Podobnie jak policjanci, którzy odebrali zgłoszenie. Teraz musieli cholernie żałować, że na nie odpowiedzieli. Właściwie nie mieli już czego tutaj szukać, ale nikt nie pozwolił im tak łatwo się ewakuować.

Wysiadając z samochodu, Gabriel nie mógł pozbyć się wrażenia, że czegoś mu brakuje. Najpierw sprawdził kieszenie – portfel, klucze i telefon były na swoim miejscu. Fajki też. Rozejrzał się po okolicy. Pogotowie – jest. Policja – jest. Tłum gapiów – jest. Brakujące ogniwo dostrzegł po przeciwnej stronie ulicy.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym pod drzewem. W czarnych garniturach, zapiętych pod szyję koszulach i jednakowych krawatach. Z lekko opuszczonych okien wydobywał się przyjemny zapach dymu papierosowego. Byś również zapalił i dopiero gdy mocno się zaciągnął, a cały smog trafił do płuc, zapukał w szybę od strony kierowcy.

– Czego? – Facet opuścił szybę do końca. Nie wydawał się zachwycony obecnością osób postronnych. Z pewnością był za to znudzony.

– Powiem to raz i mam nadzieję, że potraktujecie mnie panowie wyjątkowo poważnie.

Przykucie uwagi: jest.

– Co?

– Wypierdalać.

Pierwszy szok: jest.

– Nie ma i nie będzie tutaj żadnej skóry do zabrania. Nie ten kaliber. Ktoś wprowadził was w błąd. Zdarza się. A teraz grzecznie sobie pojedziecie i pozwolicie mi popracować.

Byś poprawił kurtkę w taki sposób, by na sekundę faceci dojrzeli broń. Nie chciało mu się wyciągać blachy. Poskutkowało, silnik karawanu zacharczał, a łowcy odjechali. Zazwyczaj tak się nie zachowywał, ale pożałował facetów w przepoconych imitacjach Armaniego. Siedzieliby do wieczora, a potem i tak odjechaliby z kwitkiem. Wiedział, że ciało trafi najpierw w zupełnie inne miejsce. Ich praca nad upiększeniem zwłok zacznie się najwcześniej po weekendzie.

Przechodząc obok gapiów, liczył na jakieś ciekawostki. Słowa, które naprowadzą go na cokolwiek, zanim zobaczy sztywniaka. Sąsiedzi widzą najwięcej, mogą nie wiedzieć, jak nazywa się ten spod trójki, ale markę jego samochodu i godziny pracy podadzą bezbłędnie. Relikt czasów, gdy telewizja nie dostarczała odpowiedniej ilości rozrywki. Tylko że tym razem Byś nie usłyszał niczego związanego ze sprawą. Dwie babcie zastanawiały się, dlaczego

na targu jakiś Marek cały się wyperfumował, a grupka młodzieży konsekwentnie liczyła drobniaki i typowała, kogo posłać po piwo. Padło na chłopaka wciśniętego w nienaturalnie wąskie spodnie, który pod nosem miał ślady młodzieńczego zarostu, a na twarzy najmniej pryszczki ze wszystkich.

Wchodząc na teren osiedla, Byś już był zmęczony. Liczył na spokojny weekend, miał mieć wolne po raz pierwszy od bardzo dawna i nawet wizja zakupów z Alicją nie mogła mu tego popsuć. Podszedł do pierwszego ambulansu. Pomarańczowy stał z boku, dopalał papierosa, wpatrując się w telefon i nerwowo ruszając przy tym kciukiem. Na składanych noszach siedział młody chłopak. Zaciekle tarł prawą dłoń. Skóra rolowała się wokół jego palców.

– Co robisz? – wolał zapytać, niż zmuszać faceta siłą do przerwania swoich manewrów. Choć miał na to ochotę.

Chłopak odwrócił głowę. Byś widział takie spojrzenia wielokrotnie. Moment, w którym uświadamiasz sobie, że twoje życie jest nic niewarte, a ciało to zbiór połączonych ze sobą śmierdzących świństw.

Paskudna chwila.

– Nie, nie, nie! – krzyknął. – Nie na to się pisałem, kurwa! Nie na to!

– Spokojnie.

To prawdopodobnie ostatnie, co chłopak chciałby usłyszeć, ale pocieszeniem innych Byś nie radził sobie najlepiej. Na szczęście nie za to mu płacili. Podszedł do ratownika, który właśnie rzucił peta wprost pod jego nogi.

– Sorka. – Pomarańczowy uśmiechnął się przepaszająco.

– Dawaliście mu coś? Rolkę?

– Piętnaście domięśniowo.

Po takiej dawce relanium facet zaraz odleci. Przesłuchanie Gabriel może sobie odpuścić, a widząc, z jakim zapamiętaniem tamten wyciera skórę dłoni, wiedział, że to i tak nie miałyby najmniejszego sensu.

– Magister kazał – usprawiedliwił się ratownik. Musiał zauważyć niezadowolenie na twarzy Bysia.

– Dobrze zrobił. A gdzie ten drugi?

– Ostatnio widziałem go, jak rzygał pod tamtym krzakiem. – Wskazał ręką niewielką tuję. – Ale teraz to nie wiem. Wy go chyba powinniście pilnować, co?

Powinni.

Nawet się facetowi nie przedstawił. Pomarańczowy musiał wyczuć, że jest policjantem. Efekt służbowego wyczuwania swoich. Byś śmierdział psem na kilometr. Alicja wielokrotnie mu o tym mówiła, nawet kiedy jeszcze nie byli parą, a ich spotkania ograniczały się do okazjonalnego popalania trawki na tyłach sklepu jej ojca.

– Gdzie magister? – zmienił temat.

– Na górze. – Ratownik przesunął kciukiem po ekranie telefonu. – Albo w sklepie. Swoje zrobił.

Rozmowa dobiegła końca, a przynajmniej do takiego wniosku doszedł ratownik. Bez słowa odwrócił się i odszedł w stronę drugiej karetki. Byś obserwował, jak chłopak zaczyna odczuwać skutki relanium buszującego po organizmie. Uspokoił się, a jego ręce przestały pracować jak u szwaczki na speedzie. Osunął się na leżankę i zamknął oczy.

Kolejny ambulans stał pusty. Za to obok niego Byś zobaczył coś, o czym chyba zapomnieli powiedzieć mu przełożeni. Otulonego kocem ratunkowym dzieciaka. Stojący nad nim facet polewał mu głowę wodą z butelki. Tonęli w dużej brunatnej kałuży, która rozlewała się między kostkami Bauma, brudząc im buty. Starszemu wysłużone adidasy, a małemu niebieskie tenisówki. Odblaskowy koc odwracał uwagę od zapłakanej twarzy chłopca i od tego, że mężczyzna polewający mu cały czas głowę w kącikach ust ma zaschnięte resztki jedzenia.

Zanim Byś zdążył się odezwać, podszedł do niego policjant z prewencji. Jeden z tych, których wzywa się na miejsce, kiedy zapłakany głos z telefonu oznajmia dyspozytorowi, że ktoś prawdopodobnie nie żyje. Ci kolesie widują wyjątkowo paskudne rzeczy, chyba że mają potężnego farta i zgłoszenie okazuje się żartem.

– Tutaj nie wolno wchodzić – powiedział, podnosząc ręce w pojednawczym geście. – Proszę o opuszczenie terenu.

– Komisarz Gabriel Byś, stołeczna mnie przysłała – odparł, nie odrywając wzroku od przedziwnej pary.

– W takim razie powinien pan zobaczyć to, co się stało na górze. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Gdyby Byś liczył, ile razy mówiono mu te same zdania, dawno skończyłyby mu się pola w excelu. Każdy myśli, że jego trup, jego znalezisko, jest tym jedynym, wyjątkowym. Że odmieni życie tego, kto je znalazł i jako pierwszy poczuł smród. To kłamstwo podsycane przez fantastów piszących scenariusze. Jajecznicą dalej smakowała tak samo, nieważne, ilu umarłaków widziało się przed śniadaniem.

– Jesteś tu nowy, co? Kto to?

– Świadek – odparł, po czym mniej pewnie dodał: – Obydwaj.

– Powiedziano mi o dwóch facetach. Chcesz mi powiedzieć, że ten gówniarz widział ciało?

– On je znalazł. Mniej więcej. Proszę się nie martwić, technicy zebrali wszystko, czego potrzebowali, zanim zaczęła się awantura.

– Jaka awantura? – Byś nie był przekonany, czy naprawdę chce wiedzieć.

– No, ratownicy powiedzieli, że nie wpuszczą małego do karetki. Przynajmniej nie w takim stanie. Twierdzili, że wszystko by im pobrudził krwią. No i nie wpuścili. Dali koc i tyle.

Łzy dzieciaka łączyły się z wodą i krwią sączącą się z jego długich włosów. Wyglądał na małego hipisa, który wziął o jedną dawkę za dużo. Przekrwione oczy, rozbiegany wzrok i odblaskowy koc zrobiły z niego choinkę w środku

wiosny. Facet polewający go wodą wytrząsał właśnie ostatnią kroplę z butelki, gdy Byś do nich podszedł.

– Skończyła się, muszę iść po następną – wyszeptał.

– Kolejna nic nie da, spójrz na niego. – Gabriel odsunął go od chłopca. – Jest czysty, bardziej już nie będzie.

– Nie, muszę iść po następną, nie wpuszczą go takiego.

– Wpuszczą.

Szok. Widywał takie reakcje wcześniej. Niektórzy nigdy nie otrząsną się z tego, co zobaczyli. Zapiją się i powieszą na strychu w najlepszym razie. W najgorszym wsiądą za kierownicę, by przejechać kogoś na pasach. Byś do dzieci na miejscu zbrodni nie mógł się jednak przyzwyczaić. Nieważne, w jakiej roli występowały. Kiedy poprzednio prowadził dochodzenie w Pruszkowie, policjanci wyłowili z Utraty martwego niemowlaka. Matka stała na brzegu, ściskając w dłoniach reklamówkę z trzema marchewkami. Miała zrobić z nich papkę dla córki. Mówiła tylko o nich. Zdawała się nie widzieć, jak operacyjni wyciągają z błota coś, co kiedyś było jej dzieckiem.

Aresztował kobietę dwa tygodnie później. Wtargnął do jej kuchni, kiedy karmiła drugie dziecko, trzylatka ze śladami przypaleń po papierosach i kawałkami szkła w żołądku. Klasyczny kompleks Medei. Rodzina zawsze zajmuje miejsce na podium dla podejrzanych, ale tych dwóch facetów musiał wziąć pod uwagę.

– Jak masz na imię? – spytał łagodnie.

– Arek. Arkadiusz.

– Dobra, idź do karetki i zobacz, jak się czuje twój przyjaciel. Zaraz przyjdzie lekarz i da ci coś na uspokojenie.

Facet spojrzał jeszcze raz na chłopca, sięgającego mu ledwie do pasa, i odszedł, mamrocząc coś o środkach czyszczących, które miał schowane w samochodzie. Byś przykucnął przed dzieckiem. Mały miał wystarczająco dużo zmartwień, by dodawać do nich jeszcze ból karku.

– Cześć, mam na imię Gabriel – zaczął niepewnie. – Zimno ci?

Chłopiec niemrawo przytaknął, pociągając przy tym nosem; oddychał coraz ciężiej. Byś odsunął poły koca i złapał go za rękę. Była lepka i gorąca.

– Chodź, usiądziemy w karetce. – Pociągnął go lekko. – Tam jest cieplej.

Nie musiał prosić, dzieciak ruszył za nim bez oporu. Koc ciągnął po ziemi, zbierając cały brud ulicy. Wyglądali, jakby szli na szkolne przedstawienie. Ojciec i Mały Książę w za dużej pelerynie. Byś podsadził go i wszedł za nim do pustej karetki. Dopiero teraz mógł mu się przyjrzeć. Nie był przerażony, tylko zubożniały, a płakać musiał z zimna lub z powodu idioty wylewającego mu wodę na środek głowy.

– Poczekaj tutaj, zaraz wrócę.

Stojącemu obok policjantowi kazał pilnować dzieciaka, a sam podszedł do ratownika, niezmiennie wpatrzonego w ekran smartfona. Stanął tak blisko, że czuł zapach leków.

– Nie narobię ci smrodu – Byś chwycił go za nadgarstek z taką siłą, że telefon upadł na ziemię – ale znajdź w tej chwili lekarza i zrób tu porządek. Jak wrócę, mały ma być w lepszej formie. Oddycha jak zdyszany pies, zróbcie coś z tym.

Gabriel wszedł do klatki schodowej, zanim ratownik pozbierał kawałki telefonu z ulicy.

Na korytarzu roіło się od policjantów. Rozmawiali przez komórki, jeden robił sobie pamiątkowe zdjęcie, trzymając w wyciągniętej łapie telefon wycelowany w zbyt krzaczaste wąsy. Byś trącił go barkiem, ale tamten tylko go przeprosił i szczerze się uśmiechnął, odsłaniając kremowe zęby.

W mieszkaniu było zdecydowanie luźniej. Jakby wszyscy zainteresowani wyszli puścić dymka albo zadzwonić do żon, że spóźnią się na kolację. On też powinien. Ominął porozrzucane na podłodze przybory do makijażu i porozstawiane przy nich numerki. Na ścianie oprócz wieszaka Gabriel zauważył jeszcze coś: niewielką ramkę z włożonym do środka banknotem. Przysunął się bliżej. Czerwona twarz przypominała mu jakiegoś renesansowego malarza. Dziwne nakrycie głowy i niewyraźny uśmiech. Pod liczbą dziesięć dostrzegł napis „Leonhard Euler”, a w lewym górnym rogu banknotu niewielki krzyż i napis zdradzający, skąd pochodzi waluta.

– Szwajcaria – powiedział sam do siebie. – Raj bankierów.

Postać z banknotu wpatrywała się wprost w drzwi łazienkowe do połowy wysmarowane krwią. Gabriel dostrzegł w śladach pewną prawidłowość. Odciski małych dłoni rysowały zoo. Żyrafę, słońia i zebkę.

Wyglądało na to, że trochę tu zabawi.

Technicy skończyli fotografować pomieszczenia i zabrali się do swojej ulubionej rozrywki. Patroszenia. Nic nie dawało im takiego kopa, jak możliwość zbierania niewidzialnych dla reszty śmiertelników pyłków. Chowali się za maseczkami i kombinezonami, ale ich oczy rozświeciła ekscytacja. Zupełnie jakby odpakowywali prezent pod choinką. Znak, że prokurator i lekarz medycyny sądowej są gdzieś w okolicy. Inaczej technicy szwendaliby się bez celu, przyglądając się pęknięciom na ścianach.

– Siema.

Gabriel znał ten głos. Nie pamiętał tylko, jak na imię ma jego właściciel. Chyba mówili na niego Bruce.

– Nie piszesz, nie dzwonisz. Powinienem się obrazić.

Przybysz podszedł, piszcząc gumową podeszwą. Rozłożył wielkie ramiona i przycisnął Bysia do piersi. Teraz sobie przypomniał.

– Janusz Pilsz – powiedział, gdy tamten uwolnił go z niedźwiedziego uścisku.

– Wiesz, jak jest. Praca i ciągle więcej pracy.

– Dobra, nie tłumacz się, komisarzyku. Ciężki powrót. – Uśmiechnął się. – Rozumiem. Masz wybaczone.

Wpadając na Janusza w ciemnym zaułku, można było dostać rozwolnienia.

Facet przewyższał Gabriela o kilkanaście centymetrów, miał ogoloną na zero głowę i szelmowski uśmiech. Przypominał Bruce'a Willisa z czasów, gdy dosiadała go jeszcze Demi Moore. Tylko że skrzyżowanego z nosorożcem i misiem pandą.

– Ale nie myśl, że zapomniałem o tej obiecanej wódce.

– Pamiętam, nie było jakoś okazji. – Byś nie kłamał; nie miał czasu dla żony, a co dopiero mówić o facecie, z którym raz pracował. – Kogo przysłali?

W teorii to nie oni zajmowali się sprawą. Owszem, chodzili po melinach i odmrażali tyłki, siedząc nocami pod domem podejrzanego, gdy ten w najlepsze zabawiał się z panienką. Ale cały splendor i tak spływał na prokuraturę. Policja to narzędzie, którym się wysługiwała, lub wiadro do spluwania, kiedy sprawa nie była rozwojowa. Dobry prokurator to jak wygrana w totka lub negatywny wynik badania na HIV.

– Nie jest źle. – Janusz poprawił blachę wiszącą na środku klatki piersiowej.

– Bertrand. Siedzi w sypialni i bazgrze w notatniku.

Pilsz miał rację, mogli trafić gorzej.

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszedł z nich okrągły facet w za małym czarnym garniturze. Bertrand Stachowicz uwielbiał garnitury, choć nie potrafił ich dobierać. Spodnie, zamiast łagodnie opadać na buty, odsłaniały szare skarpety, mechające się jak sierść myszosczka. Mankiety koszuli były zbyt odsłonięte i wyraźnie kontrastowały z marynarką. Typowy małomiasteczkowy, sfrustrowany urzędnik z wiecznie opadającymi na nos okularami. Byś jednak wiedział, że to kamuflaż.

Prokurator miał tylko jeden cel: wpisanie się w odgórne statystyki rozwiązywalności spraw. I Stachowicz był w tym najlepszy.

– Jest pan w końcu. – Prokurator zamknął notatnik. – Bertrand Stachowicz.

– Komisarz Gabriel Byś.

Dłoń prokuratora w dotyku przypominała źle wyfiletowaną rybę z łuskami ostrymi jak popękane szkło. Byś nie kwapił się z przypominaniem, że już się kiedyś poznali.

– Wprowadzono pana?

– Coś mi tam przez telefon powiedziano.

– Możemy zatem zaczynać, lekarz czeka.

Stachowicz odwrócił się i ruszył w stronę salonu. Byś wytarł mokrą dłoń w spodnie, klepnął Pilsza w ramię i poszedł za prokuratorem.

Pokój wyłożony jasnymi panelami sprawiał wrażenie przytulnego. Zielona kanapa, stolik kawowy, czarno-białe zdjęcia Nowego Jorku i mostu Golden Gate, mekki samobójców z San Francisco. I oczywiście ogromny telewizor na ścianie. Wystarczyło cyknąć fotkę, a następnie umieścić ją w katalogu Ikei między łazienkowymi nowościami i kuchniami w stylu vintage. Spece od grafiki komputerowej z tym pewnie nie mieliby problemu, ale musieliby się nieźle natrudzić, żeby wymazać ze zdjęcia trupa. Leżący w centralnym punkcie pokoju, odciągał uwagę od stojaka na gazety wykonanego z prawdziwego

drewna.

Wokół ciała pełno było krwi. Nawet na suficie Byś dostrzegł pojedyncze czarne krople. Lekarz musiał się postarać, by podejść do ciała, nie brudząc sobie butów owiniętych folią. Gabriel też powinien założyć na nogi te lekarskie kondomy, które wciskano mu w każdym szpitalu, ale oczywiście ich nie wzięł, bo nie sądził, że przyjdzie mu zmierzyć się z czymś takim. Miał tylko lateksowe rękawiczki, po których palce zawsze cuchnęły zużytą prezerwatywą.

Krew z przeciętej tętnicy szyjnej musiała trysnąć pod dużym ciśnieniem. Potrzebowała odpowiedniego impulsu, żeby buchnąć jak gejzer. Wymalowany na podłodze i suficie wzór potwierdzał przypuszczenia Bysia: ofiara musiała cholernie bać się napastnika.

Lekarz, schowany w zielonym kombinezonie, pochylał się nad ciałem kobiety. Rozpinał jej bluzkę z pieczołowitością kochanka. Każde zagłębienie, pieprzyk i czarny skręcony włosik miał na wyciągnięcie ręki powleczonej turkusowym lateksem. Mógł zrobić wszystko, a zebrani wokół obserwatorzy i tak uznaliby to za standardową procedurę. Idealne środowisko do wyhodowania psychopaty.

Tkanina bluzki odkleiła się od ciała jak zużyty bandaż. Głośno mlasnęła, opadając w kałużę krwi.

– Miałam rację. Bertrand, wiesz mi setkę.

Anna Toczek, lekarz medycyny sądowej, profesjonalistka i niepoprawna kokietka. Sutki doktor znał każdy, kto choć raz zawitał w zimne korytarze Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki. Zakładała jasne, przylegające do ciała koszulki. Półprzezroczyste, żeby każdy zainteresowany miał odpowiedni wgląd w jej wątpliwe walory.

– Ze stawianiem czegokolwiek poczekam na wyniki, pani doktor. – Bertrand nie należał do osób, które chętnie przyznają się do czegokolwiek.

– Mówię ci, to pocisk jest bezpośrednią przyczyną śmierci, a nie wykrwawienie. Ale jak chcesz. – Anna wstała, zdjęła maseczkę z twarzy i ściągnęła kaptur z włosów. – Zwycięstwo będzie smakowało jeszcze lepiej, kiedy podsunę ci wyniki pod nos.

Doktor jako jedyna pozwalała sobie na taki luz w rozmowie z prokuratorem. Byś podejrzewał nawet, że łączy ich pewna zażyłość. Ograniczał jednak swoją wyobraźnię. Nie było go stać na terapię, a widok tej pary parzącej się jak koty z pewnością zagwarantowałyby mu kilkanaście godzin na kozetce. Nawet jeżeli widziałyby to tylko w swojej głowie.

– Chyba się nie znacie. – Prokurator spojrział na Bysia i chrząknął. – Gabriel Byś, prawdopodobnie będzie ze mną współpracował przy sprawie.

Zanim Byś zdążył cokolwiek powiedzieć, Anna przeskoczyła nad kałużą krwi i miękko przed nim wylądowała. Nie zauważył nawet, kiedy udało jej się ściągnąć z dłoni rękawiczkę. Rozmawiał w swoim życiu z wieloma patologami, żaden nie był opalony. Teraz też wycelowana w jego brzuch ręka straszyla niemal białym kolorem.

– Miło mi. Ale zdaje się, że kiedyś już mieliśmy przyjemność.

Owszem, spotkał Annę Toczeń raz, ale nie rozmawiali wtedy zbyt długo. Policjant wymiotujący na widok zwłok to komiczny widok. A jak jeszcze próbuje tłumaczyć się zatruciem pokarmowym, jego szanse na odzyskanie szacunku drastycznie spadają. Za to woźny miał wyjątkowo dobry humor, wręczając mu wiadro. Byś posprzątał po sobie, a drugi raz zwrócił dopiero na zewnątrz, strasząc gołębie.

– Nie przypominam sobie. Komisarz Gabriel Byś.

Ścisnęła mu dłoń tak mocno, że aż jęknął. Bertrand musiał to usłyszeć, bo nieznacznie się uśmiechnął. Pilsz również, choć na jego twarzy i tak zawsze gościł szelmowski uśmieszek.

– Żartowniś. Będę na pana czekała po weekendzie. Pan Marek również.

Woźny pachnący kiełbasą.

– Jasne. – Wykręcił wargi w niezrozumiałym grymasie. – Coś już wiadomo?

– Zawsze chcecie wszystko od razu, a gdzie gra wstępna? Więcej powiem po sekcji, ale jestem przekonana, że śmierć nastąpiła wskutek rany postrzałowej i perforacji klatki piersiowej. Pan prokurator uparcie skłania się ku wersji z utratą krwi. Faktycznie, jest jej tutaj całkiem sporo. Choć to akurat gównu znaczy. Zresztą, póki nie potwierdzę niczego, to dalej substancja brunatna, a nie krew.

Miała jaja, wyhodowane przez lata styczności z nieokrzesanymi troglodytami.

– Chyba muszę zgodzić się z prokuratorem. – Gabriel, patrząc na plamę, nie potrafił zrozumieć, jak to wszystko mogło wylać się z jednej osoby. Szczególnie dość nikłej postury. Denatka miała najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, choć człowiek rozciągnięty na podłodze i otoczony wszystkim, co do tej pory trzymał w sobie, nigdy nie będzie wyglądał postawnie. Puszczają zawory, a grawitacja ściąga płyny w niecki ciała i dodaje paskudnego sinego rumieńca. Śmierć obdzierała ze wszystkiego, a zaczynała od godności.

Anna popatrzyła na zgromadzonych, ukucnęła przed krawędzią kałuży i zanurzyła w niej palec. Wyprostowała się energicznie i podsunęła go pod nos Bysia.

– Pojebało cię, kobieto?!

– Powąchaj. – Nie ruszyła się nawet o milimetr. – No przecież się nie porzygasz.

Wiedział, że nie odpuści, póki nie spełni jej żądania. Jakby po raz kolejny przeżywał swój pierwszy raz, choć tym razem to kobieta miała palce w czymś, co niekoniecznie nadawało się do spożycia.

Spodziewał się mdłego, metalicznego zapachu. Czegoś, czym inhalował się jako dziecko, gdy podtykał sobie pod nos zdarte kolano. Skóra Anny pachniała rumiankiem i tłumiła woń niemal czarnej mazi. Po chwili zrozumiał, co miała na myśli.

– Czy to...?

Czekolada? – Poprawiła włosy. – Panie Marku, niepotrzebnie się pan fatygował.

Nie pamiętała jego prawdziwego imienia. Marek, Marcin, a może Maciek. Przedstawił się dawno temu. Nigdy jej nie poprawiał, gdy zwracała się do niego po imieniu. Dlatego go lubiła. W myślach mówiła na niego „Pan Seler”: długie ręce, kręcone włosy na czubku głowy i ogromny piwny bęben, wylewający się znad paska.

– Ależ pani Kasiu, dla stałej klientki obowiązują pewne zasady – powiedział. Jego wargi w kształcie dojrzałych papryczek wygięły się w niezrozumiałym grymasie.

Idealny sprzedawca, człowiek, dla którego usługiwanie innym stało się niemal religią. Gatunek na wymarciu, wypierany przez namolnych chamów, widzących w kliencie tylko źródło zysku.

Targ stanowił odskocznnię od rzeczywistości. Tutaj Kaśka spotykała się jedynie z życzliwością sprzedawców. Ludzi zwracających się do niej po imieniu. Dla faceta rozkładającego stoisko z warzywami o czwartej nad ranem i pachnącego świeżą ziemią była kimś więcej niż klientem. Była potwierdzeniem, że jego praca ma sens.

– Dziękuję – odpowiedziała, odbierając tabliczkę czekolady.

Ręce sprzedawcy musnęły jej skórę. Grube, tłuste palce ze śladami brunatnej ziemi za paznokciami i zrogowaceniami wokół stawów. Za pierwszym razem, gdy tak zrobił, poczuła obrzydzenie. W domu szorowała dłonie pumeksem. Z każdym kolejnym dotykem przyzwyczajała się. Wiedziała, że dłonie Pana Selera nie badają jej ciała, nie chcą go posiąść i wykorzystać. Podejrzewała, że jego naczynia krwionośne zawiodą od dawna, a seks uprawiał ostatni raz, gdy czołgi jeździły po ulicach stolicy. Podczas upałów wkładała obcisłe spódniczki i prześwitujące topy, by Pan Seler mógł spoglądać na nią spod krzaczastych brwi tak długo, jak miał ochotę. Pozwalała mu na to.

Katarzyna Sokół, Matka Teresa Onanistów.

– Mam młode ziemniaczki, pani Kasiu. Zapakować?

– Nie, dziękuję. Ograniczam węglowodany. Wie pan – pogładziła się po brzuchu, rozpinając wiosenną kurtkę; chłodne powietrze napompowało jej sutki – muszę dbać o linię.

– Taka młoda panienka jak pani nie musi się przejmować linią. – Przełknął głośno ślinę.

– Ile się należy?

– Jak dla pani dwanaście pięćdziesiąt.

Poddała odliczoną kwotę, zapięła kurtkę i zaczęła przeciskać się do wyjścia. Koniec przyjemności na dziś. Wybrukowany trylinką targ sprawiał wrażenie ogromnego. Długi, ale zbyt wąski, by pomieścić wszystkich zainteresowanych. Sprzedawcy zajmowali jego lwią część, zostawiając dla kupujących tylko niewielki przesmyk między straganami. Niestety, Pan Seler zawsze ustawiał się w środku, daleko od każdego z wejść.

Minęła stragan Pani Marchewki, przechodząc między nim a miejscówką Pana Ogórka. Na tyłach ich zaparkowanych samochodów stała osoba, która zapewniała jej jedną z najważniejszych i najpotrzebniejszych rzeczy.

Alkohol.

– Już myślałam, że dziś cię nie będzie.

Niewysoka kobieta z siwymi włosami upiętymi w staromodny kok. Jej ulubienica, zaraz po Panu Selerze. Szczera do bólu i bezkonfliktowa kobieta interesu. Niemal jak ona sama, tylko starsza o jakieś pięćdziesiąt lat. Jej imię pamiętała bardzo dobrze. Z najważniejszymi partnerami nie można pozwolić sobie na wpadkę.

– Ależ pani Łucjo, jak mogłabym nie przyjść. Obiecałam.

– Ech, każdy tak mówi, a potem dupa – powiedziała stara kobieta, podnosząc się żwawo ze składanego krzeselka. – Tylko obiecują, a mnie potem nogi w rzyć wchodzą od tego stania.

Łucja Król, niegdysiejsza bywalczyni warszawskich salonów, gwiazda i ozdoba każdej imprezy kulturalnej. Kwintesencja stylu oraz gracji, której mogły jej pozazdrościć wszystkie powojenne aktorki. Kaśka słyszała opowieści o niej od niemal każdego sprzedawcy na targu. Nie wiedziała, ile jest w nich prawdy, ale dwie rzeczy o staruszce wiedziała na pewno. W sile wieku puszczała się na salonach, robiąc z tego sztukę wartą każdej wydanej złotówki, a teraz handlowała najtańszą wódką w całym Pruszkowie. I najlepszą.

Kobieta renesansu.

– Czego potrzeba? – zapytała między jednym strzyknięciem w kościach a drugim.

– Zwykłej. Nie musi być czysta.

– Nie obrażaj mnie, gówniario.

Kaśka nie potrzebowała zachęty. Wielokrotnie miała okazję przekonać się o klasie wyrobów Łucji Król. Tylko że jakość nie zawsze była tym, co ją interesowało.

– Wiem, pani Łucjo, wiem. Proszę się nie denerwować.

Handlarka schyliła się i zaczęła grzebać pod stolikiem. Miejsce pracy staruszki zastawione było badziewiem wygrzebanym przez Łucję na śmietniku. Stare buty, niedomyte naczynia, zardzewiałe narzędzia. Kaśka wiedziała, że nic z tego, co miała przed sobą, nie jest na sprzedaż. To tylko zasłona dymna dla Straży Miejskiej, która lubiła czasem wpaść na targ i sprawdzić, czy sprzedawcy nie mają kradzionego towaru.

Dobrze, że Łucja miała pomysł na biznes, kiedy jej pierwsze źródło wyschło. Niewielu mężczyzn gustuje w starszych paniach, a jeżeli nawet, to płacą niewiele.

– To się nada. – Łucja wyciągnęła litrową butelkę z przezroczystym płynem i postawiła ją na stoliku, między płytami DVD z odcinkami *Słonecznego patrolu* a instrukcją obsługi traktora.

Kaśka odkręciła butelkę i powąchała. Nie wyczuła smrodu spirytusu.

– Mocne? – spytała, odstawiając butelkę na stolik.

– Będzie z siedemdziesiąt.

Idealnie.

– Ile?

– Dwie dyszki – odparła bez zajknięcia, grzebiąc wykałaczką między zębami.

– Drogo. Dziesięć.

Targowanie się to kolejny powód, dla którego Kaśka lubiła chodzić na targ.

– Dziecko, to przecież najwyższa jakość. Nie mogę. Dwie dyszki i basta.

– Pani Łucjo, dla stałych klientów obowiązują inne zasady.

Prawdy głoszone przez Pana Selera musiały się w końcu na coś przydać.

– Niech będzie... Piętnaście, niech stracę.

– Biorę.

Kaśka wręczyła pieniądze Łucji, która schowała je do malutkiej skórzanej portmonetki, a następnie wepchnęła między pokaźne piersi.

– Interesy z panią to przyjemność.

Za taki towar zapłaciłaby nawet pięćdziesiąt złotych. Zwróci jej się z nawiązką pierwszego wieczora. Brakowało już tylko ostatniego elementu. Pożegnała się z Łucją. Miała dość targu i wpadających wciąż na plecy ludzi.

Wyszła na ulicę i głęboko odetchnęła. Czuła się przesiąknięta zapachem targowiska. Ziemi, warzyw i potu, który unosił się nad tym miejscem. Żadne niedogodności nie były jednak w stanie odebrać jej przyjemności przychodzenia na targ. Za każdym razem odkrywała coś nowego. Dziś, po raz pierwszy od dawna, Pan Seler użył wody po goleniu. Najtańszej i gryzącej w oczy ostrym zapachem, ale liczą się chęci. A tych nie mogła mu odmówić. Wyciągnęła z torby otrzymaną od niego czekoladę i wyrzuciła do kosza.

Do sklepu miała jakieś dwieście metrów. Nie podobało jej się, że nowe osiedla powstają w miejscu, gdzie kiedyś tworzyło się produkty, z których miasto słynęło w całej Europie. Wiedziała również, że postępu nie da się zatrzymać. Za Porcelitem nikt już nie płakał. Widać to było na targu, gdzie stoiska z filizankami i talerzykami omijano szerokim łukiem.

Gdyby nie nowe osiedle, Kaśka musiałaby chodzić do Społem. Na szczęście ktoś pomyślał i otworzył tuż pod balkonami mieszkańców nowocześniejsze miejsce. Takie z cenami nadrukowanymi na produktach, a nie z pożółkłymi kartkami z odręcznie wypisaną kwotą. Wchodząc do sklepu, Kaśka usłyszała syrenę karetki pogotowia. Pojazd stał przed szlabanem zagradzającym drogę w głąb osiedla. Wokół kręcili się sanitariusze i policja.

Nie miała czasu na oglądanie widowiska. Brakowało jej jeszcze jednego ważnego składnika.

Gliceryna zmieszana z wodą w proporcjach jeden do trzech.

Musiał zaimponować Annie, bo bez słowa zabrała palec spod jego nosa

i wytarła o kombinezon, zostawiając na nim długi, ślimaczy ślad.

– Raczej syrop kukurydziany – sprecyzowała. – No i czekolada oczywiście.

Chyba jednak jej nie zaimponował.

– Znaczący, tak mi się wydaje – dodała, gdy spostrzegła, że wszyscy się w nią wpatrują. – Więcej powiem po badaniach oczywiście. Podejrzewam, że roztwór jeszcze zagęszczono. Może soda lub proszek do pieczenia.

– Niewykluczone – zgodził się Byś. – Choć ja obstawiałbym mąkę pszenną.

– Zlecę testy laboratorium i okaże się, kto miał rację.

– O czym wy, kurwa, gadacie? – Pilsz wypluł resztkę zapałki, którą z zapamiętaniem dłużył wcześniej między zębami.

– Sztuczna krew.

Powiedzieli to jednocześnie. Bysiowi było wstyd, że wcześniej na to nie wpadł. A powinien pierwszy to zauważyć. Od początku coś mu tu nie pasowało. I nie chodziło o wyjątkowo nieciekawe meble. W pokoju cały czas unosił się słodki, miły zapach. Nijak niepasujący do miejsca zbrodni, do tego, co widział za plecami Anny. Ogromna kałuża krwi i kobieta bez oczu. I jeszcze dzieciak, którego zostawił na dole w karetce. Jeżeli widział cokolwiek, nic z niego nie da się wyciągnąć. Po czymś takim sam przestałby się odzywać do końca swoich dni.

– Okej. A jak na to wpadliście, bliźniaki? – Pilsz wyciągnął z kieszeni kolejną zapałkę.

– Zapach, a po drugie: ilość. Spójrzcie. – Anna zatoczyła ręką łuk, jakby chciała sprzedać mieszkanie i zwrócić uwagę kupujących na przestronny salon z aneksem kuchennym. – Piętnaście, może dwadzieścia litrów. Człowiek ma w sobie około pięciu, więc ktoś albo urządził tutaj istną rzeź i wyniósł pozostałe ciała, nie zostawiając śladów, albo spreparował miejsce zbrodni. Wyjaśni się po badaniach.

Gabriel widział już różne rzeczy, ale morderca rzadko kiedy starał się tuszować zbrodnię lub robił to nieudolnie. Zazwyczaj ciało zostawało po prostu porzucone. Zapijaczni menele, którzy podczas pijackiej libacji podrzynali sobie gardła za kawałek kiełbasy i kończyli imprezę, gdy ich kompan łapał ostatnie paniczne wdechy. Tak wyglądała codzienność. Jeszcze w Szczytnie mu uświadomiono, że praca w policji to nie film, a każdego dnia te mądre słowa znajdowały potwierdzenie w rzeczywistości. I w kolejnym druczku, który Gabriel pieczołowicie wypełniał po skończonej służbie.

– Chcecie mi powiedzieć, że ten cholerny potop to jakaś sztuczka? – Bertrand jako pierwszy wypowiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

– Częściowo. Jestem przekonana, że krew denatki również się tu znajduje. Niewykluczone, że innych osób także. Ale to...

– ...będziesz wiedziała po badaniach – dokończył Byś za Annę.

Spojrzała na niego jak skrzywdzony szczeniaczek. Ostentacyjnie założyła rękawiczkę do badania i wróciła do ciała. Byś czuł, że zapłaci za tę zniewagę. Bertrand pewnie też dorzuci coś od siebie. Lekarze medycyny sądowej lubili

sobie pogadać. Nawet to rozumiał, większość czasu spędzali w towarzystwie trupów, które niezbyt chętnie nawiązywały kontakty. Mógł się jednak powstrzymać, Anna Toceneń mimo dość męskiej klatki piersiowej była przecież kobietą. A one tak łatwo nie zapominają, nawet jeśli mówią inaczej.

Żona go tego nauczyła.

– Okej, a coś więcej mi powiesz?

Potrzebował informacji. Czekanie do poniedziałku na wyniki sekcji oraz badań krwi nie pomoże mu w śledztwie. Musiał działać szybko, zanim okaże się, że przeoczył coś ważnego lub co gorsza: ktoś specjalnie mu tego nie powiedział. Nie sądził wprawdzie, że Anna gotowa byłaby poświęcić swoją karierę, by zataić informacje, ale wolał się zabezpieczyć.

Żona go tego nauczyła.

Jak pojedzie na Oczki, weźmie ze sobą coś miłego, kobiecego. Czekoladę z okienkiem, kwiatek, a najlepiej lakier do paznokci. Słyszał różne plotki o pracownikach prosektorium. O Annie Toceneń również.

– Dobrze wiesz, kiedy będę wiedziała coś więcej.

Gabriel nie dostrzegł na jej twarzy oznak złości. Anna skończyła właśnie grzebać patyczkiem w pustym oczodole denatki i ta czynność wyraźnie poprawiła jej humor.

– Mogę powiedzieć jedno. Ktoś znał się na rzeczy. Jestem pod ogromnym wrażeniem, jak przeprowadzono enukleację. Czysto i schludnie, niemal operacyjna precyzja.

– Enu... co?

Pilsz nie przejmował się tym, że ktokolwiek posądzi go o bycie idiotą. Pytał, o co chciał. I jak to on, cały czas z uroczym uśmiechem Bruce'a Willisa na ustach, który zapewniał mu każdą odpowiedź.

– Wyłuszczenie oka. – Anna z rozmysłem odczekała z odpowiedzią. Lubiła być w centrum uwagi. – Zabieg stosunkowo łatwy, ale w kontrolowanych warunkach. Usunięcie gałki ocznej razem z nerwem i mięśniami to nie lada wyczyn. Nie widzę śladów otarć na głowie. Więc albo ktoś ją przytrzymał w trakcie zabiegu, albo zrobiono go pośmiertnie. Mam nadzieję, że w grę wchodzi ta druga opcja. Inaczej musiała przeżyć wprost niewyobrażalne męczarnie. Przydałyby się obie gałki oczne, wtedy powiedziałabym więcej.

Kolejna rzecz, która umknęła Gabrielowi.

– Nie mamy obu?

– Dzieciak miał jedną i oddał ją... – prokurator zajrzał do notatek – ... Michałowi Woźniakowi. Z pewnością mijał go pan po drodze. Drugiej szukamy.

– Torturowano ją? – Byś wiedział, że jak wywalą go z policji, etat wróżki ma zapewniony.

– Na przegubach ma mocne ślady otarć, co oznacza, że była skrępowana.

– Kajdanki?

– Raczej trytki. Lepiej się sprawdzają.

Odgłosy rozmów na korytarzu przycichły niemal do zera. Nieustający szum,

z którego nie dało się wyłowić nawet pojedynczych słów, przeszkadzał chyba tylko Bysiowi. Nikt z zebranych w mieszkaniu nie zwracał na niego uwagi. Bertrand wlepił wzrok na przemian w Toczeń i swoje notatki, a Pilsz wpatrywał się tylko w zwłoki. Technikami zbierającymi dowody nikt się nie przejmował. Oni sami nie wydawali się zainteresowani czymkolwiek, co nie jest związane z próbkami, patyczkami i ludzkimi wydzielinami.

To pewnie jeden z objawów starzenia się, pomyślał. Wypadają ci włosy, stajesz się drażliwy i najmniejszy hałas wyprowadza cię z równowagi. A miał przecież dopiero czterdzieści dwa lata.

Do mieszkania weszła Monika Ruszka. Sierżant, którą Byś ostatnio widział, kiedy rozwiązywał sprawę Medei. Podczas wizji lokalnej ledwo trzymała się na nogach, a parę godzin później wychodziła z komisariatu zupełnie odmieniona. Żywsza, jakby całą służbę zostawiła zamkniętą w szufladzie biurka. Dresiarski mundur, w którym teraz paradowała, zabierał jej wszelkie siły vitalne.

Kiedy stanęła bliżej, dostrzegł, że bardzo się zmieniła. Skóra na twarzy poszarzała, popękane wargi, nierówno przycięte paznokcie, skórki wokół palców poobgryzane, brązowe włosy związane w kucyk wystający spod czapki z daszkiem. Nie widział jej dwa lata, a postarzała się, jakby minęło ich co najmniej dziesięć.

– Komisarz Byś! – Rozpromieniła się. – Będzie pan znowu z nami?

Bertrand, z wzrokiem w notatkach, pochrząkiwał niczym obrażona świnka.

– Prawdopodobnie – odpowiedział Gabriel i zaprezentował swój najlepszy uśmiech. – Przy odrobinie szczęścia. Byłaś na dyżurze?

– Tak, panie komisarzu.

– Mów mi po imieniu.

Złapał ją za rękę i mocno uścisnął. Ledwo poczuł opór. Tylko sflaczałe mięśnie i mokrą skórę.

– Oczywiście.

– Czego się dowiedziałaś? – rzucił Bertrand, nie odrywając wzroku od notatek.

Monika wyciągnęła z kieszeni spodni niewielki notes i zaczęła wodzić kciukiem po kartkach. Wyglądała na zniechęconą. Niespełnienie wymagań postawionych przez prokuratora wróżyło szybki zwrot w karierze. Niekoniecznie w odpowiednią stronę. Facet miał naprawdę długie paluchy i potrafił zrobić z nich użytek.

– W bloku mieszka tylko kilka rodzin. Prawie wszystkie mieszkania są już wykupione, ale stoją puste. Nie zastałam nikogo z sąsiadów. Prawdopodobnie są w pracy.

Kolejne niezadowolone chrząknięcie. Bertrand mógł wyglądać na nieszkodliwego, ale marnie kończył ten, kto psuł mu statystyki.

– Byłam w biurze sprzedaży mieszkań, to ten stary budynek przy skrzyżowaniu. Dziewczyna, która tam pracuje, znała denatkę. Zasiada też we wspólnocie. Zgodziła się nawet na okazanie.

Prokurator podrapał się po nosie, końcówką długopisu poprawił okulary.

– I?

– Ofiara nazywała się Marta Zręb – odpowiedziała Monika, spoglądając do notesu. – Lat trzydzieści dwa. Tutaj mieszkała od trzech miesięcy. Czynsz płacony na czas, zero problemów, żadnych zażaleń od innych mieszkańców. Imprez też, nawet parapetowy nie było.

– Idealny lokator. – Bertrand skwitował sprawozdanie Moniki. – Mieszkała sama?

– Podobno miała kogoś, jakiegoś wysportowanego faceta, ale nic więcej nie powiedziała. Aż tak blisko nie były.

– Dziwne, sądziłem, że kobiety opowiadają sobie wszystko.

Byś miał już punkt zaczepienia. Nazwisko zamordowanej nic mu wprawdzie nie mówiło, ale mógł je wrzucić do systemu i liczyć na cud. Niezapłacony mandat lub informacje o tym, że piła piwo w parku z grupą znajomych. A to prowadziłyby do dalszych rozpytań. Krok po kroku poznałby Martę Zręb, odczarował bezwładne ciało. Zlepek martwych tkanek, który w żaden sposób nie przybliżał go do rozwiązania sprawy. Przynajmniej dopóki Anna nie powie mu, czego dowiedziała się podczas sekcji.

– Dobra. – Bertrand zatrzasnął swój notatnik. – Nie mamy całego dnia, a to nie jest moja jedyna sprawa.

Nikt nie miał tylko jednej sprawy. Gabriel pamiętał o sześciu aktualnie przez siebie prowadzonych, z czego dwie wydawały się rozwojowe. Napad na kantor, pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Czuł, że nieprędko do nich wróci. Potrzebował czegoś, co pozwoli wykazać przed przełożonymi. Miał dość ogonów, wciskanych mu przez ostatnie miesiące. Do tej pory w Pruszkowie prowadził tylko jedną sprawę. O jedną za dużo. Liczył, że tym razem to miasto go uratuje.

Miasto, którego szczerze nienawidził. Mieszkał w nim ze względu na Alicję i warszawskie czynsze, które dziurawiły kieszeń. Pruszków stał się sypialnią. Uciekał z niej przy każdej możliwej okazji. Wolał tonąć pod stertą papierów przy biurku w komendzie stołecznej. Jednak wizja spędzenia w Pruszkowie najbliższych dni nawet go ucieszyła. Miałyby bliżej do domu, uniknęłyby porannych korków w Alejach Jerozolimskich i co najważniejsze, Alicja byłaby zadowolona. Jeżeli wszystko ułoży się po jego myśli, w domu będzie spędzał więcej czasu niż zazwyczaj. Czyli przynajmniej siedem godzin na dobę.

Wliczając w to sen.

Anna rozpoczynała właśnie swoją ulubioną część pracy. Wywód, którego nikt nie zamierzał jej przerywać. Plamy opadowe pojawiły się już na plecach i rękach denatki. Byś skupił się na innych rejonach ciała. Marta Zręb miała płaski brzuch. Z wyraźnymi rysami mięśni poprzecznych. Rzecz rzadko spotykana u kobiet, szczególnie tych, które były w ciąży i nie pisały potem książek dla kur domowych. Wprawdzie ofiara była młoda, ale na jej skórze powinny zostać jakieś ślady po porodzie. Gabriel nie dostrzegł nawet

najmniejszego znaku rozstępów. Jedyne poprzeczna blizna poniżej pępka wskazywała na to, że ofiara była rzeczywistą kobietą, a nie wyciętą z gazety modelką.

– Janek.

Głos Moniki z trudem przebił się przez wykład Anny informujący o śladowej ilości moczu znalezionej na spodniach denatki oraz fakcie, że na przesiąkniętej krwią bluzce nie znalazła śladów po pocisku.

– Janek – powtórzyła Monika głośniej, oblizując wargi. – Tak ma na imię jej syn.

– Pani sierżant – Bertrand zerwał okulary z nosa i wycelował je w Monikę – głównie mnie to obchodzi. Widziała pani tego dzieciaka?

– Tak.

– Więc doskonale zdaje sobie pani sprawę, że jego zeznania, o ile cokolwiek z niego wydusimy, do niczego nam się nie przydadzą. Gówniarz wymazał krwią pół mieszkania, a jako zabawki używał oka matki. Kiepski będzie z niego świadek, bo pewnie w życiu nie odezwie się już ani słowem. Więc proszę łaskawie poszukać teraz kogoś, kto będzie miał coś sensownego do powiedzenia, i dać nam w spokoju dokończyć to, co zaczęliśmy. Rozumiemy się, pani sierżant?

Mocno zaakcentował ostatnie słowo. Hierarchia władzy to wyjątkowo istotna rzecz. Szczególnie dla kogoś z małym fiutkiem. Byś słyszał plotki nie tylko o Annie Tocznie.

Sierżant kiwnęła głową, ale nie wyglądało na to, żeby słowa prokuratora wywarły na niej wrażenie. Bez słowa wpatrywała się w niego, dopóki nie nałożył z powrotem okularów i nie nakazał Annie kontynuować.

– Widziałeś jakieś rzeczy dzieciaka w mieszkaniu?

Gabriel skierował swoje pytanie do Pilsza. Na pomoc Bertranda nie miał co liczyć, facetowi wyraźnie się spieszyło.

– W sypialni są jakieś zabawki. Technicy wszystko tam obmacali, więc się nie krępuj – odpowiedział i stanął bliżej prokuratora, by lepiej słyszeć jego pomrukiwania.

– Chodź – zwrócił się Byś do Moniki. – Poszukamy czegoś odpowiedniego dla Jurka, nie będzie siedział w tych zakrwawionych ciuchach. Technicy i tak będą musieli je zabrać ze sobą.

– Janka – poprawiła. – Dla Janka.

Gabriel wyciągnął telefon i przełączył go w tryb cichy. Do tej pory nie doczekał się służbowej słuchawki. Co miesiąc oddawał operatorowi haracz za kiepski zasięg, a posłowie wygrywali kolejne trofea w Angry Birds na nowiutkich, w pełni sfinansowanych przez podatników tabletach. Sprawiedliwość dla wszystkich.

Upewnił się, że nie ma włączonej lampy błyskowej, a następnie zrobił kilka zdjęć miejsca zbrodni. Ufał technikom, ale sprawę lubił mieć zawsze pod ręką. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie chciał sobie coś przypomnieć. Do tej pory na

karcie pamięci trzymał zdjęcia zawiniątka wyłowionego z Utraty.

Sypialnia wyglądała na nieskażoną obecnością osób zamieszanych w morderstwo. Dużą część zajmowało ogromne łóżko z drewnianym żebrowanym wezglowiem. Pościel pofalowana tylko z jednej strony. Szafa, niewielka komoda. Ascetycznie, czego nie można było powiedzieć o salonie. Wyróżniały się samochody zabawki stojące na komodzie. Mini morris z flagą Wielkiej Brytanii na dachu, czerwone ferrari testarossa z wybitą szybką oraz zielony maluch bez jednego koła. Wszystkie doskonale odwzorowane, ale tylko jeden kompletny. Gabriel wziął do ręki model fiata.

– Janusz chyba to miał na myśli – powiedział, obracając samochód w dłoni. – Niewiele tego. Ile lat może mieć ten dzieciak? Sześć?

– Trzy.

– Chryste. – Odstawił model na miejsce. – Nie powinien tego oglądać.

– A kto powinien?

Odpowiadając, nie patrzyła mu w oczy. Byś zdał sobie w tym momencie sprawę, że jego kolejna sprawa w Pruszkowie nie przebiega najlepiej. W ciągu godziny zdążył uszkodzić sanitariusza, zaleźć za skórę lekarzowi i prokuratorowi, a teraz był na najlepszej drodze, by zrazić do siebie Monikę. Janusz jako jedyny nie dał mu odczuć, że zrobił coś nie tak. Z tego, co pamiętał, trudno było faceta zmusić do czegokolwiek. Zachowywał się jak kot: przychodził i łasił się, gdy czegoś chciał, ale potrafił również nasikać na dywan, patrząc człowiekowi prosto w oczy.

Otworzył szufladę komody. W równych rzędach leżały poskładane bluzki, pionowo, by łatwiej je było wyciągać. Alicja podobnie układała rzeczy w ich mieszkaniu. Podpatrzyła to na jakiejś stronie internetowej z poradami i od tamtej pory skutecznie poprawiała ich życie coraz to wymyślniejszymi metodami. Do tej pory Gabriel nie zastanawiał się nad tym, jak powinno się składać koszulki ani do czego wykorzystać zużyte rolki po papierze toaletowym.

– Zobacz, czy w szafie nie ma jakichś ubrań dla dzieciaka – powiedział, zamykając górną szufladę.

Kolejna wyglądała podobnie, tylko jej wnętrze było w wersji mini. Koszulki, skarpetki i spodenki. Brakowało nadruków Myszki Miki oraz Kaczora Donalda. Bohaterowie jego dzieciństwa zostali zastąpieni przez jakiegoś dziesiątego Bena z kolorowym zegarkiem i zerowym charakterem. Everyman, z którym mogły utożsamiać się dzieciaki gnębione w szkole przez starszych uczniów.

– Dobra, mam coś.

– Cicha woda. – Monika wyciągnęła z szafy coś włochatego.

– Wygląda jak szczur. – Gabriel trzasnął szufladą. – Albo szalik z norek.

Sierżant uśmiechnęła się. Po raz pierwszy, odkąd ją dziś zobaczył. Miała odrobinę zbyt żółte zęby i za duże dziąsła, ale on był ostatnim, który rzuciłby kamieniem. Uzębienie komisarza nie należało do najlepszych, ale było stabilne. Oprócz górnej szóstki, straconej bezpowrotnie w starciu z barowym stołkiem

i rozżłoszczoną matroną aresztowanego.

– Niewinny jak niemowlę. Widzisz, co jest na końcu?

Trzymała znaleźisko dwoma palcami. Długa kita włosów zwisała bezwładnie metr od Gabriela. Przypominała lisi ogon w odcieniach brunatnej szmaty przechodzącej powoli w węgiel. Zakończona doskonale wypolerowaną, metalową końcówką w kształcie symbolu pik.

– To cudeńko nazywa się lisia kita. – Monika podniosła przedmiot tak, by odbijająca światło końcówka znalazła się na wysokości twarzy. – A to – wskazała palcem metal – to jest zatyczka analna.

W dupę, no!

Odskoczyła w ostatniej chwili. Żaden z kawałków potłuczonej butelki nie zdążył poranić bosych stóp. Zachwiała się, ale nie wypuściła z rąk ani destylatu od Łucji, ani oryginalnego bolsa. Nawet papieros, trzymany w ustach, stracił tylko odrobinę popiołu i dalej tlił się niewyraźnym żarem. Kaśka zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym nosem.

Oprócz butelki po whisky J&B nie odnotowała żadnych strat. Odrobina nieuwagi mogła skończyć się znacznie gorzej. Niewiele brakowało, a zahaczyłaby łokciem o najdroższą i najcenniejszą zdobycz w kolekcji. Johnnie walker blue. Whisky w kwarcowej butelce za prawie tysiąc złotych. Przed pierwszym łykiem zwilżała gardło zimną wodą, by nie stracić niczego z jej wyjątkowego smaku. Cudowna mieszanka trunków, z których najstarszy liczył ponoć sześćdziesiąt lat. Nie ufała producentom czegokolwiek, a używek szczególnie, ale w tym wypadku musiała przyznać im rację. To było coś fenomenalnego.

Żałowała, że wypiła całą w dwa wieczory. Chciała delektować się znacznie dłużej, ale potrzebowała pustej butelki. Przeklejanie etykiet było ryzykowne, a przelanie takiej whisky do czegoś innego niż szklanka nie wchodziło w rachubę.

Poszła do przedpokoju i wsunęła stopy w czerwone tenisówki tak, że piętami nadal szorowała o panele. Nie miała czasu na sprzątanie. Wróciła do kuchni i zsunęła nogą rozbite szkło. Największe fragmenty zmieściły się na powierzchni jednej płytki. Butelka przestała być problemem, przynajmniej na ten moment. Wyrzuciła papierosa do zlewu. Niedopałek odbił się od kubka z herbacianymi fusami i wylądował w słoiku po pulpetach.

– Skup się, idiotko.

Psychoterapeuta twierdził, że mówienie do siebie nie jest oznaką choroby psychicznej. Kaśka nawet mu uwierzyła. Nie przestała, kiedy jego łapy spoczęły najpierw na mięśni obszernym przyśrodkowym, a następnie skierowały w stronę obszernego pośredniego i bocznego. Gładkie dłonie na udach to nie problem, wąskie palce na łechtaczce również. Twierdzenie, że nekrofilia jest tylko nieznacznym zaburzeniem seksualnym, to już zupełnie co innego.

Sytuacja szybko się ochłodziła, ale ze spotkań z terapeutą Kaśka wyniosła coś więcej niż bloczek recept i awersję do kostnic.

Siłę.

Odkręciła butelkę bolsa i wlała do środka odrobinę wyrobu Łucji. Nie więcej niż na dwa palce, inaczej standardowa wódka zmieniała się w napój palący dźwiękami. Na to nie mogła sobie pozwolić. Resztę uzupełniła wodą mineralną, zakręciła i wymieszała.

– Ujdzie.

Na kuchennym blacie stały przygotowane dziś przetwory. Trzy wódki. Górna półka. Oryginalne butelki z przyklejoną akcyzą. Recykling w najlepszej formie. Najłatwiejsze załatwiała na początku, dla rozgrzewki. Problem pojawiał się przy kolorowych alkoholach. Brandy i whisky przyprawiły Kaśkę o kilka bezsennych nocy, a dobranie odpowiedniej barwy zajęło kilka kolejnych. Herbata zmieniała smak. Bejca oraz pasta do butów tak samo. Tego wynalazku nie potrafił przełknąć nawet „Pan Seler”, któremu podarowała butelkę w ramach testu z nadzieją, że go przeżyje i zda relację.

Nie był zadowolony.

Problem ze smakiem rozwiązała, wykorzystując kurkumę. Wywar z przyprawy miał lekko pomarańczową barwę i co najważniejsze, zostawiał w ustach korzenny, ostry posmak drewna. Do whisky pasował idealnie. To, że kupiła prawie kilo kurkumy za trzy złote, tylko przemawiało na korzyść tego cudu natury. Podobnie musieli myśleć właściciele indyjskich restauracji, gdy barwili nią swój ryż „curry”.

Do uzupełnienia zostały jej jeszcze cztery butelki. Zbyt długo to odwlekała. Kiedy odkręcała danielsa, usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Cholera.

Zupełnie straciła poczucie czasu. Skupiona na pracy, przestawała przejmować się rzeczywistością. Stojem również. Stała pośrodku kuchni, ściskając w dłoniach jacka, mając na sobie niedobre do kompletu figi z dziurką na prawym pośladku i stanowczo za mały stanik. Piersi wyglądały na pełniejsze, ale cholerstwo uciskało ją w niemal każdej pozycji, prócz wyprostowanej. Miała jednak powód, by odwlekać wizytę u brafitterki. Nadzieję, że ćwiczenia, które wykonywała z wyjątkową nieregularnością, na coś się przydadzą, a niechciane centymetry znikną z cycków i zdomowią się na dobre w pośladkach. Jej zdaniem zbyt płaskich, by zainteresował się nimi ktokolwiek oprócz tatarnika.

– Chwileczkę! – krzyknęła, zdejmując stanik.

Wrzuciła go do szafki pod blatem i odetchnęła z ulgą. Faceci nie wiedzą, co to za uczucie. Im nikt nie każe zakładać na plecy chomąta i biegać w nim cały dzień. W stanikach uwielbiała to, że zdecydowanie łatwiej je się zdejmowało, niż zakładało. Pozwoliła sobie jeszcze na kilka głębokich wdechów, zanim zaczęła chować butelki. Uderzenie w drzwi powtórzyło się. Kaśka przecięła w dzwonku kilka kabli właśnie dla takich sytuacji. Pukanie łatwiej zignorować.

Kuchnia wyglądała na uprzątniętą. Teraz potrzebowała oprawy dla siebie. W koszu na brudy znalazła jedwabny szlafrok w kolorze dojrzałych wiśni. Pasował do fig, które podciągnęła wyżej tak, by zarys jej największej broni dobrze odbił się na materiale. Dzięki Bogu za depilację laserową. Kaśka była przekonana, że każdy facet na świecie właśnie to zastosowanie lasera uważał za najważniejsze. Przynajmniej dopóki ktoś nie wyprodukuje mieczy świetlnych.

Przewiązała się tasiemką wokół bioder, zostawiając odpowiednią przestrzeń odsłaniającą skórę. Wiedziała, kto stoi za drzwiami, i zamierzała odpowiednio go dopieścić. Wizualnie.

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się najlepiej, jak potrafiła.

– Dłużej nie mogłaś?

Mężczyzna przeszedł obok i od razu skierował się do kuchni. Nie przejmował się zdejmowaniem ciężkich gланów ani tym, że Kaśka stoi przed nim prawie naga. Nie mogła się zdecydować, co ją bardziej wkurzyło.

– Brałam prysznic – odpowiedziała, gdy stanęła za nim w kuchni.

Jacek wyciągnął z plecaka butelki i ustawił na blacie.

– Jasne – odparł. – Mogłabyś przynajmniej nie kłamać. I ściągnij te trampy, nie pasują ci.

– Coś taki wkurzony?

Podeszła bliżej. Czuła smród przepoconego ubrania, ale nic nie powiedziała. Przyzwyczała się do zapachów, które inni uważali za odrażające.

– Jest piątek, a ja mam jeszcze na pace cztery zamówienia. Jedno większe od drugiego. Widziałas, jak jest już późno?

Szorował granatowymi bojówkami o szafki kuchenne, odblaskowa kamizelka drażniła oczy. Kaśka wiedziała, że pracodawca zmusza Jacka do noszenia tego przedziwnego stroju, uzasadniając jego barwy potęgą marki oraz bezpieczeństwem na drodze. Z dużym naciskiem na to pierwsze. Jej nie przeszkadzało, ale on miał z tym spory problem. Jako dostawca największego z hipermarketów został zmuszony ograniczyć własny strój do gланów, które teraz roznosiły po kuchennej podłodze resztki rozbitej butelki. I oczywiście niemiłosiernie spranej koszulki Slayera z *Hell Awaits*, której prawie nie było widać spod paskudnej kamizelki, ale czuło się ją z daleka.

– Posprzątałabyś tu. – Zamknął plecak i rzucił go na krzesło. Pod butem zachręściło szkło. – Klienci nie narzekają na syf?

– A widziałeś kiedyś faceta narzekającego na burdel?

Jacek zmienił się, odkąd urodziło mu się dziecko. Kaśka nie pamiętała, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Zawsze mówił o nim bezosobowo, ona również. Pinda, która zapomniała, że pigułki bierze się regularnie, zepsuła chłopakowi młodość, a jej dobrego kontrahenta. Jacek miał dopiero dziewiętnaście lat, to zdecydowanie za szybko na zostanie rodzicem. Może wychować dzieciaka na chorego popaprańca i robi to zupełnie nieświadomie. Coś o tym wiedziała.

Matka Kaśki urodziła ją, mając siedemnaście.

– Co mi przywiozłeś?

Zawiązała szczelniej szlafrok.

– Niewiele. – Westchnął. – Szefem zmiany był ten kutas z Piaseczna. Ledwo udało mi się podwędzić dwa stocki. Patrzą człowiekowi na ręce non stop. No nie da się pracować.

– Lepiej uważaj, nie chcesz mieć dyscyplinarki. – Zważyła w dłoni butelki. – Kasę dam ci wieczorem. Pasuje?

Kiwnął głową.

– Chcesz jakąś na podmiankę?

– Nie – odpowiedział po chwili. – Sklep wliczy to w straty, ale będę musiał przystopować.

– Jasne. Mam spory zapas.

Nie kłamała, towaru wystarczy jej minimum na miesiąc. Zbliża się lato, a wtedy zawsze jest mniejszy ruch w interesie. Kaśka przygotowywała autorskie wersje alkoholi od kilku miesięcy. Z jednej butelki wódki potrafiła zrobić dziesięć, a każdą sprzedawała za cenę odrobinę niższą niż ta sklepowa. Wyciągała na tym niezłe pieniądze, którymi potrafiła się dzielić.

– Jak dzieciak?

Niezręczne pytanie na do widzenia.

– Dziwka nie pozwala mi go odwiedzać. – Spojrzał na Kaśkę. – Bez obrazy. Nie widziałem go od dwóch tygodni.

Machnęła ręką.

– Jedyne, co robi ten szlauch, to ciągnie ode mnie hajs.

Sprawdzało się to, co Kaśka wiedziała od dawna. Nigdy nie ufaj kobiecie szybko rozkładającej nogi, nieważne, jak gładkie będą.

– Nie daj się. – Nic innego nie przychodziło jej na myśl. – Napijesz się czegoś?

– Dzięki, ale nie. – Podniósł się z krzesła. – Muszę rozwiązać zamówienia. Jak się spóźnię, znowu potrąca mi z wypłaty.

Założył plecak, uśmiechnął się sztucznie i wyszedł z kuchni, zostawiając zapach ciężko pracującego mężczyzny.

– O której będziesz w Komorowie?

Stał w korytarzu z ręką na klamce, zupełnie jakby pytanie go zaskoczyło.

– Między osiemnastą a dwudziestą.

– A tak na poważnie?

Widówki czasowe obejmowały standardowych klientów. Kaśka do nich nie należała.

– A o której mam być? Osiemnasta?

– Dzięki.

– A, zapomniałbym.

Sięgnął pod kamizelkę i wyciągnął zmiętą pocztówkę.

– Nie patrz tak na mnie. Wystawała ze skrzynki – wytłumaczył się. – Nie chciałem, żeby ktoś zabrał.

– Jasne. – Odebrała widokówkę, czując pod palcami pot chłopaka.

Listonosz regularnie omijał jej blok, a jak już pojawiał się w okolicy, skutecznie się kamuflował. Podobno sąsiadka z parteru widziała go przemykającego między krzakami. Stara baba lubiła fantazjować, toteż Kaśka nigdy nie wierzyła w jej opowieści. Szczególnie te o wnuku, który wyjechał do pracy za granicę. Wiedziała, że chłopak siedział za rozbój, ale w historię z listonoszem skłonna była uwierzyć. Facet potrafił zostawić w skrzynce awizo, nawet gdy minęło się go w drzwiach.

– Nie czytałem – dodał Jacek, otwierając drzwi. – Słowo harcerza. Nara.

Na odwrocie pocztówki było tylko kilka koślawo napisanych wyrazów. Cztery stemple i pięć znaczków pocztowych. Kaśka otworzyła szafę w przedpokoju, ogromny trzyskrzydłowy moloch, którego nie była w stanie zapełnić nawet do połowy. Wyciągnęła drewniane pudełko i rzuciła pocztówkę do środka, na sam szczyt sterty podobnych widokówek. Obrazki z całego świata, każdy niemal identyczny, choć wysyłane z miejsc odległych od siebie o tysiące kilometrów.

– Dzięki, mamó.

Zamknęła pudełko i wsunęła je w głąb szafy.

– Głupia dziwka.

Miała niewiele czasu. Na swoją kolej czekały jeszcze dwie butelki whisky oraz brandy. Złapała metalowy uchwyt szafy, a następnie szarpnęła odrobinę zbyt mocno.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Monika trzymała w rękach wszystko, czego potrzebowali: spodenki, koszulkę, majtki, skarpetki i adidasy. Część wyciągnęli z komody, a resztę znaleźli na samym dnie szafy, upchnięte między kolorowym zestawem wibratorów a pluszowym misiem z ogromnym sercem pośrodku włochatej klaty.

Mieszkanie opustoszało. Technicy nie zostawili po swojej obecności żadnego śladu. Profesjonaliści już tak mają. Nawet zapach ich sterylnych wdzianek zniknął, ustępując miejsca drażniącemu odorowi rozkładu. Przy drzwiach wejściowych stali za to smutni panowie z firmy pogrzebowej. Widok ciała nie zrobił na nich żadnego wrażenia. Obsługiwali praktycznie każde zabójstwo w województwie, to oni odstawiali trupa na Oczki. Byś wiedział, że prędzej czy później zawitają i tutaj. Wielokrotnie widywał ich na miejscu zdarzenia, ale nigdy jeszcze nie trafił na tych samych facetów dwukrotnie. Rotacja w firmie musiała być zabójcza.

Podszedł do Anny.

– Skończyłaś?

Stała nad denatką i wpatrywała się w jej puste oczodoły. Gabriel nie skomentował, że ręką, którą podpierała brodę, przed chwilą dłubała w ciele. Ani tego, że na policzku zostawiła ślad, który pochodził z miejsca, o jakim Byś

wolał nie myśleć.

– Nie teraz.

– Dasz radę przyspieszyć sekcję?

– O to musiałbyś poprosić ładnie Berta. – Odchrząknęła i przejechała dłonią po spierzchniętych ustach. – Znaczący prokuratora.

– Wątpię, żeby dał się uwieść mojemu urokowi. Może użyłabyś swojego?

Prawienie kobietom komplementów nie wychodziło Gabrielowi najlepiej. To, że nie został prawiczką do końca swych dni, zawdzięcza uśmiechowi, który zagłusza wszelkie idiotyzmy wypływające z jego ust. Tak twierdziła Alicja, a odkąd została Panią Bysiową, przestał spierać się z jej osądami. Uśmiechnął się więc najlepiej jak potrafił i liczył na to, że patolożka ma serce miękkie jak ludzkie podroby, którymi bawiła się w godzinach pracy.

– Spróbuję – odparła i zaczęła pakować swoje rzeczy do niewielkiej walizki.

Zatrzasnęła ją z hukiem, co wystarczyło, by potwierdzić przypuszczenia Bysia. Ciągłe miał w sobie tego chłopaka, któremu kobiety jadły z ręki. O ile nie mówił za dużo w ich obecności. Jak dobrze pójdzie, sekcja będzie jutro, najpóźniej w poniedziałek. A to by oznaczało, że może uda mu się ruszyć z miejsca, zanim sprawca zniknie na dobre.

– Dzięki, odprowadzić cię?

– Trafie do wyjścia. Lepiej idźcie z tymi ciuchami na dół. Kazałam zabrać ubranie dzieciaka.

– Po chuj? – Monika zrobiła krok w stronę lekarki.

– Nie unosi się. – Anna zachowała spokój. – Potrzebujemy ich, by ściągnąć ślady. Sam wymaz z ciała nie wystarczy. Wiesz o tym.

– Mogliście poczekać, aż przyniesiemy ubranie.

Sierżant odwróciła się i wyszła z mieszkania.

– Lepiej jej przypilnuję, zanim złamie nos któremuś z techników. – Gabriel ruszył w stronę drzwi. – Czekam na info o sekcji.

Anna mruknęła coś w odpowiedzi i skierowała się w stronę milczących pracowników zakładu pogrzebowego. Byś wolał nie przebywać w mieszkaniu, gdy będą pakowali trupa do worka. To czarne cholerstwo potrafiło się zaciąć w najmniej odpowiednim momencie, a sterczenie z nosem nad rozplatanym ciałem i mocowanie się z zamkiem takim momentem najczęściej było.

Dogonił Monikę, gdy ta wsiadała do windy. Dziewczyna nerwowo ścisnęła ubrania dla dzieciaka w jednej dłoni, a drugą wcisnęła przycisk z cyfrą 0.

– Uspokój się – powiedział i wyciągnął z kurtki długopis. Drzwi cicho się za nimi zasunęły. – Nie potrzebuję wariatek w zespole. Jasne?

Nie odpowiedziała, ale widział jej odbicie w drzwiach windy i nieznaczny ruch głową. Tyle mu wystarczyło. Rozejrzał się po ściankach, szukając idealnego miejsca. Odkąd po raz pierwszy znalazł się w tej metalowej puszcze, oklejonej wszystkim, na czym można przylepić reklamę, i pachnącej jak tartak, chciał zrobić coś, co nie przystoi facetowi w jego wieku. Numer glazurnika wyglądał na łatwy do przerobienia. Zmienił szóstkę na ósemkę.

- To z przyzwyczajenia.
- Nie pytałam.
- A powinnaś.

Nie usłyszała. Wybiegła z windy, ledwie drzwi rozsunęły się na tyle, by mogła się między nimi przecisnąć. Gabriel zastanawiał się, komu przywali w pierwszej kolejności. Obstawiał sanitariusza. Koleś wyjątkowo działał na nerwy.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, Monika siedziała już w ambulansie i pomagała chłopcu się ubrać. Po tamtym zakrwawionym ubraniu nie było śladu. Po technikach również.

– Zadowolona? – Gabriel oparł się o drzwi karetki.

– Nie, kurwa, nie jestem zadowolona! – warknęła. – Banda skurwieli, zostawili go w samych majtkach i tym jebanym odblaskowym kocu.

– Dla nich to tylko kolejny ślad.

– Ślad? Jaki, kurwa, ślad! To człowiek!

Kłęczała przed dzieckiem i nie spuszczała z niego wzroku. Przypominała matkę, która odkrywa w stojącym przed sobą stworzeniu część siebie samej. Troskliwie zawiązała buty na małych nogach, a następnie zaczęła porządkować włosy chłopca. Przeczesała czuprynę i łagodnie potrząsała strakami, jakby nakładała na głowę żel, a nie zdrapywała paznokciami resztki krwi.

Kąpiel, którą zafundował dzieciakowi jeden ze świadków, nie przyniosła efektów. Na twarzy malca zostały rdzawe zacieki, ciągnące się od linii włosów aż do brody. Brakowało tylko korony cierniowej, ale wyraz twarzy miał równie udreńczony, jak niemal każde przedstawienie Ukrzyżowanego, jakie Gabriel widział do tej pory.

Czuł, że ta sprawa pogrzebie wszystkich w nią wplątanych. Monika będzie pierwsza. Odwróciła głowę w jego stronę. Spodziewał się rozmazanego makijażu i łez, ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Monika oddychała spokojnie, jakby przed chwilą wypita kawę i zjadła ciastko w kawiarni, a do pełni szczęścia brakowało tylko papierosa.

Rzucił jej paczkę.

Złapała ją jedną ręką. Drugą cały czas gładziła chłopca po włosach. Stawiała ścianę, która zaraz miała runąć. Jeszcze trochę, a Monika będzie siedziała w łazience, odstawiając Lady Macbeth, szorując skórę do kości. Zupełnie jak chłopak w karetce, którego Gabriel spotkał jako pierwszego. Tylko że dla sierżant nie znajdzie już dawki relanium.

– Zaraz wrócę.

Odwrócił się i niemal zderzył z prokuratorem.

– Cieszę się, że pana znalazłem. – Bertrand kłamał równie źle, jak się ubierał. – Mogę na słówko?

Odeszli od karetki na tyle daleko, by sierżant nie usłyszała nawet słowa.

– Nie podoba mi się ta sprawa. – Prokurator zmarszczył usta. – Połowę śladów zdeptali sanitariusze, drugą policjanci. Oślą łączkę sobie zrobili.

Świadków i narzędzia zbrodni pewnie też nie znajdziemy. Denatka wygląda, jakby rozszarpało ją stado diabłów, a dzieciak będzie śnił się tej sierżant całe życie. Będziemy się z tym jebali w nieskończoność. A na to nie mogę sobie pozwolić.

Wyglądało na to, że litania prokuratora dobiegła końca. Sprawa mogła popsuć mu statystyki. Bertrand westchnął teatralnie i wbił wzrok w Gabriela. Komisarz doskonale wiedział, czego tamten od niego oczekuje. Cudu, który w magiczny sposób rozwiałby wątpliwości i dał odpowiedź chociaż na jeden z aspektów sprawy.

– Zrobię co w mojej mocy.

Standardowa odpowiedź, by rozmówca nie drążył tematu. Gabriel wątpił, żeby podziiałała na Bertranda.

– Potrzebuję. – Stachowicz zrobił znaczącą pauzę. – My potrzebujemy szybko to zakończyć. Jeżeli uważa pan, że nie da sobie rady...

– Stop. – Gabriel uniósł dłoń. – Panie prokuratorze, nie psujmy tej magicznej chwili. Niech pan tylko dopilnuje, żeby sekcja szybko się odbyła.

Więcej nie potrzebował. Ingerencja prokuratora w śledztwo zawsze kończyła się problemami. Stachowicz potrafił pchnąć sprawę do przodu, ale prośenie kogokolwiek o pomoc nie leżało w naturze Gabriela. Bertrand wyciągnął wizytówkę. Kartonik zawierał tylko nazwisko i numer komórki. Czarne litery na białym tle.

– Gustowna.

– Czekam na informacje – rzucił prokurator, poprawiając okulary.

Monika wyskoczyła z ambulansu, przebiegła obok nich i zatrzymała się przy trawniku. Oparła ręce na kolanach, wydając z siebie serię dziwnych odgłosów. Prokurator oddalił się bez słowa. Gabriel poczekał, aż oddech Moniki się uspokoi, i dopiero podszedł.

Nikt nie lubi, gdy inni patrzą na jego chwile słabości. Sam doskonale pamiętał osławioną wizytę na Oczki, która pozwoliła mu bliżej poznać woźnego. Razem z treścią żołądka stanowili parę, o której trudno zapomnieć. Takie momenty najlepiej spędza się w samotności. Monika wyprostowała się, włożyła papierosa do ust i zaczęła przeszukiwać kieszenie munduru.

Gabriel pstryknął zapalniczką.

– Dzięki. – Monika zaciągnęła się i zakasłała. – Ciągłe gdzieś swoje gubię.

Chyba próbowała się uśmiechnąć, ale jej twarz tylko wykrzywił dziwny grymas. Wyciągnęła rękę z paczką w stronę Gabriela. Pod paznokciami miała grudki krwi, a opuszki palców wyglądały, jakby cały dzień jadła truskawki.

– Zatrzymaj – odparł. – Mam drugą. Ten... nie powinien siedzieć w Warszawie? Często tu przyjeżdża?

– Nie, chyba nie. Byłam na urlopie, spytaj Janusza.

Dostrzegła ślady, jakie zostawił na skórze nagły zryw matczynej troski. Wpatrywała się w dłonie i grzebała pod paznokciami, rozmazując to, co udało jej się wyciągnąć.

– Muszę się umyć.

Wyrzuciła papierosa na ziemię.

– Muszę się, kurwa, umyć.

– Znajdź ochroniarzy, na pewno mają gdzieś tu swoją kanciapę.

– A...?

– Idź. Przypilnuję go.

Taka deklaracja wystarczyła. Na końcu osiedlowej uliczki stał policjant, który przepytывał właśnie jednego z ochroniarzy. Monika pobiegła w ich stronę, zostawiając Gabriela samego.

Byś dostrzegł policjanta, który nie wiedział, co ze sobą zrobić. Gapił się bezmyślnie i przytupywał nogą w rytm muzyki, którą nucił pod nosem. Gabriel przywołał go ruchem ręki. Młodziak, pomyślał, gdy tamten podbiegł do niego niczym rozochocona harcerka.

– Tak? – Stał przed komisarzem i ledwo powstrzymał się przed salutowaniem. Widać uznał, że za krótko się znają, by mógł pozwolić sobie na takie żarty.

– Idź do sklepu i kup cytrynę.

– Słucham?

– Cytrynę. Takie żółte, duże, miękkie jajko – doprecyzował. – Będzie na stoisku z owocami.

– Ale...

– Jedna wystarczy. I znajdź jakiś nóż.

Facet wyglądał na dezorientowanego, ale posłusznie odmaszerował.

– Hej – przywitał się Gabriel, wchodząc do karetki. – Pamiętasz mnie?

Dzieciak nie zareagował. Siedział na noszach, spoglądając w pustkę. Niczego więcej nie można się było po nim spodziewać. Po zabiegach Moniki znów przypominał człowieka. Wizualnie. Gabriel podszedł bliżej, wskazał na nosze i spytał:

– Mogę?

Nie wiedział, ile z jego słów dotrze do malca. Czytał, że psy mają inteligencję jak u dwulatków. Pies by go zrozumiał. Usiadł obok Janka i wyciągnął z kieszeni kurtki coś, czego nie powinien ruszać.

– To chyba twoje.

W dłoni trzymał model samochodu. Powinien zejść z nim do karetki wcześniej i dać chłopakowi, żeby nie myślał o matce. Mini morris kołysał się w przód i tył w rytm oddechu Gabriela. Liczył, że zniknięcia zabawki z miejsca zbrodni nikt nie zauważy. Co innego, gdyby chciał zabrać pluszowego misia z dna szafy. Tego włochatego bydlaka nie zmieściłby do kieszeni, choć pewnie lepiej zadziałałby na psychikę chłopca. Oksytocyna uwolniona do mózgu działa jak narkotyk szczęścia. Nieważne, co ją wyzwala. Ludzki dotyk czy przytulenie kawałka materiału wypchanego watą. Istniała niewielka szansa, że samochodzik pomoże.

Wyciągnął dłoń chłopca spod koca i położył na niej zabawkę. Musiał

zaczisnąć na niej palce Janka, inaczej wypadłaby na podłogę i potoczyła się pod przyrządy medyczne. Zauważył, że chłopiec gładzi palcami metalową karoserię. Przejeżdżał kciukiem po dachu, szorując nerwowo flagę Wielkiej Brytanii.

– Poszukam tej miłej pani, żeby z tobą posiedziała.

Wysiadł z karetki. Teraz rozumiał reakcję Moniki. Sam miał ochotę zwymiotować. Przeszkodził mu policjant, który stanął przed Gabrielem z wyciągniętą dłonią.

– Proszę. – W jego głosie słychać było dumę.

– Co to jest?

– No, cytryna. Jak pan chciał przecież.

Na dłoni policjanta wesoło podrygiwała limonka.

– Zielona?

– No, niedojrzała chyba. Ale jak się przyjrzeć, jest żółtawa. Trochę. O tu, z boku.

Wskazał palcem na fragment skórki.

– Dawaj. – Gabriel zabrał owoc. – I módl się, żeby zadziało tak jak cytryna.

– Czyli?

– Usunęło krew spod paznokci.

Masywne drzwi nie tłumily dźwięku. Szybkiego, intensywnego, niemal agresywnego. Kaśka podejrzewała, co mogło się stać. Odwlekała wejście do domu. Szorowanie starych desek było czynnością, która nie wpisywała się w jej zakres obowiązków. Nie miała podpisanej żadnej umowy, ale od samego początku jasno określiła, czego robić nie zamierza. Sprzątanie wymiocin oraz zmiana pieluch. Resztą mogła się zajmować.

Te mniej przyjemne zajęcia wykonywała pani Halinka. Kobieta o stalowych nerwach, ogromnych szklach wbitych na nos i dłoniach pokrytych skórą nosorożca. Szorstką, popękaną i szarą od wtartych w nią detergentów.

Kaśka spojrzała na zegarek. Wielką tarczę z symbolem kota, którego łapki powoli toczyły się wokoło, mijając cyfry. Dobiegała osiemnasta, dotarła na miejsce w ostatniej chwili. Jej podopieczna nie tolerowała spóźnień i laktozy. Na obie reagowała podobnie.

– Hej, hej! – krzyknęła Kasia, wchodząc do domu; ostrożnie odstawiła torbę na podłogę.

Drzwi zaskrzypiały niemiłosiernie i choć dźwięk rozniósł się echem po całym domu, wołała zapowiedzieć się również w taki sposób. Pani Halinka oprócz problemów ze wzrokiem kiepsko też słyszała i wszystko należało powtarzać jej dwukrotnie.

– Kto tam? – Halina weszła do korytarza. W jednej ręce trzymała metalowe wiadro, a w drugiej drucianą szczotkę, z której na podłogę kapały ogromne, pieniące się krople wody. – A, to ty, Kasiulku. Wejdz, dziecko, wejdz. Szósta

już?

– Tak, pani Halino. Co się stało?

– Słucham?

Krzyczenie w stronę kobiety mogło skończyć się dwojako. Albo obrażą, bo nie podnosi się głosu w obecności starszych, albo narzekaniem, bo przecież Halina wszystko doskonale słyszy i niepotrzebnie się człowiek unosi. Kaśka wskazała palcem na trzymane przez kobietę rzeczy.

– A, to... nic, nic. – Uniosła ramiona. – Joanna źle się poczuła wczoraj wieczorem. No i tak zostało, dopóki nie przyszłam.

Czyli jej podopieczna wypila resztę alkoholu, który Kaśka przywiozła w środę. Kobieta miała spust, tego nie mogła jej odmówić. Potrafiła wlać w siebie niesamowite ilości trunków i niejeden mężczyzna siorbiący jabola pod sklepem patrzył na nią z podziwem. Przy ostatniej wizycie zostawiła trzy butelki whisky własnej produkcji. Za każdą odpowiednio dużo zainkasowała.

– Posprzątane, możesz wejść. – Halina odstawiła wiadro na podłogę i wrzuciła do niego szczotkę. – Wiem, że źle znosisz takie perfuma.

– Dziękuję.

Dom przesiąkł zapachem alkoholu, formaliny i kurzu. Nikt przy zdrowych zmysłach nigdy go nie kupi. Ściany pokryte boazerią i dziesiątkami zdjęć odstraszyłyby kupca, zanim ten zdołałby się przeżegnać i wylać wiadro wody święconej na głowę. Kiedy Kaśka po raz pierwszy weszła do domu Joanny Zielińskiej, poczuła obrzydzenie. Nie do wnętrza, rozmieszczenia pomieszczeń czy materiałów. Do kobiety, której świat zamykał się w tych ceglanych murach pełnych pamiątek z przeszłości. Zdjęć z teatru, ubrań, w których chodziła, gdy jeszcze nie doskwierał jej reumatyzm, oraz straconych szans, upchanych w stertach bezużytecznych gazet. Pożółkłych i śmierdzących papierosami. Zupełnie jak Joanna. Stracona aktorka ze szponiastymi palcami i szaleństwem ukrytym między pasmami siwych włosów.

Halina zdjęła granatowy fartuch, symbol władzy każdej szkolnej woźnej.

– Idę, Kasięku. – Pocałowała ją w policzek, cmokając przy tym sztucznie. – Będę jutro po mszy.

– Zapłaciła?

– Tak, nawet nie musiałam się przypominać. Chyba się jej polepsza. Teraz cała nadzieja w Bogu.

– Racja – skłamała. – Oby żyła jak najdłużej.

– Święte słowa, Kasiulku, święte. Powiedz, proszę, Joannie, że wyszłam. Nie chcę jej przeszkadzać.

– Oczywiście, pani Halino.

Obserwowała, jak kobieta przechodzi przez ogród i mocuje się z zaśnieżoną furtką. Nie potrafiła zrozumieć, czemu nikt nie zainwestował w remont nieruchomości. Dom w Komorowie z dużą działką wart jest fortunę, nawet teraz, gdy na rynku panuje zastój. Doskonale wiedziały o tym wszystkie gwiazdy, które masowo zaczęły osiedlać się tu na początku lat

dziewięćdziesiątych. Słyszała, że we wsi mieszkała kiedyś jedna z najlepszych piosenkarek chodzących po polskiej ziemi, która nie potrafiła zaśpiewać porządnie hymnu.

Kaśka sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte, i udała się w głąb domu. Z każdym krokiem stawianym na skrzypiącej podłodze coraz mocniej czuła ten specyficzny zapach. Nasilił się, gdy minęła salon wyłożony włochatym, przetartym dywanem. Intensywniej pachniało też koło łazienki z przyczepionym do ściany bojlerem. Z jego ścianek odpadały płaty rdzy i osiadały na podłodze. Im bliżej pieczary smoka, tym woń siarki mocniej drażniła nos. Cały dom przesiąkł zapachem starej kobiety.

Stanąła pod drzwiami gabinetu. Brązowe drewno pokryte było złuszczoną farbą, która odpadała przy każdym mocniejszym trzaśnięciu. Podczas pierwszej wizyty pod stopami Kaśki zaszeleściły setki akrylowych łusek. Dziś podłoga lśniła, jak zawsze w dniu wypłaty.

Zastukała i nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi. Przeciąg uderzył w nią, rozwiewając włosy, wkradł się pod sukienkę. Kiedy większość ludzi wkładała jeszcze zimowe ubrania, ona wskakiwała w stroje wywołujące erekcję u postronnych obserwatorów.

– Dzień dobry, pani Joanno.

Gabinet pogrążony był w mroku. Słońce powoli zbliżało się do zachodu, a stojące w ogrodzie drzewa, choć jeszcze bez liści, blokowały dopływ światła. Niezależnie od aury na zewnątrz, tu zawsze panował półmrok. Podczas upałów gabinet Joanny stanowił doskonałe schronienie przed skwarem. O ile ktoś lubił delektować się chłodem w towarzystwie szatana. Ascetyczny i pełen tajemnic gabinet nadawał się na okładkę „Egzorcysty”, sprzedaż pisemka skoczyłaby o sto procent. Wysokie regały z ustawionymi w równych rzędach książkami. Poradniki medyczne, bibliografie i setki scenariuszy w segregatorach.

– Co? – Postać poruszyła się na wózku. – A, to ty, Sokół. Czego?

Od pół roku nie odpowiedziała Kaśce na przywitanie i prawie zawsze zwracała się do niej po nazwisku. Bywało, że traktowała ją jak niewolnicę, której nie należy się szacunek.

– Jest piątek. Zaraz będą zakupy.

W oczach staruszki pojawił się błysk.

– Będą trunki?

– Jak zawsze.

Koła wózka zaskrzypiały i Joanna potoczyła się powoli w stronę sekretarzyka. Masywnego, gdańskiego. Ręcznie zdobionego w wymyślne wzory. Kaśka widziała podobny na aukcji internetowej. Poszedł za ponad cztery tysiące. Kiedy Joanna umrze, musi się do niego dostać jako pierwsza. Sprzeda i dołoży pieniądze do puli. Teraz nie miała szans choćby zbliżyć się do mebla. Staruszka warowała w gabinecie jak Cerber. Nawet spała tu, siedząc na wózku i śliniąc się na ramię.

Joanna podjechała z trudem do sekretarzyka i otworzyła największą

szufladę. Wysunęła się wyjątkowo sprawnie. Meble Kaśki rozwalały się po roku normalnego użytkowania. Zazwyczaj dzień po zakończeniu okresu gwarancyjnego.

– Masz.

Trzymała w ręku kilka stuzłotówek. Kaśka szybko przeliczyła.

– Czterysta. Jeszcze sto.

– Kłamiesz, kurwo!

Przyzwyczała się do wyzwisk ze strony Joanny. Uprzedzono ją, że często wpada w furję, a jeszcze częściej zapomina. Szczególnie o rzeczach istotnych. Wyłączenie gazu pod czajnikiem, zapłacenie rachunku za prąd czy powiedzenie, że trzeba do toalety. Na szczęście tym ostatnim zajmowała się Halina.

– Brandy jest drogie. – Nie tłumaczyła tego po raz pierwszy. – Koniak też.

– Kłamiesz!

Chyba chciała coś jeszcze krzyknąć, ale przeszkodził jej atak kaszlu. Zakryła usta dłonią obleczoną białą koronkową rękawiczką. Materiał na opuszkach palców był żółty i nadpalony przez papierosy. Resztę zdobiły plamy po jedzeniu i krwi, którą staruszka wykasływała coraz częściej. Kiedy kaszel ustąpił, wyciągnęła z szuflady kolejny banknot.

Rozległ się dzwonek.

– To zakupy. – Kaśka odebrała pieniądze od staruszki. – Zaraz wrócę.

– Jak na służkę przystało.

Na początku parę razy chciała udusić ją we śnie albo pchnąć wózek wprost pod przejeżdżający samochód. Teraz już nie. Potrzebowała jej żywej. Wiedziała, że Joanna zapomni o tej rozmowie po paru godzinach. Jak o każdej, którą przeprowadziła z Kaśką w ciągu ostatnich tygodni. Dzisiaj zresztą i tak nie było źle, Joanna rozpoznała ją bez problemu. Dobrze udawała albo była trzeźwa.

Kaśka zamknęła za sobą drzwi do gabinetu i wróciła na korytarz. Przyklęła przy swojej torbie i wyciągnęła z niej butelki. Brandy, dwa koniaki oraz wódkę. Powinno wystarczyć do następnej wizyty. Z pieniędzy Joanny odłożyła na zakupy dwieście złotych, resztę schowała do torby. Pieniądze, które wydawała na artykuły spożywcze, i tak jej zwracano.

Jacek czekał na zewnątrz. Niecierpliwił się i przymierzał się właśnie, by po raz kolejny przycisnąć dzwonek przy furtce.

Serio?

Pilsz wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Jest najbliżej, jestem głodny i nie mam ochoty na szukanie czegoś innego po nocy.

Gabriel miał wszystkie cechy, który potwierdzały jego przynależność do psów. Głodny stawał się nie do zniesienia.

Bardziej niż zazwyczaj.

– Obok jest pizzeria – spróbował po raz kolejny Pilsz.

Czekanie na pizzę w piątkowy wieczór mogło zająć nawet godzinę. A pusty lokal, który mieli przed oczami, gwarantował posiłek na szybko. Czyli coś, czego wszyscy potrzebowali. Ich dzień pracy zakończyli panowie z prosektorium próbą wyniesienia denatki bez zostawiania za sobą śladu jak suka w ciecze; nieudaną. Wielki tampon w czarnym plastikowym worku na szczęście bezpiecznie spoczywał już na Oczki. Do tego doszły rozmowy z sąsiadami, które okazały się, bez wyjątku, stratą czasu.

Potrzebowali spokoju.

– Dobra, niech będzie. – Pilsz skapitulował, patrząc na twarz Gabriela. – Po prostu nie lubię ciapatych.

– Powiedz jeszcze, że zabierają ci pracę – odezwała się Monika, po raz pierwszy od chwili, gdy wróciła z kanciapy ochroniarzy, pachnąc jak drzewko cytrusowe.

– Raczej jej dodają.

Janusz wszedł do lokalu, zostawiając Gabriela i Monikę na chodniku. Nad ich głowami palił się jaskrawożółty neon Dalajlama Kebab. Byś wskazał ręką wejście, a Monika skłoniła się lekko i weszła do środka. Zastali Pilsza siedzącego przy czteroosobowym stoliku w jednej z naw. Łukowe sklepienia i kolor ścian w kolorze wysuszonego kota nie zachęcały do dłuższej bytności w lokalu. Podobnie jak zdjęcia piramid na każdej ze ścian. Jednak zapachy, które wydobywały się z otwartej kuchni, zwiastowały przyjemny posiłek. Jeżeli będą mieli szczęście, nie przyszpili ich do tronu na całą noc, a jedynie może na godzinę.

Dosiedli się do Pilsza, który z zapamiętaniem studiował menu wydrukowane na niewielkiej kartce. Mieszmasz mięs z całego świata.

– Ja biorę lawasz.

Odsunął menu w stronę Gabriela, a ten podał je Monice.

– Nie jestem głodna.

Wielkiego wyboru nie było. Bysia skusiły wywieszane przed wejściem zdjęcia, ale w menu potrawy nie wyglądały już tak zachęcająco. Kątem oka dostrzegł, jak kucharz wyciera nos w fartuch i podlewa mięso płynem, który wyciągnął spod lady. Ciemnym i gęstym niczym olej silnikowy. Butelka też wyglądała, jakby zabrano ją z warsztatu samochodowego. Mięso w oczach nabierało niezdrowych rumieńców.

– Ja zadowolę się zwykłym kebabem. Sądysz, że ktoś do nas podejdzie? – Byś rozejrzał się po sali.

Oprócz kucharza i faceta z ogromnymi wąsami, ćmiącego papierosa i nonszalancko strząsającego popiół na ziemię, nie dostrzegł w barze nikogo. Wąsacz musiał być kierowcą nieprawidłowo zaparkowanego cinquecento, zastawiającego pół chodnika. Wyglądał na takiego, który może sprawiać problemy. Stał przy wyjściu, odstraszać klientów. Janusz podniósł się

i podszedł do lady. Kucharz wytarł ręce w fartuch.

– Lawasz i kebab na miejscu. – Pilsz obejrzał się na Gabriela. – Kebab z łagodnym. Dla mnie sos osobno, ostry, czerwony. Macie czerwony?

– Tak, czerwony.

– Tylko ma być czerwony. Nie różowy, pomarańczowy czy łososiowy. Czerwony jak dupa diabła.

– Tak, tak.

Kucharz zanotował coś na kartce i odwrócił się w stronę kuchni. Pilsz wrócił do stolika, zabierając z lady dodatkowe serwetki, które schował ukradkiem do kieszeni. Monika sprawdzała coś w telefonie i nawet nie zareagowała, gdy niechcący przewrócił stojącą przed nią solniczkę.

– Nigdy nie wiadomo – Pilsz rzucił szczyptę soli przez ramię, kultywując staropolski zwyczaj odganiania klątwy.

– Poprowadzisz sprawę?

Monika schowała telefon do służbowych spodni. Jako jedyna w towarzystwie nosiła regulaminowy mundur. Byś i Pilsz wyglądali jak cywile, choć w ich ubiorze dało się zauważyć coś niepokojącego. Coś, co sprawiało, że ludzie chętniej ich omijali. Gabrielowi zupełnie to nie przeszkadzało.

– Prawdopodobnie – przyznał. – Jako jedyny ze stołecznej byłem akurat wolny. Wygląda na to, że spędzimy ze sobą więcej czasu.

Facet stojący przy drzwiach krzyknął coś w narzeczu, którego nie zrozumieli, i wszedł do środka. Popiół z papierosa opadł na białą koszulę, rozpiętą o jeden guzik za daleko i odsłaniającą morze czarnych włosów. Kucharz machnął ręką, ignorując przybysza. Spokojnie wykładał sałatę na ciasto, choć stojący przed nim mężczyzna coraz głośniejszymi słowami wypowiadał niezrozumiałe dla nich słowa.

– Jak zaczniesz być nieprzyjemnie, nie będę strzelał w kolana. – Janusz przekreślił głowę tak, by widzieć tamtych w odbiciu witryny.

– Jestem o tym przekonany.

Byś nawet nie patrzył na ludzi przy kuchni. Wyglądało to na zwykłą wymianę zdań między szefem a pracownikiem. Przypomniał sobie, że przez cały dzień nie zadzwonił do Alicji. Mieli jechać na zakupy. Z lekkim wahaniem wyciągnął telefon ze spodni. Cztery nieodebrane połączenia. Wszystkie od niej.

– Przepraszam na chwilę.

Wyszedł na zewnątrz i głęboko odetchnął. Wieczór dawał jasno do zrozumienia, że do lata jeszcze daleko. Zapiął kurtkę i wyciągnął ostatniego papierosa. Już miał odpalić, gdy ktoś mocno potrącił go w ramię.

– Ej! – wrzasnął.

Wąsacz nawet się nie obejrzał, w przeciwieństwie do przechodzącej drugą stroną ulicy starszej pani. Sobowtór Husajna wkładał do bagażnika cinquecento plastikową torbę z pojemnikami na jedzenie. Wsiadł do auta i odjechał, zostawiając za sobą odór spalonego oleju roślinnego. Byś wrócił do środka. Musiał zapalić, zanim zadzwoni do Alicji, a ostatni papieros rozmiękał właśnie na chodniku.

– Co to jest?!

Janusz krzyczał coraz głośniej, wymachując małą miseczką tuż przed twarzą kucharza. Oprócz rąk siłacza w lokalu nic innego się nie poruszało. Nawet muchy przylepiły się do sufitu, rezygnując z latania wokół jasnych lamp. Pilsz wpatrywał się w sporo niższego mężczyznę, podsuwając mu pod nos kawałek porcelany.

– Powiniennem interweniować? – Byś usiadł obok Moniki.

– On tylko dużo gada. – Monika nie przejawiała żadnych oznak zainteresowania czymkolwiek, co nie było jej telefonem komórkowym. – Uwierz mi.

Wyglądało na to, że ma rację. Pilsz intensywnie ruszał kończynami, ale trzymał je z dala od kabury i szyi kucharza. Za to coraz głośniej artykułował swoje niezadowolenie.

– To coś – machnął miseczką – nie jest czerwone. To jest, kurwa, różowiutkie jak majteczki!

Gabriel parsknął i zauważył, że nawet Monika lekko się uśmiechnęła. Pilsz chwilowo był zbyt zajęty, by zwrócić na nich uwagę. W swoich parabolach przeszedł od malinowego budynku przez łososiową kupę do cipki зараżonej jakąś paskudną chorobą.

– Zrobisz coś dla mnie?

Nie lubił mieć długów, nie dopuszczał nawet sytuacji, kiedy miałby być winien grosz kobiecie z warzywniaka. Ale teraz pomoc Moniki wydawała się nieodzowna.

– Co?

– Wrzuć na bęben info o tym samochodzie. – Wziął serwetkę i nabazgrał na niej numer rejestracyjny. – Niech sprawdzą kierowcę, na pewno znajdą coś, za co dołożą mu kilka punktów. Skręcił w Armii Krajowej i pojechał chyba na Komorów.

Wzięła serwetkę i bez słowa wyszła na zewnątrz. Widział, że radiowóz stał zaparkowany niedaleko. Jeżeli dopisze mu szczęście, a patrol będzie gdzieś w okolicy, wásacz pozbędzie się kilku złotych.

Rozmowa między Pilszem a kucharzem najwyraźniej dobiegła końca. Policjant usiadł ciężko na krześle, odsuwając od siebie talerz z lawaszem. Jego przeciwnik wrócił na swoje stanowisko pracy i kucnął za ladą. Wyciągnął niewielkie pudełko i wygrzebał z niego kawałki rdzawej substancji. Zaczął rozcierać ją w identycznej miseczce jak ta, która stała teraz na skraju stołu.

– Szczęśliwy? – spytał Byś, gdy z twarzy Pilsza zniknęła maska wkurzonego rottweilera.

– Będę, jak dostanę czerwony sos. Mówiłem: chodźmy na pizzę.

Monika wróciła do stolika, pochyliła się nad Bysiem i szepnęła:

– Nie musiałam nic robić, zatrzymali go, jak przejeżdżał na czerwonym przy szkole. Poprosiłam tylko o ciut bardziej szczegółową kontrolę.

– Tajemnice? – Janusz szelmowsko się uśmiechnął.

Gabriel wyprostował się i spojrzał na swój talerz. Sam kebab wyglądał przyzwoicie, ale frytki, które leżały obok, zdecydowanie nie. Odsunął je na bok. Żołądek przywierał mu do kręgosłupa, który dawał o sobie znać kłującym bólem. Cały dzień na nogach zrobił swoje.

– Co was zainteresowało tam na górze? – spytał, wkładając do ust kawałek mięsa. Szybko się rozpuścił, nie świadczyło to najlepiej o jakości.

– Poza sztuczną krwią? – Janusz skorzystał z wykałaczki, którą namiętnie zaczął żuć, wpatrując się w nieruszony lawasz. – Niewiele.

– Porządek.

Monika obserwowała kucharza zbliżającego się do ich stolika. Niósł na ogromnej tacy jedną małą miseczkę. Stał przy szczycie stołu i odchrząknął.

– Czewony.

Postawił tacę przed Januszem, odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Usłyszeli cichy trzask zapalniczki. Pilsz rozlał sos na talerzu, chwycił lawasz, a następnie wtarł w niego wszystko, co znajdowało się w naczyniu.

– Będziesz to jadł? – spytała Monika.

– Pewnie.

– Ja bym nie ryzykowałam. Wkurzanie ludzi, którzy robią ci jedzenie, to kiepski pomysł.

– Wkurzanie policjanta również – odparł i zanurzył zęby w daniu.

Patrzyli z podziwem, jak jednym kęsem odrywa niemal pół sporej kanapki. Niemal tak wielkim jak odwaga, którą się wykazał, w ogóle to robiąc.

Gabriel z trudem oderwał wzrok od pałaszującego Pilsza.

– Co mówiłaś o tym porządku?

– Oprócz syfu przy wejściu i tej krwi wszystko było niemal idealnie czyste. Komputer i telefon na stoliku, żadnych poprzewracanych mebli, rozbitych naczyń. W ogóle żadnych naczyń nie zauważyłam. Nie pasuje mi to do panny zboczuszki. Jak na matkę trzyletniego dziecka miała tam kurewsko czysto.

Gabriel również zwrócił na to uwagę. Mieszkanie lśniło. Wyczuł nawet zapach pomarańczy, który doskonale znał. Środek do czyszczenia paneli podłogowych. Jeden z tańszych.

– A lisi ogon?

– Lisia kita... – Zamyśliła się. – Każdy ma swojego demona.

Janusz zebrał resztki czerwonego sosu ostatnim kawałkiem lawasza i wyglądało na to, że jest gotowy włączyć się do dyskusji.

– Dobrze by było, jakbyśmy znaleźli oko. Nasz pijar mocno się wkurzy, jak dostanie je jakiś dziennikarz razem z poranną kawą. Albo burmistrz.

Niestety, miał rację. To Gabriel zostawił sobie na później.

– A dzieciak? – spytał. – Dlaczego przeżył?

– Długo nam jeszcze zejdzie?

Monika zaczęła nerwowo kręcić się na krześle. Jej mundur szeleścił jak paczka chipsów. Kurczowo ścisnęła telefon w dłoni i co chwila zerknęła to na niego, to na Gabriela.

– Idź. Tylko na rano chcę mieć wszystko na temat Marty Zręb.

Sam najchętniej już dawno znalazłby się w domu. Zegar wiszący nad kuchenną ladą wskazywał dziesiątą. Alicja go zabije. Na dziś wystarczy, jutro czekają ich kolejne przesłuchania, dobrze byłoby złapać choć odrobinę snu.

– Jasne, dzięki. Do jutra.

– Podwieźć cię? – Janusz poderwał się z krzesła równo z Moniką.

– Poradzę sobie.

Wyszła z lokalu, zanim zdążył usiąść.

– Na chuj wspominałeś znowu o dzieciaku? – warknął, gdy upewnił się, że Monika ich nie usłyszy. – I na chuj wepchnąłeś ją do tej jebanej karetki?

Tego Gabriel się nie spodziewał.

– O co ci chodzi?

– O gówno – warknął Pilsz i wstał.

Został sam, nie licząc kucharza, który niepostrzeżenie przemknął od wejścia za ladę. Gabriel odsunął od siebie talerz. Nie zamierzał kończyć kebaba, który zamienił się w nieapetyczną breję i nawet już nie udawał, że może miał coś wspólnego z mięsem.

– Pięknie. – Podeszedł do lady. – Ma pan papierosy?

Mężczyzna bez słowa wyciągnął paczkę i położył na blacie. Cienkie, mentolowe. Byś wysupłał jednego i podziękował skinieniem głowy.

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt – usłyszał, gdy odwrócił się w stronę wyjścia.

– Słucham?

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt.

Jak na kogoś, kto ledwo potrafił wypowiedzieć słowo „czerwony”, facet doskonale władał liczebnikami. Byś wyciągnął portfel i odliczył żadaną kwotę. W najdrobniejszych nominałach, jakie miał. Co do grosza.

Kiedy wyszedł przed lokal, zdawało mu się, że w oddali widzi Monikę. Szła w stronę parku, oświetlona latarniami, witrynami banków i sklepów z tanią odzieżą. Odpalił papierosa, a gdy spojrzął ponownie w tamtą stronę, jej już nie było, rozplynęła się w mroku.

Ciemność wylewała się z pokoju Joanny, pełznąc w stronę korytarza. Kobieta na wózku przyssała się do butelki, rozkoszując się każdym gorzkim łykiem. Patrząc na to, Kaśka miała lekkie wyrzuty sumienia. Zawsze jednak mijały, gdy Joanna rzucała przekleństwem. Butelki chowała w gabinecie, pod poduszką starego fotela. Najmniejszy ruch sprawiał, że wysypywały się z niego trociny, ale wydrążone w jego wnętrzu przez myszy tunele idealnie nadawały się na kryjówkę. Wszystkie elementy pasowały do siebie jak puzzle, żaden nie wpadł za kanapę i nie zniknął w czeluściach.

Zupełnie jak one.

Żyły we trzy w dziwnej symbiozie. Halina pojawiała się najczęściej, przychodziła praktycznie codziennie i doglądała tego, co zostało po grzechach

przeszłości. Sprzątała, gotowała i zajmowała się Joanną jak dzieckiem. Musiała wiedzieć, że staruszka tankuje, ale nigdy nie powiedziała na ten temat słowa. Potrafiła dochować tajemnicy.

Tak samo Kaśka, która wysłuchiwała zbyt wielu historii. Ludzie wyjawiali jej swoje sekrety. Te małe i te największe, których nie chciałyby usłyszeć ich własna matka. Ona nic z nimi nie robiła. To znaczy gromadziła je i czekała, aż staną się użyteczne. Bo w życiu wszystko można sprzedać. A to potrafiła robić jak nikt.

– Kasiénka?

Joanna wyprostowała się na wózkach i otarła dłonią usta. Na rękawiczce został mały krwawy ślad wieczornej drzemki. Nawet pijana potrafiła się obudzić, słysząc najdrobniejszy szmer.

– Jestem – odparła, podchodząc do staruszki.

Włosy Joanny, upięte w staromodny kok, pachniały gruszką. W kącikach oczu nie było nawet śladu zaschniętej ropy, a skóra wyglądała na świeższą niż zazwyczaj. Halina odwaliała kawał dobrej roboty.

– Cieszę się, że jesteś. – Joanna ścisnęła butelkę, jedną z tych, na których przyczepiona przez Kaśkę akcyza ledwo się trzymała. – Smutno tak bez ciebie. Rzadko przychodzisz.

– Przychodzę co dwa dni – powiedziała, poprawiając poduszkę.

– Za rzadko.

Kłamała i była skołowana, jak zawsze, gdy wypijała. Inaczej zachowywałyby się agresywnie i pewnie rzuciłyby w Katarzynę czymkolwiek, co znalazłaby w zasięgu zasuszonych rąk. Dziewczyna dostała już zabytkowym piórem, nożykiem do otwierania listów, a raz nawet kanapką z szynką, która oczywiście wylądowała na jej bluzce stroną z masłem. Kaśka odstawiłaby Joannie alkohol, ale tylko on sprawiał, że dało się z nią wytrzymać. No i rozwiązywał staruszce język, a Kaśce zapewniał dodatkowe źródło dochodu.

Obie strony były zaspokojone.

– Wyglądasz jak twoja matka. – Joanna pociągnęła kolejny łyk brandy. – Kropla w kroplę.

– Wiem, mówiłaś.

To prawda, były podobne. Jedyne wspólne zdjęcie Kaśki z matką wisiało na lodówce w mieszkaniu. Te same rysy twarzy, pospolite do bólu i przaśne. Proste włosy opadające na ramiona i zbyt duże oczy w stosunku do reszty twarzy. Taką widziała się codziennie w lustrze. Wyczytała w internecie, że człowiek sam siebie postrzega jako ładniejszego, niż jest w rzeczywistości. Jeżeli to prawda, to miała poważny problem, choć na powodzenie nigdy nie narzekała. Na fotografii matka stała na plaży w Sopocie. Stopy tonęły w piasku, przewiązane kolorową chustą biodra kusiły mężczyzn. Uśmiechała się do obiektywu, zapraszając do siebie osobę trzymającą aparat. Kaśka uwielbiała tę fotografię. Brzuch odrobinę zaokrąglony, a w środku, pod cienką warstwą tłuszczu i mięśni, ona.

Joanna jako ostatnia widziała Małgorzatę Sokół żywą. Tak przynajmniej powiedziano Kaśce.

– Chcesz zobaczyć? – Staruszka ułożyła butelkę na udach i chwyciła za obręcz kół.

Wózek zaskrzypiał, sfatygowane opony zostawiły na podłodze biały ślad. Dotoczyła się do regału i z trudem sięgnęła po drewniane pudełko. W ostatnich promieniach słońca wpadających przez okno zatańczyły drobinki kurzu. Ogromny, lśniący kawał historii wylądował na kolanach Joanny. Kaśka nie miała prawa dotykać czegokolwiek w gabinecie. Każde inne pomieszczenie obmacała już dawno. Nic ciekawego nie znalazła. Tylko wspomnienia odtrąconej aktorki i odpryski straconego talentu.

PWST w Warszawie, występy w Teatrze Narodowym, burze oklasków po każdym spektaklu i róże lądujące na scenie. Dostała wszystko, o czym mogła marzyć kobieta. Świat wchłonął Joannę Zielińską i nie puścił, dopóki nie przemielił doszczętnie każdej komórki jej ciała. Zniknęła bez słowa w latach osiemdziesiątych, a emeryturę spędziła, doszkalając wioskowych głupków na zajęciach ZPT. Uczyła robienia sałatek ze śledzia i zwietrzałych jarzyn. Ten temat zawsze ucinała.

– Zobacz. – Joanna chwyciła fotografię o finezyjnie ciętych brzegach i wyciągnęła ją w stronę Katarzyny.

Czekała na to od dawna. W końcu, po miesiącach upijania Joanny, pojawiła się nadzieja, że nie wszystko poszło na marne. Chciała wyrwać zdjęcie, przytulić i dopiero spojrzeć na matkę. Wyobrażała sobie, jak będzie wyglądała ta chwila, jak serce na kilka sekund przestanie pompować krew, a płuca zatrzymają się i wypuszczą powietrze ze świstem dopiero wtedy, gdy zobaczy prawdę. Okłamywała się zdecydowanie za długo.

Pod palcami papier fotograficzny nabrał kolorów. Spojrzała od razu. Joanna. Ubrana w długą suknię, z bukietem kwiatów, w tle ciemna kotara. Odwróciła zdjęcie. Na pożółkłym papierze ktoś wykaligrafował życzenia noworoczne. Spojrzała jeszcze raz. Nic się nie zmieniło.

– Co to jest? – Wycelowała fotografią w Joannę.

Staruszka wyciągała kolejne zdjęcia z pudełka i układała je na kolanach. Była na wszystkich. Ubrana w jednoczęściowy strój kąpielowy, małą czarną, suknię wieczorową, toples.

– Co to jest!? Chryste, kurwa mać!

Wyrwała pudełko z rąk Joanny i wysypała zawartość na podłogę. Nie mogła uwierzyć. Pod jej stopami leżało wszystko. Zdjęcia, wycinki z gazet, martwe ćmy. Wszystko, tylko nie to, czego potrzebowała.

Pobiegła do kuchni. Wiedziała, gdzie szukać. W szafce pod zlewem stał wybielacz. Obok pustej butelki po wódce, jednej z wielu, którą zamierzała ponownie wykorzystać. Przełała do niej całą zawartość wybielacza i zamieszała. Mętny płyn przypominał mydlaną zawiesinę, ale dla kogoś, kto wypije wszystko, co się mu podsunie, nie powinno to stanowić problemu.

Szkło niemal paliło skórę, kiedy wchodziła do gabinetu. Joanna opróżniła prawie całą flaszkę, którą zostawiła na jej kolanach przed godziną. Staruszka przycisnęła brodę do piersi, a po sekundzie szybko ją podniosła, wyrwijąc się z pijackiego odrętwienia. Spojrzała wprost w oczy Katarzyny.

– Wiem, gdzie zakopał tę kurewkę. Wiem, gdzie zakopał twoją matkę.

Do mieszkania wrócił przed północą.

Jeździł opustoszałymi ulicami, dopóki nie zaświeciła się kontrolka rezerwy. Centralny punkt Pruszkowa Gabriel mijał czterokrotnie i za każdym razem pod McDonaldem stał sznur samochodów, z których sączyła się biesiadna muzyka. Ulice straszyły migającymi żółtymi światłami i przechodniami wchodzącymi na asfalt bez uprzedzenia.

Potrzebował ciszy.

Okno w almerze zostawił otwarte. Liczył na to, że pęd powietrza wywieje zapach trupa. Pomylił się. Sam odoru nie wyczuwał, mózg skutecznie blokował wszelkie jego oznaki. Wiedział jednak, że razem z nim do mieszkania weszła ofiara morderstwa. Ukryta między włóknami ubrań, we włosach i na skórze.

Musiał się jej pozbyć.

Drzwi do sypialni były zamknięte, a na kanapie w salonie leżał koc. Razem z samotną poduszką, wyniesioną z małżeńskiego łóża.

Zły znak.

Rzucił kluczyki samochodu na kuchenny stół. Wyciągnął z kurtki plastikowe zakrętki od napojów. Zbierał je przez cały dzień, od każdego, kto pałętał się na miejscu zbrodni. Schował wszystkie do reklamówki schowanej za śmietnikiem i zabrał się za przeglądanie leżącej na blacie korespondencji. Alicja wyciągała ją ze skrzynki i kładła zawsze w tym samym miejscu. Cztery gazetki reklamowe z roześmianymi twarzami sprzedającymi wszystko, od wkrętarek po podpaski. Facetów kręciły kołki rozporowe, a kobiety dostawały orgazmów na widok sera w plastrach. Tak musiał wyglądać świat według grafików, inaczej nie potrafił wytłumaczyć radości bijącej z taniego papieru. Przekartkował gazetki, a następnie wyrzucił wszystkie do kosza.

Oprócz nich na blacie leżało jeszcze rozliczenie ze spółdzielni. Kartka A4, o którą dopraszał się od prawie miesiąca. Podwyższona opłata za wywóz śmieci i niedopłata za wodę. Wszystko po staremu. Żaden problem. Co innego niewielka samoprzylepna kartka na samym spodzie. Przyklejona do blatu straszyła żółtym kolorem.

Gabriel każdą nakreśloną literę widział doskonale, mimo że pismo Alicji przypominało malarstwo Jacksona Pollocka. Bazgroły, które przy odpowiednim oświetleniu i zmrużonych oczach zaczynały nabierać kształtów. Na przykład żółwia w czapce z daszkiem.

– Ojciec. Niedziela. Obiad – przeczytał na głos.

Ta mała kartka przelała czarę goryczy. Cały dzień na nogach zebrał w końcu

źniwo. Ból pleców powrócił. Nabawił się go przy wyciąganiu z samochodu niefrasobliwego podejrzanego. Źle szarpnął i musiał potem tydzień spędzić w szpitalu, faszerowany lekami, macany przez pielęgniarki oraz, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, pielęgniarzy. Obyło się bez operacji, ale ból wracał. Nie mówił wszystkiego Alicji, źle zniosła jego rekonwalescencję. Siedział w domu, łykał prochy i miał pretensje. Gdyby został na zwolnieniu miesiąc dłużej, oszalałby albo strzelił sobie w łeb. Wracając do służby, obiecał żonie, że nigdy więcej nie tknie tabletek ani niczego innego, co robiło z niego warzywo.

Otworzył kuchenną szafkę z przyprawami i wyciągnął słoik z napisem „Cynamon”. Alicja nie tolerowała go pod żadną postacią, nawet zapach szarlotki przyprawiał ją o mdłości. Trzymali przyprawę w kuchni tylko dlatego, że gdy ona była w pracy, on mógł dosypać sobie odrobinę do herbaty. Potem wietrzył mieszkanie, by nawet wspomnienie zapachu nie drażniło żony. No i w słoiczku wypełnionym brązową przyprawą chował tabletki. Zbawienny tramal.

Lekarz przepisał mu niewielkie dawki, by złagodzić ból. Dużo czasu zajęło mu przekonanie doktora, że czopki nie wchodzi w grę. Na początku brał relanium, ale nie mógł po nim pracować. Bał się tabletek zawierających opioidy. Uzależnienie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, nie miał ochoty marnować zastawy na smażenie heroiny. Kiedy jednak łyknął tramal po raz pierwszy, nie tylko ból i lęk przeminął. Poczł się zrelaksowany jak dziecko. Tak samo też spał.

Nie brał często. W chwilach swoich największych sukcesów łykał tramal jak witaminy, a krew w moczu traktował jak rzecz zwyczajną. Teraz ból wracał sporadycznie, zazwyczaj radził z nim sobie.

Wyłuskał ze słoika kilka tabletek, zdmuchnął z nich cynamon. Przyprawa osiadła na samoprzylepnej kartce, znacząc ją setkami brązowych piegów.

– Jedną, na więcej nie mogę sobie pozwolić.

Kaśka naląła sobie pełną literatkę. Należało jej się. Wieczór z Joanną kompletnie ją rozłożył; prawie się rozpląkała po powrocie do domu. Powstrzymała się, nie czuła łez na twarzy od czasów podstawówki i otwartego złamania kości przedramienia. Wierzyła, że teraz nawet widok kości przebijającej się przez skórę nie doprowadziłby jej do płaczu. Wiedziała, że Joanna coś ukrywa, nie spodziewała się jednak takich informacji.

Usiadła przy stole w kuchni i jednym haustem wypła wódkę. Oryginalną. Na sobie nie eksperymentowała z alkoholem. Wystarczyło, że ciało eksploatowała do granic wytrzymałości.

Próbowała z Joanny wyciągnąć jakieś informacje. Jakiegokolwiek. Na nic. Staruszka najpierw bełkotała o teatrze, a po chwili stała się agresywna. Ten krótki przebłysk pojawił się u niej po raz pierwszy. Do tej pory Joanna tylko dawała Kaśce do zrozumienia, że znała Małgorzatę Sokół. Kobieta, która ją

opuściła i zniknęła, zostawiając po sobie jedno zdjęcie i długi, które ona spłacała po dziś dzień.

Ponownie napełniła szklaneczkę. Spojrzała na przyklejone do lodówki zdjęcie. Już nie myślała, że są do siebie podobne. Matka miała w oczach radość, której Kaśce brakowało.

Poszła do przedpokoju i wyciągnęła pudło z szafy. Wróciła do kuchni, postawiła je obok wódki. Zaczęła wykladać widokówki na stół. Od najstarszej, otrzymanej trzy lata temu. Maroko, zachód słońca i napis „Kocham, mama”. Kolejne były z Lizbony, Cannes, Londynu, Jokohamy, Ejlatu, Bali, Los Angeles, jedna nawet z Chicago. Tę lubiła najbardziej. Kilka świateł w ogromnych, zaciemnionych wieżowcach. Znak, że samotność dopadała nawet Amerykanów. Ostatnia pocztówka przyszła z Norwegii.

Na każdej ten sam napis.

Dziesiątki identycznych słów zwróconych w jej stronę.

Kocham.

Mama.

Zmywała.

Wszystkie naczynia, jakie znalazła. Te z lodówki z niedokończonym ciastem i kawałkami piersi kurczaka. Te z szafki wiszącej nad zlewem, na których znalazła choć lekki zaciek wody, i te, które stały nieużywane od lat w samym rogu wysokiej szafy.

Wszystkie.

Potrzebowała zająć czymś dłonie i odwrócić uwagę od „prezentu”, który znalazła wciśnięty w doniczkę stojącą w przedpokoju. Sama o niego poprosiła i jak tylko wyciągnęła z wilgotnej ziemi zawiniątko, uspokoiła się. Na jedną krótką sekundę. Teraz pragnęła zająć się czymś mechanicznym, niewymagającym myślenia. Szum wody, jedenaście złotych za metr sześcienny. Siedem metrów zimnej na miesiąc, cztery ciepłej.

Przeplacała.

Światło w pokoju dziecięcym zapraszało jasnym, pomarańczowym odcieniem. Małe mieszkanie ma dużo plusów. Zawsze była blisko i nawet gdy szum wody zagłuszał wszystko, ciągle byłaby w stanie usłyszeć, co działo się w mieszkaniu.

I zapach.

Każdy dom ma swój, którego właściciele ponoć nie wyczuwają. Monika Ruszka wyczuwała swój doskonale. Jak pies. Mieszanka cydru, ziół i soli morskiej. Nie potrafiła powiedzieć, skąd się wzięła, ale każdy pojedynczy element docierający do jej nozdrzy zniewalał intensywnością. Ledwie przestąpiła próg, otaczał ją z każdej strony i nieważne, ile pryszniców wzięła, za każdym razem gdy wycierała się ręcznikiem, powracał.

Zakręciła wodę.

Nie miała więcej naczyń.

Dzień drugi

Zaspał.

Obudził go szum czajnika; urządzenie hałasowało niemiłosiernie od chwili, gdy wyjęli je z pudełka i podłączyli. Podobno tak miało być, żadna reklamacja nie wchodziła w grę. Gabriel nie miał nawet zamiaru wybierać się z draństwem do sklepu, ale Alicja potrafiła kłócić się o wszystko, jeżeli tylko sądziła, że ma odrobinę racji. Ale i tak to on był tym upartym.

Przetarł oczy i spojrzął na zegar w odtwarzaczu DVD. Dochodziła dziesiąta.

– Cholera! – Wyprostował się gwałtownie, zrzucając z siebie koc.

Przed oczami zobaczył czarne, pulsujące plamy. Wyglądało na to, że tramal zadziałał. Ból pleców ustąpił i nawet noc spędzona na kanapie tego nie zmieniła. Przynajmniej do tej pory. Wprawdzie dopiero od minuty był na nogach, ale zazwyczaj czuł nieznośne napięcie mięśni przez cały czas.

Teraz był rozluźniony i spóźniony.

Począł, aż wzrok wróci do normy, i podniósł się z posłania. Telefon rozładował się w nocy. Gabriel pamiętał, że nastawił budzik, a bateria miała przynajmniej czterdzieści procent. Chyba nigdy nie przyzwyczał się do tego, że energia ucieka z telefonu w jakiś magiczny i niezrozumiały dla niego sposób. Wyłączył w urządzeniu praktycznie wszystko, każdą aplikację, której nie używał, zminimalizował wszelkie pobory energii, instalując specjalny program, a i tak smartfon wyładowywał się w ciągu doby. Podłączył ładowarkę i wpisał PIN.

Kiedy wszedł do kuchni, Alicja przygotowywała właśnie śniadanie. Zapach kawy miło podrażnił nos. Nie zapowiadało się, że Gabriel cokolwiek dostanie. Jeden talerzyk, w garnku dwa jajka we wrzącej wodzie. Alicja była zła o to, że zapomniał o wczorajszych zakupach. Albo o to, że nie zadzwonił. Albo że wrócił późno, śmierząc trupem i kebabem.

Albo o wszystko naraz.

– Hej. – Ziewnął. – Czemu mnie nie obudziłaś?

– Skąd miałam wiedzieć, o której wstajesz? Nic mi nie mówisz.

– Byłem w pracy.

Zdjęła garnek z kuchenki i wstawiła do zlewu.

– Zawsze jesteś w pracy. Niech zgadnę. – Odwróciła się. – Dziś pewnie też się tam wybierasz? W sobotę?

Miała na sobie bluzkę, którą tak uwielbiał, i spodnie od piżamy, różowe ze spranymi misiami. Spontaniczny zakup podczas ich jedynych, jak do tej pory, wakacji. Wyjazdu do Władysławowa w najzimniejszy sierpień od siedemnastu lat. Alicja wyglądała, jakby nie spała od tygodnia. W nocy nie usłyszał nawet najdrobniejszego dźwięku dobiegającego z sypialni. Musiała udawać, leżeć

nieruchomo, nasłuchiwać wieczornej krzątaniny w kuchni. Pewnie słyszała, jak narzekał na zostawioną przez nią informację o rodzinnym spotkaniu.

– Mam nie pracować? Tego chcesz?

– Nie rozumiesz.

Znowu odwróciła się do niego plecami.

– Czego ode mnie oczekujesz? Muszę pracować, dobrze o tym wiesz. A poza tym sprawa jest z Pruszkowa, odejdą mi wyjazdy do Warszawy. Będę wcześniej wracał.

– Ile? Piętnaście minut? – Każde kolejne słowo mówiła głośniej, zaciskając dłonie na zlewie. – Dzięki za nic. I tak nigdy nie wiem, o której będziesz.

– Nie musisz.

Zamknął się w łazience i odkręcił prysznic. Szum spadającej wody działał na niego kojąco. Usiadł na brzegu wanny i zapatrzył się w popękane kafelki. Potrzebował wyciszenia. Związek z Alicją opierał się na sinusoidzie. Żadnych prostych, tylko wzloty i upadki. Najgorsze było to, że wiedział, kto ciągnie ich w dół.

I strasznie go to wkurwiało.

Alicja nie odwróciła się, kiedy Gabriel wyszedł z kuchni. Często tak robił. Uciekał, gdy chciał powiedzieć albo zrobić coś, czego potem oboje by żałowali. Wiedziała, że nie spędzą wczorajszego wieczoru razem. Intuicja rzadko ją zawodziła, a teraz dawała o sobie znowu znać. Telefon od Grzegorza zwiastował nadchodzące kłopoty. One nigdy nie chodzą same, a ojciec Gabriela uwielbiał je równie mocno, jak syna. Choć do tego ostatniego nigdy by się nie przyznał. Wiedziała, że to u nich rodzinne. Nie potrafiła zrozumieć tego oschłego podejścia, a Gabriel nie chciał o tym rozmawiać.

Słyszała, jak wchodzi pod prysznic, jak od wanny odbija się plyn do kąpielii. Miała dość tego, że zachowywał się jak dziecko. Nieogolone, niewyspane i śmierdzące jak niedomyta popielniczka, ale cały czas dziecko. Jedyne, dla którego było miejsce w mieszkaniu. Powiedział to wprost podczas którejś z kolejnych kłótni.

Pół roku.

Tyle czasu minęło, odkąd odstawiła tabletki. Nic się nie zmieniło. Może tylko to, że kochali się coraz rzadziej. Zupełnie jakby coś przeczuwał. Alicja chciała dać im wszystko. Kilka miesięcy wolnego, nieskrępowanego niczym seksu w przebieralniach, samochodach i windach, zanim stanie się matką. Skończyło się na zimnym łóżku raz w tygodniu, chwilę przed zaśnięciem, i jednorazowej przyjemności w pokoju przesłuchań na komendzie. Gabriel spełnił jej małą fantazję, szepcząc niewybredne słówka do ucha i wkładając palce tam, gdzie zawsze mu zabraniała. Wszystko na nic. Okres pojawiał się regularnie.

Do teraz.

Teraz się spóźniał. Trzy tygodnie. Nie rozmawiała jeszcze o tym z Gabrielem,

wolała się upewnić. Pójść najpierw do lekarza. Nie wierzyła testom z apteki. Większe zaufanie miała do faceta wpatrującego się w jej krocze niż do kawałka plastiku. Może była staromodna, ale z obwieszczaniem świata radosnej wieści wolała poczekać.

Pokroiła ugotowane jajko w plasterki. Przygotowała kanapkę, zawinęła w folię i włożyła do kurtki wiszącej w korytarzu. Do wewnętrznej kieszeni, by Gabriel nie znalazł jej od razu. Z sypialni zabrała czystą koszulę i bieliznę. Rzuciła wszystko na kanapę w salonie. Potrzebowała spokoju przed wizytą u ginekologa. Nie musiała długo na nią czekać, pieniądze otwierają każde drzwi w przychodni.

Wróciła do sypialni i nasłuchiwała.

Po raz ostatni była całkowicie sama.

Zimna glazura nie zniwelowała bólu głowy. Kaśka przekręciła się na plecy, odrywając policzek od kuchennej podłogi. Westchnęła, gdy skóra zetknęła się z zimnymi płytkami. Głowa przypominała żarówkę, do której ktoś nasypał pokruszonego szkła. Patrzyła w sufit, dopóki nie zrobiło jej się naprawdę zimno. I tak wytrzymała wyjątkowo długo jak na osobę w samych figach.

Odkleiła się od podłogi. Ciało odeszło od płytek gładko jak naleśnik. Czuła, że na twarzy i plecach zostały ślady po fudze. Przejechała po nich palcami. Nic, czego nie naprawi czas oraz gorący prysznic. Nie pierwszy raz upiła się do nieprzytomności, ale pierwszy z powodu matki. A raczej Joanny, która powiedziała na głos to, o czym ona myślała od dawna.

Matki nigdy nie poznała, nie miała okazji. Pamiętała tylko, że jej włosy pachniały śliwkami. Albo wmówiła to sobie, żeby mieć jakiegokolwiek wspomnienia. Zostawiła Kaśkę, kiedy ta miała trzy lata. Ojciec nieznany. Przez całe życie posyłali ją od jednej ciotki do drugiej. Obie uwielbiały kościół, czym skutecznie Kaśkę do niego zniechęciły. Nienawidziła niedzielnych wyjść, gdzie wszyscy przypatrywali się jej z każdej strony. Szepty za plecami, nad głową z zawiązanymi warkoczykami, wszędzie. Ciotki mieszkały po przeciwnych stronach miasta, ale zachowywały się niemal identycznie. Mając dziesięć lat, przestała je rozróżniać. Starość ją przerażała, po raz pierwszy uciekła, gdy ciotka zapomniała wyłączyć gaz pod garnkiem, a w domu pojawili się strażacy. Wróciła następnego dnia, przemoczona, przerażona i wolna. Od tamtej pory zniknęła coraz częściej. Żałowała, że nie posłano jej do bidula. Tam przynajmniej miałyby spokój.

I nigdy nie poznałaby Andrzeja Dziergi. Mentora, wybawcy i wierzyiciela w jednym.

Nie spaliła pocztówek, ale nie były już ładnie poukładane. W jej system wkradł się chaos. Część widokówek leżała zwrócona licem do Kaśki, reszta napisami, a niektórych nie mogła w ogóle zlokalizować. Jedną znalazła w zlewie, przemoczoną i gotową do wyrzucenia. O ironio, z Wenecji. Inne

leżały na podłodze, pod lodówką, a kilka nawet w przedpokoju. Nie pamiętała, jak do tego doszło. Ostatnią świadomą czynnością było wzięcie kieliszka do ręki i przechylenie go do ust. Potem pustka.

Przyjrzała się butelce opróżnionej niemal w całości. Pomyliła się. Bols nie miał dozownika. Ten właśnie szczegół czynił z niego najlepszy i najszybszy alkohol do podmianki. Kac, który teraz ją dopadł, był doskonałym dowodem, że posiadała talent. Pomyłka przy wieczornym wyborze butelki dużo ją kosztowała. Choć miała mocną głowę, piła od czternastego roku życia i naprawdę niewiele rzeczy potrafiło sprowadzić ją do parteru.

Resztką sił dowlokła się do łazienki i zwymiotowała. Nie było tego dużo, ale wystarczająco, by zupełnie pozbawić ją sił. Będzie musiała poważnie porozmawiać z Łucją. Sądziła, że starsza pani od lat sprzedająca alkohol na targu nie pozwoli sobie na zrobienie takiego szajsu. Nikomu nie można już ufać, pomyślała, podnosząc się z podłogi. Żałowała, że nie spróbowała wcześniej jej wyrobu, tylko od razu rozlała do butelek. Stała się zbyt pewna siebie i teraz za to zapłacała.

Doczłapała do przedpokoju i wygrzebała z torby komórkę. Trzy nieodebrane połączenia. Halina próbowała skontaktować się z nią po raz pierwszy o ósmej, potem o dziesiątej. Dochodziła jedenasta. Kaśka podziwiała staruszkę. Ona z taką wadą wzroku nie potrafiłaby znaleźć telefonu. Dlatego jako dzwonek swojego wybrała dźwięki *Vomit the Soul Cannibal Corpse*. Pomagały w szybkiej lokalizacji aparatu. Nawet polubiła ten kawałek, w przeciwieństwie do wszystkich innych, którzy go słyszeli.

Potrzebowała otrzeźwienia i tabletek na ból głowy. Inaczej wieczór, który planowała od dawna, może nie wypalić. Długo na to czekała i nie miała zamiaru niczego zepsuć na ostatniej prostej. Idąc w stronę łazienki, usłyszała pukanie do drzwi. Zbyt mocne jak na sąsiadów wpadających do niej po różne drobiazgi. Cukier, nożyczki czy jednorazowe igły. Sąsiadka twierdziła, że potrzebuje przebić odcisk na stopie, ale jej zęby mówiły co innego.

Wyjrzała przez wizjer. Mężczyzna na korytarzu trzymał dłonie na wysokości krocza. Zupełnie jak piłkarz w murze. Tylko że gość miał na sobie garnitur.

Drogi.

– Hej, hej! – Otworzyła drzwi. – Byliśmy umówieni, skarbie, ale jesteś troszkę za wcześnie?

Otaksował ją, na milisekundy zatrzymując wzrok na piersiach. Wystarczająco długo, by zauważyła. Nic tak nie przykuwa uwagi faceta jak sutki.

– Ubieraj się. – Mężczyzna wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. – Pan Dzierga chce z tobą pomówić.

– Mógł zadzwonić. Teraz?

Kiwnął głową, cały czas patrząc na potargane włosy Kaśki i paprochy przylepione do policzka.

– Muszę się wykąpać. – Ruszyła w stronę łazienki. – Rozgość się.

Spojrzała w stronę kuchni. Pobjowisko jak na biurku sekretarki w urzędzie miasta.

– Lepiej będzie, jak usiądziesz w salonie. – Tam utrzymywała porządek. – Od kiedy pozwala wam się tak ubierać?

Dopasowany granatowy garnitur z lekko przebijającymi prążkami w odrobinę jaśniejszym kolorze. Strój sprawiał, że mężczyzna wyglądał na jeszcze wyższego, choć i tak przewyższał Kaśkę o przynajmniej kilkanaście centymetrów, a przy jej metrze siedemdziesiąt trzy łatwe to nie było. Krótko ostrzyżone włosy, dwudniowy zarost i wypastowane buty. Gwarantowany orgazm. Do tego zegarek, na który wymownie zerkał, zupełnie jakby to miało cokolwiek przyspieszyć.

Znał się za to na modzie. Ubrany w przynajmniej trzy tysiące złotych, a jeżeli doliczyłaby zegarek, jego wartość na rynku szacowałyby na piętnaście. Breitling colt 44 miał według niej odrobinę za masywną ramkę, która odwracała uwagę od człowieka. I ten paskudny kauczukowy pasek w miejscu bransolety. Zamiast dodatku zegarek stawał się centralnym punktem, na którym ogniskował się wzrok.

Błyskotka.

– Jadę na ślub – odparł, wchodząc do salonu. – Masz dziesięć minut.

– Jasne. Będę gotowa za pięć – skłamała.

Pruszków nie należał do miast, które Gabriel miałby ochotę zwiedzać. Odkąd zamieszkał z Alicją na siódmym piętrze wymiotu socjalizmu, czyli pięknego bloku z wielkiej płyty i azbestu, ani razu nie spacerowali po mieście. Park mogli obejść w dwadzieścia minut, drugi w pięć. Żadnych więcej rozrywek na leniwe popołudnie miasto nie miało w ofercie. Gabriel w drodze na komendę minął cztery pizzerie, trzy kebaby i niezliczone sklepy z ciuchami. Nie było miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać na poranną kawę. Całe szczęście, że w kurtce znalazł kanapkę.

Mieszkanie opuścił w pośpiechu, Alicja wciąż boczyła się na niego zamknięta w sypialni. Wolał odpuścić. I tak musiał wyjść z domu, a kolejna pyskówka z żoną tylko by to wyjście opóźniła. Często się ostatnio kłócili. Odkąd Alicja odstawiła tabletki, hormony zaczęły buzować w jej organizmie, nie zostawiając żadnego pola manewru, nie dopuszczając żadnego odstępstwa w drodze do wcześniej obranego celu. Dziecka.

Kłótnie wprawdzie nigdy nie otarły się nawet o ten temat, ale czuło się jego obecność w powietrzu. Nie przyznał się Alicji, że panicznie boi się ojcostwa. Facet po czterdziestce, który widział w swoim życiu więcej trupów niż nagich kobiet, nie nadawał się na ojca. Wzorzec do naśladowania żaden, a nic nie zapowiadało zmian na lepsze. Czuł się jak gówniarz, który z przerażeniem wpatruje się w telefon w oczekiwaniu na magicznego esemesa: „Dostałam”. Tylko że on nie był już gówniarzem, a i tak się bał.

Kiedy dotarł pod komendę, dochodziła jedenasta. Budynek przywitał go pomarańczowym kolorem nowej elewacji. Pamiętał komendę jeszcze w poprzednim wydaniu, szarym, odrapanym i przygnębiającym. Teraz jak przywozili kogoś na przesłuchanie, mógł poczuć się jak zwykły petent wchodzący do urzędu. Ukłon w stronę obywateli, by przestali obawiać się policji, a zaczęli traktować ją jak przyjaciela. Nie pomogło.

Z budynku wybiegł młody policjant, niemal zderzył się z Gabrielem. Burknął zdawkowe „przepraszam” i przebiegł na drugą stronę ulicy. Wbiegł do piekarni, szerokiej jak wagon Warszawy, ale o wiele czystszej. Był przez szybę witryny obserwował, jak policjant panicznie macha rękami, a dziewczyna stojąca za ladą waży kolejne produkty. Policjant zgarbił się, wygrzebał z kieszeni pieniądze i szybko ewakuował się w stronę komendy.

– Pomóc w czymś? – spytał, gdy tylko złapał oddech, stając przed Gabrielem, który właśnie niezbyt dyskretnie pozbywał się niedopałka.

– Komisarz Byś ze stołecznej – przedstawił się Gabriel i wyciągnął rękę.

– W końcu. – Na twarzy chłopaka zagościła ulga, gdy ścisnął dłoń komisarza.

– Włóczyk Jarek. Pilszowi niewiele brakuje do totalnego ociupienia, łązi w tę i z powrotem i do każdego się przypierała. A komendant zapalił, po raz pierwszy od lat. Są wkurwieni. Bardzo.

Gabriel mógł się tego spodziewać. Otwarte ramiona nie witały go od dawna.

– Nie może być tak źle – powiedział. – W końcu kupili mi ciastka.

Policjant spojrzął na trzymaną reklamówkę. W środku podrygiwały bezy, pączki i kawałek szarlotki.

– Myśli pan, że mi za to oddadzą?

– Wątpię.

– Niech się pan lepiej pospieszy – rzucił policjant, wbiegając po schodach komisariatu.

Gabriel odczekał minutę, zanim wszedł do komendy. Machnął odznaką dyżurnemu rozpartemu na krześle i poczekał, aż tamten otworzy drzwi oddzielające policjantów od zwykłych szaraków.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak przedstawiały je paradokumentalne produkcje telewizyjne. Tylko że tutaj nikt nie mówił takich banałów jak: „nie zgadnicie, do kogo należą odciski palców”. Policjanci krążyli z piętra na piętro, taszcząc tony papierów, a przy stłoczonych do granic możliwości biurkach stały kosze na śmieci wypełnione kolejnymi kilogramami makulatury. Gabriel nie spodziewał się zobaczyć niczego innego. Już dawno pogodził się z myślą, że nowoczesna policja istnieje tylko w telewizji, a każdy komisariat wygląda tak samo. Jak McDonald, tylko za ladą nie stoją studentki, a i lokalizacja pozostawia wiele do życzenia. Podobnie jak kolor ścian.

– Wiesz, która jest godzina?

Gdyby nie to, że telefony komórkowe wyparły zegarki, Pilsz już dawno stukałby namiętnie w nadgarstek, demonstrując swoje niezadowolenie. Ograniczył się do pogardliwego spojrzenia i głośnego westchnięcia.

– Przesłuchałem koleśki od przeprowadzek – kontynuował. – Sam.

– Czego się dowiedziałeś?

Pilsz odsunął krzesło wciśnięte pod biurko i opadł na nie z łoskotem. Na blacie rozłożył notatki i zaczął je wertować, próbując odczytać własne pismo.

– Niewiele. Chłopaki mieli przewieźć rzeczy zamordowanej do swojego magazynu i tam je zeszkładować. Żadnego kolejnego adresu, nic. Szybka robota. Maksymalnie dwie godziny. Razem z dojazdem. – Pilsz skupił wzrok na jednym z bazgrołów. – Ale zamówiona ekstra i w ostatniej chwili.

– Wiesz, co mieli ze sobą zabrać? – Gabriel przesunął protokoły leżące na sąsiednim biurku i usiadł naprzeciwko Pilsza. Dzieliła ich szerokość dwóch wysłużonych blatów, ale notatki policjanta widział doskonale. – Potrafisz to w ogóle odczytać?

Janusz zmrużył oczy.

– To tylko dla mnie – odparł. – W protokole będzie czysto, schludnie i w czterech kopiach, jak Bozia przykazała. Zabawne jest to, że chłopcy mieli wziąć ze sobą tylko komputer.

– Laptopa?

Gabriel spojrzął na dokumenty, które przed chwilą przesunął. Wyglądało na to, że w Pruszkowie przestępczość ograniczała się do kradzieży telefonów. Chyba ktoś podpadł szefostwu i za karę dostawał rzeczy, którymi nikt inny nie miał czasu się zajmować.

– Czekaj, to po jaką cholere jechali do niej we dwóch? Mieli ze sobą nawet wkretarki.

– Spodziewali się dodatkowej fuchy. Wiesz, jacy są ludzie. Komputer wybebeszają techniczni. – Janusz przeciągnął się, dźwięk strzykających kości rozniósł się po komendzie. – Mają jeszcze jej smartfona. Po żadnym innym sprzęcie nie ma śladu. Jeżeli był, zabrał go sprawca. Dziwne, że ofiara nie zawiozła laptopa do magazynu sama. Ale to nie wszystko, co powiedzieli mi Żwirek z Muchomorkiem.

Gdyby nadawanie pseudonimów było przedmiotem egzaminacyjnym w szkole policyjnej, Pilsz dostałby odznakę wzorowego ucznia. Dopiero teraz Gabriel uzmysłowił sobie, jak wyglądali monterzy, których wczoraj widział przy karetkach.

– Dawaj.

– Nasza ofiara miała wynajęty u nich magazyn. Od kilku miesięcy.

– Rozumiem, że adres też masz zapisany?

– Tutaj. – Janusz postukał palcem w niebieski szlaczek. – Pojedziemy tam razem z chłopakami od przeprowadzek, wpuszczą nas do środka. Czekają na garażach, ale najpierw mamy coś do załatwienia u wodza. Chodź.

Pilsz podniósł się z krzesła zaskakująco szybko jak na człowieka o masie zbliżonej do dużej lodówki. Gabrielowi zajmowało to znacznie więcej czasu, ale tłumaczył sobie, że to wina bolących pleców. Tramal, który łyknął w nocy, cały czas działał, ale wolał nie kusić losu. Z każdym rokiem przybywało mu

problemów, choć te zdrowotne znajdowały się na szarym końcu coraz dłuższej listy.

– Audiencja?

– Można tak powiedzieć.

Weszli na ostatnie piętro komendy. Janusz prowadził Gabriela po meandrach komisariatu, dopóki nie zatrzymali się przed masywnymi drzwiami. Obite sztuczną skórą w kolorze starej czekolady, przypominały o minionej epoce i modzie na wąsy. Janusz zastukał we framugę i wszedł do środka, zanim do ich uszu dotarło zaproszenie.

Na ścianach wisiały zdjęcia komendanta wręczającego orderu policjantom, odbierającego odznaczenie z rąk jakiegoś polityka, w towarzystwie przedszkolaków, emerytów i czegoś, co wyglądało jak owczarek niemiecki po chemioterapii. Główny bohater siedział na niewielkim krześle pod ścianą i popijał kawę ze szklanki. Naprzeciwko niego przeżył się facet z imponującym wąsem. Brakowało mu tylko koziej bródki, a jego podobizna mogłaby zawisnąć na restauracjach KFC. Nawet rogowe okulary, zwisające smętnie z czubka nosa, pasowały do obrazka.

Porucznik Sanders zerwał się z krzesła.

– To ja nie będę panom przeszkadzał – powiedział, patrząc na Pilsza. Odstawił na stolik porcelanową filiżankę i dopiął marynarkę. – Dziękuję za spotkanie.

Wyminął policjantów, kiwając im lekko głową, i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

– Co on tu robił?

– Później.

Komendant cały czas siedział przy stoliku, przeskakując wzrokiem z Janusza na Gabriela i z powrotem. Zupełnie jakby się zastanawiał, którego z nich wyrzucić z roboty pierwszego. Wstał i podszedł do Bysia. Twarz miał pokrytą śladami po ospie, niewielkimi kraterami w odcieniach różu. Pachniał kawą zbożową i papierosami. Wyglądał jak nocny cieć z supermarketu, a nie policjant. Choć Gabriel czuł, że gdyby tylko zechciał, swoimi ogromnymi łapami mógłby zmiażdżyć komuś czaszkę.

– Podinspektor Kazimierz Włodczyk. – Ucisnął mocno dłoń Gabriela. – Komisarz Gabriel Byś, jak mniemam. Kolejna niezbyt przyjemna wizyta w mieście? Proszę wybaczyć, że nie przybyłem wczoraj na miejsce zdarzenia, ale zatrzymały mnie sprawy wyższej wagi. Mam nadzieję, że pan rozumie.

– Oczywiście. Gdzieś już chyba słyszałem pańskie nazwisko. – Na schodach przy pączkach, pomyślał.

Włodczyk spojrział z dumą na swoją ścianę.

– Niewykluczone. Bywało się w różnych miejscach. Proszę się poczęstować szarlotką, a ja w międzyczasie zatłukę Pilsza gołymi rękami.

Deklaracja komendanta nie wywołała u Janusza reakcji. Prawdopodobnie nawet jej nie usłyszał. Zbyt mocno skupiał wzrok na rozłożonych na stole

pączkach z odpadającym lukrem. Po sekundzie podniósł głowę i spojrzał na komendanta.

– No co? – spytał łagodnie. – Przecież mieliśmy przyjść.

– Tysiąc razy ci powtarzałem. – Komendant zgrzytnął zębami. – Masz pukać, zanim wpakujesz się do środka.

– Przecież zapukałem. Wódz będzie to jadł? – Wskazał na stół.

Nietrudno było zrozumieć irytację Włodczyka. Gabriel sam chętnie wytargałby Pilsza za uszy. Powstrzymywał się tylko dlatego, że nie był dobiegającą emeryturą nauczycielką w wyciągniętym swetrze, a Janusz prawdopodobnie nie zostałby mu dłużny. Gabriela bolało już dostatecznie dużo kości, by dodawać do nich kolejne.

– Bierz tego pączka i mów. – Komendant podszedł do swojego biurka i z szuflady wyciągnął paczkę papierosów.

Otworzył okno, a do pomieszczenia razem ze świeżym powietrzem wdarł się hałas. Komisariat stał przy stosunkowo mało uczęszczanej ulicy, ale przy skrzyżowaniu, gdzie droga z pierwszeństwem skręcała i prowadziła wprost na deptak. Odgłosy klaksonów i ostrego hamowania stały się codziennością, na którą już nikt nie zwracał uwagi. Podobnie jak na dźwięki kolejki podmiejskiej, trąbiącej regularnie co pół godziny.

– Trzy lata. – Włodczyk głęboko się zaciągnął. – Trzy lata wytrzymałem bez tego gówna. Przytyłem chyba z dziesięć kilo, ale niech mi jakiś psycholog powie, że papierosy nie działają uspokajająco, to mu przypierdolę. Proszę wybaczyć słownictwo.

Wychylił się za okno i wypuścił dym.

– Dzwonili do mnie z pałacu. – Wycelował w Gabriela papierosem. – Będzie pan dla nas wsparciem, choć nie rozumiem dlaczego. Bez obrazy. Zaznaczam, że nie zamierzam traktować pana pobłaźliwie i liczę na to, że tym razem dużo wniesie pan do śledztwa. Będzie pan współpracował z Januszem i sierżant Moniką Ruszką. I mają być efekty, inaczej stołeczna przejmie sprawę. I tak nadstawiam tyłek, że jeszcze tego nie zrobili, ale musimy się wykazać. Wszyscy. Dostaliśmy szansę.

Komendant subtelnie przypomniał o poprzedniej sprawie Gabriela. Wtedy na jego stołku siedział facet o twarzy i mentalności tchórzofretki, ale przynajmniej nie był uszczypliwy.

– Rozumiem – odparł Byś i sam wyciągnął papierosa.

Zakaz palenia w pomieszczeniach to był przepis, którego nienawidził najbardziej. Wydawał mu się równie absurdalny, jak ten zabraniający noszenia przy sobie przedmiotów ze schowanym ostrzem. Maczety przewieszane przez ramię nie stanowiły dla policji problemu.

– Palicie więcej niż mój golf. – Pilsz oblizał palce i łakomie spojrzał w stronę szarlotki. Byś pokręcił głową. Janusz złapał kolejnego pączka i niemal w całości wsadził go do ust.

– Coś mamy – powiedział, a drobinki lukru opadły z jego warg wprost na

wydeptany dywan. – Jedziemy zaraz do magazynu, gdzie ofiara trzymała swoje rzeczy. Może znajdziemy tam coś ciekawego.

– Miała rodzinę? – Komendant spojrział tęsknie na tłącego się papierosa i zgasił go w stojącej na parapecie doniczce. Wokół uschniętej łądygi rosły już cztery niedopałki.

– Monika się tym zajmuje. – Byś podszedł do okna i wyrzucił papierosa na zewnątrz. – Wiemy, że miała dziecko i prawdopodobnie faceta. Nie wygląda na to, żeby z mieszkania cokolwiek zniknęło. Więcej pytań niż odpowiedzi.

– Ktoś będzie musiał to sprzątnąć. – Komendant wyjrzał za okno.

– Może Straż Miejska. – Pilsz się uśmiechnął. – W końcu będą mieli zadanie na miarę swoich możliwości.

Włodczyk rozluźnił się, wrócił za biurko i zaczął coś zapisywać na rozłożonej gazecie.

– Słuchajcie – powiedział po chwili. – Od dawna nie mieliśmy takiego burdelu w mieście. Potrzebuję konkretów, podejrzanych. Kogoś, kogo będę mógł rzucić na pożarcie. Od wczoraj dzwonią do mnie wszyscy. Dziennikarze poczuli juchę. Prezydent i radni srają pod siebie, zbliżają się wybory, a ta krwawa łaźnia nie wpłynie pozytywnie na nic. Ciągnie się za nami smród mafii, a jak sądzicie, o czym będą pisały te hieny?

Każda medialna wzmianka o Pruszkowie kończyła się jednym – powiązaniem z mafią. Choćby były wyjątkowo nieprawdopodobne i naciągane. Kradzież samochodu – mafia wraca do gry. Spłonął pustostan – mafijne porachunki. Dziennikarze wiedzieli, czym przyciągnąć czytelników. Byś pamiętał lata dziewięćdziesiąte i to, co działo się wtedy w Pruszkowie. Każdy, kto potrafił czytać, żył tylko tym. Ameryka zawitała do budzącej się z komunistycznego letargu Polski. I zrobiła to głośno.

– Nie podepną tego pod mafię. – Pilsz usiadł przy stoliku i rozłożył swoje notatki. Wyglądał na najedzonego.

– Nie bądź naiwny. – Włodczyk prychnął. Telefon leżący na blacie zawibrował. – Widzicie?

Ekran rozświetlało zdjęcie końskiego przyrodzenia podpisanego „Heniek”.

– Te chujki z „Ekspresu” wydzwanają do mnie od rana, a nasza rzeczniczka zamknęła się w kiblu i ryczy. Będziemy na wszystkich jedynekach w poniedziałek. Już jesteśmy w internecie. Co mam im powiedzieć?

– Że robimy wszystko, co w naszej mocy, podinspektorze. – Byś dosiadł się do Pilsza.

– Nie jestem prokuratorem, żebyście mi takie farmazony pierdolili. Konkrety, panowie, konkrety.

Telefon wylądował w szufladzie, ale nieznośne brzęczenie nie ustało i odbijało się echem od drewnianych ścianek mebla. Byś i Pilsz spojrzeli na siebie.

– To my już pójdziemy. – Janusz podniósł się i ruszył w stronę wyjścia. – Mamy dziś sporo do zrobienia.

– Doskonała myśl. I jak dowiem się, że któryś sypnął dziennikarzom, to go osobiście wyrucham. – Włódczyk nawet na nich nie spojrział. Wpatrywał się w gazetę i rytmicznie stukał długopisem. – Ciężar inaczej? Cztery litery.

Komendant podniósł głowę i patrzył na nich wyczekująco.

– Waga? – zasugerował Janusz.

– Masa.

Gabriel wyszedł z gabinetu, zanim podinspektor potwierdził jego odpowiedź.

Kiedy Kaśka zeszła do piwnicznej części Pieczary, Dzierga kończył właśnie obiad. Otarł usta białą jedwabną chusteczką, którą położył obok talerza. Kaśka mogła doskonale zobaczyć, co przed chwilą zjadł. Andrzej Dzierga nie kończył posiłków, zawsze zostawiał choć odrobinę każdego dania. Tym razem na talerzu ujrzała kawałek schabowego, dwa ziemniaki i nadgryzioną rzodkiewkę.

Stolik, wciśnięty w róg pomieszczenia, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Modelowy przykład prosektoryjnego stołu. Wytarty metal w kolorze topniejącego śniegu ledwo odbijał światło wpadające przez lufciki. Wszystkie meble w podziemiu tak wyglądały. Z wyjątkiem tego, że ten nigdy nie był zajęty. Nikt z obsługi nie zostawiał na blacie kartki z napisem „Rezerwacja” ani nie przeganiał roztargnionych lub pijanych klientów. W tym konkretnym miejscu nikt o zdrowych zmysłach nie siadał. Pieczara miała swoją renomę. Klasy nie, ale i tak przyciągała klientów; właściwie nie miała w okolicy konkurencji.

Wymuskany ochroniarz, który ją przywiózł i pogardził jej wdziękami, został na górze. Bar nie należał do największych, ale podziemna sala, ciągnąca się pod całym budynkiem, tworzyła z niego idealne miejsce na większe imprezy. Wprawdzie Kaśka nie pamiętała, by jakkolwiek się tu odbyła, ale w razie konieczności mogła pomieścić przynajmniej dwieście osób.

Byli sami. Kaśka podeszła do stołu Dziergi i usiadła naprzeciwko. Ubrany w kremowy garnitur, pocił się niemiłosiernie. Co chwila podnosił chusteczkę, którą wcześniej ocierał usta, i wycierał nią kropelki potu wyskakujące na wysokim czole. Podejrzewała, że to wina jego odrobinę zbyt dużej wagi. Mężczyźni po sześćdziesiątce rzadko kiedy trzymali formę, a Dzierga stanowił doskonałe tego potwierdzenie. Duży brzuch był jednak jedynym wyznacznikiem jego awersji do sportu. Dłonie, szyję, a nawet twarz miał o wiele młodszego, dbającego o siebie chłopaka.

– No jestem – zaczęła. – Czemu wysłałeś po mnie swojego goryla, mogłeś zadzwonić.

Odłożył chusteczkę na stół.

– To nie jest rozmowa na telefon.

– Jestem więc, słucham.

Każde spotkanie z Dziergą przyprawiało ją o drżenie rąk. Teraz trzymała dłonie na kolanach wsuniętych pod stół, by niczego nie dojrzał. Znała go, od

kiedy zaczęła znikać z domu, ale to tylko potęgowało uczucie niepokoju. Przygarnął ją, niemal wychował, ale wiedziała przecież, do czego był zdolny. Jeżeli chodziło o Joannę i jej alkoholowe problemy, mogła mieć poważne kłopoty. Zlecił jej opiekę, a nie rozpijanie staruszki.

– Długo będziesz mnie trzymał w niepewności? – Kaśka rozejrzała się po stole, ale żadna z leżących na nim rzeczy nie nadawała się na broń. Nawet sztucze były jednorazowe. Buńczuczność musiała jej wystarczyć.

Czuła, że Dzierga chce jej powiedzieć coś, co zmieni ich dotychczasową relację biznesową. Dopóki nie otrzyma od niego tego, czego potrzebowała, musiała być potulna. Widziała, jak wygląda przetrącanie kolan i wyrywanie zębów, nie zamierzała tego doświadczać. Zdziwiła ją ta nagła audiencja. Andrzej Dzierga dopuszczał do siebie tylko najbardziej zaufanych, a i tak wtedy w pobliżu warowali jego goryle. Tu byli zupełnie sami. Po raz pierwszy od lat.

Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Nie wiem, jak to inaczej powiedzieć, więc powiem wprost: Marta, nasz mały geniusz, nie żyje.

Nie tego oczekiwała. Spodziewała się wykładu o braku odpowiedzialności, rozpijaniu staruszki i zbyt małym utargu. Odkąd skończyło się Euro, a turyści moczyli swoje członki w innych miejscach Europy, zapomniała, jak wyglądają porządne dniówki.

– Czekaj, co? Jak to?

– Została zamordowana. Wczoraj.

– Pierdolisz?

Nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy. O żadnym morderstwie nie słyszała od dawna. Tym bardziej w Pruszkowie. Wprawdzie w sieci trafiała na informacje o jakimś trupie pijaczka, wypadku samochodowym czy na odgrzewane newsy o słynnej dzieciobójczyni znad Utraty, ale nie o świeżym morderstwie. Szczególnie kogoś takiego jak Marta.

Kogoś, kogo znała.

– Nie żyje? – powiedziała do siebie. – Nie. Nie, to jakaś pomyłka.

– Przykro mi.

Dzierga wyciągnął dłoń przez stół i złapał Katarzynę za ramię. Chwycił je wyjątkowo łagodnie. Niemal nie czuła jego skóry, gdy przejeżdżał palcami w górę i w dół. Prosty gest, który miał ją uspokoić. Niepotrzebny jak całe to przedstawienie przygotowane specjalnie dla niej.

– Dlaczego?

– Dowiem się. – Zabrał dłoń, sięgnął po zmiętą chusteczkę, przesunął ją po blacie. – Jeżeli chcesz płakać, nie krępuj się.

Spojrzała na przesiąkniętą potem szmatkę i pokręciła głową.

– Jak?

– Mam swoje sposoby.

– Nie o to mi chodzi. Jak zginęła?

Dzierga wyprostował się. Takiego go znała, pewnego siebie, postawnego

mężczyznę z dumą wypisaną na twarzy. Siwy zarost pokrywający skórę policzków lśnił od potu. Było chłodno, niemal lodowato, a on wyglądał, jakby przed chwilą wyładował samochód z węglem. Musiał mieć problemy z tarczycą albo pyłki i alergia dawały mu się we znaki. Stres wykluczyła, mężczyzna z taką historią nie przejmowałby się czymś, co kiedyś stanowiło dla niego codzienność. Wytrzeł twarz chusteczką i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co to za różnica?

– Taka – powiedziała głośniej, niż zamierzała – że miało być bezpiecznie. Sam to gwarantowałeś. Wszystkim.

– Jest bezpiecznie.

– Więc co się stało?

– Powiedziałem już, dowiem się. Wiem tylko, że wyłupiono jej oczy.

– Chryste.

Nie była przyzwyczajona do brutalności posuniętej aż tak daleko. To, co powiedział Dzierga, ocierało się o kiepski horror, w którym nastolatki uprawiające seks przebijane są widłami, a ich skóra powiewa później na białych sznurkach.

– Powinnaś odpocząć. – Westchnął. – Wyglądasz na przemęczoną.

Ból głowy nie ustępował od rana. Odkąd Kaśka wstała z kuchennej podłogi, czuła każde uderzenie serca. Promieniowało aż do mózgu, łaskocząc po drodze nieprzyjemnie oczy. Łyknęła dwie tabletki przeciwbólowe. Nie pomogły. Zrobiła to bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, potrafiła znieść znacznie więcej.

– Nic mi nie jest.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że mówisz prawdę.

– Po co mnie ściągnąłeś?

Wstał, obszedł stół, głaszcząc go koniuszkami palców. Zatrzymał się tuż za nią, czuła, jak jego brzuch zbliża się do jej kręgosłupa, a guziki koszuli wbijają się w plecy. Chciała oddychać pełną piersią, łapać każdy gęsty od zapachu schabowego łyk powietrza, ale nie mogła. Po raz pierwszy od dawna zaczęła się bać. Dzierga potrafił równie szybko zjednywać sobie przyjaciół, jak ich tracić. Niekoniecznie w naturalnych wypadkach.

– Pracowałeś razem. – Położył dłoń na ramieniu Kaśki.

– Kiedyś – przyznała. – Raz. No, może dwa.

– Utrzymywałaś z nią kontakt?

– Sporadycznie. Mieszkała obok, wiesz przecież. O co ci chodzi? Mam ci doradzić, jaką wiązanę kupić?

Odwróciła się i spojrzała w jego oczy. Potrafił grać, udawać współczucie i przez moment skłonna mu była nawet uwierzyć.

– Szukam powiązań. Może wiesz, z kim się ostatnio kontaktowała?

– Przestań. – Wyswobodziła się spod ciężaru jego dłoni. – Nie jestem idiotką.

– Powinnaś coś zjeść, zaraz zemdlejesz.

– Nie jestem głodna.

Nachylił się, poczuła zapach octu i dymu papierosowego. Dzierga chwycił swój talerz i przysunął go wolno w stronę Kaśki. Kilka centymetrów od niej stały teraz resztki niedojedzonego obiadu. Czuła, że jest jeszcze ciepły.

– Jedz. Przyniosę ci świeże sztucce i pogadamy.

Pilsz wyglądał jak ktoś, kto za fajkę oddałby dwa litry krwi i jedną nerkę. Gabriel wyciągnął paczkę w jego stronę, ale Janusz odmówił ruchem głowy. Za to przy każdym podmuchu wiatru nadstawiał nos jak pies łapiący trop i łapczywie zasysał lecący w jego stronę dym. Widać rzucanie palenia stało się sportem na komendzie. Włodczyk już odpadł ze sztafety, ale Pilsz cały czas miał nadzieję chociaż na wyróżnienie. Starał się i Gabriel to doceniał, choć nie rozumiał.

– Dawno rzuciłeś?

– Siedemnaście dni. – Janusz zamyślił się. – No, szesnaście.

Liczenie dni bez papierosa to standardowe okłamywanie samego siebie. Gabriel też tak robił. Zazwyczaj kończyło się na kilku dniach. Dwóch, maksymalnie trzech. Raz udało mu się doliczyć do dziewięciu, ale tylko dlatego, że bolał go naruszony w bójce ząb, a każdy głębszy oddech palił szczękę tępym bólem.

– Dajesz radę? – Zaciągnął się.

– Jak widać.

– Więcej kasy w portfelu?

– Pewnie, szkoda tylko, że od razu wydaję ją na żarcie. Tyle batonów co przez te dwa tygodnie nie zjadłem chyba w całym życiu. Dupa mi urośnie i nie zmieszczę się do kijanki. – Poklepał się po pośladkach i głośno zaśmiał. – Dobrze, że przynajmniej jestem wysoki.

Pilsz znalazłby pozytywne strony nawet w chorobie popromiennej.

– Dlaczego tu jesteś?

– Nie rozumiem?

– To całe gówno powinna przejąć stołeczna. – Janusz wsunął dłonie do kieszeni. – Zamiast tego spuścili to nam na głowę i przysłali ciebie. Nie rozumiem.

– Słyszałeś, co mówił Włodczyk? Mam być wsparciem.

– Czemu tego nie wzięli?

– Nie wiem. – Sam się nad tym zastanawiał. – Polecenie przyszło z góry, nie wtrącam się w to. Polityka firmy.

– Jeżeli sądzisz, że to dla ciebie szansa, mylisz się. Ujebią cię bez mrugnięcia oka.

– Potrafisz pocieszyć.

– Teraz i tak z tym nic nie zrobisz. Chodź.

O karoserię szarej kii opierali się świadkowie. Wyższy rozglądał się nerwowo

i gdy tylko spostrzegł zbliżających się policjantów, rzucił niedopałek pod nogi. Przy jego butach uzbierała się już pokaźna kupka, którą prowizorycznie rozwalił stopą.

– Zostawić was na chwilę samych, to naśmiecicie jak świnie. – Janusz wcisnął przycisk na pilocie, a samochód cicho oznajmił, że zaprasza do środka, odstrasząc tym samym opierających się o niego mężczyzn. – Technika. Pomyśleć, że jeszcze parę lat temu popierdalało się polonezem.

– To dokąd nas panowie zabierają? – Gabriel dołożył swojego papierosa pod buty Żwirka. Jeden niedopałek więcej nie zrobi nikomu różnicy. – Arek, tak?

– Tak. Arkadiusz Tucki, dzień dobry. Na aleję Krakowską, proszę pana.

Drugi mężczyzna z ociąganiem podszedł do Bysia.

– Michał Woźniak. – Muchomorek wyciągnął rękę jako pierwszy. Tym razem wyglądał na spokojnego, choć dłoń miał zabandażowaną i cały czas ją masował. – Przepraszam za moje wczorajsze zachowanie.

Gabriel spojrzał na niego z udawanym współczuciem. Opanował ten mały gest do perfekcji. Trenował go niemal od początku służby, kiedy to właśnie jego wciąż delegowano do przekazywania złych wieści. „Przykro mi, ale pani mąż zginął w wypadku samochodowym. Przykro mi, ale pańska żona została potrącona przez pijanego kierowcę. Przykro mi, państwa syn został znaleziony martwy w przejściu podziemnym Dworca Zachodniego”. Szczegóły w postaci roztartych na jezdni jelit zostawiał dla siebie.

Anioł śmierci w granatowym mundurze.

– To zrozumiałe – skłamał. – Proszę się nie przejmować.

Janusz usadowił się na siedzeniu kierowcy i zapiął pas.

– Pakujcie się – powiedział przez otwarte okno. – Nie mamy całego dnia.

Monterzy zajęli miejsca z tyłu; żaden nawet nie pisnął, że ledwo mieszczą się im tam kolana. Janusz lubił podróżować wygodnie, a fakt, że współpasażerom to przeszkadza, nie stanowił dla niego problemu. Rzadko kiedy woził na kanapie kogoś, kto w ogóle miał prawo głosu. Gabriel przesunął swój fotel do przodu. Nie cierpiał, gdy w kręgosłup wbijały mu się kolana siedzących z tyłu pasażerów.

Kiedy wyjeżdżali z policyjnego parkingu, odwrócił się i spojrzał na ściśniętych na tylnej kanapie chłopaków. Obaj patrzyli za okno. Widział w ich ruchach strach. Arek nerwowo żuł gumę, a Michał pocierał dłonie.

– Rozmawialiście już z moim kolegą, ale byłbym wdzięczny, gdybyście mnie również uraczyli swoją historijką.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Kto was wynajął?

– Pani Marta. Zadzwoiła w czwartek wieczorem do centrali, a oni zlecili to nam – odezwał się Michał. – Kiedyś już jej coś przewoziliśmy, ale zmieniła adres i tam jechaliśmy po raz pierwszy.

Przełamanie lodów nastąpiło szybciej, niż Gabriel zakładał. Widać zgotowane przez Janusza przesłuchanie nie należało do najprzyjemniejszych.

Kwestia miejsca. Wnętrze samochodu było świeże, choć dawno straciło salonowy zapach, a na podłodze można było znaleźć okruchy czekoladowych draży. Jednak w porównaniu do pokoju przesłuchań, gdzie farba na ścianach łuszczyła się jak skóra trędowatego, mieli tu jak w raju.

– Ekspresowo. – Uśmiechnął się. – Jak ja chciałem zamówić firmę przeprowadzkową, czekałem prawie tydzień, zanim się do mnie dowlekli. A i tak przyjechali spóźnieni.

– Nie zajmujemy się przeprowadzkami. – Arek uprzedził Michała. Cały czas jednak nie patrzył na Gabriela. – Znaczy to też, ale nie do końca.

– To czym się zajmujecie?

– Obsługujemy stałych klientów, pomagamy im się pakować i przewozić rzeczy do naszej przechowalni.

– I potrzeba było was dwóch do jednego komputera? Samochodem dostawczym? – Gabriel podniósł głos. Liczył, że powiedzą mu coś innego niż Pilszowi. – Pieprzycie!

Jego rozmówcy popatrzyli na siebie. Arek skinął nieznacznie głową Michałowi.

– Czasem trafi się coś ekstra. Dodatkowy transport, rozumie pan?

– Oświeć mnie.

– Klienci rzucają czasem stową, żeby coś przewieźć. – Michał ściszył głos. – Wie pan, nie do nas, ale gdzieś indziej. Szafa, komoda czy jakieś pudła. Różnie. Bez faktury. W firmie nie rozliczają nas z przejechanych kilometrów. No i jak mamy po drodze, to czasem się zgadzamy. Teraz też liczyliśmy na coś ekstra.

– Zawsze jeździcie we dwóch?

– Polityka firmy.

Samochód gwałtownie skręcił, rzucając Gabriela ponownie na siedzenie.

– Jak jeździsz, krowojebco! – Janusz nacisnął klakson i wyminął zdezorientowanego kierowcę zielonej skody. – Dupek powinien się cieszyć, że nie mamy czasu na pierdoły.

Kia zostawiła za sobą sznur samochodów czekających na zieloną strzałkę i wjechała w Aleje Jerozolimskie. Janusz wyciągnął ze schowka baton czekoladowy i otworzył go zębami, wypluwając końcówkę opakowania na podłogę.

– Reakcja stresowa, komisarzu Byś – usprawiedliwił się, patrząc na Gabriela. – Syndrom stresu pourazowego czy coś. Wojskowi to mają, to czemu mam być gorszy?

– Jasne.

Byś rozparł się w fotelu i wyciągnął telefon. Rozpytanie dokończy, gdy dojadą na miejsce. O ile uda im się to w jednym fragmencie. Na szczęście z każdym kęsem Janusz odpuszczał nogę z gazu. Wyglądało na to, że potrzebował zastrzyku kalorii, by zagłuszyć głód nikotynowy.

– Kim był ten facet w gabinecie? – przypomniał sobie o poruczniku Sandersie. – Chyba się nie lubicie.

– Roczewski. Lokalny biznesmen z aspiracjami. – Janusz wydułubał z zębów resztkę orzecha. – Chodzi po wszystkich i liże im dupy, patrząc uważnie, czy nie ominął przypadkiem kawałka rowka. Radny, ale bez łaski burmistrza może zapomnieć o wyborach.

– Jakich wyborach?

– A co to za różnica jakich? Chyba samorządowych. Pies to jebał. I tak wszystko rozbija się o kasę i wpływy. Kilka zdjęć, uścisków dłoni, tysiące ulotek z obietnicami bez pokrycia. Znajdź mi polityka, który robi to z dobroci serca, a postawię ci najlepszą wódkę, jaką znajdę. Słowo harcerza. A co cię tak zainteresował ten facet?

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Coś mi w nim nie pasowało i tyle.

– Jesteś przewrażliwiony, psia dolegliwość.

– Co robi Monika?

Gabriel zdał sobie sprawę, że nie widział jej na komendzie, a wczorajsza sytuacja nie dawała mu spokoju. Wyjście sierżant z restauracji i reakcja Janusza mogły negatywnie odbić się na dochodzeniu. Nie powinien w ogóle dopuścić do takiego rozwoju spraw. To, że Janusz nic na ten temat nie wspominał, nie oznaczało absolutnie niczego. Milczenie od wieków towarzyszyło męskim relacjom, ten mistycyzm barowego stołka, gdzie po pijackiej nocy wszystko wracało do normy. Gabriel chciał tego uniknąć.

– To, co jej kazałeś, sprawdza ofiarę. – Janusz gwałtownie przyhamował i wcisnął się na lewy pas Alej Jerozolimskich. – Musimy szybko to obskoczyć, żeby nie została sama, jak dowiozą na komendę dzieciaka.

– Nie poradzi sobie?

– Nie o to chodzi. – Spojrzał we wsteczne lusterko. – Później pogadamy.

W samochodzie zapanowała cisza, której pasażerowie z tylnej kanapy postanowili nie przerywać. Po piętnastu minutach Janusz dojechał pod siedzibę firmy, w której pracowali Arek z Michałem, i zaparkował. Podczas podróży Gabriel przeczytał wszystkie zapiski w telefonie, ale nie potrafił się skoncentrować. Marta Zręb zaczynała ciążyć mu w podświadomości. Zamiast skupić się na sprawie morderstwa, usilnie starał się wyrzucić kobietę z pamięci. Obawiał się, że zajmie miejsce przeznaczone dla Alicji. Jedynej osoby, która nie miała dość jego narzekania i depresyjnego podejścia do życia.

– Jesteśmy. – Pilsz wyłączył silnik. – Wypad z wozu.

Sam wysiadł jako pierwszy, zostawiając na siedzeniu czekoladowe pobjowisko. Papierek po batonie wyleciał na zewnątrz z pierwszym podmuchiem ciepłego wiatru. Gabriel obserwował, jak szybuje nad pustym placem, by następnie zderzyć się z szybą tramwaju pędzącego wzdłuż aleją Krakowską.

– No, kurwa, wolniej jeszcze. – Pilsz otworzył drzwi od strony Michała i zrobił ręką zapraszający do wyjścia gest. – Długo mamy na królewicza czekać?

– Już, już. Tu nie ma klamki – usprawiedliwiał się.

Wysiadł i ruszył w stronę wejścia do magazynu. Arek dogonił go, zostawiając policjantów za sobą. Szara przeszklona bryła budynku odcinała się od stojących w okolicy nijakich bloków. W oddali powiewały flagi największej na świecie restauracji serwującej hamburgery, ale byli zbyt daleko, by dostrzec postać klauna, który zawsze towarzyszył przybytkowi. Gabriel nie zaglądał tam od wieków; nie przepadał za kuchnią, w której używano sorbinianu potasu, a kucharzy zastępowali chemicy. Podszedł do Janusza, złapał go za ramię i odwrócił w swoją stronę.

– Wyluzuj – rzucił bez ogródek. – Oni gównu wiedzą.

– Jesteś pewien? – Janusz strącił dłoń Gabriela. – Z tego, co pamiętam, kiepsko ci wychodziły osady. Przyciśniemy ich, to coś wypłynie. Zawsze coś wypływa. Ten cały Arek mi się nie podoba, śmierdzi od niego alkoholem na kilometr.

– Sam bym się napił, gdybym był na ich miejscu.

– A co, nie zrobiłeś tego?

Gabriel przyzwyczał się, że notorycznie brano go za alkoholika. Zawsze kiedy stał przy sklepowej kasie, ekspedientka pytała, czy na pewno nie podać czegoś z procentami. Nie pomagało, że do pracy zakładał koszule, a szyję kropił perfumami. Musiał mieć spojrzenie kogoś, komu jest już wszystko jedno.

– Twój ojciec był esbkiem? – Riposty nie wychodziły Gabrielowi najlepiej.

– Nie, dupkiem.

Dobre wieści.

Mieli z Januszem coś wspólnego.

Ledwo przełknęła kęs mięsa. Odkrawała tylko z niewielkiego, dwucentymetrowego paska na skraju kotleta, by nie wymieszać swojej śliny z tą od Dziergi. Nie podejrzewała, żeby był na coś chory. Sama regularnie się badała i wierzyła, że wszyscy tak robią. O wiele bardziej przerażało ją ogłupiające przeświadczenie, że jedzenie resztek po kimś to jedno z najgorszych upodzeń. Coś jak picie wody z kibla. Niby zwykła woda, ale cały czas na zębach czujesz smak gówna.

Dzierga obserwował każdy jej ruch. Chciała dla przekory wesoło poklepać się po brzuchu i mruknać, markując zadowolenie, ale odezwał się, zanim zdążyła odłożyć plastikowe sztucce na stół.

– Widziałaś go?

– Nie wiem, o kim...

– Kurwa! – Dzierga walnął pięścią w stół. – To, że Marta nie żyje, to dla ciebie jakiś żart?

Na jego czole pulsowała gruba żyła, zaczynała się przy prawej brwi, biegła przez skroń i znikwała dopiero w okolicy ucha. Żyła przerażała Kaśkę o wiele bardziej niż uderzenie w stół czy zaciśnięta pięść Dziergi. Pokazywała, jak niewiele trzeba, by przeciągnąć strunę.

– Jak w ogóle możesz tak mówić?

Przywołała w wyobraźni obraz rozjechanych szczeniaków, włochate łapki i tułowia ze śladem bieżnika. Nie pomogło. Wizja samotnej staruszki na parkowej ławce, otoczonej gołębiami i okruchami czerstwego chleba, również. Mogła spróbować zwizualizować sobie matkę, ale nie miała aż tyle wspomnień. Potrzebowała łez, a te, jak na złość, nie chciały się pojawić.

Kaśka schowała ręce pod stół i uszczypnęła się w udo. Boleśnie, tak, by został ślad.

Pomogło.

– Jak możesz? – powtórzyła. – Przecież...

Pierwsza łza wolno spłynęła po policzku. Wyszło znacznie lepiej, niż się spodziewała. Milczeli; kątem oka widziała jednak, że zwinięte w pięść palce Dzierga prostują się. Położył dłoń na stole, powoli odzyskiwała swój naturalny kolor; zabębnił niecierpliwie o metalowy blat.

– Wszystko w porządku?

Głos dobiegł z za pleców Kaśki, rozpoznała go bez problemu. Ochroniarz, który oprócz tego, że przywiózł ją do knajpy, nie nadawał się do niczego więcej. Przynajmniej w jej mniemaniu. Dzierga odburknął coś, czego nie zrozumiała, i znowu zostali sam na sam.

– Skończyłaś? – spytał zupełnie spokojnie.

Wyprostowała się.

– Warto było spróbować. – Kolejna łza spłynęła po twarzy. – Czego ode mnie chcesz, co? Nie mam pojęcia, gdzie jest Adam.

Udo piekło niemiłosiernie, ale i tak uważała, że podjęła dobrą decyzję. Zyskała trochę czasu. Chyba wiedziała, do czego zmierza ta rozmowa.

– Czy tak nie jest łatwiej? – Dzierga nachylił się nad stołem. – Dużo razem przeszliśmy, dzieciaku, i nie próbuj ze mną tych swoich sztuczek. Sam cię ich nauczyłem.

– Czemu szukasz Adama? Chyba nie sądzisz, że miał z tym coś wspólnego?

Nie miała zbyt dużo czasu na przyswojenie informacji. Wiadomość o śmierci Marty stanowiła zaskoczenie nie większe niż wizytacja, do której została przymuszona. Od miesięcy unikała spotkań z Dziergą, ale teraz nie pozostawił jej wyboru. Znała głównych aktorów przedstawienia. Adam i Marta raz nawet powierzyli jej opiece Janka. Sprawdziła się, chłopiec przeżył wieczór i wrócił do pary w jednym kawałku. Co okazało się jednym z największych osiągnięć, jakie Kaśka mogła wpisać do swojego CV.

– Nikogo nie mogę wykluczyć – przyznał. – Chciałbym, żeby było inaczej, ale teraz wszystko się zmieniło.

– Niby czemu miałyby to robić? Byli... sama nie wiem, rodziną.

Ledwo wydusiła z siebie to słowo.

– Żartujesz, prawda? – Żyła wróciła na swoje miejsce. – Nie ma już rodzin. Mamusia i tatuś zniknęli. Dwa plus dwa zmieniło się w jeden plus. Albo po prostu jeden. Straciliśmy to, a raczej dokonaliśmy wymiany. Zaufanie

zamieniliśmy na nic nieznaczące wycieczki z wliczonym w cenę śniadaniem, telefonami przyklejonymi do ręki i kasą na koncie. Społeczeństwo odebrało nam wszystko. Zostaliśmy pokrzywdzeni, Kaśka. Sądysz, że było warto?

Dzierga nie oczekiwał odpowiedzi, potrzebował tylko oddechu. Kaśka przyzwyczaiła się do wywodów o przeszłości. Kiedy ich spotkania były częstsze, przypominały wizyty u dziadka, który sadzał wnuczkę na kolanie i opowiadał, jak na wojnie musiał jeść obierki ziemniaków. Dzierga, zakorzeniony w przeszłości, strzelał do wszystkiego, co zwiastowało nadejście zmian.

– Dobrze wiesz, że ze mną na ten temat nie pogadasz – powiedziała. – Nie mam żadnej z rzeczy, które wymieniałeś.

Uśmiechnął się.

– Jeszcze.

– Fundujesz mi wycieczkę? Karaiby, Malta czy Tunezja? Gdziekolwiek, gdzie jest na tyle ciepło, że cipki nie skleją mi sople lodu.

– Uważaj na słowa. – Złapał palcami zawieszony na szyi krzyżyk. – Masz szczęście, że nie jesteś moją córką.

Święte słowa.

Nic tak nie pomaga dziewczynie w przejściu okresu dojrzewania, jak brak autorytetów i heroina. Dzierga nie był czuły na sarkazm i nie przeszkadzała mu własna hipokryzja. Gładząc złoty krzyżyk, bez wątpienia większej wartości niż jej meble w mieszkaniu czy wątroba, potrafił wydawać wyroki śmierci. Moralność nie miała tutaj nic do rzeczy, tworzył ją według własnych reguł. Kreował otaczającą go rzeczywistość wedle potrzeby, co nie przeszkadzało mu podierać się doktrynami religii. Tej, która aktualnie pasowała i była na tyle wygodna, że nie zostawiała wiele miejsca na interpretację.

– Adam... – zamyślił się, jakby szukał odpowiedniego słowa – ...zniknął. Nie odbiera telefonu, nie ma go w mieszkaniu. Rozpłynął się.

– Zamordowali mu kobietę.

– To nie powód, żeby uciekać. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

Mocno zaakcentował ostatnie słowo.

– Musimy troszczyć się o siebie – kontynuował. – To jak małżeństwo. Spójrz na mnie i Jagodę. Dwadzieścia lat, bez względu na okoliczności i przeciwko tym, co nam źle życzyli. Ścierwa, które chcą niszczyć, zawsze się znajdują. To ważne, żeby trzymać się razem. Inaczej co nam zostanie? Pamiętasz Wigilię?

– Częściowo.

– Adam rozwoził wszystkich do domów, by nikt nie zrobił sobie krzywdy. A tobie – nachylił się – tobie przytrzymał nawet głowę w toalecie. Słowem nie pisał, że coś jest nie tak, że nie powinien się tym zajmować. Teraz my musimy zrobić to samo. Kim byśmy byli, gdybyśmy zostawili go samego? No, kim?

Zasłuchała się. Głos Dziergi płynął łagodnie nad stołem. Nie atakował, wyczekiwał i uspokajał. Zmuszał do przemyślenia spraw, o których Kaśka chciała zapomnieć.

– Obcymi ludźmi – przyznała, spoglądając w jego oczy.

Nadal nie dostrzegła w nich niczego poza pustką.

– Naprawdę nie wiem, gdzie może być Adam. Nie widziałam go od tygodni.

– Niczego od ciebie nie oczekuję. Chciałem tylko, żebyś dowiedziała się o tym, co spotkało Martę, od bliskiej ci osoby. O zniknięciu Adama również.

Podciągnął mankiet koszuli i spojrzął na zegarek. Złoty, z wygrawerowanym ryczącym lwem na cyferblacie. Gdyby nie jego astronomiczna wartość, Kaśka wstydziłaby się dać coś takiego w prezencie upośledzonemu kuzynowi. Dzierga miał słabość do zwierząt, szczególnie tych, które mogły rozerwać gardło ofiary jednym kłapnięciem szczęki.

W Pieczarze nawet ściany łazienki pokrywały wizerunki lampartów, gepardów i tygrysów, zabłąkał się też jeden rekin. Wchodząc do damskiej toalety, Kaśka nie zastanawiała się, dlaczego urządzono ją w tak urągający dobremu gustowi sposób. Jej myśli zaprzętało coś innego: brudne, żółte zacieki, ciągnące się od wysokości pępka aż do podłogi. Któraś z klientek musiała się mocno nagimnastykować, by wyrazić swoją opinię o wystroju.

– Przeszkadzam?

– W żadnym wypadku. – Zasłonił zegarek. – Nawyk.

– Będę się zbierać, późno już. – Wstała i zaczęła wycofywać się w stronę schodów. – Jak będę coś wiedziała, zadzwonię.

Chciała jak najszybciej wyjść, strząsnąć ze skóry czar Dziergi. Czuła się tak, jakby stała na plaży w wietrzny i pochmurny dzień, zanurzając stopy w mokrym piasku. Przyjemne, ale po dwóch minutach o niczym innym nie marzysz tak mocno, jak o gorącej herbacie.

– Jagoda robiła porządki w domu.

– Słucham?

– Nudziło jej się i postanowiła posprzątać. Sama. Ściągnęła pudła ze strychu, przekopała chyba wszystko, co tam znalazła.

– A mówisz mi o tym, bo?

– Bo znalazła to.

Włożył rękę pod marynarkę i wyciągnął strzęp fotografii. Położył go na stole grzbietem do góry. Stała, wpatrując się na przemian w kartonik i Dziergę. *Déjà vu* wczorajszego wieczora u Joanny.

– To dla ciebie – zachęcił.

– Co to?

– Zobacz.

Odwróciła zdjęcie i zamarła. Patrzyła na nią twarz z lodówki. Jej matka.

– Spójrz, jakie wieśniackie stroje się wtedy nosiło.

Kaśka nie słuchała. Nie zwróciła też uwagi na inne osoby na zdjęciu. Choć postać matki była umiejscowiona tuż przy krawędzi fotografii, dla niej stanowiła środek wszystkiego. Wyglądała inaczej niż na tamtym obrazku. Sztuczny uśmiech, tlenione włosy i spódnica tak krótka, że prawie odsłaniała macicę. I stado napalonych samców wokół. Każdy w karykaturalnym stroju

twardziela. Skórzana kurtka, bluzka polo, wyprasowane w kant dżinsy. Niektórzy mieli na stopach sandały, pomiędzy skórzanych zapięć wystawały włochate skarpety.

- Kiedy zrobiono to zdjęcie?
- Miałaś rok. Spałaś w pokoju na górze.
- Gdzie reszta?

Zdjęcie zostało przedarte. Nie w połowie, jak w kryminałach, ale w jednej trzeciej szerokości. Kaśka lubiła czasem przeczytać powieść, w której detektyw szukał seryjnego mordercy. Tam wszystko było proste, a najważniejsze fragmenty układanki odnajdywały się pod sam koniec opowieści. Leżały w starych domach, sejfach albo na podłogach obszczanych knajp. Bohater szlajał się po mieście i bił świadków, a wszystkie fakty łączył w logiczną całość dopiero na końcu. Kaśka zdała sobie sprawę, że ona nic nie znalazła i przestała być głównym protagonistą swojej własnej opowieści.

– Nie wiem, może jeszcze się znajdzie. Znasz Jagodę, jest taka roztrzepana. A teraz, jak zginęła Marta, a z Adamem nie można się skontaktować... – Dzierga bezradnie rozłożył ręce. – Szkoda słów.

- Ja naprawdę nie wiem, gdzie on jest.
- Zatrzymaj zdjęcie. – Wstał i zapiął marynarkę. – Jak się znajdzie coś jeszcze, zadzwonię. Słówko.
- Ale...
- I przestań rozpijać Joannę. Nie za to ci płacę, masz jej tylko doglądać.

Jest pan pewny, że możemy to zrobić?

Nikt z zebranych nie wyglądał na zdecydowanego. W szczególności Arek. Po jego ruchach wywnioskować można było, że dłonie nie pasują do żadnej z kieszeni spodni, choć usilnie próbował je tam wcisnąć. Jego kierownik westchnął teatralnie i wlepił wzrok w nożyce do cięcia metalu. Tylko Michał wyglądał na opanowanego.

– Długo jeszcze będziemy się z tym pierdolić? – Pilsz nie silił się nawet na bycie uprzejmym.

Od godziny stali w miejscu. Szare ściany i krwistoczerwone wejścia do poszczególnych boksów doskonale ze sobą współgrały kolorystycznie. Byś nawet przez chwilę nie zastanawiał się, dlaczego spece od dekoracji wewnątrz wybrali takie zestawienie. Wydawało się po prostu naturalne. A to tylko świadczyło o tym, że ktoś doskonale wykonał swoją robotę. Szkoda, że teraz jemu nie pozwalano na to samo.

– Niech pan posłucha – włączył się do rozmowy. – To, co teraz chcemy zrobić, to kolejny, bardzo ważny krok w śledztwie. Chodzi o morderstwo. Nie chcemy, żeby potem przełożeni mieli panu za złe, że prasa rozpisuje się o niekompetencji pracowników tego zacnego przybytku.

- Absolutnie – przytaknął Pilsz, podejmując grę Bysia.

– Każda minuta jest kluczowa dla naszego śledztwa.
– Morderstwo ze szczególnym okrucieństwem zawsze ma priorytet. Każda minuta się liczy.

– Każda minuta śledztwa jest na wagę złota.

Zastanawiał się, ile razy jeszcze będzie musiał powtórzyć słowo „śledztwo”, zanim kierownik zmięknie. Czekali, aż zadzwoni jakaś szychka z centrali i łaskawie wypowie się, czy mogą przeciąć kłódkę. Mogliby zrobić to sami, ale w telewizji ujęcia z policjantami, którzy siłują się z kimkolwiek, rzadko wypadają dobrze. A tego, że w razie kłopotów wyciekłby film z monitoringu, mogli być pewni na sto procent. Prawdopodobnie nawet teraz ktoś miał włączoną kamerkę w telefonie. Jak tu stali, przeciągnął obok nich cały tabun ludzi.

– Niech pan spojrzy na to inaczej. – Gabriel postanowił spróbować z innej strony. – Im dłużej tu stoimy, tym więcej waszych klientów widzi, jak zamierzamy przeciąć kłódkę i dostać się do schowka. Może się zastanawiają, czy nie zrobimy tego samego u nich? To nie wpływa dobrze na wizerunek firmy.

– Nie, chyba nie.

Kierownik podrapał się po karku i wyciągnął komórkę z grafitowych ogrodniczek. Każdy z pracowników nosił identyczne. Arek z Michałem musieli czuć się nieswojo.

– Momencik, panowie, zadzwonię jeszcze.

– Proszę bardzo. – Pilsz wyglądał, jakby miał ochotę splunąć na podłogę. – Macie tu jakiś automat z batonami?

– Przy wejściu – odezwał się Arek. – Zaprowadzę pana.

– W końcu jakaś sensowna decyzja.

Kiedy zniknęli za rogiem, Michał wyraźnie poczuł się swobodniej. Ramiona mu opadły, podniósł głowę, przestając wpatrywać się w podłogę. Byś od początku przeczuwał, że to on będzie miał więcej do powiedzenia w sprawie Marty Zręb niż Arek. Pilsz miał rację, mówiąc, że facet ostro tankował, a gdy teraz znalazł do tego dobry pretekst, szybko nie przestanie. Na nic im się nie przyda. Za to Michała ulepiono z gliny podatnej na wszelkiego rodzaju napory. Wyraźnie dało się to wyczuć podczas rozmowy, a teraz Byś miał okazję sprawdzić, jak wiele uda mu się z niego wyciągnąć.

– Długo się znaliście? – spytał, gdy Michał nieopatrznie na niego spojrział.

– Z Arkiem? Pracujemy razem od jakichś trzech lat.

– Nie o niego pytałem.

Michał szybko odwrócił głowę. Teraz Byś miał już pewność, że intuicja go nie zawiodła. Podejrzewał, że Michał znał się z ofiarą. Jego zachowanie w karetce odbiegało do tego, co widywał na miejscu zbrodni. Tak zachowywała się rodzina, a nie obce dla siebie osoby. Widząc trupa, można zwymiotować, popłakać się czy zemdleć. Czasem wszystko naraz, ale reakcja tak emocjonalna świadczyła o czymś głębszym.

– Jak długo? – ponowił pytanie Gabriel.

Nie chciał dawać mu zbyt dużo czasu do namysłu. Jeżeli Michał był inteligentny, przygotował dla siebie odpowiednią bajkę. Byś miał zamiar wyłapać każdy popełniony przez chłopaka błąd.

– Od kilku miesięcy. Klientką była znacznie dłużej.

– Co robiliście?

– Nic, naprawdę. Marta potrzebowała pomocy przy wyprowadzce. Poprosiła, żebym zrobił to poza firmą. Porządkowała stare mieszkanie, a ja przenosiłem pudła, wyrzucałem śmieci, takie tam.

– Takie tam?

– Nic wielkiego, robiliśmy porządki i tyle. Zapłaciła mi normalną dniówkę, a później się pożegnaliśmy.

Samo wynajęcie Michała do roboty, którą mógł wykonać jej facet, było wystarczająco dziwne. Gabriel miał szczerzy zamiar wyciągnąć z chłopaka wszystko, choćby miał go podtapiać.

– Pamiętasz, co wynosiłeś z jej mieszkania?

– Głównie śmieci. – Zamyślił się. – Gazety, ciuchy, notatki, sterty starych podręczników. Makulatura. Wszystko ważyło chyba z tonę.

– Gdzie to przewiozłeś? Tutaj?

Wskazał na zamknięty magazyn, ale Michał pokręcił głową.

– Wyrzuciłem. Marta nie chciała tego trzymać. Powiedziała, że jak coś mi się spodoba, mogę sobie wziąć. Nie skorzystałem.

– Nic nie zabrałeś? Nawet zużytych majteczek?

Michał drgnął. Gabriel uderzył w czuły punkt. Pora na odrobinę brutalności.

– Dała ci?

– Co?

– Dymaliście się, jak jej syn spał w pokoju obok? Po cichu, na spokojnie, by nie obudzić dzieciaka. Nie, pewnie nie. Wołała na ostro, co? Założę się, że tak. Bez gumy. Musiała wrzeszczeć tak głośno, że sąsiedzi walili w ściany. Wyglądała na taką, co lubi poświntuszyć.

– Nie, nic z tych rzeczy! – Michał zacisnął pięści; wyglądały, jakby zanurzył je w mące. Wyprostował się i nieznacznie przesunął w stronę Gabriela. Zanim ponownie się odezwał, odetchnął, rozprostował palce i wytarł dłonie w spodnie. – My nigdy, no wie pan, nie robiliśmy tego.

Patrząc na chłopaka, Gabriel mógłby nawet uwierzyć w jego słowa, ale Michał czuł coś do Marty, tego był pewien. Wystarczyło poczekać, aż sam wyrzuci z siebie wyznanie. Mała igiełka wbita pod skórę na sam koniec i będzie miał wszystko jak na tacy.

– Ale chciałeś. Kręciła cię.

– Podobała mi się – przyznał. – Mówiła z takim cudownym zaśpiewem. Nie wiem, jak to ująć, inaczej niż wszystkie.

Dla zakochanego faceta każda kobieta brzmi cudownie. Byś to rozumiał, Alicja cały czas mówiła do niego głosem jak z komedii romantycznej. Czasem

sądził, że dopadnie ich Nicholas Sparks i opíše w kolejnej książce. Nawet jak się kłócili, wszystko miało sens. Przeżył to tylko z Alicją, wszystkie inne kobiety stanowiły przystawkę przed głównym daniem. Michał nie mógł czuć tego samego do Marty. Kiedy o niej mówił, nie patrzył Gabrielowi w oczy. Wstydził się, ale nie tego, że zataił przed policjantem informacje. Wstydził się tego, jak o niej myślał. Jeżeli czuł do tej kobiety cokolwiek, to tylko pożądanie w najgorszej, zezwierzęconej formie.

Byś czuł w powietrzu kwaśne feromony Michała. Już w samochodzie zauważył, że coś z nim jest nie tak. W przeciwieństwie do Arka. Ten wpisywał się we wszelkie znane mu wcześniej przypadki. Książkowy przykład człowieka, który doświadczył traumy i radził sobie z nią w banalny sposób. Michał nie chciał sobie poradzić ze swoją.

– Arek wiedział? Albo ktokolwiek z firmy?

– Nikt nie wiedział, bo nie miał o czym. Raz, dawno temu, zaprosiłem ją na randkę. Odmówiła. Dopiero wczoraj byłem w jej nowym mieszkaniu. Numer telefonu też zmieniła.

– Odrzuciła cię.

– Co? Nie! W żadnym wypadku! Nie pasowaliśmy do siebie. To jej słowa.

– Prześladowałeś ją?

Michał zastygł z lekko otwartymi ustami.

– No?

– Wie pan, jak to jest.

– Nie wiem.

– Chciałem wiedzieć dlaczego, nic więcej. Nie pasowaliśmy do siebie? Wszystkie tak mówią. Dzwoniłem kilka razy. Nic więcej. Chciałem znać odpowiedź. Zasługiwałem chociaż na to, prawda?

Wymówka każdego napalonego i odrzuconego samca. Mężczyzna nie musi znać odpowiedzi, kobieta również. Gabriel wielokrotnie widział takich chłopaczków na dołku, spoglądał w puste oczy, obserwował, jak wycierają krew z dłoni, i słuchał ich tłumaczeń. Identycznych jak wygłaszane przez Michała. Robiło mu się niedobrze na samą myśl, że ten stojący przed nim dzieciak mógł być jednym z nich. Testosteronowym bykiem bijącym kobietę do nieprzytomności, a potem zaspokajającym swoje żądze.

– Nie mówiłeś o tym mojemu partnerowi – zauważył.

– Do niczego między nami nie doszło. To bez znaczenia.

– Pozwolisz, że to już sami ocenimy. Gdzie Marta mieszkała wcześniej?

– W tebeesach, zaraz po przeciwnej stronie ulicy... gdzie wczoraj byliśmy. Chyba się z kimś zamieniła czy podnajęła. To taki niewielki, paskudny blok.

Gabriel wiedział, o który budynek chodziło. Widział go z balkonu mieszkania Marty. Obity zieloną falistą blachą przypominał przeterminowaną konserwę. Ktoś z administracji próbował ratować bryłę budynku, kładąc na ściany nową warstwę farby. Obecnie jej płaty walały się po zaniedbanym trawniku okalającym blok. Prowizorka w najczystszej formie.

– Pamiętasz numer mieszkania?

– Nie, ale wiem, jak tam trafić. Znam klatkę i piętro, o ile to na coś się zda.

– Zapisz. I nie zapomnij o swoim numerze telefonu.

Wygrzebał z kieszeni paragon i podał chłopakowi. Wątpił, by wizyta w poprzednim mieszkaniu ofiary wniosła cokolwiek nowego. Potrzebował tego adresu z zupełnie innego powodu. Chciał mieć próbkę pisma Michała oraz numer jego komórki. W magazynie Marty mogli znaleźć wszystko, a jeżeli będą mieli wystarczająco dużo poszlak, sprawdzenie u operatora, gdzie w dniu morderstwa przebywał Michał, będzie formalnością.

– Gdzie byłeś w czwartek w nocy? – spytał, odbierając świstek papieru z bazgrołami.

– Mówiłem to już tamtemu policjantowi. W domu z matką.

Dopóki nie znajdą niczego konkretnego, Michał plasował się najwyżej w hierarchii podejrzanych. Nie miał dużej konkurencji.

W ich stronę zbliżała się cała trójka. Pilsz wyglądał na obłaskawionego. Cały czas coś przeżuwał. Arek szedł posłusznie dwa kroki za policjantem. Tylko kierownik zmiany nie przypominał samego siebie sprzed pięciu minut. Zmizerniał, jego ogrodniczki stały się o dwa numery za duże. Kiedy podeszli bliżej, odezwał się jako pierwszy.

– Możemy ciąć.

– Skąd ta smutna mina? – Gabriel chciał mieć to już za sobą.

Janusz odpakował kolejnego batonika i wsadził niemal połowę do ust.

– Powiedzieli, że nie ma wyjścia, ale jak coś będzie potem nie tak, polecą mu po pensji. Ale będzie dobrze. Doślemy przecież kwity z prokuratury. – Pilsz się uśmiechnął, klepnął faceta po ramieniu. – Co może być nie tak?

Podszedł do ściany i zdjął z haka wielkie, ciężkie nożyce do cięcia metalu. W końcu mieli się przekonać, co czeka za krwistoczerwonymi drzwiami. Gabriel wiedział, że jego teoria o Michale jest mocno naciągana, i nie zamierzał się jej kurczowo trzymać, ale lepszej na razie nie miał.

W rękach Pilsza nożyce wyglądały na sprzęt lekki i łatwy w użyciu. Jednak przecięcie grubego ucha kłódki nie należało do najłatwiejszych zadań. Gabriel nawet nie próbował, wystarczająco się ostatnio ośmieszył w oczach współpracowników. Janusz przyłożył nożyce i z całą siłą naparł na ich długie ramiona. Po kilku nieudanych próbach i głośnych stęknięciach w końcu dopiął swego. Z czerwoną twarzą odsunął się od drzwi i oparł o ścianę.

– Dobra – sapnął, ocierając spocone czoło. – Teraz twoja kolej. Ja chwilowo mam to w dupie.

Gabriel założył rękawiczki i wyciągnął kłódkę z mocowań. Schował ją do plastikowego woreczka na dowody, który następnie wcisnął Januszowi w dłoń.

– No to siup.

Ściany magazynu okrywała blacha, którą dla niepoznaki pomalowano na biało. Pod sufitem kołysała się wolno samotna żarówka, z oprawki smętnie

związał kawałek sznurka służący za włącznik. Pomieszczenie było niewielkie, nie więcej niż dwa na trzy metry, praktycznie puste, jeśli nie liczyć trzech kartonów z napisem „Książki”, złożonych jeden na drugim w rogu, i małego biurka pod ścianą. Najzwyklejsza brzoza sklejka. I jeszcze tanie składane krzesło. Pusty blat nie zwiastował przełomu w śledztwie, ale szuflada pod nim obiecywała odrobinę rozrywki. O ile nie była pusta.

Pilsz stanął za Gabrielem.

– To tyle? – spytał; w jego głosie dało się słyszeć wyraźne powątpiewanie w sens całej wyprawy.

– A czego się spodziewałeś? Tajnego centrum dowodzenia ze zdjęciami na ścianach, planu miasta pełnego czerwonych nitek, pinezek i broni?

– Szczerze? – odparł. – Byłoby zajebiście.

Gabriel też liczył na coś takiego. Może nie w takiej filmowej formie, ale coś, co rzuciłoby światło na postać Marty, bardzo by się teraz przydało. Z każdym kolejnym krokiem miał wrażenie, że wie o niej coraz mniej. Magazyn gwarantujący spokój, całodobowy dostęp i anonimowość: to pobudzało wyobraźnię. Tymczasem stali przed kolejną niewiadomą.

– Zadzwoń po techników, a ja się rozejrzę.

Pachniało mokrym kartonem, kurzem i wytartym betonem. Zaczął od kartonów. Po tym, co powiedział mu Michał, Gabriel podejrzewał, że w środku znajdzie rzeczy, z których ucieszyłby się tylko studencki antykwariat. Rozłożył pudła na podłodze i ostrożnie zajrzał do środka. Niewiele się pomylił. Ciasno upchnięte książki odstraszały tytułami. *Matematyka dyskretna. Analiza matematyczna. Ekonometria*. Wszystko w kilku tomach, z zeszytami ćwiczeń. Część po angielsku. Na chybił trafił przekartkował kilka pozycji, ale nie znalazł ani jednego zapisku, nawet śladu odręcznych notatek. Widział, że książki były czytane. Wielokrotnie.

– Hobby? – Gabriel zważył w dłoni tom *Geometrii wykreślnej*.

– Mówiłeś coś? – odkrzyknął Pilsz z korytarza.

– Zastanawiałem się, czy to na pewno magazyn ofiary.

– Ten wysoki mówi, że tak.

Książka wróciła do pudła. Gabriel stanął przed biurkiem i spojrzał na nie uważniej. Pośrodku blatu widział wyraźne wytarcie, spory trójkąt ciągnący się od ściany do krawędzi, przy której się siadało. Jakby powierzchnia wykorzystywana do pracy ograniczała się tylko do tego miejsca. Reszta wyglądała na nieruszaną, na brzegach mebla zebrała się pokaźna warstwa kurzu. Biurko miało tylko jedną, za to długą szufladę po blatem. Gabriel chwycił okrągły uchwyt i pociągnął do siebie.

Prowadnice zatrzeszczały, a po dnie szuflady przesunęły się dwa przedmioty. Niewielki kołnotatnik oraz coś, co wyglądało jak kawałek sznurówki. Gabriel długopisem podniósł sznurek i przysunął do twarzy, by dokładniej mu się przyjrzeć. Kilkadziesiąt małych, czarnych, związanych ciasno ze sobą kuleczek – to z pewnością nie była sznurówka. Jedna przy drugiej, oddzielone od siebie

malutkim koralikiem, przypominały włochatą gąsienicę, która zjadała swój ogon. Uboga wersja Uroborosa trzymającego w zębach niewielki, zrobiony z wełny krzyżyk.

Czotki.

Wsunął przedmiot do kolejnej torebki na dowody. Obejrzał się za siebie. Za drzwiami wszyscy żywo dyskutowali o tym, kto poczeka na przyjazd techników. Dla pracowników oznaczało to jedno: ktoś będzie musiał objąć sobotnią zmianę, nawet jeżeli nie miał jej wpisanej w grafik. Pilsz, znudzony, bawił się telefonem.

Gabriel wrzucił woreczek do kieszeni kurtki.

– Hej! – krzyknął do Pilsza. – Mam coś, chodź tu.

Policjant odkleił się od ściany i wszedł do pomieszczenia.

– Co tam? Technicy jadą, ale nie są zadowoleni.

– Jakoś to przeżyjemy. Spójrz.

Wyjął kołonotatnik z szuflady. Twarda tekturowa oprawa miała na sobie nadruk różowego kucyka z ogromnymi oczami. Sądząc po wyrazie pyska, musiały być większe od jego mózgu. Kto inteligentny cieszyłby się z tatuaży na tyłku w kształcie różnokolorowych baloników?

– Rany, Pinkie Pie! – Pilsz podniósł górną wargę. – Wypas.

– O czym ty mówisz?

– Ten kucyk tak się nazywa. My Little Pony, nie znasz? Jest jeszcze Twilight Sparkle, Applejack, Fluttershy, Rarity i Rainbow Dash. Ta ostatnia jest wprost czadowa.

– Przeraza mnie twoja wiedza na ten temat.

– Moja siostrzenica ma fioła na ich punkcie. Chodzi na jakieś spotkania z innymi fanami. Przebierają się za te cholerne kucyki, a jak wraca pijana, to zgadnij, gdzie chce przekimać, żeby rodzice nie sprali jej dupy. U wujka Janusza oczywiście.

Robiło się coraz dziwniej.

– Pijana? Od kiedy dzieciaki w przedszkolu wracają z imprez nawalone?

– Jakie przedszkole, laska ma siedemnaście lat. Gdybyś zobaczył jej koleżanki, gwarantuję, że pała stałaby ci stąd do Radomia. Nigdy nie sądziłem, że kucyki mogą chodzić w kolorowych pończochach i bez staników.

Gabriel mógł właśnie dopisać na liście kolejny powód, dla którego posiadanie dziecka, a w szczególności córki, nie należało do priorytetów w jego życiu.

– Ta, ja też – mruknął i otworzył notatnik.

Na pierwszej stronie było zdjęcie. Dziewczyna z chłopakiem na ławce w parku. Przytuleni, uśmiechnięci i pełni życia. Wiatr rozwiewał jej brązowe włosy, ale ona nic sobie z tego nie robiła, choć zakrywały niemal pół twarzy. Patrzyła wprost w obiektyw, podobnie jak siedzący obok mężczyzna. Postawny, wysoki, łysy, o twarzy nieskalanej inteligencją.

– Marta?

– Na to by wychodziło. Trudno ją rozpoznać z oczami. – Gabriel odwrócił zdjęcie na drugą stronę. – I chyba mamy naszego tajemniczego kochanka.

Umiejętność rozszyfrowywania kobiecego pisma bardzo się teraz Gabrielowi przydała. Z całą pewnością nadawał się na aptekarzę.

– „Tylko w jedności ratunek – odczytał. – Marta i Adam, 5 kwietnia 2014 roku”.

Oddychała.

Zmuszała płuca, by wciągały jak najwięcej powietrza. Kiedy wyszła z Pieczary, ledwo potrafiła utrzymać pion. Gdyby nie ściana budynku, dawno leżałaby na ziemi. Zmusiła się do biegu, byleby tylko nie stać w miejscu. Ochroniarz chciał ją odwieźć, ale odmówiła. Musiała pobyć sama. Z Komorowa do swojego mieszkania miała nie więcej niż piętnaście minut wolnym krokiem. Chciała pokonać tę trasę w niecałe dziesięć.

Przeceniła swoje możliwości. Już po minucie biegu zatrzymała się w niewielkim przesmyku na zarośniętej dróżce, schowanej między domkami jednorodzinnymi. Przejście stanowiło skrót między ulicami o niezbyt wymyślnych drzewnych nazwach. Starła się złapać oddech, stojąc między Klonową a Lipową i strząsając z włosów pierwsze wiosenne pajęczyny. Kiedy miała czas, oglądała z takich miejsc domy, na które nigdy nie będzie jej stać. Szukała zwykle zapalonych świateł, łatwo wtedy mogła obserwować mieszkających tam ludzi, ich zwyczaje, przyzwyczajenia i problemy. Patrzyła, zapamiętywała, a potem sprzedawała klientom jako własne, gdy pytali ją o coś osobistego.

A pytali zawsze.

Rozmowa z Dziergą nie przebiegła po jej myśli. Marta mieszkała blisko, od jej mieszkania dzielił ją raptem krótki chodnik, ulica oraz nowobogacki szlaban. Teraz zrozumiała, co pod blokiem robiła wczoraj karetka i dlaczego przyjaciółka nie odbierała telefonów.

Było jej niedobrze.

Słuchała wywodów Dziergi o szacunku, współpracy oraz rodzinie i nic z tego nie rozumiała. Uśmiechała się, przeżuując kawałki kotleta, przytakując i zapewniając o swoim oddaniu. Tak zbrukana nie czuła się od dawna. I jeszcze to zdjęcie. Fagas musiał trzymać je gdzieś przy sobie, i to od dawna. W bajeczkę o porządkach na strychu nie uwierzyła. Dzierga osiągnął swój cel, przypomniał Kaśce, gdzie jej miejsce. Według swoich standardów spełnił również dobry uczynek, karmiąc potrzebującego. Powinna być mu wdzięczna, faktycznie zapominała ostatnio o jedzeniu.

Odetchnęła głęboko po raz ostatni i ruszyła w stronę ulicy, z której uciekła przed kilkoma minutami. Spojrzała w kierunku Pieczary, ale nic nie zobaczyła; budynek ukryty za drzewami przestał stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Obita dechami buda z diabłem pod podłogą.

Odwróciła się i ruszyła do Pruszkowa. Miała na nogach czerwone tenisówki z miękką podeszwą, które teraz najchętniej zamieniłaby na coś innego. Czuła każdą nierówność podłoża. Zastanawiała się, czy ich nie ściągnąć i iść dalej boso.

Na skrzyżowaniu Kolejowej z Ceglana zobaczyła samochód. Stał dziesięć metrów w głąb wysypanej żwirem drogi. Ktoś mądry postawił przed skrzyżowaniem znak stop, by przypadkiem kierowcy nie wpakowali się na tory przecinające ulicę i biegnące od Komorowa do stacji PKP w Pruszkowie. To, że pociąg tamtędy przejeżdżał raz na pół roku i tylko w nocy, nie miało znaczenia. Straż miejska uwielbiała czaić się w tym miejscu i rozdawać mandaty jak cukierki.

Znała ten samochód.

Isuzu trooper, stary model z wielkim rurowym zderzakiem tuż przed prostokątnymi reflektorami. Budząca respekt terenówka z dwulitrowym silnikiem, pracującym teraz na jałowym biegu. Wiedziała, kto siedział za kierownicą. Widziała go już, kiedy odjeżdżali z ochroniarzem Dziergi spod jej mieszkania. Obserwowała, jak toczył się za nimi pod sam próg Pieczary. Nie pisnęła o tym Andrzejowi ani słowa.

Miała honor.

Nawet z takiej odległości poznała łysą głowę opartą o zagłówek isuzu. Adam czekał na nią. Miał przymknięte powieki. Nasłuchiwał. Wiedział, którądy będzie wracać. Zawsze obierała tę samą trasę.

Idiotka.

Powinna opuścić Pieczarę tylnym wyjściem i przemknąć się przez zapuszczone ogrody okolicznych posesji. Zamiast tego, jak ostatnia pizda, pobiegła prosto w stronę Adama. Po tym, co Dzierga jej powiedział, mogła spodziewać się najgorszego. Wprawdzie nawet przez chwilę nie wierzyła, że to on zamordował Martę, ale nie miała ochoty na przekonywanie się o swojej racji. Powinna odwrócić się i zniknąć na którejś z zachaszczonych drózek.

Za późno. Zauważył ją.

Nie musiał trąbić, krzyczeć przez uchylone okno. Jego wzrok mówił wszystko. Rozejrzała się, czy nic nie jedzie, i przeszła na drugą stronę ulicy. Pod stopami czuła nieznośne ukłucia kamyczków, którymi pokryta była Ceglana. Spojrzała na tory ciągnące się wzdłuż drogi. Pokryte rdzą, przypominały długie nitki spaghetti, rzucone niedbale między kępki suchej trawy. Samochód Adama z bliska wydawał się gigantyczny, szczególnie dla niej. Kiedy do niego wsiadała, czuła się jak mała dziewczynka, którą ojciec zabiera na przejażdżkę. Przynajmniej tak sobie wyobrażała dzieciństwo normalnych ludzi.

Tym razem nie wsiadła. Podeszła od strony kierowcy. Adam opuścił szybę, z samochodu buchnął gęsty zapach potu, papierosów i desperacji. Twarz Adama pokrywał krótki zarost, coś, na co wcześniej sobie nie pozwalał. Zawsze gładko ogolony, na całej głowie. Z opowieści Marty wynikało, że nie tylko tam

był gładziutki. Kaśka lubiła taką formę dbania o higienę. Zdarzało jej się rzucić okiem na faceta z brodą czy długimi włosami, ale brakowało im opływowości, która tak ją pociągała. Teraz Adam nie przypominał samego siebie. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy i odór odstraszyłyby nawet dziwkę spod Marriotta, a one przecież dawały każdemu, nawet politykom. I to ubranie, wytarta kurtka wojskowa. Nie został nawet ślad oryginalnego zielonego koloru. Spod niej prześwitywała mocno przechodzona koszula. Kaśka dostrzegła na niej krople krwi. Adam w ciągu doby zmienił się z wysportowanego faceta w tanią imitację De Niro z *Taksówkarza*.

– Przykro mi – zaczęła, gdy na nią spojrział. Skoro nie mogła pomóc, chciała przejąć kontrolę nad rozmową. Adam nie powinien myśleć teraz o niczym nieistotnym, jak chociażby konwenanse. – Nie wiem, co więcej mogę powiedzieć, naprawdę mi przykro.

Nie kłamała.

– Co ci powiedział?

Chropowaty głos przebił ją na wylot. Przez lata Adam wytrenował sposób wystrzeliwania informacji, by trafiały dokładnie tam, gdzie potrzebował. Konkretny, opanowany facet, który nawet teraz trzymał fason. Jego kobietę znaleziono martwą, a on siedział wyprostowany. Imponował jej. Kaśka nienawidziła facetów, którzy nie radzili sobie w życiu. Ciepłe kluchy i wymoczków zostawiała dla kur domowych. One wprost lubowały się w lepieniu od zera swoich chłopaczków, ugniatały ich jak ciasto. Kaśka nie potrzebowała faceta, a miękkiej pały tym bardziej. Sama radziła sobie doskonale. Od dawna.

– Niewiele – powiedziała. – Właściwie nic. Mówi, że się martwi. Nie odzywasz się. Unikasz go.

– Mam swoje powody.

– Wiem. To nie ty.

Nie musiał odpowiadać, nie oczekiwała od niego żadnych deklaracji. Doskonale wiedziała, że to, co chciał jej wmówić Dzierga, służyło tylko jego interesom. Szukał Adama z innego powodu. Znała metody, jakimi się posługiwał. Kiedy pojawiał się problem, człowiek za niego odpowiedzialny zniknął bez śladu. Zupełnie jak jej matka.

– Nie powinnaś tu być.

– Spokojnie, nikt mnie nie śledzi.

– Nie o to chodzi.

Wewnątrz samochodu coś zatrzeszczało. Kaśka usłyszała krótkie pomruki i kilka niewyraźnie wypowiedzianych słów. Tak jakby ktoś próbował mówić, trzymając jednocześnie przy ustach kawałek blachy falistej, która przy najmniejszym drganiu zniekształcała głos. Adam nachylił się i ściszył sprzęt leżący na siedzeniu pasażera.

– Idź już.

– O co ci chodzi? Najpierw mnie śledzisz, a teraz wypędzasz jak psa. Sądzisz,

że nie widziałam, jak jechałeś za mną aż do Pieczary? Adam, do cholery, tak nie traktuje się przyjaciół!

Wzbudzanie litości to ostateczność, do której starała się nie posuwać.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – powiedział i położył dłonie na kierownicy. Kręcił nimi w przód i w tył jak na wyzymacze. – Ty nie masz przyjaciół.

– Otaczają mnie same dupki.

Adam mówił prawdę, Kaśka nie nawiązywała zbyt wielu przyjaźni. Nie potrzebowała ich, a w szczególności takich, które przynosiły straty zamiast korzyści. Wystarczyło jej to, co miała. Z Martą i Adamem było podobnie, lubiła ich, ale wiadomość o śmierci dziewczyny nie zmartwiła jej tak, jak powinna.

– Twój wybór. – Adam wrzucił jedynkę i docisnął kilkakrotnie gaz. Silnik głośno zawył, ale pojazd nie wyrwał do przodu. – Potrzyj. Może się przydać.

Wyciągnął ze schowka zielone pudełko i podał Kaśce. Wzięła je ostrożnie. Prezent od takiego mężczyzny nigdy nie wróżył niczego dobrego. Adam był oschły i metodyczny, każdy przejaw jakiegokolwiek ludzkiego odruchu powinna traktować jako ostrzeżenie. Miała rację, w rękach trzymała małą apteczkę. Plastikowe pudełko wielkości bombonierki z imitującą biały krzyż naklejką na środku. Potrząsnęła apteczką, ze środka dobiegł dźwięk obijających się o siebie rzeczy.

– To groźba? – spytała, otwierając pudełko.

W środku zobaczyła gazę, zwinięty w rulon bandaż z kilkoma luźnymi spinkami, trójkątną chustę oraz niewielki nóż sprężynowy. Rękojeść wykonana z aluminium i drewna wyglądała jak nowa, podobnie jak ostrze ze stali nierdzewnej. Zupełnie jakby Adam nigdy nie skorzystał z noża. Kaśka знаła ten sprzęt, sama mu go podarowała na ostatnie święta. Kiedy w Pieczarze zaproponowano zakup prezentów i staromodne losowanie nazwisk, nie podeszła do sprawy zbyt poważnie. Jak co roku. Jednak wyciągając z miski złożoną karteczkę, na której ktoś koślawo napisał „Adam Kupczyk”, ucieszyła się. Wiedziała, co mu kupić. Nóż stylizowany na bagnet z AK-47 kosztował ją niecałe czterdzieści złotych, a wyglądał przy tym na dużo droższy. Teraz widziała, że ani razu z niego nie skorzystał. Ona na święta dostała wściekle pomarańczowy szalik. Ten sam, który dwa lata wcześniej sprezentowała na Gwiazdkę Jagodzie, żonie Dziergi.

– Co mam z tym zrobić? Potrzebujesz opatrunku?

Znowu usłyszała chrzęszczenie dobiegające z wnętrza isuzu. Tym razem je rozpoznała: CB-radio.

– To nie dla mnie – odpowiedział i docisnął gaz.

Isuzu zerwało z miejsca i na krótkim odcinku nabrało zaskakująco dużej prędkości. Adam spędził w kanale długie godziny, by doprowadzić samochód do stanu, który mu odpowiadał. Teraz pod maską krył się potwór i tylko Adam wiedział, jak nad nim zapanować.

Tylko że teraz na to nie wyglądało. Isuzu pędziło wprost na skrzyżowanie i szarą kię. Jej kierowca najwyraźniej respektował przepisy, bo wyhamował

pojazd do zera przed znakiem stop. Grzecznie popatrzył w lewo, potem w prawo, a kiedy zorientował się, co się dzieje, było za późno – isuzu z impetem wbiło się w przód jego samochodu.

Szarego mikrusa obróciło o dziewięćdziesiąt stopni, siła uderzenia popchnęła go na stojący przy chodniku metalowy śmietnik. Poduszki powietrzne wypełniły wnętrze uderzonego pojazdu chmurą białego pyłu. W isuzu zapaliły się światła awaryjne, mrugające jasnym pomarańczowym światłem. Adam wycofał samochód i wyskoczył miękko na asfalt. Spojrzał w stronę Kaśki i przywołał ją do siebie gestem ręki. Ociągała się.

– Szybciej! – pospieszył ją.

Jeszcze nigdy nie chciała tak szybko uciekać. Bywała w trudnych sytuacjach, ale zawsze panowała nad emocjami. Teraz stała w miejscu, nie wiedząc, co się dzieje. Nie podobało jej się to. Adam musiał wrzasnąć kilka razy, zanim zorientowała się, że to ją woła. Zacisnęła palce na apteczce i pobiegła w jego stronę.

Spod maski szarego samochodu wydobywał się biały dym, na chodniku pod jego kołami rosła ciemna kałuża. Chłodnica, maska, zderzak, błotniki, reflektory, koło, pas przedni. Minimum. Wartość części do wymiany z pewnością przekroczy każdy słupek opłacalności, jaki ma w formularzu agent ubezpieczeniowy. Kia nadawała się tylko na złom.

Adam mocował się z tylnymi drzwiami samochodu. Zatrzaśnięte od środka, nie dawały się otworzyć, po kilku szarpnięciach w jego dłoni została plastikowa klamka. Kaśka patrzyła, jak Adam rozgląda się i szuka czegoś na ziemi. Bezskutecznie. Podbiegł do isuzu i wyciągnął z bagażnika klucz do kół.

Szyba pękła na tysiące kawałeczków po pierwszym uderzeniu. Adam wcisnął się do środka i otworzył drzwi od wewnątrz. Kaśka mocniej zacisnęła palce na apteczce, gdy zobaczyła, co było transportowane samochodem.

– Nic ci nie jest? Jesteś cały?

Adam trzymał na rękach Janka. Oszołomionego, ale wyglądającego na nieuszkodzonego.

– Musimy jechać, synku – szeptał, gładząc Janka po włosach. – Żli panowie już nie zrobią ci krzywdy. Obiecuję.

Posadził malucha na tylnej kanapie i zapiął mu pas. W isuzu brakowało dziecięcego fotelika, ale Adam nie wrócił, żeby wyciągnąć taki z kii. Zajął miejsce za kierownicą i zatrzasnął drzwi.

– Zobacz, czy z kierowcą wszystko w porządku – powiedział i zamknął okno.

Trzy oddechy później Kaśka patrzyła na tylne światła isuzu znikającego za zakrętem. Zostawił ją samą w środku największego gówna, w jakim mogła się znaleźć. Pruszkowska policja chwaliła się szarymi kiami od dawna. Podobno były nad wyraz zwrotne, szybkie i niezawodne. Patrząc, jak woda z chłodnicy i olej brudzą jej czerwone tenisówki, Kaśka nie mogła powiedzieć tego samego.

Podeszła powoli do samochodu i zajrzała do środka przez rozbitą szybę. Z poduszek powietrznych uszedł już cały gaz, a na kierownicy leżał młody

chłopak w mundurze policjanta.

– Pięknie, kurwa.

Oddychał. Uderzenie było mocne, ale nie na tyle, żeby wyrzucić komuś siedzącemu w środku krzywdę. O ile miał zapięte pasy. Ten kierowca nie miał. Znad lewego oka zwawo ciurkała strużka krwi. Podobnie z nosa. Sflaczała poduszka powietrzna przykleiła się do skóry policjanta.

Kaśka wyciągnęła z apteczki gazę. Bez problemu otworzyła drzwi od strony kierowcy. Ostrożnie podniosła jego głowę, a następnie przyłożyła mu do skroni kawałek gazy. Przesiąkł krwią w kilka sekund. Zgniotła opatrunek i wyrzuciła do kosza. Kolejny złożyła na pół i przyłożyła do skóry, po czym owinęła głowę bandażem. Nie miała czasu na dopieszczanie opatrunku. Nie widziała nikogo, ale mieszkańcy okolicznych domów właśnie mogli wybierać na swoich komórkach numer 112.

Ostrożnie położyła głowę mężczyzny z powrotem na kierownicy. Bała się, że umieści ją inaczej niż poprzednio i powietrze przeszyje dźwięk klaksonu, ale usłyszała tylko ciche stęknienie. Wsadziła apteczkę pod bluzkę, wytarła najlepiej jak potrafiła i położyła na kolanach kierowcy. Potem, ściskając w rękę nóż, zaczęła biec. Chciała jak najszybciej zniknąć z ulicy.

Uciekała w stronę Pruszkowa. Potknęła się na torach, ale nie upadła. Kiedy dobiegała do zakrętu, zobaczyła zbliżającą się karetkę. Nie miała gdzie się schować. Zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy – przeskoczyła przez niewysoki ceglany mur i miękko wylądowała w głębokiej trawie po drugiej stronie. Oparła się plecami o zimne cegły. Czekwała, aż karetka minie zakręt i zatrzyma się przy wraku policyjnego samochodu.

Opanowała oddech i rozejrzała się.

Żydowski cmentarz przy Lipowej mijala wielokrotnie, ale nigdy nie miała odwagi wejść. Zresztą zamknięty był z każdej strony, jedynie niski mur od tej właśnie strony pozwalał na nielegalne dostanie się do środka. Kaśka tonęła w gąszczu wysokich traw. Obchodziła kolejne macewy, zniszczone i zapomniane przez wszystkich. Podobno co roku przyjeżdżają tu uczniowie z różnych zakątków świata, by uporządkować cmentarz, ale teraz wyglądał na zapomniany. Znalazła wysoką, niemal nienaruszoną macewę. Nie potrafiła odczytać inskrypcji, ale spodobał jej się wzór. Płytę zdobiła rzeźba przypominająca koronę, z której wychodziły dwie szarfy. Pośrodku nagrobka wyryto kłódkę otoczoną kwiatami.

Oparła się plecami o płytę. Piaskowiec był na tyle wysoki, że gdyby nawet ktoś oparł się o mur i spojrzał na rzędy nagrobków, nie dostrzegłby schowanej za nim dziewczyny. Na działce obok ujadał niewielki pies. Był wściekły, że ktoś zbliżył się do jego terytorium, które z taką pieczołowitością obsikiwał przez ostatnie lata. Był wściekły, że ludzie przechodzą obok, nie zwracając uwagi na to, jak walczy o dominację. Był wściekły, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma na nic wpływu, a każde kolejne szczeknięcie zamiast ukojenia przynosiło tylko złość.

Kucnęła, schowała nóż do torebki i wyciągnęła z niej telefon.
Też była wściekła.

Denerwuje cię to, co?

Pilsz trafił w sedno. Odczytywał emocje bez problemu. Gabriel nie radził sobie z tym najlepiej, szczególnie gdy chodziło o kobiety. Uważał, że gdyby wszyscy mówili prawdę, najlepiej prosto w twarz, świat stanowiłby piękne miejsce.

– Użyłbym innego słowa. – Gabriel przerzucił kolejną kartkę trzymanego na kolanach notesu. Poczekał, aż aparat złapie ostrość, i pacnął ikonę na ekranie smartfona. Cichy trzask, imitujący dźwięk migawki, można było wyciszyć w ustawieniach, ale lubił to małe oszustwo. Żaden aparat w telefonie nie ma tej siły co lustrzanka z dobrym jasnym obiektywem, ale ten dźwięk pieścił uszy każdego, kto choć raz trzymał przy oku zenita.

Magazyn opuścili w pośpiechu. Technicy rozstawiali już swoje zabawki, nie trzeba ich było pilnować. Gabriel obiecał, że notatnik z kucykiem na okładce dowiezie im wieczorem. Marudzili, ale wiedzieli, że komisarz i tak zrobi to, na co będzie miał ochotę. Byś poinstruował jeszcze Michała i Arka, żeby byli do dyspozycji policji. Obaj pokiwali głowami, a potem wrócili do gapienia się na pracę techników. Byś też lubił patrzeć, z jaką pieczołowitością ci faceci podchodzili do swoich zadań.

– Znalazłeś tam coś ciekawego? – Pilsz włączył kierunkowskaz i ustawił się na pasie do skrętu w lewo.

Zjazd z Alej Jerozolimskich na Reguły potrafił w godzinach popołudniowych wytworzyć korek na kilka kilometrów. Krótki pas do skrętu w lewo, krótkie światła na skrzyżowaniu i kierowcy, którzy nie rozumieją, że zielona strzałka oznacza skręt, a nie zawracanie. Teraz powinni przejechać w ciągu pięciu minut, ale po szesnastej staliby tu przynajmniej dwadzieścia. Gabriel odczekał, aż kłosa się zatrzyma, i przewrócił kolejną kartę notesu.

– Żadnych danych, telefonów, nazwisk. To wygląda jak bazgroły leworęcznego przedszkolaka. Dużo kółek, kresek i cyferek. Bardzo dużo.

– Szyfr?

– Nie wiem. – Gabriel zamyślił się. – Może. Wygląda znajomo.

Na sygnalizatorze zapaliła się zielona strzałka, Pilsz ruszył z kopyta, omijając dziury na skrzyżowaniu. Nie przewidywali już żadnych postojów. Aż do Pruszkowa droga była prosta, doskonały skrót wśród drzew i pól kukurydzy. Nawet mijając tory podmiejskiej kolejki, nie musieli zatrzymywać się przed znakiem „stop”. O tej porze pociągi jeździły co pół godziny i trafienie akurat na jeden z czerwono-niebieskich składów granoczyło z cudem. Pilsz zwolnił nieznacznie przed torami, a następnie docisnął gaz. Za kilka minut dojadą na miejsce.

– Monika powiedziała coś więcej?

Telefon Janusza zadzwonił, kiedy obaj wpatrywali się w zdjęcie znalezione w magazynie. Sierżant Ruszka wystrzeliwała z siebie informacje z prędkością trzech słów na sekundę i zanim Pilsz zrozumiał, o co jej chodzi, musiała powtórzyć wszystko dwa razy.

– Do tej pory zastanawiam się, co miała na myśli, mówiąc, że komendant osiwił. Pewnie w Warszawie takie rzeczy dzieją się cały czas, co?

– Chciałbym – odparł, patrząc na bohomyzy w notatniku.

Zdarzało się, że siedząc na dyżurze w pałacu, Gabriel miał do roboty tylko przerzucanie papierów z jednej kupki na drugą. Wciskano mu wszystko, czego nie dało rady spieprzyć. Brakowało mu adrenaliny. Prowadzenie spraw, w których sprawcą okazywał się pan Henio, dozorca z kryminalną przeszłością, nie należało do szczytów marzeń. Same proste rozwiązania. Liczył, że sprawa Marty Zręb okaże się czymś więcej niż krwawą łaźnią urządzoną przez zranionego kochanka.

– Nie mów, że niczego ciekawego nie robisz. – Pilsz nie dawał za wygraną. – Odstawili cię?

– Robota taka sama jak wszędzie – uciął.

Minęli budynek szpitala powiatowego. Na podjeździe stała ta sama karetka, która dzień wcześniej przywitała Gabriela na miejscu zdarzenia. Załoga czyściła wysłużony ambulans zielonymi jak trawa ręcznikami. Pilsz przejechał przez wiadukt nad torami kolejki WKD i zamiast skrócić w prawo do komendy, odbił na światłach w lewo. Wystarczyło pięćdziesiąt metrów jazdy ulicą Lipową, a miasto zmieniło się nie do poznania. Centrum mogło pochwalić się uporządkowanym parkiem oraz czymś na kształt deptaku, pełnego bankowych witryn, sklepów spożywczych, sklepików i kwiaciarń; była nawet księgarnia o wdzięcznej nazwie Ania. Tu jednak Janusz musiał zwolnić do dziesięciu na godzinę, by nie urwać koła. Zapuszczone domy, zapuszczone posesje. Wśród nich tylko dwa nowe, zadbane bloki. Preludium Komorowa, gdzie prawie każda posiadłość wyglądała jak wycięta z magazynu o ogrodach.

– To tam. – Janusz wyprostował rękę, palcem wskazującym brudząc przednią szybę.

Przed nimi ciągnął się długi mur, na którym ktoś nieudolnie namalował znak Polski Walczącej. Powierzchnię czerwonych cegieł rozświetlały równomierne niebieskie błyski. Wyjeżdżając zza zakrętu, zobaczyli, skąd się wzięły.

Na skrzyżowaniu stała karetka, samochód straży pożarnej, laweta oraz dwa radiowozy. Oba w stanie wskazującym na zbyt długie przebywanie na świeżym powietrzu. Byś bałby się kichnąć, stojąc obok któregoś z nich, żeby nie odpadły drzwi. Strażacy posypywali chodnik piaskiem i zamiatali rozbite szkło. Wciągnięta na lawetę kia wyglądała gorzej niż jej kierowca, na którego zapamiętanie krzyczał teraz komendant.

Pilsz zaparkował w uliczce równoległej do Ceglanej.

– To Włodczyk? – Gabriel wysiadł z samochodu. – Obaj?

– Zabawne. – Pilsz zatrzasnął drzwi. – Nie są ze sobą nawet spokrewnieni.

– Serio? Sądziłem, że to jego syn.

– Wszyscy tak myślą. Pewnie dlatego pęka mu żyłka za każdym razem, jak Junior da dupy. Tak jak teraz.

Chłopak, którego Gabriel spotkał na schodach komendy, siedział w karetce, czerwony na twarzy. Głowę miał szczelnie owiniętą bandażem, a w nos wsadzone dwa pokaźne kłaki waty. Przed nim stał komendant i wymachiwał rękami tak szybko, że trudno było za nimi nadążyć.

– Chyba mu coś pisze w powietrzu. – Janusz się zaśmiał. – Czekaj, czekaj.

Zmrużył oczy i udawał, że odczytuje pismo komendanta. Poruszał przy tym wargami i dyrygował dłonią.

– Już wiem! – Klasnęła. – Literował dokładnie, ale ominął „r”. Wyszło „spiedalaj”, ale Junior chyba zrozumiał przekaz.

Wprawdzie Pilszowi daleko było do kogoś, kto ma w sobie choć odrobinę empatii, ale nie sposób było go nie lubić. Gabriel zaśmiał się i uświadomił sobie, że zrobił to mimowolnie.

Obserwując akrobacje komendanta, zauważył stojącą nieopodal karetki Monikę. Złapał Janusza za ramię i pociągnął w stronę sierżant. Przechodząc obok ambulansu, usłyszeli słowa, których raz nieopatrzenie użył Bronisław Pawlik, pozdrawiając dzieci ze swojego okienka. Tylko że komendant Włodczyk mocno ubarwiał przekaz, używając wielu synonimów. Nikt w karetce nie wyglądał na zadowolonego.

Sierżant Monika Ruszka też. Kiedy do niej podeszli, spoglądała zakłopotana na pośladki stojącej przed nią starszej pani. Kobieta podwinęła na plecy długi granatowy płaszcz, pochyliła się i wycelowała swoje wątpliwej jakości walory w stronę policjantki.

– Widzi?

– Proszę pani, naprawdę nie ma potrzeby demonstrowania mi... tego. Zrozumiałam.

– No, ale czy widzi?

Staruszka wyglądała na osobę, która przeżyła wszystkie wojny ostatniego stulecia, a z każdej wyszła obronną ręką, dzierżąc w niej liczne trofea. Gabriel pomasaował lekko swoje plecy. Krótka podróż samochodem i wyboje wystarczyły, by ból powrócił. Patrząc na staruszkę, tworzącą ze swojego ciała idealny kąć prosty, podjął decyzję. Koniec z tabletkami. Przecież nie jest w gorszej formie niż ta babcia.

– Widzi, widzi. – Monika skapitulowała. Zamaszystym ruchem wpisała coś do notesu i głośno odchrząknęła. – Zechciałaby pani powtórzyć to samo moim kolegom?

Żrenice Janusza rozszerzyły się, a oczy panicznie zaczęły szukać czegokolwiek, na czym mogłyby się zatrzymać, byle tylko uniknąć wzroku staruszki. Na próżno, energiczna babcia wyprostowała się, poprawiła fioletowy beret i spojrzała na policjantów. W swoim wyjątkowym stroju przypominała zapomnianego przez świat francuskiego malarza kontemplującego jakiś

wybryk natury. Brakowało tylko pędzla i sztalug, ale sądząc po rozmiarze torby przewieszanej przez ramię, mogła mieć i to ze sobą.

– Jak sobie życzysz, słoneczko. – Uśmiechnęła się, prezentując wysokiej klasy protezy, a następnie uszczypnęła policzek Moniki. – Zaczęło się od dużego hałasu. Podeszłam do okna i widzę. Wypadek, stoją samochody i się dymią, to zadzwoniłam po milicję.

– Rozpoznałyby pani markę pojazdu?

– Zagraniczne jakieś, szare i duże. To małe – wskazała na odjeżdżającą właśnie lawetę – to się tylko przekręciło i trup. Dobrze, że dzieciakowi się krzywda nie stała.

Wiedzieli, że Janek został porwany. Monika powiedziała im o tym przez telefon. Cały czas jednak nie mogli zrozumieć, jak do tego doszło.

– Święta prawda – zgodził się Janusz. – Może pani opisać kierowcę samochodu?

– Z dalekam go widziała. Pan tak cały czas chodzi?

Wyciągnęła długi palec i pokazała na dłonie Gabriela. Ciągłe miał na nich lateksowe rękawiczki.

– Nie – odparł. – Potrzebowałem ich do tego.

Podniósł trzymany w dłoniach notes.

– Kucyki! – Rozpromieniła się, widząc różową okładkę. – Moja wnusia je uwielbia.

– Też ma siedemnaście lat?

– Co pan, szaleju się najadł? Pięć niedawno skończyła.

Śmiech Janusza nie wywarł na staruszce wrażenia. Prychnęła tylko i utkwiała wzrok w Gabrielu.

– Wie pan – ściszyła głos, nachylając się w stronę komisarza – widziałam jeszcze dziewczynę.

– I tu robi się ciekawie – wtrąciła Monika.

– Młódka taka. Niewysoka, ciemne włosy, ubrana jakoś tak, bez klasy. Wie pan, po młodzieżowemu.

Dla staruszki taki opis mógł oznaczać wszystko, co nie jest wełnianym kostiumem.

– A bardziej szczegółowo?

– Buty miała czerwone, z daleka widać. Spodnie podarte, obcisła bluzka. Jakby w ogóle nie miała nic na sobie.

– Uczestniczyła w zdarzeniu?

Staruszka kiwnęła głową.

– Pomogła temu biednemu chłopaczkowi, na którego krzyczy teraz wasz szef. Bandaż założyła, a potem pobiegła, o, w tamtą stronę.

Wskazała na ulicę, którą przyjechali. Lipowa była przedłużeniem Kolejowej i zaczynała się za torami. Najważniejszym punktem na niej był mur okalający stary żydowski cmentarz. Podczas wojny praktycznie nie ucierpiał. Ot, kilka śladów po kulach w czerwonej cegle. O wiele bardziej zniszczyła go chęć

zapomnienia, jaką wykazali się wszyscy wokoło i szabrownicy wrywający z ziemi nagrobki. Teraz w zmienionej formie zasiedlały cmentarze w okolicy. W wysokiej trawie stało jeszcze kilkanaście macew, które z roku na rok coraz bardziej się obsypywały. Przylegające do muru domy szczyły się za to pięknymi tynkami i wyszczotkowanymi psami, które ujadły jak chore na wściekliznę.

– Miała strasznie płaski tyłek.

– Słucham? – Gabriel musiał się zamyślić, bo słowa staruszki wydały mu się wyjątkowo nedorzeczne.

– Pokazywałam tej młodej damie. – Kobieta zbliżyła się do Moniki i pogłaskała ją po policzku. – Już ja mam pośladki w lepszej formie. Chcą panowie zobaczyć?

– Dziękuję, nie trzeba.

Gabriel i tak widział za dużo.

– Dziękujemy za pomoc. – Monika z trudem powstrzymywała śmiech. – Spisałam pani zeznania i jeżeli będziemy potrzebowali pomocy, z pewnością się odezwiemy.

Emerytka poprawiła beret, skinęła głową policjantom i ruszyła w stronę zebranych obok wozu strażackiego gapiów. Gabriel spojrzął na niewielki tłumek. W większości emerycy podpierający się grabiami, ale dostrzegł też dziwną parę. Młodszy z mężczyzn wyglądał na pewnego siebie bankowca, starszy na dyrektora lokalnej organizacji działkowiczów.

Odwrócił się do Janusza.

– Sprawdzisz ich?

Obmacała kostkę z każdej strony. Nie wyczuła niczego niepokojącego. Ból dał o sobie znać, kiedy Kaśka uspokoiła oddech. Mur okazał się wyższy, niż założyła. Opuchlizna mogła pojawić się dopiero po kilkunastu minutach, ale już teraz wiedziała, że miała dużo szczęścia. Lądowanie mogło skończyć się znacznie gorzej. Prawa stopa bolała, ale nie na tyle, by podejrzewać skręcenie stawu skokowego. Jeżeli już, to najwyżej pierwszego stopnia, powinno wyleczyć się w dwa, maksymalnie trzy dni. O ile będzie mogła pozwolić sobie na nieruszanie się z domu.

Powinna spokojnie czekać. Siedzieć oparta o zimny piaskowiec, słuchać ujadania psa i głosów roznoszących się echem po okolicy. Tylko że Kaśka nie lubiła marnować czasu. Wspięła się na mur od strony mniej uczęszczanej ulicy i zeskoczyła. Syknęła z bólu. Wylądowała niefortunnie, ale udało jej się zachować równowagę i nie zrobić sobie większej krzywdy. Odczekała, aż krążenie w nodze wróci do normy, i utykając, ruszyła przed siebie.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.

Niskie bloki z lat sześćdziesiątych mają wiele zalet. Grube ceglane mury pozwalają zatrzymać wewnątrz ciepło oraz wszelkie odgłosy, których nie

powinna słyszeć sąsiadka. Wysokie sufity oraz doskonały rozkład – na niecałych pięćdziesięciu metrach mieszczą się osobna kuchnia i dwa pokoje. Bloki nie mają za to jednego ważnego elementu. Windy. Kaśka boleśnie odczuła jej brak, wspinając się na trzecie piętro. Na półpiętrach musiała robić przystanki. Pociła się, choć miała na sobie tylko dżinsy i bluzkę.

– Dobrze się pani czuje?

Mimowolnie zmrużyła oczy.

– Doskonale, pani Matyldo – odpowiedziała, nie odwracając się w stronę sąsiadki. Włożyła klucz do zamka i energicznie przekręciła. – Miłego dnia.

Weszła do mieszkania i przekręciła zamek. Lubiła swoich sąsiadów. Nie awanturowali się, a przede wszystkim nie byli wścibscy. Ilekroć działo się u niej coś, co w normalnych warunkach wymagałoby wezwania służb mundurowych, milczeli. Szanowała ich za to i odpłacała tym samym, gdy pijany mąż Matyldy tłumaczył jej skórzanym paskiem, dlaczego nie smakował mu obiad. Żyli w symbiozie.

Odetchnęła z ulgą, siadając na krześle w kuchni. Nie zdążyła posprzątać, wycieczka do Dziergi zmieniła cały rozkład dnia. Wczorajsze urwanie filmu i noc na podłodze też, ale tym nie przejmowała się tak bardzo jak rozrzuconymi pocztówkami. Zebrała je w jedną kupkę i włożyła do pudełka. Na sam wierzch położyła nowy nabytek, zdjęcie dobitnie informujące Kaśkę, kim była jej matka. Wypieranie tej wiedzy nie miało już sensu. Do tej pory wymyśliła trzynaście scenariuszy, a każdy zakładał zupełnie inną historię. Wszystkie równie niewiarygodne, ale w żadnym nie pojawiło się słowo „dziwka”.

Zamknęła pudełko i poklepała je jak najlepszego przyjaciela. Wstała i nalała wody do plastikowej miski, którą trzymała pod zlewem. Jak każdy szanujący się pan na włościach miała tam również kosz na śmieci i przybory do czyszczenia. Do wody dorzuciła kilka kostek lodu.

– Tego było mi trzeba.

Zimny okład doskonale działał na nadwyreżone mięśnie. Powinna dosypać do wody jeszcze odrobinę soli, ale stwierdziła, że sam chłód załatwi sprawę. Z każdą sekundą czuła się lepiej.

Wysupłała z kieszeni dżinsów telefon. Wykasowała wszystkie wiadomości i sprawdziła kalendarz. Do dwudziestej miała jeszcze kilka godzin. Denerwowała się. Dzisiejsze spotkanie miało być wyjątkowe. Spojrzała na datę, zamknęła oczy i zaczęła liczyć.

– No cholera jasna!

Zerwała się z krzesła. Noga nadal bolała, ale nie na tyle, by uniemożliwić chodzenie. Włożyła botki na płaskiej podeszwie. Na wszelki wypadek z wysoką cholewką dla usztywnienia kostki. Nie miała czasu na przebieranie się, założyła tylko kurtkę i ruszyła w stronę drzwi.

Na korytarzu usłyszała chrobotanie. Wyjrzała przez judasza.

– Super.

Walkę z zamkiem przegrywał właśnie mąż Matyldy. Świętował dzień wolny

od pracy w sposób, który wychodził mu najlepiej. Stojąc za osiedlowym śmietnikiem i kontemplując cytrynowkę. W ciszy, spokoju i z daleka od żony. Kaśka wiedziała, że jeżeli chce zdążyć, powinna właśnie wychodzić z mieszkania. Nie miała ochoty na głodne spojrzenie sąsiada, którym częstował ją zawsze, kiedy się mijali.

Otworzyła szeroko drzwi. Sąsiad gwałtownie się wyprostował, rezygnując chwilowo z poszukiwania odpowiedniego klucza i pasującej do niego dziurki. Z wysiłkiem zogniskował wzrok na twarzy Kaśki i szeroko się uśmiechnął.

Wszystko gra?

– Jasne. – Monika odpowiedziała Gabrielowi bez namysłu. – Czemu pytasz?

– Wczoraj wyglądałaś na... sam nie wiem... wytraconą z równowagi? A teraz to porwanie Janka.

– Musimy znaleźć faceta, który to zrobił, i tyle. Kierowca ambulansu powiedział, że kiedy tu jechali, minęła ich terenówka isuzu. Któryś ze starszych modeli. Pruszkowskie blachy. Rzuciłam już info, a jak wrócę na komendę, znajdę ten samochód. Jestem pewna, że to partner ofiary. Kto inny chciałby porwać dziecko, które nie wydusi z siebie słowa? A wczoraj – odgarnęła włosy – miałam gorszy dzień. Poradziłam sobie.

Nie podobało mu się to, co zobaczył. Monika wyglądała na w pełni zrelaksowaną, pulsującą życiem i energią. Zupełnie jakby chciała popisać się przed nim. Przed komisarzem stała zupełnie inna osoba. Wyciągała za to poprawne wnioski. Gdyby morderca Marty chciał pozbyć się świadków, zrobiłby to na miejscu. Zabójstwo zostało przygotowane przez specjalistę, tego Gabriel był pewien, a tacy nie pozwalają sobie na błędy. Nawet jeżeli tym błędem jest zasmarkany trzyletni dzieciak.

– Cieszę się, że podeszłaś do sprawy profesjonalnie.

– Nie miałam innego wyjścia.

– Masz coś o ofierze?

– Nie będziesz zadowolony. – Wyprostowała się. – Marta Zręb nie żyje. Prawdopodobnie.

– Mogłabyś rozwinąć tę myśl? – poprosił.

– Wiem, jak to brzmi. Nie jestem idiotką, choć cały czas na to wychodzi. – Otworzyła notatnik i przekartkowała do odpowiedniej strony. – Dowód osobisty, który znaleźliśmy w mieszkaniu, pachniał jeszcze drukarnią. Tylko że dane z niego nijak się nie mają do rzeczywistości. Marta Zręb urodzona 11 stycznia 1982 roku w Warszawie. Adres w Pruszkowie, dokładnie tam, gdzie ją znaleźliśmy. Wszystko pięknie, gdyby nie to, że Marta Zręb nie istnieje. Spójrz.

Zbliżyła się do Gabriela i pokazała mu swoje zapiski. Ciąg znaków rozpisany w równych odstępach od obu krawędzi notatnika.

– To jej numer PESEL. – Wskazała na pierwszy rząd cyfr. – Spisany z dowodu. Sprawdzalam trzy razy, czy nie popełniłam błędu. Pierwsze, co się

nie zgadza, to przedostatnia cyfra. Pięć.

– Marta była facetem?

Gabriel swego czasu zainteresował się tym, co kryje się pod ciągiem jedenastu cyfr wpisanych w dowód. Początek był oczywisty. Data urodzenia, zaczynając od roku, a kończąc na dniu. Przedostatnia cyfra oznaczała płeć. On miał wpisaną siódmkę, Marta nie mogła mieć w dowodzie nieparzystej wartości.

– Błąd? – zasugerował.

– Też mi to przyszło do głowy. Ale ten numer w ogóle się nie zgadza. Przy rozpisaniu w ten sposób – zakryła kciukiem ostatnią cyfrę – dalej nic nie wychodzi. Poczytałam trochę. Każdą z tych liczb mnoży się przez odpowiednie wartości, zaczynając od jeden, trzy, siedem i dziewięć, a potem od początku jeden i tak dalej. Sumuje się wartości i bierze ostatnią liczbę z wyniku. Mnie wyszło sto dwadzieścia sześć. Szóstkę odejmuję od dziesiątki i powinna wyjść liczba kontrolna, czyli ostatnia z numeru PESEL. Wychodzi cztery, a jest pięć.

– Nadażam. Fałszywy dowód, ładnie. Chyba że nasza ofiara była jednak facetem.

– Jak to?

– Zmieniając płeć, możesz wystąpić o nowy numer PESEL. Taki ukłon naszego państwa w stronę nowoczesności płciowej.

– Cóż, widzieliśmy, jak ją wczoraj rozbierali. Z całą pewnością nie była facetem.

– Zawsze to jakiś pewnik w tym burdelu – powiedział, licząc, że Monika zrozumie żart. – Wyskoczyło coś w KSIP-ie¹?

– Wyobraź sobie, że tak.

Obok nich przeszedł Pilsz. Skończył rozpytanie, ale nie wyglądało na to, że czymkolwiek chciałby się dzielić z komisarzem. Skinął im tylko głową i pomaszerował prosto do karetki, gdzie odpoczywał komendant. Siedział ramię w ramię z rannym policjantem, na twarzy miał maskę tlenową.

– Włódczyk ma chyba spore problemy.

– Który?

Monika nie odrywała wzroku od swoich notatek. Przerzucała kolejne kartki.

– Zręb to niezbyt popularne nazwisko, wyskoczył tylko jeden rekord. Marta Zręb, uznana za zaginioną latem siedemdziesiątego szóstego. Lat dwadzieścia, pracownica fabryki ciągników Ursus, niezamężna, prawdopodobnie sierota. Śledztwa nie było, a nawet jeżeli jakieś przeprowadzono, w bazie nie ma śladu. Wiele osób się wtedy rozpląnęło. Ktoś przywłaszczył jej personalia, wyrobił fałszywy dowód i szukaj wiatru w polu.

– Pięknie, postaraj się znaleźć coś więcej.

Wiedział, że powinni sprawdzić każdy trop. Już raz coś przegapił, a skutki tego odczuwał do tej pory. Od chwili znalezienia ciała jedyne, co poruszało się do przodu w śledztwie, to czas. I nie działał on na korzyść Gabriela.

– Jasne. – Monika zamknęła notatnik. – A co z tą kobietą, którą widziała staruszka?

Chętni do współpracy świadkowie to przekleństwo policji. By znaleźć się jak najbliżej wydarzeń, skłonni są powiedzieć wszystko. Emerytki potrafiły wyrzucać z siebie zeznania tak niesamowite, że najteższy pisarz fantasta mógłby się od nich uczyć.

– Ta wyzywająco ubrana i z płaską dupą? – doprecyzował.

– Dokładnie. – Zaśmiała się. – Ale coś w tym musi być. Nie w dupie, ale w jej zeznaniach. Na kolanach Włodczyka leżała apteczka. Sprawdziłam, w bagażniku samochodu była druga. Nieruszona. Ktoś pomógł Juniorowi.

Kiedy Gabriel spotkał na schodach komendy Jarka Włodczyka, wiedział od razu, że chłopak nie należy do najbystrzejszych ludzi stąpających po ziemi. Miły i kontaktowy, ale to samo można powiedzieć o psie sąsiadów, który za hobby uznawał gonienie własnego ogona. Było oczywiste, że ranny policjant sam nie poradziłby sobie z założeniem opatrunku i znalezieniem drugiej apteczki na środku skrzyżowania. W zeznaniu staruszki musiało być sporo prawdy, ale Gabrielowi nie podobało się jej przywiązanie do detali. Zrozumiałby, gdyby rozmawiał z emerytem. Oni zwracali uwagę na najdrobniejszy szczegół kobiecej anatomii – facet nigdy nie przestaje oglądać się za kobietami.

– Podejrzewam, że nie ma co liczyć na portret pamięciowy naszej dobrej samarytanki.

– Nie wiem, kogo musielibyśmy zatrudnić, żeby narysował, cytuję... – Monika otworzyła ponownie swoje notatki. – „Taka normalna dziewczyna z prostym jak stół tyłkiem”.

Babcia miała poczucie humoru.

– Dobra, wyślij apteczkę do laboratorium, może znajdą na niej jakieś odciski. Dodaj też to. – Uniósł notatnik z kucykiem. – Masz woreczek?

Monika przeszukała chyba wszystkie kieszenie munduru, zanim trafiła na właściwą.

– Znaleziony w magazynie? – spytała, kiedy Gabriel wkładał notes do plastikowego opakowania.

– W środku jest zdjęcie ofiary. Prawdopodobnie z jej facetem. Przypilnuj, żeby technicy odesłali nam jak najszybciej fotografie tego notesu, strona po stronie. I niech powiększą to zdjęcie.

Miał je w telefonie, podobnie jak całą resztę notatnika, ale uwielbiał trzymać w palcach wywołane zdjęcia. W policyjnych laboratoriach mieli niewyobrażalne pokłady nowoczesnego sprzętu, a Gabriel i tak najbardziej wyczekiwał chwili, kiedy dostanie fotografie na biurko. Patrząc na nie, potrafił wyłapać więcej szczegółów, niż wlepiając wzrok w ekran telefonu. Nawet kiedy był na miejscu zdarzenia, lubił spojrzeć na nie później trzeźwym okiem już na papierze.

– Załatwione. – Wyprostowała się. – Coś jeszcze?

– Nie, dobra robota.

Monika rozpromieniła się. Pochwała od przełożonego, nawet nie tego bezpośredniego, potrafiła zdziałać cuda większe niż podwyżka czy karnet na siłownię. Byś dobrze o tym wiedział, sam lubił być łechtany. Najbardziej przez żonę.

– Zostajesz jeszcze?

– Tak, chciałam dopilnować wszystkiego. Chłopaki i tak zaraz będą się rozjeżdżać. Nie zostało nic do roboty.

– Informuj mnie.

Ruszył w stronę Janusza, który zatrzasnął właśnie drzwi karetki i uderzył w nie dwukrotnie. Ambulans włączył sygnał i odjechał.

– Włodczykowie w środku?

– Ta, pomarańczowi wyrzucą komendanta przy posterunku, a Junior pewnie spędzi noc na obserwacji. Dobrze, że stary nie urwał mu dupy za ten numer, naprawdę niewiele brakowało.

– Widziałem. Wiadomo, jak do tego doszło?

– Junior miał przewieźć do nas dzieciaka ze szpitala w Grodzisku. Psycholog już czekał w komendzie. Prosta robota, nie? – Gabriel kiwnął głową. – Jak już wracał, ktoś rzucił mu na bęben, że był wypadek na wjeździe do Pruszkowa i ma jechać przez Komorów. Dostał dokładną trasę, którą ma jechać. No, a kiedy zatrzymał się przed torami, przywalił w niego samochód.

– Wystawili go.

– Jak dziecko.

Kobieta ściągała pokarm z piersi, mając przyklejony do cycka plastikowy pojemnik, a do ust najsztuczniejszy uśmiech, jaki Kaśka w życiu widziała. Nawet ona udawała lepiej. Kolejny plakat wyglądał równie nienaturalnie. Na nim zrezygnowano z prawdziwej modelki, posiłkowano się rysunkami wątpliwej jakości. Samobadanie piersi było cholernie ważne, Kaśka o tym wiedziała, ale wieszanie w antyramie różowego plakatu z uśmiechniętą postacią rodem z kreskówki niczego nie rozwiązywało. Przed lustrem, pod prysznicem czy na leżąco. Znalezienie guzka w piersi nie gwarantowało takiego uśmiechu, jaki widziała na plakacie.

Miała szczęście, w co drugą sobotę gabinet otwarty był dłużej. Nie musiała się tak spieszyć, ale wiedziała, że im wcześniej to załatwi, tym więcej czasu zostanie na przygotowania. W poczekalni oprócz niej siedziała jeszcze kobieta z brzuchem wielkości przejrzałego arbuza i para zakochanych. Rozumiała intencje chłopaka, który chciał wspierać swoją dziewczynę podczas pierwszej wizyty u ginekologa. Dużo by dała, żeby zobaczyć jego minę, gdy ta młoda kobieta usiądzie na samolocie.

Drzwi gabinetu otworzyły się, lekarz wyprowadził pacjentkę. Kobieta nie wyglądała na szczęśliwą, raczej na przerażoną. Jej zielone oczy panicznie

szukały oparcia w kimkolwiek, kto akurat przebywał w poczekalni. Padło na Kaśkę. Patrzyły na siebie przez kilka sekund, a ona poczuła, że rozumie jej strach.

– Niechże się pani uśmiechnie. – Lekarz położył dłoń na ramieniu kobiety. – To cudowna informacja.

– Tak, tak. Ma pan rację – odparła, nie odrywając wzroku od Kaśki.

– Proszę zapisać się na kolejną wizytę, musimy mieć na oku tę fasolkę. Widzimy się za miesiąc.

Lekarz uśmiechnął się i lekko przesunął kobietę do przodu, by nie tarasowała wejścia do gabinetu. Zdezorientowana pacjentka cicho się pożegnała i wyszła na korytarz. Lekarz rozejrzał się po poczekalni i zatrzymał wzrok na Kaśce.

– Po receptę?

– Ten czas – odparła, nie podnosząc się z niewygodnego krzesła.

– Proszę zaczekać.

Musiała wyglądać wyjątkowo nonszalancko z nogą założoną na nogę i podskakującą na różne strony stopą. Wszystko po to, by rozruszać napięte mięśnie. Ból ustępował, ale cały czas czuła sztywność. Lekarz spojrzął na nią lekceważąco i zniknął w gabinecie.

Wychodząc z mieszkania przerobionego na gustowny gabinet ginekologiczny, Kaśka niosła ze sobą receptę oraz przeświadczenie, że kobietom w ciąży odbija. Ta z arbuzowym brzuchem prawie się rozpląkała, przeglądając gazetę motoryzacyjną, zostawioną dla nudzących się w poczekalni facetów.

Na korytarzu kamienicy poczuła zapach dymu. Nasilał się z każdym kolejnym krokiem. Przy wyjściu, tuż za nowoczesnymi drzwiami z dotykowym domofonem, stała kobieta. Ta sama, która kilka minut wcześniej wyszła od lekarza z dobrą nowiną i przerażeniem w oczach. Wpatrywała się w park po przeciwnej stronie ulicy. W jej dłoni dogasał papieros.

– Nie powinnaś palić. – Kaśka stanęła obok. – Nie jestem lekarzem, ale to chyba niezdrowe.

– Kupiłam paczkę, zanim tu przyszłam – odpowiedziała kobieta, patrząc cały czas na drzewa. – Nie palę, nigdy nie paliłam tak naprawdę. Popalałam. Trochę. Sama nie wiem, po co ją kupiłam.

– A teraz?

– Odpaliłam. Nic więcej. Na zachcianki ciążowe pewnie jeszcze za wcześnie? Chciałam... – kobieta zamyśliła się – mieć nad czymś kontrolę.

Kaśka skłonna była uwierzyć w to pokretnie tłumaczenie. Najprostsze rzeczy potrafią przywrócić ład w życiu, nawet tak głupie, jak wyłączenie budzika przed czasem czy patrzenie, jak papieros spokojnie się wypala.

– Planowane? Nie chcę się wtrącać, nie moja sprawa.

– Nie ma problemu. – Kobieta obojętniała w oczach. – Tak jakby. Chcieliśmy, chyba. Wie pani, jedni chcą i nie wychodzi, a drudzy...

Wyrzuciła papierosa pod nogi i dla pewności przydeptała.

– Pali pani?

– Tak.

– Proszę.

Wysunęła rękę w stronę Kaśki i czekała, aż ta zabierze paczkę. Papierosy z rodzaju tych, które palą kowboje, by dostać raka z przerzutami.

– Dzięki. Gwiazdka w maju.

Obie się uśmiechnęły.

– Muszę już iść. – Kaśka schowała papierosy do kurtki. – Uważaj na siebie.

– Dziękuję.

Wygrzebała z torebki paczkę gum do żucia. Włożyła do ust dwie naraz. Skinęła Kaśce głową, wyprostowała się i wyszła z bramy.

Monika siedziała przy komputerze i z zapamiętaniem bębniła w klawiaturę. Gabriel był pod wrażeniem, jej palce poruszały się z gracją przedwojennej stenotypistki. Zazdrościł. Sam często musiał spoglądać na klawiaturę i szukać wzrokiem odpowiedniego klawisza. Monika robiła to automatycznie.

– Nieźle sobie radzi.

Pilsz podniósł głowę znad swojego biurka. Siedzieli naprzeciwko siebie od godziny, każdy zajęty swoimi sprawami. Mimo zawieruchy na skrzyżowaniu komendantowi udało się wydzielić Gabrielowi osobne stanowisko do pracy. Sądząc po przyklejonej do blatu gumie, należało do Juniora, który nudził się teraz w szpitalu. Chłopak co piętnaście minut dzwonił na portiernię i dopytywał, czy komendant nadal jest zły.

Na jego miejscu Gabriel zamilkłby na najbliższy miesiąc. Podobno nie opłacono na czas składki OC. I podobno tym kimś, kto miał tego dopilnować, był Włodczyk.

– No, bystra dziewczyna. – Pilsz wrócił do przeglądania swoich notatek. – Nie sądziłem, że da radę to ogarnąć.

Na ten moment czekał. Od początku w powietrzu wisiało coś, czego Byś nie potrafił wyłapać w rozmowach i rozpoznać.

– Obchodzisz się z nią jak z jajkiem – powiedział. – Wyjaśnisz mi w końcu, o co, do kurwy, chodzi?

– Chodź. – Pilsz podniósł się z krzesła.

Zeszli do piwnicy. Janusz milczał, dopóki nie znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, przeznaczonym kiedyś na palarnię. Świadczyły o tym pożółkłe ściany, stara popielniczka w rogu i młodszy aspirant, który gdy ich zobaczył, pospiesznie zgasił papierosa i wyszedł.

– Tyle razy się im tłumaczyło, że w budynku nie wolno palić. – Janusz zamknął drzwi. W powietrzu cały czas unosił się zapach tytoniu. – Gówniarze i tak nie słuchają.

– Czemu zaciągnąłeś mnie aż tutaj?

– Bo jak obiję ryj starszemu stopniem przy świadkach, będzie afera.

To prawda. Gabriel z całą pewnością nie wyszedłby ze starcia w całości. Złamany nos seksownie wyglądał tylko na filmach. Pilsz nie ruszył jednak w jego stronę. Oddychał spokojnie i widać było, że nie bardzo chce mówić. Tym razem Byś postanowił nie naciskać. Czasem wystarczy wspólnie pomilczeć.

– Monika dopiero kilka miesięcy temu wróciła do służby. Do tej pory zajmowała się papierologią. To pierwsza sprawa, do której ją przydzielono. Pierwsza poważna.

– Wspominała o urlopie. – Przypomniał sobie rozmowę pierwszego dnia. – Co to ma do rzeczy?

Pilsz delektował dymem unoszącym się w powietrzu.

– Miałeś prawo nie wiedzieć, nie pracowałeś tutaj od – zawahał się – tamtej sprawy z dzieciobójczynią. Dużo się zmieniło, nawet wódz jest inny. Nie byłeś na bieżąco. Kurwa, zapaliłbym.

Przebierał palcami, szukając między nimi niewidzialnego fajka. Człowiek w sidłach nałogu. Gabriel włożył rękę do kieszeni, ale zorientował się, że papierosy zostawił w kurtce na górze. Wymacał tylko zgnieciony paragon, kartkę z numerem telefonu magazyniera i jakimś adresem, spinacz oraz sznurek, który znalazł w magazynie i perfidnie ukradł. To już druga rzecz w ciągu dwóch dni, pomyślał. Przejechał po znalezisku palcami. Było miękkie, dokładnie takie, jakie zapamiętał z dzieciństwa. Dziwnie go uspokajało, choć podejrzewał, że to stan przejściowy.

– Monika straciła dziecko. Pierdolony kierowca nawet się nie zatrzymał. Do szpitala zawiozła ją dziewczyna, która znalazła ją na ulicy.

– Kurwa.

– Czwarty albo piąty miesiąc – dodał. – Widać już było.

Teraz rozumiał. Monika zachowywała się na miejscu zbrodni jak matka, bo nią była. Niepełną, ale wiedział, że to nieistotne. Takiej straty nie da się odchorować, przeboleć i zapomnieć. Sierżant do końca życia będzie budziła się rano, jadła śniadanie, przygotowywała do pracy i uśmiechała, siedząc ze znajomymi w knajpie. Będzie też płakać po nocach, trzymając się za podbrzusze i przeklinając.

– Ja pierdołę. – Gabriel nie mógł pojąć, dlaczego przydzielono ją do tej sprawy.

Niby nikt nie mógł założyć, że sierżant po wyjściu z komendy trafi od razu na zakrwawione dziecko, ale...

– Teraz rozumiesz?

– Czemu Włodczyk jej nie odsunął? Przecież wiedział o wszystkim. Kurwa, wiedział też o Janku. Czemu nie połączył faktów?

– Nie mógł jej dawać dłużej taryfy ulgowej. Wykorzystała urlop, zwolnienie lekarskie. Miała do wyboru: albo wrócić do pełnej dyspozycji, albo szukać nowej roboty. I tak Włodczyk długo trzymał ją z dala od gówna. Musiał się w końcu ugiać. Naciski z góry. Sam wiesz, psem jest się całe życie, nie mogła

zrezygnować.

Wiedział, sam też nie wyobrażał sobie innego życia. Wstawał i żył dla tej pracy. Pilsz musiał czuć to samo.

– I nie traktuj jej ulgowo. Żadnych forów, rozumiesz? Jak się dowie, że ci powiedziałem, dobiere mi się do dupy. Uwierz mi, laska potrafi być mściwa.

– Jak każda. Złapaliście kierowcę?

– Nie. Monika nie pamiętała praktycznie nic z wypadku. Tylko tyle, że kierowcy coś się świeciło na ręce. Zegarek lub biżuteria.

Drzwi pomieszczenia otworzyły się i do środka wsunęła głowę Monika.

– Co knujecie, chłopaki?

– Wiesz, męskie sprawy. – Pilsz wyprostował się i przykleił do twarzy uśmiech. – Kobiety głównie.

– I samochody – dodał Gabriel. – Masz coś?

Dziewczyna weszła do środka i nonszalancko wyciągnęła papierosy z kieszeni munduru.

– Co ci mówiłem? Jak chcesz jarać, idź na zewnątrz.

– Nie unoś się. – Wycelowała paczkę w stronę Pilsza. – A, przepraszam, zapomniałam.

Prychnął żartobliwie, choć jego palce dalej próbowały skrzesać ogień. Jeżeli za chwilę nie przestaną się o siebie ocierać jak koty w marcu, naprawdę to zrobią.

– A ja, jeżeli pani pozwoli, z przyjemnością.

Podawała Gabrielowi paczkę i solidarnie zapalili. Monika pierwszy obłok dymu wydmuchnęła prosto na Janusza.

– Chryste, dobijacie mnie – powiedział i odsunął się pod samą ścianę. – Mów lepiej, co masz.

– W Pruszkowie są zarejestrowane trzy isuzu pasujące do opisu. Jedno należy do zapalonego wędkarza, któremu notorycznie wypisujemy mandaty za nieprawidłowe parkowanie. Drugie od kilku dni stoi w warsztacie, przynajmniej tak twierdzi właściciel. A trzecie jest nasze.

Brak otwieranych okien w pomieszczeniu zaczynał dawać się wszystkim we znaki.

– Skąd ta pewność? – Gabriel zgasił niemal całego papierosa w popielniczce. Nawet dla niego stężenie dymu było za wysokie.

– Nazwij to kobiecą intuicją. – Z tylnej kieszeni wyciągnęła złożoną na pół kartkę. – Mam adres.

Rozprostowała wydruk i z dumą zaprezentowała zdjęcie mężczyzny.

– Poznajecie?

Triumf.

Stopa nadal dokuczała, ale już nie tak jak przed kilkoma godzinami. Mieszkanie wreszcie wyglądało na wysprzątane. Odkurzyła, zmyła podłogi

i starła z lustra w łazience ślady po szamponie. Doprowadziła kuchnię do ładu, a na łóżko założyła nowe prześcieradło. Pościel również zmieniła. Z czerwonej na zieloną. Potrzebowała kojącego koloru, który przełamie biel ścian i da w nocy odpowiedni odbłask.

Jeżeli wszystko pójdzie po jej myśli, wyrzuci ją następnego dnia.

Sprzęt sprawdziła wcześniej, nie mogła pozwolić na to, że cokolwiek zawiedzie. Odkładała na niego przez kilka miesięcy. Oszczędności nie tknęła. Musiała jednak ograniczyć wydatki, szczególnie te ubraniowe. Z papierosów nie potrafiła zrezygnować, za bardzo lubiła palić. Tej ostatniej przyjemności nie mogła sobie ot tak odebrać. Nic tak nie pomagało jej się obudzić, jak poranny dymek.

Stała w sypialni i patrzyła przez okno na biegające po placu psy. Pluszowy miś siedzący na parapecie wlepił w nią plastikowe oczy. Podniosła go i odwiązała zieloną kokardę. Tę samą, którą zawiązała na jego szyi, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wyciągnęła z kieszeni nóż. Ostrze świsnęło, Kaśka przejrzała się w wypolerowanej stali, a następnie bez wahania wbiła ją w brzuch pluszaka. Sentymenty będą musiały poczekać, pomyślała, patrząc na rozbebeszonego zwierzaka.

– Wybacz, Teddy. – Pogłaskała czule maskotkę po głowie. – Wyższa konieczność.

Kamera mieściła się w dłoni. Cztery centymetry wysokości, dwa grubości. Kiedy odpakowała paczkę, nie mogła uwierzyć, jak małe mogą być takie urządzenia. Zanim zdecydowała się na zakup, spędziła długie godziny na forach internetowych. Chciała znaleźć coś, co za stosunkowo niewielkie pieniądze spełni jej oczekiwania. PD-99 PolicePV okazało się strzałem w dziesiątkę. Niedużą rozdzielczość rekompensowała liczba klatek na sekundę oraz długi czas w trybie oczekiwania. Sto dwadzieścia godzin to o jakieś sto dziewiętnaście więcej, niż potrzebowała.

Kupiła od razu pięć.

Wydała prawie pięć tysięcy. Nie żałowała. Miesiące oszczędzania i wyrzeczeń zostały w pełni zrekompensowane. Teraz mogła nagrać prawie godzinny film na każdej z kamer. Nie potrzebowała aż tyle czasu, potrzebowała czegoś tak małego, że nikt nie dostrzeże obiektywu skierowanego na podskakująca dupę. Szkoda jej było tylko Teddy'ego, jedyne go faceta, który nigdy jej nie skrzywdził.

Umieściła kamerę w jego brzuchu i zszyła zabawkowe ciało. Obiektyw z daleka wyglądał jak guzik. Zawiązała na szyi miśka kokardę.

Idealnie.

Teddy usiadł na środku komody, rozkładając szeroko pluszowe nogi, a jego martwe oczy spoglądały wprost na łóżko. Kolejną kamerę umieściła w salonie, wciśniętą między książki. W kuchni sprzęt zakrywały liście rozrośniętej bazylii, a w łazience znalazło się miejsce w przewodzie kominowym. Dokładnie wyczyściła klatkę wentylacyjną, zanim wsadziła za nią sprzęt wart tysiąc

złotych. Ostatnią kamerę położyła na parapecie w sypialni. Przykryła ją apaszką. Chciała, żeby ta została znaleziona. Stratę wliczyła w koszty przedsięwzięcia.

Wypróbowała wszystkie.

Kamery test przeszły pozytywnie.

Teraz pora na nią.

Może powinniśmy wezwać kominiarzy – powiedziała z wahaniem Monika.

Dla Gabriela wciąż stanowiła zagadkę, przy której Pilsz wyglądał jak otwarta księga. Chciał porozmawiać z Moniką na osobności, powiedzieć, że wie o stracie dziecka. Nic więcej. Zanim jednak to zrobi, musi się upewnić, że nic tym nie zepsuje.

Potrzebował porady kogoś mądrzejszego od siebie.

Potrzebował Alicji.

– Zanim chłopaki z AT dojadą, będzie już dawno po zawodach. – Pilsz przejechał dłonią po czaszce. – Zresztą nie wiadomo, czy facet jest w mieszkaniu. Ja na jego miejscu już dawno bym się zwinął.

Ściany klatki schodowej odbijały każde jego słowo, zwielokrotniając je echem w nieskończoność. W środku mógł na nich czekać porywacz Janka.

– Janusz ma rację. – Gabriel odpiął skórzane zapięcie kabury. Sam ją kupił, za swoje pieniądze. Te z przydziału wycierały się po tygodniu, a twarde plastik nie pozwalał na szybkie wydobycie broni. – W miejscu zameldowania po tym, co się stało na przejeździe, zostałyby tylko skończony idiota. A on na takiego nie wygląda.

Pod palcami czuł chłodny metal i żebrowania na lufie walthera P99. Broni, której poza strzelnicą i regularnymi badaniami sprawnościowymi użył tylko raz. Lubił mieć ją przy sobie. Przy pierwszej okazji złożył odpowiednie pismo i nie musiał już zostawiać pistoletu na komendzie. Nieraz kusilo go, by zamiast perswazji słownej użyć tej dziewięćmilimetrowej. Powstrzymywał się, ale gdyby nie antystresowy system spustowy walthera, telewizja w zeszłym roku mogłaby pokazywać ujęcia z Pragi i ciało przykryte czarnym workiem. Byś przypomniał sobie tamtą sytuację, spoglądając na plecy stojącego przed nim Pilsza.

Wtedy też wchodzili do mieszkania. Mieli po prostu wejść i wyjść z podejrzanym zakutym w kajdanki, a Gabriel omal nie odstrzelił facetowi pół twarzy. To, że język spustowy w P99 ma do przebycia dłuższą drogę niż w glocku, uratowało podejrzanemu życie, a jemu resztki kariery. Okazało się, że to, co widział w dłoni tamtego, było tylko repliką, nie prawdziwą bronią.

Czwarte piętro bez windy.

Ostatnie w bloku z lat osiemdziesiątych, który wyglądał jak większość w tej części Pruszkowa. Dwukolorowy – szary wymieszany z brudem plus dziwny odcień fioleto pod oknami – nie różnił się niczym od wielu innych rozsianych

po całym mieście. Poza tym, że na jegoklatce schodowej zamiast pijaków do ścian kleili się policjanci.

Drzwi zadrżały od uderzenia pięścią Pilsza.

– Policja, otwierać!

Gabriel stał na schodach, trzymając cały czas rękę na broni. Monika zatrzymała się na półpiętrze i obserwowała klatkę schodową. Spodziewali się sąsiadów, wystawiających głowy z mieszkań zabezpieczonych podwójnymi drzwiami, ale nie wyjrzał nikt.

– Otwierać! – Byś też podszedł do drzwi, uderzył pięścią na wysokości zamka. Drgnęły, między nimi a framugą pojawiła się wąska szpara. – Policja!

Nic, cisza. Pilsz cały czas trzymał glocka wycelowanego w wycieraczkę z napisem „Witajcie”. Nie czuli się zbyt pewnie. Nie znali rozkładu pomieszczeń, nie mieli pojęcia, ile osób może znajdować się wewnątrz. Janusz naparł całym ciałem na drzwi. Jako jedyne na klatce nie zostały wymienione na nowe. Właściciel mieszkania nie dokupił mocniejszych, wyposażonych w zamki, których nie da się łatwo otworzyć. Albo nie miał nic wartościowego, albo nie musiał się obawiać, że istnieje jeszcze ktoś na tyle głupi, żeby wchodzić do niego bez zaproszenia.

Drzwi ustąpiły i Janusz ostrożnie wsunął się do środka. Byś dwa kroki za nim. Sprawdził, czy w lufie jest nabój; nawyk ze szkoleń. Klepka podłogowa skrzypnęła pod nogami Pilsza. Po lewej miał kuchnię, zajrzał do środka, pokręcił głową i ruszył dalej. Salon, pokój, łazienka.

Mieszkanie było puste.

– Przynajmniej nie jebie trupem. – Janusz schował broń do kabury.

Gabriel wszedł do kuchni. Przyłożył dłoń do stojącego na kuchence czajnika, z którego płatami odchodziła emalia.

– Zimny i pusty. Jak całe mieszkanie. – Za taką kwestię powinien dostać posadę tekściarza w Comie. – Wygląda, jakby nikogo tu nie było od tygodni.

Żadnych sztućców w metalowej ociekarce przy zlewie. W każdej otwartej szafce ledwie śladowe ilości kurzu.

– Może je komuś wynajmował? – Pilsz wrócił z łazienki; Gabriel słyszał teraz bulgotanie wody, ponownie napełniającej rezerwuar. – Albo lubi minimalizm. Wiesz, styl skandynawski.

– Trzeba sprawdzić agencje nieruchomości i portale ogłoszeniowe, może dostaniemy jego numer telefonu.

Wchodząc do mieszkania, Monika głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Mogliście dać znać, że wszystko gra – powiedziała z wyrzutem. – Martwiłam się.

– Panienska wybaczy. – Pilsz kciukiem majstrował przy swoim telefonie komórkowym. – Właśnie muszę oznajmić kilku osobom, że sobotnie popołudnie spędzą, babrząc się w kurzu. Od początku wiedziałem, że gównu tu znajdziemy.

To samo pomyślał Gabriel, kiedy Monika pokazała im znaleziony adres i zdjęcie z prawa jazdy. Imię właściciela zgadzało się z tym, które znalazł

w magazynie, a nawet z danymi z dowodu rejestracyjnego isuzu. Adam Kupczyk najpewniej znał ofiarę, prawdopodobnie porwał Janka, ale z całą pewnością w swoim mieszkaniu nie postawił nogi od kilku dni. To wszystko nie stanowiło jednak dowodu na to, że uczestniczył w zabójstwie Marty. Ani że w ogóle przebywał wtedy w okolicy.

– Janusz robi się ciut nerwowy, jak nie ma pod ręką batona. – Monika puściła oko do Gabriela.

– Zauważyłem. Nie marnujmy czasu.

Podzielili się. On wziął salon, Monika poszła do sypialni. Gabrielowi spodobał się wystrój. Na środku stała kanapa, pod ścianą szafa. Najprostsza i najtańsza ze sklepu, gdzie można też zjeść hot doga za złotówkę. Ciemnobrązowy mebel pokrywała warstwa kurzu, jedynie okolice uchwytów nosiły ślady niedawnego używania. Byś założył rękawiczki i zajrzał do środka. Na wieszakach w równych odstępach wisiały koszule. Markowe, a co więcej, wyprasowane. Jego własne próby z żelazkiem skończyły się, kiedy Alicja zleciła mu wyszykowanie jej ulubionej sukienki. Od tamtego czasu miała już inną. Podobnie jak deskę do prasowania oraz żelazko. Gabriel miał za to spokój.

Jedna z koszul wyglądała inaczej. Biała z pagonami. Przyjrzał się jej dokładnie. Wojskowa, zakładana na specjalne okazje. Pasowała do wiszącego obok munduru. Khaki w odcieniu piasku. Znał te barwy, widział je wielokrotnie w telewizji, kiedy pierwszy polski kontyngent został wysłany do Afganistanu. Uświadomił sobie, że minęło już ponad dziesięć lat. Polakom wystarczyło pięć, by pierwszy żołnierz wrócił w trumnie. Mundur, który oglądał, nosił ślady walki. Dziury w rękawie i poniżej prawej pachwiny mogły pochodzić od kul. Wygląda na to, że Adam wstawił się za krajem, kiedy ten poszukiwał demokracji kilka tysięcy kilometrów na południowy wschód.

– Wojskowy? – Monika weszła do salonu, kiedy Gabriel nurkował w szafie.

– Na to wygląda. Znalazłaś coś w sypialni?

– To pokój Janka – odpowiedziała poważnie. – Urządzony jak z katalogu, wszystko nowe, czyste i chłopięce. Rzadko używane, moim zdaniem.

Teraz mógł z nią porozmawiać. Pilsz wrzeszczał na kogoś przez telefon, a oni mieli chwilę dla siebie. Monika znów przypominała wycofaną dziewczynę, której ktoś wyrządził ogromną krzywdę.

– Słuchaj. – Zamknął szafę. – Jeżeli to dla ciebie za dużo, powiedz.

Przełknęła głośno ślinę i wyszła z salonu. Nie wiedział, czy powinien za nią iść. Nigdy nie był w tym dobry. W odgadywaniu intencji oraz uczuć kobiet. Zanim zdecydował się na cokolwiek, Monika wróciła, trzymając w rękę oprawioną fotografię.

– To na pewno nasz facet. – Podała ramkę Gabrielowi.

Zobaczył mężczyznę trzymającego niemowlaka na rękach i wpatrującego się w malutkie ciało z takim uwielbieniem, że zrobiło mu się głupio. Czuł, że wchodzi w bardzo osobistą przestrzeń Adama. Ale też wiedział, że im lepiej go pozna, tym większa szansa na odnalezienie. Zarówno jego, jak i Janka.

– Jeżeli to zawodowy wojskowy, możemy mieć problem. Facet dobrze wie, jak zniknąć.

– Po urządzeniu mieszkania widzę, że to rasowy samiec. Słyszałam, że wojskowi po powrocie z misji śpią na podłodze, bo nie mogą się przyzwyczać do wygodnego łóżka. W warunkach polowych nawet to szare coś pretendowałoby do królewskiego łoża.

Nie skomentował. Sam miał w salonie identyczną kanapę, tylko w innym kolorze. Zaskakujące było to, jak niesamowicie wygodny był to mebel. To nie to samo wprawdzie co łóżko z materacem, ale po ostatniej nocy na kanapie uświadomił sobie, że czasami jednak podejmuje dobre decyzje. Spierali się o nią z Alicją, ale nie ustąpił. Wiedział, że to nie jego lokum, a sam ślub niewiele tu zmienił. Na papierze to ona widniała jako właściciel. On tylko chciał mieć w mieszkaniu coś swojego, urządzonego po męsku. Skończyło się na kanapie i kąciku majsterkowicza w piwnicy, z którego nigdy nie korzystał. Trzymał tam kije golfowe.

– Co dalej?

– Znajdziemy go – odparł.

– Wygląda na to, że wszyscy chowają w szafach jakieś tajemnice.

Podeszła bliżej. Czuł jej perfumy. Ostre, gryzące, nie pasowały do młodej dziewczyny. Chętnie poczułby od niej coś cytrusowego, wnoszącego radość. To, co wdarło się do jego nozdrzy, nieprzyjemnie je podrażniło.

– A ty gdzie chowasz swoje?

– W doniczce – odparła bez namysłu. – A ty?

– W szafce z przyprawami.

Kucnął przy kanapie i otworzył leżącą przy niej sportową torbę.

– Jezu! – Odsunął głowę, zasłaniając nos.

– Co tam masz? – Monika podbiegła i stanęła nad Gabrielem. – Głowa?

– Podoba mi się twój tok myślenia – włożył dłoń w otchłań – ale tym razem muszę cię zawieść.

Złapał znalezisko dwoma palcami i powoli wyciągnął na zewnątrz.

Koronkowe czerwone majtki.

Leżały niemal idealnie. Kręciła się przed lustrem w łazience, próbując uchwycić najlepszy widok. Złapała się za pośladki i podciągnęła je odrobinę do góry. Wiedziała, że tak wyglądałyby o wiele lepiej. Nie miała kasy na operację plastyczną, a przytycie nie wchodziło w grę. Każdy dodatkowy kilogram lądował na brzuchu Kaśki, szerokim łukiem omijał piersi, o tyłek też nie zahaczał. Puściła pośladki i przyłożyła ręce do piersi.

– Co za niesprawiedliwość. – Obróciła się po raz kolejny, zupełnie jakby odbicie w lustrze mogło się zmienić. – Ale nie jest źle.

Francuskie figi to był doskonały zakup. Musiała przyznać, że wycięcie na pośladkach, nienachalnie eksponujące skórę, dodawało dużo seksapilu.

Zależało jej na tym. Wsmarowywanie w siebie tych wszystkich balsamów w końcu się opłaciło. Przejechała palcem po pośladku. Był gładki. Dla pewności ogoliła nogi, choć po kosztownych zabiegach z laserem miała spokój. Względny. Niektóre włoski co prawda wciąż odrastały, ale przynajmniej zniknęły krosty, które wyskakiwały na nogach i wzgórkach zaraz po goleniu. Bycie brunetką ma jednak sporo wad.

Mogła przystąpić do makijażu. Lekkiego, nie chciała wyglądać ordynarnie. Kiedy w podstawówce ogromna baba z wąsem przyłożyła jej linijką po raz pierwszy, w tydzień nauczyła się pisać prawą ręką. Nauczycielka nadal sprawiała jej problemy, ale nie czepiała się już przynajmniej tego, że była mańkutem. Teraz oburęczność się przydawała – kreski pod oczami wychodziły niemal symetryczne. Na szczęście nie musiała używać podkładu.

Wsunęła się w czarną obcisłą sukienkę. Zrezygnowała ze stanika. Dzisiejsza randka potrzebowała odpowiedniej oprawy, a sterczące pod cienkim materiałem sutki ją gwarantowały. Właśnie po to przewietrzyła mieszkanie, wpuszczając wieczorny chłód. Samonośne pończochy dopełniły dzieła. Zrobiła dwa kroki w tył.

– I o to chodziło – powiedziała, obracając się na pięcie.

Schowała kredkę do szafki i włączyła suszarkę. Ledwo poczuła na głowie pęd gorącego powietrza, rozległo się pukanie do drzwi. Wyłączyła sprzęt, wrzuciła do szafy i założyła buty na obcasie. Kolejny trafiony wydatek: łydki napinały się, a pośladki wyglądały na jędrniejsze.

– Jesteś przed czasem.

Na klatce schodowej stał facet, który rano zawiózł ją do Dziergi. Tym razem w zwykłych dżinsach, podkoszulku i bluzie. Wszystko w czarnym kolorze. Wyglądał nijako, ale spod rękawa cały czas wystawał mu idiotycznie drogi zegarek.

– Co tu robisz?

Wszedł, odsuwając Kaśkę na bok, i zatrzasnął drzwi.

– Hej, co jest, kurwa?

Zignorował ją. Wszedł do kuchni i zaczął grzebać w szafkach. Otwierał je jedna po drugiej i zaglądał do środka. Kaśka stała w progu, obserwowała. Wiedziała, że jak dobrze poszuka, znajdzie kamerę. Podeszedł do okna i wetknął palce do doniczki. Kiedy się odwrócił, w ręku trzymał drogocenną zabawkę.

– Gdzie jeszcze?

Kamera łupnęła o płytki podłogi i rozpadła się na kawałki.

To wszystko? – Monika nie kryła rozczarowania.

Chyba liczyła na to, że w mieszkaniu Andrzeja znajdą Janka, a jego ojca wyprowadzą w kajdankach. Potem połączą go z morderstwem Marty, komendant poklepie ją po ramieniu i wręczy medal.

Nie w tym życiu.

– Pół dnia z dupy.

– Coś tam mamy – pocieszył ją Gabriel. – Adam był wojskowym, to znacznie ułatwi poszukiwania. Jeżeli był na misji w Afganistanie, to już w ogóle. Chyba że zieloni się wyprą i nam nie pomogą, wiesz, jacy są. No i ta torba.

Wyciągając z niej przepocone, cuchnące rozjechanym szopem spodenki, nie przypuszczał, że cokolwiek wniosą one do śledztwa. Na samym dniu znalazł jeszcze ulotkę lokalnej siłowni. Przygotowaną z absolutnym brakiem gustu w darmowym programie graficznym. Zdjęcie wysmarowanego olejkami napakowanego kołosa z doklejoną do bicepsa kobietą o ujemnej ilości tłuszczu w organizmie. Zapamiętał, żeby Muskuła omijać z daleka.

– Mam jechać z wami?

– Nie. – Wyciągnął z kieszeni paragon i podyktował dziewczynie ciąg cyfr. – Skontaktuj się z operatorem i sprawdź, gdzie logował się ten numer w noc morderstwa. To telefon Michała, tego chłopaka, co znalazł ciało.

Jeżeli okaże się, że znajdował się w okolicy osiedla Marty, będzie punkt zaczepienia. Kolejnym będą wyniki sekcji, o ile Anna po jego docinkach zdecyduje się na jej przeprowadzenie.

– Podejrzewasz go?

– Kręci, jestem tego pewien. Nie wiem tylko w jakiej sprawie.

– Sprawdź. – Zamknęła notes. – To trochę zajmie. Znasz ich. Spróbuję też znaleźć coś o Kupczyku, mam swoje dojścia. Jutro będziesz?

– Po południu. – Postawił kołnierz kurtki. – Jeżeli będziesz mnie potrzebowała, dzwoń. Dopilnujesz wszystkiego?

– Możesz na mnie liczyć.

Nie chciał zostawiać Moniki samej, ale był umówiony. Technicy, którzy teraz zabezpieczali ślady w mieszkaniu Adama Kupczyka, oprócz walizek pełnych magicznych przedmiotów przywieźli ze sobą jeszcze coś: informację z laboratorium. Sprzęt, który znaleźli w mieszkaniu Marty, do niczego im się nie przyda. Z laptopa wymontowano dysk, telefon został gruntownie wyczyszczony. Nie zostało na nim nic, przynajmniej zdaniem policyjnych magików.

– Dobranoc. – Wsiadł do samochodu i od razu ruszył.

Wiedział, że to głupie, ale obawiał się powrotu do domu. Poranna kłótnia z Alicją rozstroiła go. Żona przez cały dzień zaprzętała mu głowę, schowana za myślami o śledztwie podszeptowała, by bardziej się starał. Jakby o tym nie wiedział. Ciągle słyszał jej głos, który nie brzmiał już tak kojąco jak kiedyś. To, że wejdzie do mieszkania tylko na chwilę, z pewnością pogorszy sytuację.

Samochód zaparkował kilkaset metrów od klatki schodowej. Znalezienie miejsca przed blokiem po siedemnastej nawet w weekendy graniczyło z cudem. Gdyby Szawicki, marudny staruszek z szóstego piętra, nie tarasował jednego z nich, wszystkim żyłoby się lepiej. Szczególnie że dziadyga praktycznie w ogóle nie korzystał z samochodu. Pucował jedynie swoje czerwone cinquecento raz na tydzień i sprawdzał ciśnienie w oponach. Mijając jego

pojazd, Gabriel mimowolnie zaciskał zęby.

Czerwona strzała stała na wprost wejścia do klatki.

Wjeżdżając na siódme piętro, wysłał esemesa do Roberta, że niedługo będzie. Zanim otworzył ciężkie, metalowe drzwi windy, otrzymał odpowiedź: „Weź wooda”. Dobra decyzja, pomyślał i wszedł do mieszkania.

Pachniało cynamonem.

Nie ściągnął butów. Ruszył od razu w stronę kuchni, skąd dolatywał coraz mocniejszy „jabłecznikowy odór”. Ulubione określenie Alicji na przyprawę.

Siedziała przy stole. Na blacie w dwóch równych rzędach leżały tabletki tramalu. Czekwała na niego jak matrona, brakowało tylko wałka do ciasta spoczywającego na kolanach. W oczach Alicji coś się zmieniło. Zieleń tęczywki pociemniała i nie było to spowodowane ciemnościami panującymi za oknem. Dopiero teraz Gabriel uświadomił sobie, że dochodzi dwudziesta druga, a on cały dzień milczał.

Zegar wiszący na ścianie niebezpiecznie głośno tykał.

– Miałeś to wyrzucić. – W głosie Alicji panowała chłodna obojętność.

– Sprawdzasz mnie?

– Miałam ochotę na herbatę.

Podniosła się z krzesła i podeszła do okna.

– Nienawidzisz cynamonu. Zresztą to na czarną godzinę – powiedział do jej pleców, zgarniając tabletki do kieszeni. – Nie podoba mi się, że mnie sprawdzasz.

– A co? Nie mogę mieć cholernych zachcianek? – Odwróciła się gwałtownie.

– Wyszło na to, że miałam rację. Nie rzuciłeś.

Żadne z nich nie dopuszczało ustępstw, na pewno nie w pierwszym starciu.

– Mówiłem już. To na czarną godzinę.

Podniósł kubek i powąchał. Mocna woń cynamonu drapała nozdrza, uwielbiał tak przygotowaną herbatę.

– A od kiedy tak zmieniasz zdanie, co?

Podszedł bliżej. Chciał ją przytulić i załagodzić spór, zanim zdąży przerodzić się w coś gorszego. Rano dostatecznie dużo nabroił. Złapał dłoń Alicji i poczuł coś jeszcze.

– Jarałaś?

– Nie.

Zbyt szybko odpowiedziała.

– Rzuciłaś przecież.

– I ty śmiesz mnie pouczać! – Odsunęła się. – Nie mogłam zmienić zdania?

– Jak z...

– Jak, kurwa, z pieprzoną herbatą! Coś się może zmienić, rozumiesz? Czasem coś się, kurwa, zmienia.

Wolał się wycofać. Alicja powinna ochłonać, on tym bardziej. Wyciągnął z szafki pod zlewem torebkę z nakrętkami i włożył do kieszeni kurtki całą garść. Zanim powiedział o jedno słowo za dużo, był już w przedpokoju. Wziął

klucze od swojej majsterkowni w piwnicy i zatrzasnął drzwi mieszkania. Zbiegając po schodach, myślał tylko o kijach i o tym, że jak w nic nie przywali, to oszaleje.

Krążył po mieszkaniu z furią bijącą z każdego kroku. Kaśka wodziła za nim wzrokiem, ale unikała patrzenia w oczy. Woląta nie prowokować. Zdarzało się, że wybijano jej takie spojrzenia razem z kilkoma palcami. Kamerę w kuchni znalazł bez problemu, w salonie zajęło mu to dwie minuty, w łazience sześć, w sypialni niemal natychmiast.

Każdą ciskał na podłogę. Po całym mieszkaniu walały się śrubki, kawałki szkła i plastiku. Kaśka uważnie patrzyła pod nogi. Wysokie szpilki same robiły dostatecznie dużo szkód drewnianym panelom, by dodawać do tego jeszcze wbite w nie metalowe części. Ochroniarz obszedł mieszkanie dwukrotnie, zanim wyciągnął z kieszeni telefon.

– Już – rzucił do słuchawki i natychmiast się rozłączył.

Wykorzystała fakt, że się rozluźnił. Przejechała dłońmi po biodrach. Ruch podpatrzyła u Jessiki Rabbit, najseksowniejszej rysunkowej sukki w historii. Lepiej by wyszło w czerwonej koktajlowej sukni, ale mężczyźnie i tak bardzo się spodobało.

– No co? – Nachyliła się. – Pobrudziłam się gdzieś?

Nie miała wielkiego wyboru, udawanie idiotki działało na większość facetów. Uruchamiało w nich potrzebę opieki nad zagubioną niewiastą. W zamian liczyli na miły i szybki stosunek. Szczególnie ci głupsi.

Czekając na spotkanie, denerwowała się bardziej niż przed pierwszym razem. Tutaj nie mogły się zdarzyć żadne pomyłki, nieprawidłowe ruchy i źle ułożone uda. Była przygotowana.

Trenowała.

Mimo to wciąż czuła niepokój. Na ucieczkę było za późno. Kiedy drzwi do jej mieszkania otworzyły się, nie miała już wyboru. Do przedpokoju wszedł postawny mężczyzna. Dobiegał sześćdziesiątki, podobnie jak Dzierga, ale w przeciwieństwie do niego emanował pozytywną energią. Nie niwelował jej nawet ogromny wieśniacki wąs, pokryty nikotynową żółcią. Gdyby nie dopasowana koszula, wyglądałby na klasycznego hydraulika z opadającymi spodniami. Roczewski powolnym ruchem zdjął z nosa okulary w grubej oprawie, złożył je i podał ochroniarzowi. Szepnął mu coś do ucha i ten natychmiast wyszedł do sypialni. Kaśka wypięta pierś do przodu.

– Myślałaś, że nie sprawdzę mieszkania? Nie jesteś pierwsza.

– Kobieta musi umieć o sobie zadbać – odparła, podchodząc.

Kark, brzuch i zgięcia łokci skropiła perfumami. Tymi, które reklamują światowe gwiazdy, gdy szlajają się po salonach. Lubiła pachnieć ładnie, drogo. Zainwestowała w siebie małą fortunę. Niektórzy dbają o samochody, spędzając przy nich długie godziny; Kaśka dokładnie naoliwiła części, których będzie

używać.

– Panie Leszku... – Stała kilkanaście centymetrów przed twarzą mężczyzny. Z bliska mogła dostrzec, jak układa się siwizna na jego wąsach. Przetykane żółtymi pasmami włosy wyglądały jak niestarannie pomalowana gąsienica. – Proszę nie mieć mi za złe tego małego incydentu.

Roczewski przejechał dłonią po jej ramieniu. Ojcowski gest, pomyślała. Jak u Dziergi. Możliwe, że widział w niej córkę, której nigdy nie miał albo z którą nie mógł robić tego, na co miał ochotę.

– Wybaczam – odparł, mocniej zaciskając palce.

– Drink na rozluźnienie? – Między łopatkami poczuła krople potu. – Mam whisky pierwszej klasy.

– Nie. – Wyminął ją. – Nie mam aż tyle czasu. Jestem w pracy.

– Tak późno?

Udała zaskoczoną. Odgrywanie roli małej dziewczynki było ryzykownym ruchem. Wahała się, słyszała przecież różne plotki. Nie bez powodu Lech Roczewski wybrał właśnie ją. Niewielką dziewczynę o kształtach dopiero zwiastujących dojrzewanie.

– Polityka nigdy nie śpi – odparł Roczewski, znikając za drzwiami sypialni.

Usłyszała, jak siada w wiklinowym fotelu. Pod jego ciężarem zaskrzypiały drewniane sploty. W sypialni zgasło światło.

Wzięła głęboki oddech.

Siedział rozparty jak król. Sama ustawiła fotel pod oknem tak, by siedzący w nim patrzył wprost na łóżko. Zasłony zostawiła zasunięte, ale do środka i tak wpadały odblaski miasta, rzucając na twarz starego mężczyzny przerażające cienie. Nie przeszkadzała jej różnica wieku, młodsi i tak rzadko wchodzili do tego mieszkania. Chodziło o coś innego. Roczewski pod płaszczem elegancji i erudycji ukrywał szakala.

– Rozbierz się – rozkazał.

Ochroniarz stał obok Roczewskiego, trzymając ręce założone na piersi. Jego zegarek odbijał światło latarni stojącej na wprost okna.

Kaśka odwróciła się plecami do mężczyzn. Przesunęła rękę na plecy i powoli rozpięła sukienkę, a potem pozwoliła jej opaść na podłogę. Odwróciła się, wysuwając prawą nogę odrobinę do przodu. Wiedziała, który profil ma ładniejszy, wiedziała, że kiedy prezentuje się pod tym kątem, jej piersi wyglądają na mniejsze. Roczewskiemu musiała się spodobać. Widziała, jak zaciera ręce i skinieniem głowy daje znak ochroniarzowi.

Powinna się pospieszyć.

– Powiedz, że jestem piękna.

– Jesteś – zgodził się bez wahania.

– Całym zdaniem. Chcę to usłyszeć.

Choć stała przed nim w samych figach i pończochach, patrzył jej w oczy. Roczewski podniósł się z fotela i podszedł do niej na odległość oddechu.

– Jesteś piękna.

Widziała, jak za jego plecami ochroniarz zdejmuje zegarek i kładzie na komodzie tuż obok Teddy'ego i pudełka prezerwatyw, a następnie zakłada skórzane rękawiczki. Roczewski przyłożył palec wskazujący do jej mostka i zebrał z niego kropelkę potu. Wrócił na fotel, ssąc palec.

Pierwsze uderzenie rozcięło wargę i rzuciło Kaśkę na łóżko. Czują, że jedna ze szpilek spadła ze stopy, ale nie potrafiłaby powiedzieć która. Wiedziała, że tak piękna jak teraz nie będzie już nigdy.

Miał dużo czasu.

Zamontowana w latach osiemdziesiątych winda przypominała puszkę po konserwie, w której urządzono publiczną toaletę. Gabriel wyciągnął z portfela wizytówkę prokuratora. Robiła wrażenie. On swój numer telefonu podawał z pamięci albo zapisywał na podręcznych karteczkach. Zazwyczaj paragonach.

Wstukał numer Stachowicza i wysłał mu pytanie o przewidywany czas sekcji. Liczył, że Bertrand przyspieszy sprawę, a jeżeli miał odrobinę szczęścia, to prokurator właśnie przeżywał uniesienia w ramionach Anny Toczén. Musiała być albo zdesperowana, albo posiadać dewiację seksualną, o której Byś nie miał pojęcia. Wprawdzie nawet Piękna z bajki Disneya pokochała Bestię, ale futrzak miał przynajmniej kupę forsy i gadający czajnik.

Winda z hukiem zatrzymała się na dziesiątym piętrze. Blok, w którym mieszkał Robert, był kolejnym budynkiem smutku w Pruszkowie. Ten, w którym znaleźli kryjówkę Adama Kupczyka, mógł uchodzić za jego młodszego, mniejszego brata.

Wyjście na dach było otwarte. Gabriel podskoczył, chwycił szczebel drabinki, a następnie podciągnął się i z niemałym trudem wygramolił na powierzchnię. Robert stał kilka metrów od krawędzi. Bysia zawsze zastanawiało, jakim cudem facet przeciska się przez wyjście na dach. Stanowił wizualizację każdego stereotypu o informatykach, jaki znał. Tłuściutki, kępki szczeciny na twarzy, braki w higienie. Nadrabiał to życzliwością, chyba że ktoś był wyjątkowo odporny na próby przekazania jakiegokolwiek wiedzy.

Jak on.

– Długo czekasz? – odezwał się dopiero, gdy podszedł na tyle blisko, żeby Robert go zauważył. Wolał potem nie tłumaczyć, dlaczego był świadkiem, jak na betonie rozpląszcza się sto dwadzieścia kilo informatyka.

– Kilka minut. Ogarnąłem cel.

Wskazał palcem parking po przeciwnej stronie ulicy. Ogrodzony metalową siatką, z wydzielonymi kilkunastoma miejscami. Stały na nim dwa samochody. Jeden należał do ochroniarza, który smacznie spał w niewielkiej służbówce, drugi do byłego szefa Roberta. Faceta gorszego niż wesz łonowa, nie sposób było się go pozbyć. Mimo że już od ponad roku Robert pracował jako freelancer, koleś cały czas robił mu czarny PR.

– Zaparkował dalej niż ostatnio. – Gabriel ściągnął osłonkę z kija.

– Ja na jego miejscu już dawno przestałbym tu parkować. Ale co chcesz, tytanem intelektu to on nie był nigdy.

Jedenaście piętér nad ziemią wiało o wiele mocniej niż na dole. Gabriel zapiął kurtkę, po czym wyciągnął z kieszeni garść nakrętek. Podał kilka Robertowi.

– Masz więcej?

– Wystarczy. – Pochylił się i położył jedną przed swoimi stopami.

– Wiem, ale dozorca pytał. Zbiera na wózek dla córki czy coś, a skoro udostępnił nam klucz, to chciałem się odwdziaczyć.

Zuch chłopak.

Gdyby nie cieć, nie mieliby co robić wieczorami. Robert zarzekał się, że potrzebuje ruchu, by zrzucić zbędne kilogramy. Golf się pojawił, kiedy Gabriel na aukcji policyjnej kupił zestaw kijów. Używanych, ale w doskonałym stanie. Piłeczki zarekwirował bogatemu dzieciakowi, który w maserati ojca woził trzy gramy trawki. Największych problemów przysporzyły tee, podstawki, na których umieszcza się piłeczki. Nie da się wbić ich w nic, co nie jest trawnikiem, błotem albo tekturą. Niezłym zastępnikiem tee okazały się nakrętki od napojów gazowanych.

Pierwsze próby z golfem – na leśnej polanie – zapamiętali na długo. Gabriel złamał kij o wystający z ziemi korzeń, a Robert wybił piłeczką szybę w swoim samochodzie. Uznał to za niemały sukces. Skoda stała dobre pięćdziesiąt metrów od nich, schowana za krzewami. Minęły miesiące, zanim nauczyli się posyłać piłkę prosto, kolejne, żeby leciała tam, gdzie chcieli.

– Przyniosę cały worek następnym razem. – Położył piłeczkę na nakrętce. – Jak daleko?

Wiatr bezlitośnie wdzierał się pod kurtkę Gabriela. Robert stał nieruchomo i obserwował zaparkowany w oddali samochód.

Liczył.

– Sto metrów – odpowiedział, przejeżdżając ręką po włosach.

Podobnie jak cała reszta, jego czupryna również wyglądała niechlujnie. To, że ten wybryk natury znalazł sobie żonę, stanowiło prawdziwy cud. Kolejny po Bertrandzie i Annie przykład, że miłość bywa jednak ślepa. Zwłaszcza że partnerka Roberta z powodzeniem mogłaby startować w wyborach miss.

– Wieje. – Gabriel zaadresował się do strzału. – Pójdzie w prawo?

– Zobaczymy. *Fore!*

Zanim Byś podniósł kij z podłoża, Robert wypuścił pierwszą piłkę. Potrafił wybijać jak zawodowiec. Trzymał w dłoniach 5 reg wood z piętnastostopniowym loftem, a to gwarantowało daleki lot. Patrzyli, jak biała plamka o średnicy 42,67 milimetra i wadze 45 gramów wystrzeliwuje w górę, a następnie ląduje na parkingu. Kilka metrów od samochodu ochroniarza.

– Cholera. – Robert zamarł z kijem opartym na ramieniu. – Jakbym trafił w jego furę, nie darowałbym sobie.

– Co tym razem?

– Daj spokój. Miałem uruchamiać serwerownię, ale ten wał mnie podpierdolił i całe zlecenie poszło się jebać. Ponoć jestem trudny w kontaktach, instaluję złośliwe oprogramowanie i inne bzdury, a frajerzy w to uwierzyli. Wiesz, ile bym za to przytulił?

Gabriel pomyślał, że dużo więcej niż on przez rok służby. Dobrze wiedział, że nie chodziło tu o brednie, jakie wygaduje były szef, ani nawet o to, że ukradł zlecenie. Robert po pijaku wyznał kiedyś, że facet się do niego przystawiał. W wyjątkowo ordynarny sposób. Potem Robert udawał, że nigdy o tym nie mówił, a Gabriel – że nic o tym nie wie.

– *Fore!*

Uderzenie Gabriela posłało piłkę o wiele za daleko. Wylądowała za terenem parkingu i zniknęła w gęstych zaroślach, które musiały widzieć już niemal wszystko. Rosły na trasie prowadzącej do jedyne go czynnego w okolicy pubu, a ktokolwiek z niego wracał, nie wykazywał się trzeźwością ani sprawnym pęcherzem. Tylko raz poszli szukać tam swoich piłeczek. Jedyne, co znaleźli, to zużyte prezerwatywy, butelki po piwie i kawałek spleśniałego ogórka.

– *Fore!* – Kolejna piłeczka wystrzelona przez Bysia poleciała w stronę parkingu. – Słuchaj, da się wyczyścić telefon komórkowy do zera?

– Prawie. – Robert ustawił się do strzału. – Spróbuj trochę w lewo. Jeżeli masz odpowiednio dużo czasu, wszystko możesz wyczyścić. Na smartfona potrzeba ze, ja wiem, dwanaście godzin. Zależy, na czym stał i czy ktoś bawił się tam rootem. Ale wszystko się da. *Fore!*

Tym razem prawie się udało. Piłeczka odbiła się od zwirowej powierzchni parkingu i potoczyła pod samochód.

– No cholera jasna! Ostatnio szło nam lepiej.

– Bo facet bliżej parkował tego potwora.

Napompowany na sterydach guziec, tak – przynajmniej według Roberta – wyglądało auto jego byłego szefa. Sprasowany dach, baloniaste koła i masywne nadwozie w połączeniu z wąskimi światłami i przerażająco małą tylną szybą prezentowały się karykaturalnie. Fura za kilkaset tysięcy złotych powinna choć odrobinę przypominać coś, co nie występuje w kreskówkach pod postacią wesołego idioty.

– A to rootowanie to...? – Gabriel przesunął się odrobinę w bok, by zaparkowane bmw stało po jego prawej stronie.

– Coś jakbyś dobierał się do głównej pamięci w telefonie. Możesz przyspieszyć działanie OS-a, pobawić się aplikacjami i tego typu bzdury. Dla zwykłego użytkownika – wzdrygnął się – rzecz absolutnie niepotrzebna. *Fore!*

Próbowali już dziesięć minut. Kolejne strzały wydawały się coraz dalsze od celu. Gabriel podchodził do tego spokojnie, ale Robert się denerwował. Żaden z nich nie lubił przegrywać, ale Gabriel wiedział, że któraś próba, prędzej czy później, da satysfakcjonujący wynik. Dziel i zwyciężaj. Robert wyjawiał mu metodę, którą posługuje się przy programowaniu. Dzielenie problemu na tak małe problemiki, aż dojdzie się do etapu, gdy da się je bez problemu rozwiązać.

Jeden po drugim. Położył piłeczkę na nakrętce. Pasowała idealnie, a w jej kraterowej powierzchni odbijało się ciemne niebo. Używali dwuczęściowych piłeczek, wypełnionych wewnątrz mieszanką żywic. Te małe potwory potrafiły lecieć naprawdę daleko, a wypuszczone z jedenastego piętra przy lądowaniu narobić sporego zamieszania.

– Sądzisz, że magicy z policji mogli coś przegapić w telefonie?

– Prędzej nie chciało im się kopać głębiej. Póki nie nadpiszesz danych kilkakrotnie, uwierz mi, że z telefonu czy dysku wyciągniesz swoje tak stare zdjęcia, że nie poznasz własnego ptaka. *Fore!*

– Nie robiłem zdjęć fiuta.

– Ja też nie.

Kłamstwo, którego nie musieli sobie wyjaśniać.

– Jakbym załatwił sprzęt, zerknąłbyś?

– Chyba nie oddają go byle komu – parsknął. – Z całym szacunkiem.

– Zobaczymy. *Fore!*

Piłeczka zahaczyła o lusterko samochodu. Z takiej odległości nie mogli ocenić wyrządzonych szkód, ale Gabriel podejrzewał, że skończyło się na niewielkim odprysku lakieru. Przy takim samochodzie w ASO i tak policzą niezłą sumkę.

– Pięknie!

Uśmiech na twarzy Roberta wyglądał jakoś dziwnie. Gabriel rzadko widywał go szczęśliwego. Zatopiony w linijkach kodu, wolał wpatrywać się w ekran monitora, niż podziwiać to, co do zaoferowania miała jego żona. Nie potrafił tego zrozumieć. Jestem cholernym hipokrytą, pomyślał, ustawiając piłeczkę do kolejnego uderzenia.

– Mam coś jeszcze. – Gabriel wyciągnął telefon. – Zerkniesz?

Otworzył galerię i wybrał pierwsze zdjęcie. Zapiski z notatnika Marty przypominały rozrzucone na kartce ziarnka grochu, które bez żadnego widocznego powodu połączyła ze sobą nitkami. I tak przez kilkanaście stron. Robert wziął telefon i kciukiem zaczął przesuwając kolejne zdjęcia.

– O kurwa, co jest? – Robert z obrzydzeniem odsunął głowę.

– Właścicielka notatek.

Przysuwając się do przyjaciela, Gabriel zobaczył miejsce zbrodni w wysokiej rozdzielczości, nasycone kolorami oraz dające się powiększać niemal bez żadnej straty dla jakości. Trup w full HD.

– Powinienem cię uprzedzić. – Sięgnął po telefon.

– Czekaj. Zobacz te notatki. Grafy nieskierowane. – Przesunął na kolejne zdjęcie. – A tutaj są macierze sąsiedztwa. Nieźle, może coś uda mi się z tego wyciągnąć. No a przynajmniej powinienem rozgryźć, jak to połączyć. Miałem coś takiego na studiach. Prześlesz na maila?

– Nikomu...

– Nikomu, słowo harcerza.

Robiło się coraz zimniej. Robert zdawał się nie przejmować chłodem. Podciągnął rękawy swetra i ustawił się w pozycji do strzału. Do wszystkiego

doszli sami, żadnych lekcji gry w golfa. Nie pozwoliła im na to męska duma. I fakt, że godzina nauki kosztowała dwieście złotych. Za obściskiwanie tyłka i bioder Gabriel nie zapłaciłby nawet złotówki, a już zwłaszcza kiedy miałby to robić facet w obcisłej kamizelce w romby. Wszystko, czego potrzebowali, znaleźli w internecie. Dwóch dorosłych facetów siedzących przed ekranem monitora i próbujących markować uderzenia kijem to zabawny widok. Szczególnie dla ich żon pijących kawę w salonie obok.

– *Fore!* – Robert uderzył piłeczkę.

Patrzyli, jak wznosi się wysoko, a następnie zbliża się do białego monstrum zaparkowanego w oddali. Kiedy trafiła w przednią szybę, zostawiając na niej pokaźne wgniecenie i pajęczynę pęknięć, Robert podniósł kij w geście triumfu. Stojąc na szczycie budynku, z dołu musiał wyglądać jak Victor Kruger w *Nieśmiertelnym*, świętujący zwycięstwo nad Ramirezem. Brakowało błyskawic przecinających niebo.

– Spadamy. – Gabriel klepnął Roberta w ramię.

Przeskakując po dwa schodki i robiąc niesamowity hałas wewnątrz budynku, przez chwilę czuli się jak dzieci. Na zewnątrz donośnie wył alarm.

Bolało ją wszystko. Każdy mięsień, kość, korzeń zęba. Wyłączyła telefon, żeby jej nie kusił. Leżał na stole ekranem w dół i czekał. Czekał, aż zostanie włączony. Wstawała z krzesła i siadała, za każdym razem czując piekące uda. Wiedziała, że tak będzie.

Włączyła telefon, numer wpisała z pamięci.

„Szósta kościół św. Kazimierza?”

Odpowiedź przyszła po minucie.

Dzień trzeci

Obudziło ją drugie uderzenie.

Noc wyparowała z jej głowy. Szczegóły zaczęły pojawiać się po uderzeniu numer cztery. Z trudem przekręciła się z brzucha na plecy. Nie miała siły na nic więcej. Leżała i patrzyła w sufit. Zauważyła na nim pierwsze pęknięcia, choć odnawiała sypialnię niecały rok temu. Plusy mieszkania na ostatnim piętrze.

Przy szóstym uderzeniu wróciła jej świadomość. Kaśka nienawidziła wczesnych pobudek. Mieszkanie położone z dala od kościoła miało zagwarantować spokój od bijących o nieludzkich godzinach dzwonów. Niestety, echo uderzeń dochodziło aż tutaj, do wnętrza sypialni, a dalej wprost do środka jej głowy.

Szósta rano.

Czuła, jak pęcherz robi się coraz większy; wiedziała, że jeżeli go nie opróżni, będzie musiała wyrzucić pościel. Nie miała zamiaru leżeć we własnych szczytach. Nie po raz kolejny. Materac szczelnie przykryty folią ma swoje plusy. Przejechała dłonią po ciele. Zniknęły pończochy, buty i cała reszta. Przypomniała sobie, że ochroniarz zdarł z niej wszystko, gdy na kilka sekund odzyskała przytomność.

Z trudem odkleiła się od pościeli. Materiał przywarł do skóry i podążał za każdym jej ruchem. Zasnęta krew spajała mocniej niż klej. Do tego hemoglobina, łącząc się z tlenem, stworzy plamę nie do wywabienia. Potraktowanie jej wodą utlenioną ułatwia czyszczenie, ale to i tak wyjątkowo upierdliwe zajęcie. Kaśka robiła to wielokrotnie, nigdy nie musiała wyrzucać całej pościeli po nocy z klientem. Nigdy też nie straciła tyle krwi co wczoraj.

Przejechała palcami po twarzy. Czuła pieczenie przy wargach i lewym oku. Opuchlizna już się pojawiła, na przykładanie lodu zdecydowanie za późno. Językiem przeliczyła zęby. Są wszystkie. Zaczęła zginać palce, jeden po drugim. Żaden nie był złamany. Czuła opór, zaciskając pięści. Efekt biegu przez cmentarz albo lania przez pół nocy. Nie mogła się zdecydować, które ze zdarzeń odpowiada za stężałe teraz mięśnie. Raczej to nie zasługa kwasu mlekowego. Ten krew wypłukuje w dwie godziny po wysiłku. To, co ją teraz bolało, to mikrourazy we włóknach mięśniowych. Ta wiedza nie przynosiła ulgi, w przeciwieństwie do gorącej kąpieli, którą zamierzała odbyć. O ile uda się dojść do łazienki.

Pomacała tył głowy. Szukała krwiaka, który mógł oznaczać złamanie w obrębie dołu środkowego czaszki, objawu Battle'a. Całe szczęście nic nie wyczuła. I dobrze. Wstrząs mózgu nie był jej teraz potrzebny. Podobnie jak leżące pod komodą zużyte prezerwatywy.

Na początku myślała, że to skarpetki, zostawione przez klienta. Skupiła

wzrok, jeszcze niesprawny na tyle, by działać jak należy. Siedem. Siedem kondomów. Licząc rozciągnięte na podłodze flaczki, czuła się jak Liczyhrabia z Ulicy Sezamkowej. Fioletowy wampir z wadą wymowy, który pewnie zemdlałby, widząc ilość krwi w sypialni. Powinna jeszcze śmiać się w charakterystyczny sposób, ale bolące wargi skutecznie to uniemożliwiały. Coś ich jednak łączyło: oboje mieli kiedyś w tyłku męską dłoń.

Wstała.

Na komodzie leżały pieniądze. Dziesięć dwustuzłotowych banknotów. Kiedy się pozbiera, schowa je do skrytki pod panelami. Trzymała w niej każde pieniądze, które zarobiła. Na czarną godzinę, na nieprzewidziane wydatki i na ucieczkę. Uzbierało się tego więcej, niż korposzczury zarabiają w ciągu pięciu lat, a i tak, jak do niej przychodzą, traktują ją z góry.

Dwa tysiące złotych.

Tyle była warta cała noc z ekstra życzeniami. Na szczęście zwykle były to inne zachcianki niż bicie czy seks z nieprzytomną.

Kaśka ruszyła w stronę łazienki. Chodziła, nie było tak źle. Pod stopami chrzęściło szkło. Szyba z drzwi do sypialni leżała roztrzaskana na podłodze. Sprzątaniem zajmie się później.

Stanąła przed lustrem. Spuchnięte wargi, sinoczarna plama pod lewym okiem. Raczej nikt nie uwierzy, że przewróciła się pod prysznicem albo wpadła na kuchenną szafkę. Przekreśliła ciało tak, by widzieć plecy. Całe w krwiakach, od kości guzicznej przez kręgi krzyżowe, lędźwiowe, piersiowe, a kończąc na szyjnych.

Odkręciła wodę i zaczęła przygotowywać kąpiel. Każdy ruch okupywała potężnym bólem. Chyba nie miała nic złamanego, ale to niewielkie pocieszenie. Minie kilka tygodni, zanim będzie mogła wrócić do normalnego funkcjonowania, bez odczuwania piekącego bólu.

Zanurzyła się w gorącej wodzie. Płaty zaschniętej krwi same zaczęły odrywać się od ciała. Od ud, kostek dłoni, piersi i pośladków. Zdecydowanie potrzebowała regeneracji. Ale wizyta u lekarza nie będzie potrzebna. Potrafiła sama zdiagnozować i wyleczyć urazy.

Znała swoje ciało.

Zostając dziwką, nie miała innego wyjścia.

Ledwo wyszła z mieszkania po koszmarnej nocy. W ciągu dnia skupiała się na pracy i nie pozwalała sobie na myślenie o czymkolwiek innym. Dopiero gdy wróciła do pustego mieszkania, poczuła, jak strasznie jest zmęczona. Stracili Janka, a ona nie potrafiła go odnaleźć. Pierwotny entuzjazm zniknął, gdy weszli do mieszkania Adama i zastali je zupełnie puste. Jak jej M2.

– Przepraszam. – Starsza pani, z którą się zderzyła, zareagowała na słowa Moniki uśmiechem. – Przepraszam najmocniej.

Powinna bardziej uważać. Nie chciała złamać nikomu biodra.

Z Młodym umawiała się w różnych miejscach. Przejście pod torami przy stacji PKP, ławka w parku przy jeziorze czy na myjni samochodowej, do której przyjeżdżał swoim głośnym skuterem. Kościół Świętego Kazimierza wybrała z powodu atmosfery żałoby, która aż biła od masywnych drzwi. Dzwony tego przybytku budziły pół miasta, a pomnik jedyne go prawdziwego papieża przyciągał wiernych z całego powiatu.

Usiadła w ostatniej ławce. Przed nią rozpościerał się ocean beretów z antenką.

Msza zaczęła się o szóstej, ale co chwila ktoś wchodził do kościoła, nie przejmując się spóźnieniem i poziewującym dyskretnie księdzem. Monika pochyliła głowę. Obserwowania ludzi miała dość w pracy, by robić to jeszcze w niedzielę rano w kościele. Wiedziała, że Młody się spóźni, choć nie narzekał, gdy wyznaczyła mu termin spotkania.

Boczne drzwi kościoła trzasnęły, echo poniosło się nawami. Monika wzdrygnęła się. Nawet w środku lata, kiedy na zewnątrz temperatura dobijała do trzydziestej piątej kreski, wewnątrz potrzebny był sweter.

Usłyszała szelest materiału i ciche przekleństwo; Młody ciężko zwalił się obok niej na drewniane siedzisko.

– Mogłaś wybrać mniej publiczne miejsce – wyszeptał.

Odwróciła nieznacznie głowę. Młody uwielbiał ubierać się amerykańsko. Szerokie spodnie z bliżej nieokreślonego szeleszczącego przy każdym kroku materiału, za duża bluza, złote ozdoby zwisające z nadgarstków. Chodząc, wydawał z siebie całą gamę odgłosów, a żaden nie należał do przyjemnych.

– Masz?

Chłopak wyciągnął z kieszeni bluzy niewielki pakunek. Taki sam jak ten, który znalazła opisany jako „prezent”. Położył go na jej kolanie.

– Wiedziałem, że się nie oprzesz. Pierwsza klasa, co?

– Dzięki.

Schowała paczuszkę do kieszeni spodni. Przeżegnała się, wstała i wyszła na zewnątrz. Potrzebowała oddechu, nie mogła czekać, aż msza dobiegnie końca. Bała się, że zemdleje przy pierwszym klękaniu.

Łapczywie wdychała chłodne powietrze. Przez drzewa okalające kościół przedzierało się poranne słońce. Głaskało uspokajająco jej skórę. Trzymając ręce w kieszeni, czuła, że teraz ma wszystko, by w końcu poskładać swoje życie do kupy. Wcześniej czegoś brakowało, pierwiastka chemicznego, wolnej zasady, która złączy w całość rozbitka, jakim się stała.

– Trudno to zdobyć.

Nie spodziewała się, że Młody wyjdzie za nią z kościoła.

– I nie jest tanie – dodał.

– Nie rozśmieszaj mnie. – Uświadomiła sobie, że nie wzięła ze sobą portfela.
– Ile?

Przeciągnął się teatralnie. Monika nie dała po sobie poznać, że bawi ją pewność siebie Młodego. Miał dopiero dziewiętnaście lat. W tym wieku trudno

być poważnym.

- Dwie paczki – rzucił. – Ze zniżką.
- Żartujesz? Nie mam tyle.
- Wiem. To tylko informacja. Spokojnego.

Naciągnął kaptur na głowę i ruszył w stronę bramy, gdzie zaparkował swój skuter.

Wierni wychodzili z kościoła. Niektórzy zatrzymywali się przy postumencie papieża i modlili w skupieniu, pozostali powoli rozchodzili się do domów, marudząc pod nosem, że Biedronkę otwierają dopiero o dziewiątej. Dwaj mijający Monikę dziadkowie rozmawiali o morderstwie, ale zmienili temat, gdy dołączyły do nich żony.

Monika upewniła się, czy aby na pewno ma paczuszkę ze sobą, a następnie wolnym krokiem wyszła poza teren kościoła. Ziemia święta nie przyjmuje w swoje progi grzeszników, a ona zamierzała właśnie stać się jednym z nich.

Obudził go zapach kawy.

Niedziela to dobry dzień. Gorszy od soboty, ale lepszy od poniedziałku. Dla osób, które mają normalny czas pracy, weekendowe poranki niosły ratunek przed zgrozą długiego tygodnia. Gabriel nie widział żadnej różnicy. Jego praca nie rozróżniała dni roboczych i wolnych. Dziś miało być inaczej.

Dziś jechał do ojca.

Poczuł, jak materac wygina się pod ciężarem Alicji. Nachyliła się nad nim, odsunęła naciągniętą aż pod oczy kołdrę i pocałowała w policzek. Nie przeszkadzał jej nawet poranny chuch, którym ją przywitał.

- Zrobiłam kawę – powiedziała, przysiadając na piętach. – Śniadanie też.
- Wstaję.

Nieuczesana i bez makijażu wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Wrócił późno, Alicja leżała w łóżku i markowała płytki oddech, by pomyślał, że śpi. Czuwała. Rozebrał się i przytulił do jej ciała. Wystarczyło. Obeszło się bez przeprosin, których żadna ze stron nie miała ochoty wypowiadać, choć każda powinna. Obawiał się, że któregoś dnia to nie wystarczy.

- Idziesz dziś na komendę? – spytała.
- Po południu. Pamiętam o wyjeździe.
- Okej. A teraz wstawaj, zimna jajecznicą jest paskudna.

Wyszła, zostawiając go samego ze sterczącym w bokserkach problemem. Odczekał dwie minuty i podniósł się z łóżka. Telefon leżący na stoliku nocnym pokazywał ósmą rano. Jeżeli będzie miał szczęście, wyjazd do ojca załatwi szybko i bez problemów.

Śniadanie pachniało bosko.

- Siadaj. – Alicja położyła widelec obok talerza.
- Jakoś inaczej pachnie.

Wyciągnął głowę do przodu, by lepiej chłonać aromat.

– Ser?

– Chciałam spróbować czegoś nowego. Nie bój się, nie otruję cię.

Szczerłość, z jaką to mówiła, wystarczyła Gabrielowi. Przy prawie każdym eksperymencie kuchennym wypowiadała to zdanie, a on za każdym razem się wtedy uśmiechał. Gdyby kiedyś naprawdę chciała go otruć, nawet by się nie zorientował.

– Jeżeli chodzi o te tabletki... – zaczął. Chciał oczyścić atmosferę i pozbyć się paskudnego uczucia, które zalegało na dnie żołądka.

– Przesadziłam. Ufam ci, byłam wczoraj po prostu zdenerwowana.

To miłe, że żadne z nich nie musiało się kajać. Tym bardziej że Gabriel dobrze wiedział, po czyjej stronie leżała wina.

– Stało się coś?

– Nie, nie. Wiesz, chyba zbliżają się te dni.

Dni, w których czekolada, koc i lampka wina stają się najlepszym przyjacielem Alicji. Gdyby Gabriel miał znosić to samo, co jego żona, pewnie nałykałby się prochów przeciwbólowych i rozwalił wszystko, co znalazłoby się na jego drodze.

– Bierzemy coś ze sobą?

Nabrana na widelec jajecznicą ciągnęła za sobą długiego żółtego gluta. Wahał się, czy na pewno powinien go zjeść, ale nie chciał po raz kolejny zawieść kobiety siedzącej po przeciwnej stronie stołu. Papka smakowała zaskakująco dobrze. Starty ser, który Alicja rzuciła na jeszcze parującą jajecznicę, nadał jej słony posmak.

Ojciec gotował zupełnie inaczej.

– Niezłe – przyznał, nabierając kolejną porcję.

– Wystarczy, że pojedziemy, nic nie musimy brać. Twój ojciec doskonale sobie radzi. Sama twoja obecność będzie prezentem.

Niewiele brakowało, a jedzenie utkwiłoby mu w gardle. Śmiertelny cios zadany przez goudę z pewnością stałby się hitem, który w szpitalu bawiłby lekarzy przez kolejne dziesięć lat.

– Brzmisz jak Coelho – wydusił z siebie, gdy przełknął morderczą dawkę jajek.

– Głupi jesteś, Gabi.

W wannie Kaśka wreszcie poczuła spokój. Nie przeszkadzały ból, duchota, zaparowane lustro i świadomość, że policzyła zdecydowanie za mało za noc. Mogła zażądać trzy razy tyle, Roczewski i tak by zapłacił. Miał kasę. Widziała to w jego ubraniu, wojskowym sznycie i twarzy. Potrafiła wyczytać zawartość portfela z samych zmarszczek wokół oczu faceta.

Napięcie powoli schodziło z ciała. Kaśka czekała, aż woda ostygnie, a na skórze pojawią się niewielkie wypryski, przypominające, że jednak ma jakieś włosy poniżej szyi. Jej ciało reagowało znacznie szybciej niż umysł. Wynik

ewolucji, choć Kaśka nie mogła zrozumieć, dlaczego mimo tego ciągłego ulepszania ludzkiego organizmu przez cały czas musiała co miesiąc krwawić jak rozwalona kijem foka.

Wyszła z wanny, nie robiąc sobie dodatkowej krzywdy, co już było niemałym sukcesem. Wytarła się ręcznikiem, każde muśnięcie miękkiej tkaniny wywoływało ból. Wiedziała, że to przejdzie. Ciało przyzwyczajają się do wszystkiego, nawet ze złamaniem mogła wyglądać na wypoczętą i wesołą. Raz to sprawdziła.

Owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni. Usiadła na łóżku. Teddy patrzył na nią oskarżycielsko.

– No co? – Wzięła maskotkę do ręki. – Jesteś taki sam jak wszyscy.

Plastikowe oczy nie zdradzały żadnych emocji. Kaśka też by tak chciała, ale jej źrenice nigdy nie potrafiły pozostać obojętne. Teraz również wpatrywały się w sztuczne futerko z nadzieją. Rozerwała brzuch maskotki i wyciągnęła ze środka kamerę. Części jej koleżanek wciąż walały się po mieszkaniu. Jeżeli na dysku znajduje się to, na co liczyła, nie będzie płakać po zniszczonym sprzęcie. Dobrze zainwestowane pieniądze zawsze się zwracają. Prędzej czy później.

Wyciągnęła laptopa spod łóżka. Miał dopiero trzy lata, ale zdradzał już wszystkie oznaki tego, że są ze sobą za długo. Nie miał nic nowego do zaoferowania. Szybko się przegrzewał, czas najczęściej spędzali na kanapie, a on bez uprzedzenia potrafił się wyłączyć. Rzadko z niego korzystała, ale nie mogła odmówić mu jednego: był piękny.

Trzy nieprzeczytane wiadomości; przybycie każdej program pocztowy ogłaszał dziwnym dźwiękiem. Połączeniem komputerowego pierdnięcia z orgazmem, szybkim i wielokrotnym. Dwa maile to był zwykły spam – proponowano jej powiększenie penisa oraz gwizdek odstraszący psy. Na ostatnią wiadomość musiała odpowiedzieć.

Całe szczęście piersi nie ucierpiały podczas nocnej masakry. Zrzuciła ręcznik i odpaliła kamerkę. Podgląd na ekranie z opóźnieniem przekazywał obraz, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Tym razem nie robiła pokazu. Ruszając klapą laptopa, nakierowała oko kamery na piersi. Wypięła je pod odpowiednim kątem i wcisnęła przycisk na klawiaturze.

Dźwięk sztucznej migawki ogłosił zapisanie pliku na dysku.

Odnalazła odpowiedni katalog i obejrzała fotografię. Była trochę niewyraźna, ale najważniejsze szczegóły anatomii oddawała całkiem przyzwoicie. Zrobiła jeszcze jedno ujęcie, o wiele odważniejsze – tym razem piersi nie stanowiły centrum kadru. Teraz naprawdę była zadowolona. Nic niemówiące nazwy plików zmieniła na „boobies1.jpg” i „pussy1.jpg”. Dodała zdjęcia do wiadomości, dopisała skromne podziękowanie łamaną angielszczyzną. Wciskając „Wyślij”, uszczęśliwiła przyszłego nastolatka z Harstad w Norwegii. Dzięki niej odkryje cudowne właściwości swojego ciała, a wizyty pod prysznicem staną się znacznie przyjemniejsze.

Ponownie otuliła się wilgotnym ręcznikiem i podłączyła kamerę do laptopa.

Wcisnęła „Kopiuuj” i przerzuciła wideo na pulpit. Nie lubiła czekać. Chciała odpalić filmik od razu, zobaczyć wszystko. Podskakujący na jej nieprzytomnych plecach tyłek Roczewskiego. Zadowoloną minę ochroniarza, który dokończył robotę za leniwego szefa. Zakrwawione rękawiczki.

Patrząc na ikonkę nagrania, nie mogła się jednak zdecydować na odtworzenie. Poszła do kuchni po papierosy. Liczyła na to, że nikotyna zabije głód. Potrzebowała znaku, prostego i czytelnego sygnału, że zmierza w dobrą stronę.

Kierunkowskaz, chuju! – wrzasnął Byś i depnął hamulec. – To ta dźwignia obok kierownicy!

Uderzył w klakson, ale ten nawet nie pisnął. Nic dziwnego, przestał działać jeszcze w zimie, a on nie miał czasu zostawić samochodu w warsztacie.

– Wyluzuj, Gabi. – Alicja obróciła się w fotelu. – Widzisz przecież, że jest z innego miasta.

– To nie zwalnia go z używania migacza.

Przeczesał dłonią włosy. Pod palcami poczuł, że na czubku głowy ma ich jakby mniej niż kiedyś. Czasy, kiedy mógł bez problemu zarzucić grzywę do tyłu, bezpowrotnie minęły. Teraz została mu tylko nadzieja, że to, co jeszcze trzyma się na jego głowie, pozostanie w tym samym miejscu i nie wyemigruje na plecy albo do uszu.

– Bądź dla niego miły.

Bez emocji. On nie potrafił tak podejść do tematu. Biała łada zwolniła im drogę, zjeżdżając na pas do nowo powstałego centrum handlowego. Znów bez migacza.

– Obiecaj – dodała.

– Zawsze jestem miły.

– Wiesz, o co chodzi. Ile się nie widzieliście? Pół roku?

Próbowała wywołać w nim poczucie winy. Skutecznie. Zmusiła go do podróży, a już to powinno być wystarczającym dowodem, że ma zamiar zachowywać się kulturalnie. W granicach rozsądku.

– Na święta. Wiesz przecież.

Poprawił pas, który nagle zaczął mocno uciskać klatkę piersiową. Zerknął w dół. Wymięta koszulka z nadrukiem „Pink Floyd” i nieśmiertelnym pryzmatem rozszczepiającym światło wisiała na nim, nawet gdy siedział. Wytarte dżinsy dopełniały obrazu faceta, który do swojego wyglądu nie przywiązywał zbyt dużej wagi. Przynajmniej kiedy nie musiał iść do pracy. Zanim pojedzie na komisariat, wrzuci na plecy coś odpowiedniego. Mógł chodzić w tych samych spodniach kilka dni, dopóki nogawki nie tonęły w błocie, co innego Alicja. Zawsze ubierała się z klasą i tylko w domu pozwalała sobie na odrobinę luzu. Teraz siedziała obok w grafitowej sukience, która podkreślała jej walory i skutecznie odwracała wzrok Bysia od drogi.

Podchwyciła jego spojrzenie.

– Skup się.

– Nie rozumiem, po co tam jedziemy.

– Zadzwonął.

Zsunęła balerinki ze stóp.

– Mogę? – spytała, opuszczając szybę.

– Mhm.

Nie miał za wiele do powiedzenia. Alicja rzadko pytała go o zdanie, częściej informowała po prostu o podjętych decyzjach. Używała wtedy specjalnego tonu głosu, zarezerwowanego dla nielicznych. Wystawiła stopy za okno, nie zważając na to, że chwila nieuwagi może ją tych stóp pozbawić. Widział już wypadki, gdzie znacznie trudniej było znaleźć kawałek nogi niż głowę. Ta zazwyczaj znajdowała się wewnątrz pojazdu – kończyny potrafiły wylądować kilkanaście metrów od zdarzenia. Na przykład na przystanku, wprost pod stopami pasażerów. Wrzeszczeli wtedy jak szaleni, choć na ich kolanach leżały gazety, w których czytali z rumieńcem podniecenia o potwornym gwałcie na nieletniej.

Do celu zostało im kilka kilometrów. Gabriel specjalnie jechał zgodnie z przepisami. Nie spieszyło mu się, wiedział, co zastanie na miejscu. Uspokoił się. Nie zareagował nawet wtedy, gdy trąbiąc przeciągle, wyprzedziła ich siostra zakonna w wiekowej skodzie.

Telefon Gabriela zawibrował w kieszeni. Wyciągnął go i spojrzał na wyświetlacz, a następnie wyciszył i odłożył na półkę pod radiem.

– Kto to? – Alicja lubiła wiedzieć, co dzieje się wokół niej.

– Nikt ważny.

Zabrała telefon, zanim zdążył zareagować.

– Anna?

Patrzyła na niego, przygryzając dolną wargę, wiedział o tym doskonale, choć starał się nie spoglądać w jej stronę. Ta rozmowa była mu teraz niepotrzebna. Miał na głowie morderstwo i coraz mniej włosów, a Alicja z niezrozumiałych powodów starała się naprawić jego rodzinne relacje. Brak klimatyzacji też nie pomagał. Na zewnątrz było wręcz idealnie, ale w środku wysłużonej almy powietrze robiło się niebezpiecznie gorące. Plecy Gabriela sklepiły się z wytartym oparciem.

– Z pracy, oddzwonię później. Możemy o tym nie rozmawiać?

– Może ja oddzwonię?

Złapał ją za rękę, zanim zdążyła przesunąć kciukiem po wyświetlaczu. Poczł pod palcami jej przyspieszony puls i momentalnie pożałował swojego kroku. Wiedział, że się z nim przekomarzała, ale na wycofanie się było już za późno. Alicja powinna uszanować jego decyzję o rozgraniczeniu życia zawodowego i prywatnego. Nie wychodziło mu to, co nie oznaczało, że nie chciał inaczej.

Tak po prostu się działo.

– Przestań.

– Okej.

Odsunęła się na skraj fotela. Jej nogi niemal do kolan wystawione były na zewnątrz, a wiatr kuszaco podwiewał sukienkę. Gabriel westchnął cicho i skupił się na trasie. Mimowolnie wcisnął pedał gazu.

W ciszy zakłócanej tylko radiową sieczką minęli znak „Kuklówka Zarzeczna”. Z Pruszkowa powinni dojechać w ciągu trzydziestu minut. Gabrielowi zajęło to niemal godzinę. Ostatnie kilometry trasy nie należały do najprzyjemniejszych. Alicja nie odezwała się ani słowem. Wpatrzona w drzewa, które długimi szeregami ciągnęły się z obu stron szosy, milczała, oczekując, że to on coś powie. Gabriel dojechał do rozjazdu i skręcił w prawo, koło cmentarza pełnego szarych nagrobków i uschniętych kwiatów.

Dom, pod który podjechali, wymagał generalnego remontu. Ledwo było go widać zza rozrośniętych krzaków. Tynk sypał się ze ścian i zbierał wzdłuż fundamentów. Nawet wałęsające się po okolicy koty omijały posiadłość szerokim łukiem.

Byś zaparkował przed bramą, jedyną nową rzeczą w zasięgu wzroku. Wysoką, zdobioną wymyślnymi metalowymi liśćmi. W zamyśle miały przypominać bluszcz oplatający przęsła, ale w rzeczywistości bliżej im było do chorych wizji z obrazów Boscha.

Alicja zdecydowała się na wpuszczenie nóg z powrotem do pojazdu i nawet lekki uśmiech, spowodowany walką Bysia z bramą. Po chwili Gabriel siedział ponownie w samochodzie. Zamknął drzwi i spoglądał przed siebie na drogę prowadzącą w głąb posesji, powoli zarastającą trawą. Ruszył dopiero wtedy, gdy Alicja położyła mu dłoń na udzie i lekko ścisnęła.

Ich sygnał.

Podjechali pod samo wejście. Maską samochodu niemal stykała się z drewnianymi schodami prowadzącymi na ganek. To nie był pierwszy błąd, który Gabriel popełnił tego dnia. Pierwszym było wyjście z mieszkania i zgodzenie się na tę całą podróż.

Z domu wyskoczył staruszek. Z impetem kibola przywalił otwartymi dłońmi w maskę almetry. Alicja mocniej ścisnęła udo Gabriela. W oczach stojącego przed nim mężczyzny Byś dojrzał burzę, jak w czasach, kiedy matka jeszcze z nimi była. Rodzice potrafili spoglądać na siebie tak, że robiło mu się gorąco. Źrenice ojca niebezpiecznie się rozszerzyły i zanim Gabriel zdążył zareagować, zwymiotował na środek maski.

– Grzegorz, Chryste Panie! – Wyskoczył z auta. – Myłem go niedawno.

Niewielkie kłamstwo, by dodać dramaturgii.

– Gabi, bądź miły.

Alicja już się nie uśmiechała.

Nie wyglądała tak źle.

Oglądała siebie nieprzytomną, leżąc rozwalona na łóżku i zajadając się

ledwie ściętą jajecznicą. Musiała coś zjeść, a nic twardego nie włoży do ust przez najbliższych kilka dni. Co poważnie ograniczy jej zdolności zarobkowe.

Jakość nagrania nie była najlepsza, ale tryb nocny się sprawdził. Wideo miejscami klatkowało i nie zawierało całej wieczornej imprezy. Kaśka uruchomiła kamerę, zanim do mieszkania wszedł ochroniarz, straciła tym samym dobre dwadzieścia minut nagrania z niecałej godziny, jaką oferowało urządzenie. Najważniejsze udało się jednak uchwycić. To, jak ją biją do nieprzytomności, a później Roczewski wchodzi w nią szybko i bardzo brutalnie. Siadając na sedesie, w pełni odczuła siłę, z jaką wyładował na niej swoje frustracje.

Szantaż to kiepska, tania zagrywka. Kaśka zdawała sobie z tego sprawę, ale wiedziała również, że najprostsze rozwiązania są najlepsze. Prawie zawsze działają i miała nadzieję, że tym razem również tak będzie.

Odstawiła laptopa na podłogę. Wyłączył się, gdy tylko dotknęła kabla ładowarki. Bateria nie chciała się ładować od tygodni, ale jakoś nigdy nie miała po drodze do sklepu, żeby kupić nową. Przyzwyczyła się już do rzeczy, które do działania wymagają nieustannego trzymania za kabel.

Podniosła się z łóżka zadziwiająco łatwo. Pragnęła bólu, ale czuła tylko naciągnięte mięśnie pleców, ud i pośladków. Wyglądała znacznie gorzej, niż się czuła. Przed pokazaniem się komukolwiek będzie musiała odprawić magiczne rytuały.

Światło nad łazienkowym lustrem raziło w oczy, ale dawało też najlepsze możliwe oświetlenie dla skóry. Pokazywało jej każdy mankament, nawet gdy wydawało się, że żadnego nie ma.

Opuchlizna z wargi powinna zejść w ciągu dwóch, trzech dni. Okład z lodu zniweluje ją na tyle, że będzie mogła wyjść na zewnątrz bez straszenia sąsiadów. Gorzej wyglądał siniec pod okiem. Uszkodzenie tkanek podskórnych spowodowało rozległą opuchliznę, której nie da się ukryć pod ciemnymi okularami. Czerwonofioletowa plama rozlewała się na policzek, a każde mrugnięcie powieką przypominało, że poboli jeszcze najmniej tydzień.

Miała specjalnie przygotowany zestaw. Na pierwsze dni, gdy krwiak przybiera kolor purpury, stosowała kosmetyki o zielonym zabarwieniu. Białe nadawały się, kiedy siniak zmieniał odcień na brązowy, a fioletowe doskonale pasowały do żółtych odcieni. Najlepiej jednak sprawdzał się korektor o odcieniu dojrzałego słońca. Wsmarowała go w skórę, używając palców, by nie podrażniać jej dodatkowo. Całość przykryła cienką warstwą pudru, doprawiając wcześniej makijaż zielonym korektorem. Przyjrzała się wynikowi swych działań w lustrze.

– Przyzwoicie.

Siniaków na plecach i udach nie zamierzała maskować. Nikt nie będzie ich oglądał, na pewno nie w ciągu najbliższych kilku dni. Włożyła luźne dzinsy i bluzkę z długim rękawem, by ukryć otarcia przy nadgarstkach. Nawet nie zauważyła, kiedy to się stało. Widocznie wrywała się w nocy na tyle mocno,

że musiano ją trzymać. Za cud przyjęła to, że mogła normalnie chodzić. Była przygotowana nawet na interwencję chirurgiczną. Na szczęście panowie unikali miłości greckiej.

Była gotowa.

Zderzenie z rzeczywistością miała zaplanowane na czternastą.

Świst powietrza obudziłby zmarłego. Gabriel zdjął czajnik z gazu i zalał herbatę w kubkach stojących na blacie.

– Nie za wcześnie na picie?

Było wczesne popołudnie, a on czuł się jak w gorzelni, gdzie stopy przywierały do podłogi i przy każdym kroku odrywały się od niej z niemiłym plaśnięciem. Miał swoje powody, dla których nie lubił tu przyjeżdżać, ale skłonność rodziciela do trunków własnej produkcji nie była jednym z nich.

– Wypróbowywałem nową mieszankę – odparł ojciec, odbierając od Gabriela kubek. – Przyznaję, nie do końca wyszło, jak chciałem. Nie doceniłem mocy kokosa.

– Chryste, Grzegorz, obrzygałeś mi połowę samochodu.

– Przesadzasz, ułało się troszku. A poza tym czemu cały czas mówisz mi po imieniu? Prosiłem przecież.

Alicja weszła do kuchni i dosiadła się do nich. Stół zastawiony słoiczkami nie zostawiał wiele przestrzeni na cokolwiek. Gabriel przesunął wszystkie pod ścianę. Ojcu wyraźnie brakowało kobiety w domu. Grzegorz Byś urodził się, wychował i żył w otoczeniu kobiet, które dbały o to, by obiad lądował na stole o określonej godzinie, a w szufladzie zawsze leżały czyste skarpety. Kiedy Gabriel się wyprowadził i został sam, musiał odnaleźć się w życiu bez pomocy domowej. Nie poradził sobie z tym najlepiej. Zalegające w zlewie naczynia dobitnie o tym świadczyły. Na niektórych pojawiły się pierwsze oznaki tego, że bakterie solidnie rozwinęły już własną kulturę i niewiele im brakuje do wynalezienia koła.

– O czym rozmawialiście? – Alicja upiła łyk herbaty, a kciukiem starła z kubka smugę brudu.

– A, kochanie, nic ważnego. – Grzegorz cały się rozpromienił. Nawet jego zupełnie łysa czaszka wydawała się uśmiechać, gdy zwracał się do synowej. – Zastanawialiśmy się, dlaczego Gabriel mówi mi po imieniu.

– No właśnie, Gabi, dlaczego?

Zmasowany atak, przed którym nie można uciec. Alicja lubiła droczyć się z mężem przy każdej okazji.

– Kwestia szacunku – skłamał. – Ale niech wam będzie. Tato, podasz cukier?

Szczelnie zakręcony słoiczek wypełniony nieokreślonego koloru substancją wylądował na stole. Grzegorz wygrzebał go w gąszczu stojących na kuchennym blacie. Odkręcił i powąchał.

– Trzymaj, sam robiłem.

– Co to?

Zawartość słoika wyglądała jak rozdeptany śnieg, wymieszany z solą do posypywania drogi, błotem i rozjechanymi wiewiórkami. Z pewnością nie przypominała tego, co kupowało się w sklepie.

– Cukier przecież, mogłem dodać trochę za dużo wanilii. Ale smakuje wyśmienicie. Zaufaj mi.

Patrząc na piętrzącą się na łyżeczce górkę, Gabriel nie był przekonany o prawdziwości słów ojca. Zdarzało się, że Grzegorz wykorzystywał nieświadomość syna do wypróbowywania na nim co dziwniejszych mikstur. Posiadanie ojca chemika jest równie do dupy, jak nieposiadanie żadnego. A kiedy ten zaczyna zajmować się kuchnią, gorzej już być nie może.

Zaryzykował. Wsypał jedną łyżeczkę. Na powierzchnię herbaty wyłoniły się okruchy wanilii i osiadły na ściankach naczynia. Pierwszy łyk rozwiał wątpliwości Gabriela: cukier wyszedł rewelacyjnie.

– Chciałem ci coś pokazać.

Wyciągnął z kieszeni sznurek. Do czarnego splotu przyczepiły się drobinki brudu, które pojawiają się w tajemniczy sposób w kieszeniach ubrania oraz męskim pępku. Niewielkie kłaczki miękkiego materiału. Gabriel łagodnie zebrał je z przedmiotu, zanim położył go na blacie.

– Skąd to masz?

Grzegorz wpatrywał się w rozłożony na stole sznurek. Wziął go dwoma palcami i ostrożnie podniósł. Jakby się obawiał, że najmniejszy ruch rozwiąże supełki, a całość rozpadnie się na jego oczach. Gabriel obserwował ojca z takim samym przerażeniem, jak podczas pogrzebu matki. Obaj cierpieli, ale tylko jeden z nich płakał. Drugi beznamiętnie obserwował trumnę zsuwającą się do grobu.

– Znalazłem. – Gabriel unikał patrzenia na żonę. Wolał skupić całą uwagę na ojcu. Ten moment należał tylko do nich. – To dowód. A raczej wskazówka do poznania pewnej osoby.

– Nic nie mówiłeś. – Alicja odstawiła kubek na stół.

– Bo to nic takiego.

– Jak zwykle.

Wstała, skinęła głową Grzegorzowi i wyszła z kuchni. Dźwięk telewizyjnego teleturnieju zawarczał z salonu. Prowadzący powiedział dowcip, zawtórował mu śmiech z taśmy. Alicja zostawiła ich samych nie bez powodu.

– Mama miała taki sam. – Gabriel powiedział to jako pierwszy.

– Prawie. Ten ma trzydzieści trzy supełki. Jej miał trzydzieści.

– Ta różnica coś znaczy?

Ojciec wzruszył ramionami.

Gabriel pamiętał matkę, która pochylona nad swoim małym skarbem, jak sama go nazywała, odmawiała modlitwy. Cicho szeptała słowa o wybaczeniu i miłosierdziu. Nie rozumiał tego. Teraz czasem sam miał ochotę usiąść w kącie, gdzie mógłby bez skrępowania porozmawiać z niewidzialnym kolegą. Kimś, kto

wysłucha, nie osądzi i najzwyczajniej będzie milczał, zamiast dodawać coś od siebie. On nie wierzył. Chciałby, ale nie potrafił.

– Jak ona to nazywała? Czetka?

– Czołki. Prawosławny różaniec.

– Tak, tak. Jej chyba był niebieski.

Gabriel pamiętał, jak wkładał go do trumny.

– Fioletowy. Nie rozstawała się z nim.

– Nigdy. – Podniósł sznur do nosa i powąchał. Gabriel zauważył, że z każdym pociągnięciem nosa źrenice ojca wracały do normalności. Alkohol parował z organizmu, przywracając staruszkę do rzeczywistości. Znacznie szybciej, niż ten by tego sobie życzył. – To ważne dla sprawy, którą teraz prowadzisz?

– Nie wiem. Myślałem, że może pamiętasz coś więcej niż ja.

– To wygląda bardziej jak bransoletka. Mamy przypominał prawdziwy różaniec. Długi, taki, jak sprzedają na odpustach pod cerkwią.

Patrząc, jak Grzegorz coraz intensywniej przygląda się znalezionym w rzeczach Marty czotkom, Gabriel zrozumiał, że nie tylko on tęsknił za matką. Nie rozmawiali o jej śmierci nigdy. Zamknęli temat, gdy na trumnę posypały się pierwsze grudki piasku. Gabriel nie chciał, a ojciec nie próbował. Zniknęła z ich życia, normalna sprawa, nie było o czym gadać.

Czołki wiły się między palcami Grzegorza.

– Matka była katoliczką?

– Inaczej nie leżałyby tam, gdzie teraz – odparł, przykładając przedmiot ponownie do nosa. – Wypróbowała chyba wszystkie religie. Lubiła sama o sobie decydować, ale na końcu została przy tym, co znała najlepiej. Tłumaczyła mi to, ale wiesz, jak jest z pamięcią.

– Po prostu nie słuchałeś.

Podejrzewał, że usłyszy kolejne usprawiedliwienia. Coś, do czego zdążył się już przyzwyczaić. Gabriel sam doskonalił tę sztukę od lat, a wkład ojca uważał za ogromny dla swoich późniejszych dokonań.

– Nie. – Grzegorz łagodnie potarł czołki. – Byłeś gówniarzem, nie miałeś szans, żeby się w tym wszystkim połapać. Ja nie miałem czasu.

Kolejna wymówka do kolekcji.

– Praca na pierwszym miejscu.

– Odziedzyczyłeś to po mnie.

Każde spotkanie, odkąd Gabriel opuścił dom, kończyło się podobnie. Wzajemne wyrzuty, marnowanie czasu i cisza.

– Powinieneś wybrać się do kogoś, kto lepiej zna się na takich rzeczach. – Grzegorz przesunął czołki w stronę syna. – Do księdza czy popa. Nie wiem. Moim zdaniem nie musisz mieć żadnego wyznania, żeby sobie z kimś tam na górze pogadać. Przynajmniej ja tak robię. Spróbuj kiedyś.

Nie wiedział, ile czasu milczeli. Cisza wydała się Gabrielowi nienaturalna. Brakowało mu wkurzającego dźwięku telewizora i rozemocjonowanych gości teleturnieju, strzelających coraz głępszymi odpowiedziami. Obejrzał się. Alicja

stała oparta o framugę i przyglądała się im, trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

– Skończyliście się droczyć?

Potrafiła rozluźnić atmosferę jednym zdaniem. Taki dar, jak go sama nazywała. To ona trzymała ich razem. Inaczej Gabriel nigdy nie odwiedziłby ojca ani nie zadzwonił do niego z własnej woli.

– Zasiedzieliśmy się. – Wstał i odstawił kubek do zlewu. – Muszę jeszcze dziś jechać do Warszawy, sam rozumiesz.

– Praca?

– Aha. Dzięki za herbatę.

Grzegorz podniósł się z krzesła i nad stołem wyciągnął do Gabriela dłoń. Silny uścisk staruszka stanowił manifestację siły, dowód na to, że ojciec potrafiłby jeszcze pokonać syna, gdyby tylko nasza go na to ochota. Gabriel chciał oddać uścisk. Chciał, ale nie potrafił.

– Będę w samochodzie. – Wyswobodził się i ruszył na zewnątrz.

– Zaraz przyjdę.

Przechodząc obok żony, poczuł, jak palce Alicji szukają jego dłoni. Ominął je, najdelikatniej jak potrafił. Wyszedł na ganek i wyciągnął papierosa. Almera wyglądała na czystą, ale podejrzewał, że gdy tylko wsiądzie do niej, poczuje nieprzyjemną woń. Czyszczenie samochodu zajęło prawie godzinę, a i tak zapach będzie mu przypominał o wizycie jeszcze przez przynajmniej tydzień. To, że zawartość żołądka znalazła się na masce samochodu, a nie w środku, niczego nie zmieniało. Nie dla niego.

Przeczuwał, że tak skończy się niedzielna przejażdżka. Alicja również musiała o tym wiedzieć. Nie zaciągnęła go tu siłą, ale bez niej prawdopodobnie zobaczyłby Grzegorza dopiero w trumnie. Teraz nie wiedział, co byłoby lepsze. Czuł się jak jeden z jego uczniów, ganiony przy tablicy za to, że nie potrafi opisać przebiegu dysocjacji jonowej kwasu fosforowego. Do tej pory nie przydało mu się to w życiu. Podobnie jak równania różniczkowe, którymi Grzegorz katował go przy każdej okazji. Te opanował całkiem dobrze. Królowa nauk nie sprawiała mu problemów, nawet się zaprzyjaźnili. Jej upośledzoną siostrę chemię wciągnął mimowolnie przez skórę.

Zamknął się w samochodzie. Dopiero teraz mógł zapalić sterczącego między wargami papierosa. Z premedytacją zostawił zamknięte okna. Dym skutecznie zastępuje wszystkie inne zapachy, nawet te urojone. Zamknął oczy i pozwolił fajce samoistnie dokonać żywota.

Przed maską nissana stały ostatnie osoby, na których mu zależało, a które skutecznie do siebie zrażał. Grzegorz przytulił Alicję, a ona z czułością przejechała dłonią po jego łysej czaszce. Nawet mając na stopach balerinki, była od niego wyższa o kilka centymetrów. Gabriel odziedziczył wzrost po matce, choć i tak nie należał do najwyższych. Po ojcu w krwiobieg krążyła mu tylko zawiść i wieczne poczucie przegranej.

– Chryste, nasmrodziłeś tu jak w wędzarni. – Alicja rozgoniła dym dłonią,

zapięła pasy i otworzyła okno. – Jedziemy?

– Tak.

Machnął ręką w stronę Grzegorza. Uniwersalny gest oznaczający „do kiedyś tam”. Ojciec odpowiedział mu tym samym.

– Nie było tak źle, co? – spytała, gdy tylko znaleźli się za bramą.

– Skąd – skłamał. – Naprawdę go lubisz?

– To jedyny ojciec, jaki mi został.

Znowu odezwał się, zanim pomyślał:

– Nawet po tym, o co zapytał cię na samym początku?

– Jeszcze cię to męczy?

– Pewnie, że tak. To chyba nie jest normalne, kiedy ktoś pyta, którym dla ciebie jestem facetem.

To były pierwsze słowa wypowiedziane przez Grzegorza do Alicji. Oczywiście po „dzień dobry”, skróconym do formy używanej na szkolnym podwórku. Gabriel gotów był złapać ją wtedy za rękę, zabrać jak najdalej i nie pojawić się w domu ojca nigdy więcej. Ona uśmiechnęła się tylko i powiedziała: „Ostatnim”.

Dar.

– Odpowiedź cały czas pozostaje ta sama. – Alicja położyła dłoń na jego udzie i lekko ścisnęła.

Robiła tak za każdym razem, kiedy gdzieś jechali. Zdaniem Gabriela stanowczo za rzadko. Nie musiała się tłumaczyć, ale wyjawiała mu, czym obwarowany jest ten pokaz uczuć. Jeżeli mieliby umrzeć, zgnieceni przez rozpędzoną ciężarówkę, wolała trzymać jego nogę niż własną. Później, na zdjęciach z miejsca zdarzenia, wygląda tak romantycznie, kiedy żona leży zwinięta z mężem pod jednym workiem.

Do Joanny pojechała taksówką. Pruszków miał kilka postojów, na których można było zobaczyć znudzonych taksówkarzy, czekających godzinami, aż pojawi się klient i zarobią kilkanaście złotych. Żaden nie leżał blisko domu Kaśki. Umiejscowione przy stacjach pociągów, stanowiły nie lada atrakcję dla wszystkich, którzy pojawiali się w mieście po raz pierwszy. Tylu wścazy w jednym miejscu zobaczyć można było tylko na dorocznych zlotach miłośników sierści pod nosem.

Na szczęście miała jednego zaprzyjaźnionego taksówkarza, który o każdej porze dnia i nocy gotów był zawieźć Kaśkę dokądkolwiek. O ile nie spędzał akurat czasu z rodziną. Wtedy odmawiał, nawet przy niebotycznych stawkach, które mu proponowała. Szanowała to. Nie rozumiała, ale szanowała.

Do dziś.

Słyszac w telefonie, że nie przyjedzie, straciła do niego resztki szacunku. Po raz kolejny udowodniła sobie, że mężczyźni przydają się tylko do jednego. I dopóki ktoś nie wymyśli wibratora z funkcją zmywania naczyń, wiele kobiet

będzie żyć nieszczęśliwie. Na szczęście Kaśka znalazła zastępstwo.

Trasa do Joanny zajmowała niecałe dziesięć minut rowerem. Mercedes odgrywający rolę taksówki dowiózł ją na miejsce w cztery. Podczas pokonywania krótkiej trasy kierowca spytał tylko o dwie rzeczy. Adres, gdzie ma ją dostarczyć, oraz co spotkało jej twarz.

– Przewróciłam się pod prysznicem – odpowiedziała, wręczając mu dwudziestozłotowy banknot.

Wysiadła, nie czekając na resztę. Kierowca zresztą nie kwapił się do jej wydawania. Schował pieniądze do niewielkiej skórzanej torebki, którą następnie włożył do równie skórzanej kamizelki. Moda lat osiemdziesiątych wewnątrz mercedesa trzymała się mocno, nawet zapach wody kolońskiej przypominał Kaśce dzieciństwo i przewijających się przez klub oraz mieszkania ciotek mężczyzn.

Wypaliła papierosa, zaraz potem drugiego. Wolała przesiąknąć nikotyną niż brutalem. Pani Halinka nie przychodziła w niedzielę. Dzień święty celebrowała od rana do wieczora, chodząc na prawie każdą mszę i zostawiając tam kwoty, za które mogłaby kupić futro z norek. Z całą pewnością ktoś takie okrycie za te pieniądze i tak włoży, ale nie będzie to pani Halinka.

Wzięła głęboki oddech i weszła do domu. Pachniało gotowanymi ziemniakami. Stały w garnku na kuchence. Podeszła bliżej. Odcedzone, dokładnie obrane i żółte. Nabiła jeden na widelec, a ziemniak po paru sekundach zsunął się z powrotem do garnka. Tego się nie spodziewała. Joanna od dawna sama nic nie ugotowała. Pani Halinka robiła to za nią, a Kaśka sprawdzała, czy wszystko jest w porządku, i dotrzymywała podopiecznej towarzystwa.

Anioł stróż pijaków.

– Hej, hej – zaanonsowała swoją obecność.

Cisza.

Podeszła pod drzwi gabinetu. Głośno zapukała, zanim położyła dłoń na klamce. Nacisnęła, ale poczuła opór. Po raz pierwszy, odkąd pojawiała się w domu Joanny, drzwi do gabinetu były zamknięte.

– Co jest?

Spróbowała jeszcze raz, z takim samym skutkiem. Zastanawiała się, czy zdoła wyważyć drewniane drzwi. W filmach udawało się to za pierwszym razem, ale obawiała się, że prawdziwe znacznie trudniej będzie sforsować. Szczególnie komuś, kto waży niecałe sześćdziesiąt kilogramów. Odsunęła się i oparła plecami o ścianę. Potrzebowała rozpędu. Wiedziała, gdzie uderzać. Tuż przy zamku, silny kopniak powinien wyrwać go z framugi. Odetchnęła głęboko i ruszyła.

– Co robisz?

Joanna siedziała na swoim wózku, trzymając talerz z resztką ziemniaków.

– Myślałam, że coś ci się stało. Gdzie byłaś?

– Na tarasie. Ładna pogoda, chciałam odetchnąć.

Talerz zakotłosał się na kolanach Joanny, gdy ta ruszyła wózką do przodu. Przejechała obok Kaśki i skierowała się w stronę kuchni. W całym domu nie było ani jednego progę. Zrezygnowano z nich zupełnie, żeby Joanna mogła swobodnie poruszać się po całym swoim terytorium. Niezależna, silna kobieta. O ile jej umysł na to pozwalał, co zdarzało się coraz rzadziej. Kaśka trafiła na dobry dzień.

– Idziesz? – Skrzypienie wózka niemal zagłuszało słowa. – Wyglądasz na zabiedzoną. Zrobiłam ziemniaki ze zsiadłym mlekiem.

Nie miała ochoty na spożywanie czegokolwiek, tym bardziej potraw zgorzkniałych staruszków. Przyszła tu tylko dlatego, że jej za to płacono. Inaczej cały dzień leżałaby w łóżku, patrząc na pękający sufit.

Joanna zaparkowała przy kuchennym stole i odstawiła talerz na blat. Na samą myśl, że będzie musiała umyć po niej naczynia, Kaśce zrobiło się niedobrze. Wiedziała, że to niedorzeczne, ale plamy wątrobowe na dłoniach staruszki wyglądały na zaraźliwe.

– Garnek stoi w wysokiej szafie.

– Dziękuję, nie jestem głodna. – Kaśka usiadła po drugiej stronie stołu. – Naprawdę.

– Wysoka szafa.

Gdyby nie to, że najchętniej wypatroszyłaby Joannę podczas snu, mogłaby traktować ją jak swoją babcię. Kobieta, która dokarmiała ją i pocieszała w chwilach niedoli, ubierała w ciepłe swetry podczas długiej zimy i wysłuchiwała narzekań na chłopaków bez fantazji.

Podniosła się i podeszła do szafy. W środku stały stare emaliowane garnki. Chwyciła jeden z nich, średniej wielkości.

– Nie ten. Tamten mały.

Postawiła naczynie na kuchence i zaczęła szukać łyżki, żeby przełożyć ziemniaki do mniejszego garnka.

– W lodówce masz jajka. Weź dwa.

– Jak chcesz, żebym zrobiła sadzone, to potrzebuję patelni.

– Nie chcę sadzonych. Ugotuj je na twardo.

Siedziały przez dziesięć minut bez słowa, słuchając bulgotania wody i stukotu jajek w garnku. Kaśka nie miała ochoty na dyskusje.

– Co ci się stało w twarz?

– Wpadłam na szafkę – odpowiedziała bez namysłu.

– Wyglądasz paskudnie.

– Dzięki. Co mam zrobić z tymi jajkami?

Staruszka wyciągnęła dłoń i zaczęła poruszać palcami w charakterystycznym geście zgniatania. Kaśka wylała wrzątek, zalała jajka zimną wodą, po czym podała jedno Joannie. Ta położyła je na blacie, przycisnęła i zaczęła tacać. Skorupka sama odeszła, zostawiając na stole białe łuski. Zapach gorącego jajka rozszedł się po kuchni.

– Potrzymaj tym siniak.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz.

Wzięła jajko z rąk Joanny. Przyłożyła je do twarzy i zaczęła pocierać krwią. Robiła to, aż biała powierzchnia pokryła się śladami podkładu z twarzy. Patrzyła na resztki jajka rozsmarowane na dłoni i nie rozumiała swojego zachowania. Zupełnie jak dziecko, któremu matka wpycha do ust łyżeczkę z tranem, a ono, choć nie chce, połyka obrzydlistwo.

Usłyszała dźwięk ruszającego wózka. Joanna podjechała do blatu i z jednej z szuflad wyciągnęła duży nóż i podała go Kaśce. Mogła teraz wpatrywać się w swoje odbicie w wypolerowanej stali. Fioletowy siniak zbladł odrobinę. Na tyle, że zakryłaby go zwykła warstwa podkładu, bez potrzeby kombinowania z kolorami.

– Ale jak?

Nie mogła zrozumieć. Znała różne metody na pozbycie się siniaków. Wcieranie mieszanki wody z octem, maści z pietruszki czy objadanie się ananasem, by zawarta w nim bromelaina mogła wchłonąć obrzęk. Wszystkie działały, nawet okład z liści kapusty, ale o pocieraniu gorącym jajkiem słyszała po raz pierwszy.

– Trzeba to powtarzać, by dało lepszy efekt. – Joanna wróciła na swoje miejsce po przeciwnej stronie stołu. – Można podgrzewać to samo jajko, ale ty swoje już popsulaś.

– Skąd wiedziałaś?

– Ja zwykle mówiłam, że wpadłam na drzwi.

Omiał nie zderzył się z wyjątkowo roslym fanem aerodynamiki. Łysa głowa, sportowy ubiór i pomruki przypominające ruję łosia. Gabriel mimo policyjnej szmaty schowanej w kurtce oraz przypiętego do paska walthera poczuł się nieswojo. Na szczęście mężczyzna chrząknął tylko, zionął cytrynowką i zatoczył się dalej.

Podziemia Dworca Centralnego dostarczały podróżnym wielu rozrywek. Od przeciekającego dachu przez labirynt korytarzy śmierdzących kanapkami i podłą kawą po przemyłych panów tytułujących wszystkich „kierownikami”. Lochy miały jednak atut, który niwelował wszelkie niedogodności. Sklepy, gdzie można było kupić niemal wszystko. Odżywki dla kulturystów, kanapkę z szynką parmeńską, włóczkę w dziwnym kolorze czy zwirek dla kota.

Albo lakier do paznokci.

Jaskrawozielony.

Wyszedł na powierzchnię i ruszył w stronę Nowogrodzkiej. Zaparkował tam, by nie musieć chodzić za daleko. Zakład medycyny sądowej mieścił się na równoległej ulicy, ale znalezienie tam paru wolnych metrów dla samochodu granoczyło z cudem. No i miejsce nie oferowało człowieka z bujną brodą, który za dwa złote był gotów opiekować się almerą komisarza. W niedzielę nie trzeba

było płacić haraczowi miastu, więc na wino Gabriel tym chętniej się dokładał. Facetom z dorobkiem życia mieszczącym się w torbie z Biedronki nie pozostało zbyt wiele uciech w życiu, a on nie chciał odbierać im jednej z ostatnich.

Szczęśliwie trwający na Oczki remont nie zakłócił pracy zakładu. Gabriel mignął blachą znudzonemu ochroniarzowi i zanurzył się w otchłań sal sekcyjnych. Niedziela to doskonały dzień na przeprowadzenie sekcji. Nieobecność w korytarzach studentów szukających w panice najbliższej toalety znacznie ułatwiała Bysiovi pracę. Tak samo pewność, że nie natknie się na żadnego żałobnika wyładowującego złość na niewinnej recepcjonistce.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Spóźnił się, ale liczył, że obijający się w kieszeni lakier do paznokci pomoże mu w ugłaskaniu Anny Toczeń. Nie powinno się denerwować kobiety, gdy ta trzyma w dłoniach piłę do kości.

Zapiął szczelnie kurtkę. Na zewnątrz prawie już rządziła wiosna, ale wewnątrz budynku lepiej było mieć na sobie coś, co skutecznie zatrzyma ciepło. Trupy nie przepadają za upałami, a on nie miał najmniejszej ochoty sprawdzać dłaczego.

Wyglądało na to, że Anna skończyła przemeblowanie wewnątrz ofiary. Ciało Marty leżało na granitowym stole, odsączone z duszy i płynów wewnętrznych. Jej skórę znaczyła przygnębiona litera Y. Znamię przegranych. Ciągące się od spojenia łonowego aż do mostka, gdzie rozgałęziało się i biegło do obu obojczyków. Na stojącej pod ścianą wadze spoczywało coś, co przypominało spleśniałą galaretkę malinową, którą ktoś zapomniał wyjąć z lodówki. Gabriel widział mózg wielokrotnie i nigdy nie było to przyjemne doświadczenie.

– Aż tak się chyba nie spóźniłem?

Anna stała przy swoim biurku.

– Zaczęłam wcześniej – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od karty denatki. – Prokurator już się zmył, ale chyba nie będzie ci z tego powodu przykro. Masz szczęście, że udało nam się załatwić sekcję dziś. Inaczej czekałbyś przynajmniej do środy. Należą mi się za to jakieś podziękowania.

Gabriel wolał nie wiedzieć, co musiała zrobić, żeby prokurator Stachowicz pociągnął za sznurki. Czuł, że sprawa Marty zainteresowała Annę. Toczeń lubiła wyzwania i niebanalne sprawy. Oglądanie potraconych na pasach pieszych, rozbitych butelką głów czy wzdętych topielców każdemu mogłoby się znudzić. Sama zrobiłaby wszystko, żeby zająć się osobiście kobietą bez oczu. Nie musiał o nic prosić.

– Jestem wdzięczny. – Wyprostował się. – Nic tak nie poprawia nastroju jak wizyta w prosektorium.

– Dokładnie! – Klasnęła w dłonie, rękawiczki wydały z siebie głośne plaśnięcie. – Kwintesencja życia, co?

Jarzeniówki pod sufitem cicho brzęczały. Pomieszczenie wyglądało jak z koszmaru nastolatka zaczytującego się w powieściach Stephena Kinga. Białe kafelki na ścianach, kamienne stoły, szum wentylatorów. Ale najgorszy był zapach. Ludzkie ciało pachnie inaczej niż zwierzęce. Słodki odór miesza się ze

wszystkim, co najgorszego ma do wyprodukowania człowiek.

Nie da się tego zapomnieć.

Znał to miejsce aż zbyt dobrze. Nawet sławna wizyta, podczas której podzielił się z widzami treścią swojego żołądka, nie potrafiła wyprzeć z pamięci pierwszego razu, kiedy zawitał w progi zakładu. Staruszkowie oddający ostatnie tchnienie podobno wracają pamięcią do najlepszych chwil swojego życia. Śmiech żony, merdanie psiego ogona, wnuczka pijąca herbatę. Proste rzeczy, z którymi najtrudniej się pożegnać, gdy przyjdzie zamknąć oczy. Gabriel, dokonując żywota, przed oczami ujrzy rozkładające się ciało chłopaka wyłowionego z Wisły. Pierwsze, które zobaczył.

Każdemu według zasług.

– Chcesz kawy?

Ściągnięte rękawiczki wylądowały w koszu na śmieci. Nowoczesnym, ze szczotkowanego aluminium, otwieranym na fotokomórkę. Stał obok biurka, równie futurystycznego i psującego scenografię pomieszczenia. Gdyby nie trupia otoczka, Gabriel z powodzeniem mógłby zobaczyć to zestawienie na okładce „Forbesa”. Nawet wisząca na ścianie tablica korkowa mogłaby zostać w kadrze, nie burząc obrazu czystości i perfekcji w jednym.

– Chętnie, czarną.

– Jak przystało na detektywa. – Ruszyła w stronę drzwi.

– Nie ma takiego stopnia w policji.

Uwaga nie dotarła do uszu Anny, ta bowiem zniknęła już w chłodni. Gabriel przez sekundę mógł zajrzeć do jej wnętrza. Zobaczył rozciągnięte na stalowym łożku ciało przykryte folią, spod której wystawała tylko ręka. Z pomalowanymi na żółto paznokciami. Wiedział, że dobrze trafił ze swoim prezentem. Dłoń należała do mężczyzny. Mógł, zanim Anna wróci, spędzić z Martą chwilę sam na sam. Oczyszczona z krwi, tej prawdziwej i sztucznej, wyglądała ślicznie. Nawet zaszyte i zapadnięte powieki nie odzierały jej z kobiecości. Faceci musieli zbierać szczęki z podłogi, gdy przechodziła obok, a ciało wypełniały jeszcze wnętrzności.

Zbliżył się do Marty i nachylił nad jej brzuchem. Starał się nie patrzeć na niewielką ranę wlotową tuż nad lewym sutkiem ani na szeroką wstęgę przecinającą szyję i odsłaniającą mięśnie powierzchowne. Niewielka blizna tuż pod pępkiem, poszarpana i zaszyta przez amatora. Żaden lekarz, nawet pijany, nie zostawiłby tak haniebnego znamienia na skórze pacjentki.

– Też mnie to zaciekało. – Anna weszła zaskakująco cicho.

Stawiając na biurku kubki z kawą, upewniła się, że nie zostawią na blacie mokrych śladów. Gabriel miał ogromną ochotę na kawę taką, jaką lubił najbardziej. Pół na pół z mlekiem, czerń zmieniona w jasny brąz. Niestety wiedział, gdzie Anna trzyma karton. Wewnątrz chłodni, wśród nieboszczyków. Twierdziła, że nie stwarza to żadnego niebezpieczeństwa, nawet przy otwartym opakowaniu, ale jakoś jej nie wierzył. Upił łyk i przyjrzał się dokładniej wiszącej obok tablicy korkowej. Niemal w całości wypełnionej kolorowymi

wstążeczkami.

– Przerzuciłaś się na dziewiarstwo?

– To? – Wskazała palcem na wstążki. – Idealny przykład ludzkiej głupoty.

– Co masz na myśli?

– Miałam pacjentkę, która na ubraniu miała takich wstążeczek kilkanaście. Wpięte agrafkami w klapy marynarki z lumpeksu. Każdy kolor oznacza inny rodzaj nowotworu. Turkusowa, rak jajników. Różowa, rak piersi. Jadeitowa, rak wątroby. Limonkowa to chłoniaki nieziarniczne, a ta – chwyciła jedną w palce – to moja ulubiona. Zebra i guzy neuroendokrynne. Pełen przekrój.

Był pod wrażeniem.

– I co ją w końcu zabiło?

– Tramwaj. Dwudziestka czwórka. Gotów?

– Bardziej nie będę. Zanim zaczniemy, mam coś dla ciebie. – Odstawił kubek i wyciągnął z kieszeni lakier. – To w ramach zadośćuczynienia, zachowałem się jak dupek.

Anna odebrała pojemniczek i dokładnie go obejrzała.

– Niepotrzebnie, ale dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Takiego koloru nie miałam. Chociaż mogłeś zdrapać cenę.

Otworzyła szufladę biurka i wrzuciła lakier do środka. Gabriel usłyszał, jak obija się o inne szklane opakowania. Anna mogła mieć tam ukrytą całą paletę barw.

– Nie jestem najlepszy, jeżeli chodzi o prezenty – przyznał. – Trochę to dziwne. Znaczą, słyszałem plotki i...

– Że niby maluję trupom paznokcie?

– Tak.

– Coś jeszcze mówią?

Gabriel niemal słyszał, jak pęka pod nim cienka warstwa lodu, po której nieudolnie się poruszał.

– Że sypiasz z prokuratorem.

– No, to akurat prawda. Chodź, nie mam całego dnia dla ciebie.

Stanęli nad ciałem Marty. Anna sięgnęła po swój notatnik i zaczęła przeglądać zapiski z sekcji. Na oficjalny raport przyjdzie poczekać kilka dni, ale Gabriela nie interesowały przecież sformułowania, których i tak nie zrozumie. A tych w raporcie będzie zatrząsienie.

– Wiesz, nie wyciągam wniosków. Przynajmniej oficjalnie – nawlekła rękawiczkę na dłoń – ale tak jak podejrzewałam, przyczyną zgonu była rana postrzałowa. Dziewięć milimetrów, nic wyszukanego. Znajdziesz broń, a dopasują ci ją do naboju w minutę. Zarówno poderżnięcie gardła, jak i wyłuszczenie dokonane zostały pośmiertnie. Zbyt mało krwi wokół ran.

– Co mi to daje?

– Ktoś był nieźle popierdolony. To nie wszystko. Tak jak zauważyłam na miejscu zdarzenia, ofiara była torturowana. Podbiegnięcia krwawe w okolicy nadgarstków świadczą o tym, że ją związano. Połamane zebra to wynik

mocnego ucisku. W innym przypadku stawiałabym na resuscytację, ale tutaj raczej wbito w nią kolano, niż próbowano przywrócić do życia. W płucach znalazłam śladowe ilości wody i sztucznej krwi.

– Podtapianie?

– Raczej wyższa forma sadyzmu. W waterboardingu nie pozwala się na dostanie się wody do płuc, ale w sytuacji gdy ofiara panicznie walczy o oddech, można wlać jej do gardła cokolwiek, a i tak to połknie. Podejrzewam, że tak właśnie postąpili.

– Dwóch morderców. Chryste.

– Wiesz, co krawężniki znalazły w śmietniku? Pięciolitrowy baniak. Wyglądał jak po uboju rytualnym. A w środku?

– Sztuczna krew.

– Sześć punktów dla Gryffindoru.

Anna przeniosła wzrok na nogi denatki i przyłożyła palec tuż nad kostką Marty. Na bladej skórze Gabriel dostrzegł niewielkie siniaki. Formowały się w kształt ludzkiej dłoni.

– Gdy jeden wlewał płyn, drugi musiał trzymać ją za nogi. Pamiętasz, jakie miała buty na sobie?

– Szpilki – odparł. – Na wysokim obcasie.

– Dokładnie. Albo założono je pośmiertnie, albo pilnowano, żeby laska nie wierzgała. Obstawiam to pierwsze, bo nie pasowały do spodni, które na sobie miała.

Ktoś bardzo się starał, żeby Marta Zręb cierpiała.

– A to? – Wskazał na lewą stopę denatki. Brakowało małego palca. – Stara sprawa?

– Średnio. Blizna ma kilka lat, leczona domowymi sposobami. Dość drastycznymi. Musiała sporo przejść w życiu. W żołądku znalazłam paskudne owrzodzenia, możliwe, że to sprawa genetyczna, ale nie wykluczam też czynnika stresogennego. I ta blizna na podbrzuszu.

Od samego początku Gabriel chciał o nią zapytać.

– Wygląda na starą.

– Bo taka jest. Musiała powstać, gdy była jeszcze dzieckiem. Widać, że rozciągnęła się i zmieniła kształt. Obstawiam nóż myśliwski, ale to spekulacje. Za dużo czasu minęło. A, jeszcze jedno. Weź rękawiczki, leżą za tobą.

Odwrócił się. Na sąsiednim stanowisku, przygotowanym już pod kolejnego nieszczęśnika, który zadarł z kostuchą, stało pudełko z jednorazowymi rękawiczkami. Opakowanie ozdobione zawijasami przypominającymi pismo gotyckie nie przypominało niczego, co do tej pory widział w zakładzie medycyny sądowej. Wyciągnął ostrożnie jedną parę i założył na dłonie.

– A tak. – Anna z rozbawieniem patrzyła na minę Gabriela. – Te rękawiczki to mój pomysł. Wprawdzie były trochę droższe, ale wykonane są z nitrylu, a nie lateksu. Nie cuchnie się po nich jak po nocnym dojeżdżaniu. Tatuatorzy takich używają. Muszę zacząć je zabierać na miejsca zdarzenia.

Obeszła stół i stanęła obok komisarza, niemal stykali się ramionami. Chwyciła jego dłoń i pokierowała nią tak, by znalazła się tuż pod pośladkiem Marty. Poczul podniecenie. Miał ogromną nadzieję, że wywołała je Anna, a nie ofiara. Aż tak zżyty z robotą nie zamierzał się stać. Zimno ciała przenikało przez rękawiczkę i wtapiało się w skórę Gabriela.

- Czujesz? – Anna zaczynała się niecierpliwić.
- Byłoby łatwiej, jakbym wiedział, czego mam szukać.
- Zgrubienia. Przekrećmy ją.

Wsunęła dłonie pod plecy ofiary i razem przewrócili Martę na bok. Komisarz nachylił się i skierował wzrok w stronę pośladków. Teraz dostrzegł. Dwie linie przecinające się pod kątem prostym. Nieduży X z kropkami między ramionami. Znak mógł mieć najwyżej pięć centymetrów, nic dziwnego, że nie wyczuł go pod palcami.

- Kolejna blizna?
- Też tak myślałam, ale spójrz, jak równomiernie się rozkłada. – Przejechała palcem po skórze Marty wzdłuż każdej z linii. – To nie jest blizna, ale ślad po wypaleniu. Ktoś ją oznakował. Jak było. Przypuszczam, że stało się to w tym samym czasie, kiedy pojawiła się ta blizna na brzuchu.

Przywrócili ciało do poprzedniego położenia. Gabriel chciał to zrobić łagodnie, by Marta zaznała spokoju chociaż teraz. Anna nie zamierzała marnować czasu na dopieszczanie kogoś bez tętna i gwałtownie zabrała ręce. Głowa dziewczyny odbiła się od kamiennego blatu z głuchym łoskotem.

- Zdjęcia dostaniesz w raporcie. – Ściągnęła rękawiczki i podeszła do biurka. Kosz na śmieci otworzył się automatycznie, gdy Anna zbliżyła do niego dłoń. Odczekała, aż Gabriel przestanie patrzeć na ofiarę, i dopiero wtedy zapytała. – Co o niej wiecie?

– Niewiele. – Przysiadł na krześle. – Sfałszowane dane osobowe, nawet nie wiemy dokładnie, ile mogła mieć lat. Mieszkanie, w którym ją znaleźliśmy, też prawdopodobnie kupione na jakiegoś słupa. Wiem, że była inteligentna i rozrywkowa. Niewiele więcej mamy o jej facecie, który obecnie jest najbardziej poszukiwanym kolesiem w okolicy. Porwał Janka.

- Wiem, Bertrand mi powiedział.
- Zakładam, że Adam jest ojcem. Matka leży tutaj. Innej rodziny na razie nie namierzyliśmy. Pewna nerwowa pani sierżant właśnie nad tym pracuje.
- To nie jest matka chłopca. – Anna wskazała palcem na ciało Marty. – Ta kobieta nigdy nie rodziła.

Suszona śliwka.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że wystarczyłoby dodać odrobinę tłuszczu między przerzedzone włosy, koc zastąpić kawałkiem boczku, a Joanna stałaby się najsmaczniejszą przekąską na świecie.

Suszoną śliwką w boczku.

Kaśka pachniała za to jak świąteczna sałatka. Ugotowała już cztery jajka, każde starannie obrała i wtarła w różne części ciała. Uda obkładała kawałkami lodowatej sałaty, a gdy ta rozmiękła, urywała kolejny zimny liść. Joanna przysypiała na swoim wózku, co kilka minut przekręcając się odrobinę. Kaśka zebrała z siebie resztki warzyw i podeszła do zlewu.

– Dziękuję – powiedziała, licząc na to, że szum wody zagłuszy słowa.

Joanna odchrząknęła. Kaśka nigdy nie pomyślała, że poczuje z nią jakąkolwiek więź. Dzieliło je niemal wszystko. Ponad sześćdziesiąt lat, status społeczny i podejście do higieny. Ale teraz widziała w oczach Joanny zrozumienie. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio tak się czuła. Ciotki, z którymi kiedyś mieszkała, nie interesowały się nią, o innych wolała nawet nie myśleć.

– Zawieźć cię do gabinetu? – spytała, wycierając dłonie ściereczką.

– Tak.

Złapała plastikowe uchwyty siedziska wózka inwalidzkiego. Zaciskając na nich dłonie, uświadomiła sobie, że robi to po raz pierwszy. Do tej pory Joanna poruszała się samodzielnie, a jak nie miała siły, za kierowcę robiła pani Halina. Ona nigdy. Przerazało ją to, jak bardzo wyprofilowany kawałek plastiku pasował do dłoni. Joanna nie była pierwszą osobą jeżdżącą na wózku w obecności Kaśki, ale pierwszą, która z niego już nie wstanie. Wyjechała tyłem z kuchni, by uniknąć zawracania na niewielkiej powierzchni. Kółka zapiszczały, kiedy terakota zamieniła się w drewno, którym wyłożono korytarz.

– Masz klucz?

Spod koca wysunęła się dłoń Joanny. Zaciśnięta i trzęsąca się pięść zwiastowała problemy. Kaśka poczuła dotyk pergaminowej skóry i drapanie żółkłych paznokci, gdy staruszka z namaszczeniem oddawała jej kawałek metalu. Nienawidziła starości, pełnej ograniczeń, które zamieniają życie w wyczekiwanie na śmierć. Bała się jej bardziej niż bólu, który można zniwelować choćby jajkiem. Ból tłumił wszystko. A starość to ciągły ból, nieusuwalny.

Wsunęła klucz do zamka i po kilku próbach otworzyła drzwi.

– Przydałoby się coś nasmarować. – Wjechała z Joanną do środka. – Ledwo działa.

– Nie on jeden.

Joanna odsunęła koc. Skóra na wysuszonych udach przypominała skopaną przez sen kołdrę. Błada, pokryta plamami niewiadomego pochodzenia. Kobieta nie miała na sobie spódnicy, która odkąd Kaśka przychodziła do domu, zawsze zakrywała nogi i chroniła przez zimnem. Nawet w upalne dni, gdy temperatura na zewnątrz przekraczała trzydzieści stopni, Joanna trzęsła się z zimna.

Kolejny plus starości.

– Zmarzniesz. – Kaśka zakryła jej nogi.

– Kiedyś wyglądałam inaczej. Pokazywałam ci zdjęcia?

– Nie – skłamała z premedytacją.

Drewniane pudełko, do niedawna dla Kaśki Święty Graal, stało teraz na

blacie biurka. Uchylone wieczko wpuszczało do środka światło. Promienie odbijały się od rzuconych niedbale fotografii. Niewiele brakowało, a ostatnio spaliłaby je. Razem z całym domem i wszystkim, co w nim oddychało. Zrozumiała, że na siłę nic z Joanny nie wyciągnie.

– Spójrz. – Staruszka ułożyła pudełko na udach. – Jedna z pierwszych sztuk, w której zagrałam.

Kaśka stała tak blisko, że czuła zapach przeredzonych włosów Joanny. Mieszanka szarego mydła, gruszki i mięty, którą pani Halina dolewała do kąpeli, by zagłuszyć smród starości.

Nie działało.

– Stoisz w pierwszym rzędzie. – Kaśka z trudem ją rozpoznała. – Pamiętasz wszystkich?

– Aż tak źle ze mną nie jest, dzieciaku.

Uśmiechnięta nie wyglądała tak strasznie, jak podczas ich pierwszego spotkania. Wtedy Joanna napluła Kaśce na buty, a ona jej do drinka. Teraz pomyślała, że wyglądało to prawie jak pierwszy pocałunek.

– To Arkady, nasz scenograf. Potrafił zdziałać cuda, mając w składziku tylko grzy i kostiumy z dziurami po kulach. Bezpieka zatłukła go w osiemdziesiątym drugim. Pięknie się uśmiechał. Jacek też, zobacz. – Wskazała palcem na niskiego mężczyznę w kapeluszu. – Po każdym spektaklu wręczał mi różę. Do tej pory nie wiem, skąd on je wtedy brał. Zmarł na zawał w osiemdziesiątym.

Wodziła wzrokiem za palcem Joanny. Każde wspomnienie kończyło się zgonem. Oglądały fotografię pełną uśmiechniętych trupów.

– A ona? – Kaśka wskazała kobietę z okazałym biustem stojącą za teatralną trupą.

– Masz gust, dziecko. – Zaśmiała się, wydając z siebie dźwięk krztuszącej się kosiarki. – Jak ona miała? Przyssała się do nas w pięćdziesiątym piątym. Nie przepuściła żadnemu mężczyźnie. Nie wiem, co się z nią stało, pewnie dalej świeci cyckami i sprzedaje się za grosze. Zapamiętaj dziecko, kurwa pozostanie kurwą. Łucja jakaś tam.

Świat to zadziwiająco małe miejsce. Kaśka wiedziała, o kogo chodzi. Ta sama osoba sprzedawała jej domowej roboty alkohol, który Joanna wlewała w siebie hektolitrami. Oczywiście po odpowiednim oporządzeniu, zapewniającym wytrawny smak i oszczędności w jednym. Sześć stopni oddalenia. Teoria zakładająca, że można dotrzeć do każdej osoby poprzez sześć innych. Przy odrobinie szczęścia Kaśka będzie mogła kiedyś spotkać Brada Pitta.

– Napiłabym się czegoś.

Zdjęcie grupowe wróciło do pudełka. Joanna łagodnie trzymała teraz w dłoni portret mężczyzny. Gładko ogolony, patrzył wprost w obiektyw, a jego usta wykrzywiały się w dziwnym grymasie. Jeżeli się uśmiechał, robił to wyjątkowo niestarannie. Jak dziecko, które wmawia matce, że nic nie wie o rozbitym wazonie i zaginionym kocie.

– Przygotujesz coś dobrego?

– Jasne.

W kuchni cały czas pachniało świętami, nad garnkiem unosiła się para o zapachu jajek. Kaśka otworzyła szafkę pod zlewem, kucnęła i wyciągnęła schowaną tam truciznę. Wybielacz w butelce po wódce nie przypominał alkoholu, nawet tego wyrabianego własnymi rękoma. To nic nie oznaczało. Gdyby Joanna znalazła butelkę, teraz ona zastanawiałaby się, jak ukryć ciało. Otworzyła wysoką szafkę i odstawiła truciznę na najwyższą półkę, wciskając butelkę między opakowania mąki. Zabierze ją ze sobą, jak będzie wychodzić.

– Musisz bardziej nad sobą panować.

W szafce stało orujo, hiszpański odpowiednik winiaku. Ci bardziej inteligentni, którzy nie trzymali w szafie gotowych do użycia krawatów, ale za każdym razem wiązali je od nowa, nazywali napój brandy. Ten egzemplarz wyglądał na wyjątkowo drogi. Przyjrzała się etykietce. Czterdzieści procent żółtego pokłosa z winogron. Dla Joanny będzie w sam raz, ale Kaśka go nie przygotowała. Nie zajmowała się takimi egzotycznymi trunkami. Ta butelka pojawiła się niedawno, była tego pewna.

Napełniła szklankę po brzeg i wróciła do gabinetu. Joanna siedziała zgarbiona na wózku, cały czas wpatrując się w fotografię.

– Proszę – powiedziała Kaśka, wyciągając rękę ze szklanką.

Musiała chwilę odczekać, zanim Joanna sięgnęła po alkohol. Zwykle przysysała się do procentów momentalnie.

– Kto to?

– Nikt.

– Nie wygląda na nikogo. – Nachyliła się. – Przystojny nawet.

Facet zupełnie nie pasował do jej wyobrażeń wymarzonego partnera, czyli portfela wypchanego gotówką, ale miał w sobie magnetyzm, który dało się wyczuć nawet przez fotografię. To, że Joanna tak się wpatrywała w wyblakłe zdjęcie, dobitnie o tym świadczyło. Bywały dni, że ledwo poznawała samą siebie w lustrze, a dziś bez zająknięcia wymieniała wszystkich, z którymi grała w teatrze pół wieku temu. Kaśka wiedziała, że to chwilowe. Te wspomnienia o teatrze, sztukach, życiu i jej matce. Wkrótce wszystko wyblaknie, a oczy staruszki zakryją się mętną mgłą w kolorze starego cementu.

– Teodor Różycki.

– Brzmi jak nazwisko jakiegoś hrabiego.

Prychnięcie Joanny zgrało się z ruchem wysuszonej dłoni, która powędrowała w stronę Kaśki. Nie potrzebowała zbliżenia, jej wzrok sprawował się doskonale, a limo pod okiem w najmniejszym stopniu nie wpływało na postrzeganie świata. Nie mogła jednak zostawić podniesionej ręki w oczekiwaniu. To zdjęcie musiało znaczyć dla Joanny tyle co to, które Kaśka zawiesiła na lodówce u siebie. Podmuch przeszłości zamknięty w prostokącie. Tył fotografii drapał w opuszki palców. Wysoka gramatura papieru z czasów, gdy nie oszczędzało się na rzeczach najważniejszych, a do pozbycia się śladów potrzebowano czegoś więcej niż paru kliknięć.

– Hrabia – powtórzyła Joanna. – Zabawne. Nigdy bym tak o nim nie pomyślała.

– A jak?

– Dupek.

Jak na kogoś, kto nazywał listonosza spermą w nazistowskim mundurze, Joanna określiła Różyckiego wyjątkowo łagodnie.

– Kochałaś go?

Spuszczenie przez Kaśkę takiej bomby mogło skończyć się tragicznie. Zawał, zamknięta tętnica, tunel ze świecą i karetka pogotowia wjeżdżająca na środek trawnika. Musiała zaryzykować, ciągnięcie tego w nieskończoność i kluczenie mogło obrócić się przeciwko niej. Obie potrafiły wbić klin w taki sposób, by druga strona nie miała wyboru.

– Nigdy nie przestałam. Kobiety kochają drani.

– Nie wszystkie.

– A ty? – Joanna odwróciła się i spojrzała Kaśce w oczy.

– Ja nikogo nie kocham.

Oddała fotografię.

– To twój mąż?

– A widzisz u mnie obrączkę, dziecko?

– To akurat nic nie oznacza.

– Nie, Teodor nie był moim mężem.

Upiła solidny łyk orujo, poprawiła równie solidnym beknięciem. Jeżeli Joanna była kiedyś damą, to najwyraźniej postanowiła zatrzeć wszystkie ślady o tym świadczące. Kaśka wiedziała, skąd takie zachowanie. Zraniono ją, a odpychanie to mechanizm obronny, która ona również stosowała. Gorycz nigdy nie pojawia się bez zaproszenia.

– Poczęstujesz mnie papierosem?

– Nigdy nie paliłaś.

– Nigdy nie nosiłam przy sobie papierosów. Zawsze znalazł się ktoś, kto ratował damę z opresji. Nawet nie wiesz, dziecko, ilu z tych dżentelmenów pakowało mi się później pod sukienkę.

Postanowiła nie pytać, ilu z nich znalazło tam ciepłe schronienie. Wyszła z gabinetu i wygrzebała z torby paczkę papierosów. Przeliczyła. Wyciągnęła dwa i wróciła do Joanny.

– Proszę. – Włożyła papierosa między wyschnięte wargi staruszki i podpaliła.

– Dziękuję.

Joanna zaciągnęła się tak głęboko, że Kaśka słyszała, jak pracują płuca, starając się nadażyć za rozprzestrzeniającymi się w nich toksynami. Kobieta wydmuchnęła dym, zanim wywołał kaszel.

– Ten Różycki pomagał ci wpadać na drzwi? – Kaśka przejechała palcami po krwiaku na twarzy.

– Nie jesteś tak głupia, jak wyglądasz.

– Często to słyszę.

– Nie brałabym tego za dobrą monetę.

W gabinecie unosiła się siwa mgła, drapiąca w oczy i wkurzająca nawet dla nałogowego palacza. Kaśka nie zamierzała otwierać okna, przeciąg tylko wypchnąłby chmurę do innych pomieszczeń, a te zatraciłyby swój naturalny zapach. Kurzu wytartego przez kółka wózka inwalidzkiego. Jej mieszkanie musiało pachnieć równie ciekawie, ale jak, tego nigdy się nie dowie. Takie rarytasy wyczuwają goście, nigdy właściciel. Co w wypadku Kaśki wyszło na dobre. Zapach spermy i krwi z pewnością jest wyjątkowo drażniący.

Odpaliła papierosa.

Joanna garbiła się nad fotografią leżącą na kolanach. Papieros dopalał się między palcami, brakowało tylko fifki, która przywróciłaby jej dawny blask.

– Żyje?

– Nie wiem, powinien. Był młodszy, tacy smakowali najlepiej. – Odstłoniła w uśmiechu protezę. – Halinka dziś przychodzi?

– Jest niedziela.

– Mamy problem. – Joanna odsunęła koc leżący na nogach.

– Gdzie Halina trzyma... – odrobina taktu nie zaszkodzi, pomyślała Kaśka – ...artykuły sanitarne.

– W łazience. Pod zlewem.

Ewolucja wyprowadziła ludzkość z drzewa na księżyc.

Stojąc pod Muskułem, Gabriel zastanawiał się, jak to możliwe, że człowiek upadł tak nisko. Przed chwilą minęła go resztką inteligencji ukryta pod zwałami mięśni. Tłumaczyła samej sobie, że zjedzona wczoraj na obiad pierś kurczaka na parze nie wpłynie na jej figurę. Zrozumiałby, gdyby słowa wypowiedziała dwudziestolatka wpatrzona w smartfona, ale facet pilnujący swojej diety bardziej niż zaparkowanego nieopodal bmw wywoływał w nim obrzydzenie.

– Ładnie tu. – Pilsz pojawił się obok. – Długo czekasz?

– Tak. Zabłądziłeś?

– Nabijałem się z Juniora. Chłopak jest przerażony po tym, co odwalił. Wypisał się ze szpitala na własną odpowiedzialność i z własnej woli poleciał na slalom. Od woźnych z podstawówki dostał dwie kostki szarego mydła.

Slalom, rajd po zaprzyjaźnionych placówkach, gdzie miłe dusze oddawały policjantom niepotrzebne rzeczy. Każdy przez to przechodził, a wracając na komendę z płynem do mycia szyb o zapachu porannej rosy, człowiek stawał się bohaterem. Gabrielowi raz udało się dostać w urzędzie miasta ryzę papieru, z której korzystał potem przez dwa miesiące.

– Zuch – skomentował.

– Planuje chyba zostać konstabłem miesiąca. Stanął nawet na ochotnika przy recepcji. Żałuj, że nie widziałeś, z jakim syfem się bawił, jak wychodziłem. Jakiś koleś wmawiał mu, że w jego samochód uderzają piłki golfowe. Ludzie są

pojebani.

– Piłki golfowe? A wytłumaczył, skąd się wzięły?

– Żartujesz? To jakiś pieniacz, który chce wyłudzić ubezpieczenie. Na miejscu Juniora spisałbym zeznanie i schował je na dnie szuflady. Razem z kradzieżami rowerów i telefonów komórkowych. Ludzie myślą, że policja nie ma niczego ciekawszego do roboty.

Podejście Pilsza do pracy nie było niczym nadzwyczajnym. Gabriel również uważał, że nie wszystko, co mówią petenci, jest istotne.

– Byłem na Oczki.

– I?

– Marta nie urodziła Janka. Anna pogrzebała i sprawdziła wszystko. Macica ofiary miała w sobie jakąś przegrodę, która deformowała wnętrze. – Powtarzał te słowa w pamięci kilkakrotnie, gdy wracał samochodem do Pruszkowa. – Bez operacji nigdy nie zaszłaby w ciążę. Cytuję: miała krocze nieródki.

Policjant parsknął głośniej, niż powinien.

– Lekarze zasługują na osobną komnatę w piekle. Wypadałoby teraz znaleźć prawdziwą matkę – przyznał, gdy odrobinę się uspokoił. – Może nasz porywacz siedzi u niej?

– Nie sądzę. Kupczyk w pojedynkę odbił Janka i zniknął. Nie jest tak głupi. Wchodzimy? Chcę mieć to już za sobą.

Wejście do Muskułu wyglądało równie interesująco, jak jego bywalcy. Salka w piwnicy szkoły podstawowej odstraszała zapachem już kilka metrów przed schodami prowadzącymi w ciemność, w zimie zapewniającymi przynajmniej jedno złamanie otwarte na miesiąc. Nawet teraz ślizgali się na starej terakocie. Korytarz prowadzący do głównej sali obklejony został plakatami napakowanych facetów, uśmiechających się tak szeroko, że samoopalacz odpadał im z twarzy. Wszyscy wyglądali identycznie jak model z wizytówki, którą znaleźli w torbie Kupczyka. Na ścianach Muskułu brakowało zdjęć modelek, a w siłowni w ogóle kobiet. Przy każdym z urządzeń pamiętających czasy, kiedy Wi-Fi brzmiało jak nazwa sushi, siedział facet. W przykrótkich spodenkach oraz koszulce na ramiączkach. Sześciu roślących chłopów przyspawanych do ławeczek, modlitewników, kettli oraz wyciągów.

– Chryste. – Gabrielowi zrobiło się słabo na myśl, że będą musieli rozpytać każdego z siedzących tu koksów. – Od którego zaczynamy?

Pilsz zlustrował całe pomieszczenie.

– Od tego. – Ruszył przed siebie. – Nadażaj.

Zatrzymali się nad ławeczką i rozciągniętym na niej łysym chłopakiem. Po wydawanych przez niego odgłosach Gabriel domyślił się, że rozpaczliwie kończył właśnie serię powtórzeń. Jego łydki drgały przy każdym ruchu sztangi, próbując utrzymać stopy na podłodze.

– Co tam, Żeberko? – Pilsz stanął nad chłopakiem i położył dłonie na uchwycie. – Potrzebujesz asysty?

– Pan detektyw... – odezwał się zaskakująco piskliwym głosem łysulec. –

Radzę... sobie, zajęty... jestem.

Uśmiech Janusza rzadko kiedy zwiastował coś dobrego. Gabriel upewnił się, że zostawił rozpiętą kurtkę i w razie potrzeby będzie mógł szybko dobyć swojego walthera. Strzelanina nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem, a w małych pomieszczeniach sprowadza się do ogromnego hałasu i perforacji błony bębenkowej. Zazwyczaj wystarczyło wyjęcie pistoletu z kabury, by emocje szybko opadły. Tylko że teraz stali z Pilszem pośrodku zoo wypełnionego po brzegi metanabolem i testosteronem.

– No co ty. – Janusz przechylił się do przodu i napał ciałem na podnoszoną przez chłopaka sztangę. – Pomogę, marnie wyglądasz.

Dźwięk odbijającej się od klatki piersiowej Żeberka metalowej rury i głośne jęknięcie przykuły uwagę wszystkich obecnych w Muskule. Gabriel odsunął się w stronę ściany i oparł plecami o plakat faceta w skąpych slipach. Nad głową miał wielki napis „Po pierwsze zwiększ masę”, a przed sobą widział, jak Żeberko wywija nogami, próbując wyswobodzić się spod leżącej na piersi sztangi. Tubylcy zaczęli zbierać się wokół, tworząc półokrąg złożony z nabitych mięśni oraz samoopalacza. Pilsz rozejrzał się, rozluźnił uchwyt. Ciężar zsunął się z głośnym hukiem na podłogę, uwalniając chłopaka. Żeberko zerwał się z ławki i napał na Pilsza.

– Psie jebany! – Uderzył otwartymi dłońmi w klatkę piersiową Janusza. – Zabić mnie, kurwa, chciałeś?!

– Łapy, gnoju! – Pilsz odepchnął go, sadzając z powrotem na ławeczce. Wycelował palcem w zbliżającego się mięśniaka z wyblakłym tatuażem „Jebać Poloniem” na przedramieniu. – Siad, kurwa, policja!

W Muskule zrobiło się wyjątkowo cicho. Tylko pracujący pod sufitem wiatrak wydawał z siebie jednostajny, uspokajający pomruk.

– Dwieście dwudziesty trzeci artykuł kodeksu karnego.

– Co? – Chłopak szukał wzrokiem pomocnika, który uratuje go i udzieli poprawnej odpowiedzi, ale jak kiedyś przy szkolnej tablicy, i teraz został sam.

– Co?

– Kodeks karny, taka książka. Wiesz, co to książka?

– Co?

– Rozumiesz po polsku?

– Co?

– Czynna napaść na funkcjonariusza. – Gabriel postanowił wybawić nieszczęśnika z opresji. *Pulp Fiction* znał na pamięć i wiedział, czym może skończyć się wymiana zdań z kimś mającym dostęp do broni palnej. – Dziesięć lat, jeżeli prokurator zakwalifikuje sztangę jako broń.

– Zdecydowanie. Wygląda na kurewsko niebezpieczną. – Pilsz skrzyżował ręce na piersiach. – Zatańczymy?

– Co?

– Ruszaj dupę, do radiowozu!

Pilsz złapał Żeberko za ramięczko koszulki i podciągnął do góry. Chłopak nie

opierał się, karnie pochylił głowę i ruszył w stronę wyjścia. Kiedy szli korytarzem, w tle słyszeli wracającą do życia siłownię; dźwięk opadających miarowo ciężarów przypominał muzykę huty stali. Żeberko potknął się na schodach i gdyby nie refleks Pilsza, zostawiłby w Muskule nie tylko honor, ale i obydwie jedyńki.

– Uważaj, Jaruś, nie będę potem świecił oczami przed twoją matką. – Janusz przejechał dłonią po głowie chłopaka. – No, ruchy.

Kia stała zaparkowana nieprawidłowo kilkadziesiąt metrów od siłowni. Niewielki samochód zajmował dwa miejsca parkingowe i wyglądał na władcę okolicznych włości. Tak samo jak jego właściciel. Pilsz wcisnął przycisk na pilocie. Żeberko sam otworzył sobie drzwi i usiadł z tyłu.

– Tym razem przesadziłeś – powiedział, gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz pojazdu. – Mogłeś zrobić mi krzywdę.

– Nie po to chodzisz na siłownię, żeby teraz tak skomleć. – Pilsz odpalił silnik. – Przejedziemy się?

Nie czekając na odpowiedź żadnego z pasażerów, wycofał samochód i ruszył osiedlową uliczką w stronę głównej trasy. Nie odezwał się ani słowem podczas podróży. Ani razu nie użył też klaksonu, co Gabriel wziął za dobry znak. Maniery Pilsza uległy znacznej poprawie, ale widząc, że skręca w stronę lasu w Komorowie, musiał zrewidować swoje przypuszczenia.

– Nie za wcześnie na grzyby? – Żeberko chciał brzmieć jak bohater, ale daleko mu było do kpiącego tonu, jaki słyszał z ust protagonistów amerykańskich blockbustów.

Po skórze chłopaka spłynęło kilka kropel potu, gdy przejechali obok cmentarza. Tęsknie spoglądał na domki działkowe, stanowiące sąsiedztwo mogił, i wiercił palcem w pępku. Gałęzie zachręściły pod kołami kii, a z każdym kolejnym mijanym metrem zaczynały także ocierać się o karoserię. Pilsz zatrzymał się i wyskoczył z samochodu.

– Co się dzieje?

– Siedź na dupie. – Gabriel odpiął pas i wysiadł, zatraskując za sobą drzwi.

Bagażnik policyjnego samochodu nie różnił się niczym od zwyczajnego. Po wyłożonym materiałem podłożu walały się niepotrzebne nikomu rzeczy. Jedną rękawiczką ubrudzoną smarem, podarta gazетка z marketu budowlanego, trójkąt ostrzegawczy, saperka oraz podpałka do grilla.

– Nie za ostro?

– Trzeba czasem nastraszyć Jarusia, inaczej będzie zgrywał twardziela. – Pilsz schował rękawiczkę do kieszeni i wyciągnął saperkę. – A chyba nie mamy czasu trzymać go na dołku przez dobę, aż zmięknie mu pała, co? Weź podpałkę.

Gabriel w ostatniej chwili złapał pojemnik. Janusz zatrzasnął klapę z takim impetem, że samochód wydał z siebie głośne jęknięcie. Gabriel, patrząc przez tylną szybę na Jarusia, odniósł wrażenie, że to on wydał z siebie ten przenikliwy dźwięk, a nie resory kii.

– Wypad. – Pilsz z rozmachem otworzył drzwi samochodu. – Poćwiczymy

trochę.

Wysiadając i stawiając swoje nieskazitelnie białe adidas na leśnym trakcie, Żeberko przybrał wiele odcieni naraz. Rozpoczął od szarego, następnie przeszedł w biel, a prostując się i łapiąc saperkę rzuconą przez Janusza, stał się morelowy.

– Co? Ja przecież żartowałem tam. Po co mi to?

– Kop, Jaruś, kop.

– Mało gangsterska ksywa, co?

– Jarek. – Gabriel uśmiechnął się i wyciągnął papierosa. Żeby nadać całej scenie odpowiednie napięcie, brakowało im jeszcze kapeluszy z lat dwudziestych, tanich garniturów oraz tommy gunów trzymany nonszalancko w jednej dłoni. – Vito, to jest gangsterskie imię. Wiesz, kto miał tak na imię? Vito.

– Co?

Pierwsza kupka suchej ziemi wylądowała u stóp policjantów. Żeberko ociągał się, choć mięśnie miał tak napięte, że prawie rozrywały skórę.

– Młodzież w ogóle nie zna klasyki.

– Spodziewałeś się czegoś innego? Jaruś każe się tytułować Żeberko. – Pilsz wyciągnął z kieszeni batonik. – To brzmi jak nazwa jakiejś grupy wsparcia dla byłych wegetarian. Kiedyś to były ksywy. Pershing, Masa, Baranina, Parasol, Dziad. Kurwa, nawet Mrówa brzmi lepiej niż to. Ale zobacz, nie narobiłem ci wstydu przed kumplami z siłki i mówiłem Żeberko. Cieszysz się?

– Powiecie mi, o co chodzi?

– Adam Kupczyk. – Gabriela sytuacja bawiła, ale patrzenie, jak chłopak próbuje wykopać najmniejszy dołek na świecie, już mu się znudziło. W przeciwieństwie do Pilsza, który ledwo powstrzymywał się przed śmiechem.

– Co Adam Kupczyk? – Żeberko wyprostował się, nieuważnie trzymana saperka zostawiła na jego udzie długą smugę piachu. – Nie znam człowieka.

– Z dilerami zawsze jest ten sam problem. – Pilsz rzucił papierek po batonie pod jego nogi. – Nigdy nie mówicie prawdy, a z waszych ust wylewa się samo gówno.

Zawiązała szczelnie worek. Dość nawdychała się dziś zapachów, które nie należały do przyjemnych. Wystawiła śmieci na ganek i zamknęła za sobą drzwi. Dla bezpieczeństwa przekręciła zamek. Nie spodziewała się, że będzie zdolna do takiego poświęcenia. Joanna chyba również. Podczas zmiany pieluchy żadna z nich nie odezwała się ani słowem.

– Nie musiałaś tego robić. – Joanna na powrót szczelnie opatulila się kocem.
– Poradziłabym sobie.

To brzmiało prawie jak przeprosiny.

– Co robiłaś, jak Halina nie przychodziła?

– Nic.

Światło w gabinecie powoli zmieniało swoją barwę. Dochodziła osiemnasta. Do zachodu słońca pozostały niemal trzy godziny, ale w powietrzu czuć już było zbliżające się ochłodzenie.

– Chyba będzie padało.

– Czemu to robisz?

– Podtrzymuję rozmowę.

– Czemu tu przyłazisz? Liczysz na coś? Andrzej coś ci obiecał za dogłądanie staruchy?

Kolejne mrugnięcie wyschniętych powiek i kolejna zmiana nastroju. Kaśka liczyła, że ten dzień zakończy się pojednaniem, ale widać nic z tego nie wyjdzie.

– Płaci mi – przyznała. – Za mało.

– Nie wiem, co on ci naopowiadał, ale nie wiem nic o twojej matce.

– Ostatnio mówiłaś coś innego.

– Dam ci dobrą radę. – Joanna chwyciła za kółka wózka i niezdarnie obróciła się w stronę Kaśki. – Nie wierz pijakowi.

Łyk alkoholu i głośne przełknięcie. Do tego sprowadzała się teraz Joanna Zielińska. Była muza, wyrocznia oraz piękność schowana pod obwisłą skórą, którą mogłaby okryć dwie osoby. Kaśka nieraz zmuszała się, żeby przyjść do jej domu i spędzić wiele męczących godzin tylko po to, by usłyszeć kilka słów o matce. Czowała, że Joanna wie znacznie więcej, niż jej mówiła w pijackim majaku. Nie potrafiła tylko tego z niej wydobyć.

– Czemu go kryjesz? – zaatakowała. – Co takiego Dzierga dla ciebie zrobił, że dalej jesteś mu wierna?

– Nikogo nie kryję, dziecko. Powinnaś to już dawno zrozumieć – powiedziała Joanna spokojnie. – Jesteś młoda, na siłę nikt tu cię nie trzyma. Możesz wyjechać i przestać się kurwić jak twoja matka.

– Nazwij to lokalnym patriotyzmem. Poza tym coś komuś obiecałam.

Mówiła szczerze. Po raz pierwszy od dawna poczuła się dobrze. Zniknęło gdzieś poczucie winy i dławiący lęk. Otworzyła się, patrząc w oczy kogoś, kogo nienawidziła. Jeżeli tak wyglądają relacje międzyludzkie, to cieszyła się, że świadomie z nich zrezygnowała.

– Prawda nic nie zmienia.

– Nie – przyznała – ale wolę to niż życie w niewiedzy.

– Dolej mi. – Joanna wysunęła rękę z pustą szklanką. – Sobie też nalej.

Wróciła do kuchni. Alkohol znacznie ułatwiał konwersację. Nie miała najmniejszej ochoty upijać się, nawet lekki szum w głowie mógł oznaczać utratę równowagi. Znów poczuła się gorzej. Kuracja z jajka pomogła na moment, cały czas ją jednak bolało, a na dodatek śmierdziała jak śmietnik w Wigilię. Gdyby dodała do tego procenty, rozpadłaby się na tysiąc kawałków.

Wyciągnęła dodatkową szklankę i postawiła na blacie. Orujo drażniło zapachem i żółtym kolorem. Dla niej jedyny alkohol, który mógł być kolorowy, to whisky. Nalała Joannie do pełna, sobie kilka kropel. Rozrzodziła je wodą,

dodała prawie cały sok z cytryny znalezionej w lodówce. Pachniało okropnie, ale mogło udawać prawdziwego drinka. Przyjrzała się obu szklankom. Wyglądały niemal identycznie.

Kiedy wróciła do gabinetu, Joanna siedziała w tej samej pozycji, w której ją zostawiła. Tylko głowa kiwała się w przód i w tył przy każdym oddechu.

Zasypiała.

– Proszę. – Kaśka włożyła drink w zmumifikowaną dłoń i pomogła palcom zacisnąć się na szkle. – Zdrowie!

Stuknęła w jej szklankę głośno, by pomóc staruszce wrócić do rzeczywistości.

– Zdrowie – odparła, mechanicznie podnosząc alkohol do ust.

Jeden łyk wystarczył, by Joannie wróciły rumieńce. Podniosła głowę i uśmiechnęła się najszczerzej, jak Kaśka do tej pory widziała. Nie odstraszały odsłonięte dziąsła, żółte zęby i drgający wewnątrz ust język. Zaczęła przypominać człowieka.

– Umieram – powiedziała. – W końcu.

Z impetem wlała w siebie resztę alkoholu.

– Nie przesadzaj – pocieszyła ją Kaśka.

Przejechała dłonią po twarzy, jakby chciała pokazać, że są gorsze rzeczy na świecie niż kilka zmarszczek i nietrzymanie moczu. Którego ona też doświadczała; bycie kobietą to cholernie ciężkie zadanie, a para piersi dumnie noszona nad brzuchem w żaden sposób tego nie wynagradzała.

– Dziecko, obudziłam się dziś we własnych szczynach.

Kaśka też tak rozpoczęła dzień, ale o tym wołała nie wspominać.

– Pierdolisz. – Upiła swojego drinka. Smakował równie paskudnie, jak wyglądał.

– Podlizywanie się nic ci nie da. Obie dobrze wiemy, że dobiegam do mety.

Śmierć siedziała na ramieniu Joanny, spoglądając na zegarek. Nie tylko jej kończyła się cierpliwość. Kaśka podeszła i przykucnęła przy wózku. Zdjęcie Teodora Różyckiego leżało cały czas w tym samym miejscu. Zrozumiała, dlaczego Joanna nie chciała nic jej powiedzieć. Wzięła fotografię, wstała i wyszła z gabinetu.

– Co robisz?

Pisk kółek śledził dziewczynę aż do drzwi wejściowych. Joanna miała w sobie jeszcze trochę ikry. Przy odrobinie dobrych chęci mogłaby wystartować na paraolimpiadzie albo chociaż wieźć sztandar.

– Mówię do ciebie, suko!

Kaśka słyszała każde słowo, ruch kółek i przyspieszony oddech za swoimi plecami. Nie reagowała, czekała, aż złość Joanny osiągnie apogeum, a zdolności logicznego rozumowania wrócą na swoje miejsce. Nic tak nie pomaga wytrzeźwieć jak gniew. Zatrzymała się dopiero przy swojej torbie. Wyciągnęła z niej telefon, wybrała aplikację i sfotografowała Teodora Różyckiego.

– Masz jego inne zdjęcia? – Oddała kartonik Joannie.

Staruszka przycisnęła do piersi portret dawnego kochanka.

– Dlaczego?

– Mogłaś powiedzieć mi to wprost. Zmarnowałaś kawał czasu.

– Nie jesteś tak głupia, jak wyglądasz.

– Za informację się płaci i lepiej, żebyś miała dla mnie coś wartościowego.

Może znajdziesz skarb?

Przysłuchując się miarowym odgłosom kopania i przyspieszonemu oddechowi Zeberka, Gabriel przeglądał zdjęcia w telefonie. Pilsz rzucał nic niewnoszące do sprawy uwagi, a z każdą kolejną ich poziom dramatycznie spadał. Wiele mu brakowało do Bruce'a Willisa, ale na swoje usprawiedliwienie miał to, że jemu kwestie w filmach pisał ktoś inny.

– Masz tu zasięg? – Byś wyciągnął rękę z komórką w górę.

Wpadające przez gałęzie promienie światła drażniły oczy. Widział tylko ekran telefonu i liście odbijające się w błyszczącym wyświetlaczu. Dwie strzałki, które miały zwiastować pobieranie danych, w żaden sposób nie chciały się zaświecić. Chciał się upewnić, czy to, co powiedział mu na dachu Robert, to rzeczywiście prawda i notatki Marty zawierały grafy. Wyszukanie informacji w środku lasu to jednak najwyraźniej za duże wyzwanie dla jego smartfona.

– Tutaj? – Pilsz spacerował wokół Zeberka, który stał już prawie po pas w ziemi. – Żartujesz? W tym lesie zakopano tyle trupów, że niedługo to miejsce zyska status cmentarza. Gdyby był tu zasięg, musielibyśmy pojechać gdzie indziej. Kop, kop, nie ociągaj się.

– Zgłoszę to – wymamrotał Zeberko, pociągając nosem.

Wycieczka do lasu w kusych spodenkach nie mogła skończyć się inaczej. Gabriel zastanawiał się, czy ściekające teraz po brodzie Jarusia smarki to oznaka zbliżającego się przeziębienia, czy też załamania nerwowego.

– Mama nie mówiła ci, że powinieneś cieplej się ubierać?

– Zobaczycie – pociągnięcie nosem – wszystko powiem!

– Szkoła już dawno się skończyła, Jaruś. – Pilsz założył ręce na plecach i wygiął się nad chłopakiem jak szef kompanii poganiający żołnierza, by ten szybciej czyścił kibel. – Rozejrzyj się, komu chcesz to powiedzieć? Dzieciołom?

– Spytałem jeszcze raz. – Gabriel schował telefon do kieszeni. Równie dobrze mógł patrzeć na przedstawienie Pilsza. – Adam Kupczyk.

– Nie znam kolesia.

– Wkurwiasz mnie. – Janusz wyciągnął ze spodni sfatygowaną rękawiczkę. Odeszła z niej prawie cała guma, która pierwotnie służyła jako zabezpieczenie.

– Daj podpałkę.

Płyn śmierdział tak, że Gabriel musiał zrobić krok w tył. Pilsz delektował się zapachem, gdy przykładął rękawiczkę do butelki. Nasiąkła w sekundę.

Zeberko spoglądał na swoje ubrudzone buty i przeklinał pod nosem. Gdyby

podniósł głowę, miałby szansę uniknąć zatkania przełyku ziemią. Janusz zeskoczył i przygniótł go swoim ciężarem do dna dołka. Włożył mu palce do ust i przekreślił na plecach.

– Gnoju! – Wepchnął rękawiczkę między szczęki chłopaka. – Nie mamy czasu na twoje przemyślenia! Albo zaczniesz gadać, albo zostaniesz tu na zawsze! Chętnie pojedę do twojej matuli i z przykrością zawiadomię ją, że jej jedyny syn zaginął, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by go odnaleźć.

To zaszło za daleko. Straszanie to metoda, do której Gabriel również się odwoływał, ale nigdy w taki sposób. Wywiezienie kolesia do lasu i kazanie mu kopania grobu od początku nie wydawało mu się dobrym pomysłem.

– Janusz – liczył na to, że Pilsz, będąc na papierosowym odwyku, nie nosił ze sobą zapalniczki – wyluzuj.

– Spokojnie. Nikt go tu nie znajdzie.

Gabriel widział grube krople potu spływające po łysej głowie chłopaka. Zanim zdążył ruszyć się z miejsca i przerwać tę maskaradę, Pilsz złapał Żeberko za koszulkę i cisnął nim o ścianę dołka.

– Gotów?

W jego dłoni pojawiło się pudełko zapalek. Żeberko pobladł. Wypluł rękawiczkę pod nogi, po brodzie pociekła ślina.

– Czasem przychodził na siłkę, nic więcej – powiedział, podnosząc dłonie i zakrywając nimi twarz.

– Nie można było tak od razu?

Pudełko zapalek wróciło do kieszeni. Żeberko nawet nie zarejestrował tego faktu, płakał jak dziecko. Jego spodnie do ćwiczeń ozdobiła wielka plama, strużka moczu spływała mu po nodze i wsiąkała w ziemię.

– Kiedy widziałeś go ostatnio? – Ciśnienie Gabriela powoli wracało do normy.

Przez moment sądził, że zostanie współwinnym morderstwa. Policjant po czymś takim mógł pożegnać się z karierą. Nawet oczyszczony z zarzutów nigdzie nie znajdzie pracy. Co najwyżej będzie mógł sprawdzać, czy klienci nie wnoszą szynki z supermarketów. O ile ktoś go do takiej roboty poleci.

– Nie wiem, kilka dni temu.

– Masz. – Gabriel wrzucił do dołka opakowanie chusteczek higienicznych. Żeberko wysupłał jedną i głośno dał znać, że potrafi się wysmarkać jak dorosły.

– A dokładniej?

– Czwartek? Tak, chyba byli w czwartek.

– Byli? Mógłbyś doprecyzować?

– Przyszedł ze swoją dupą. – Wyciągnął rękę z paczką chusteczek w stronę Gabriela.

Ten pokręcił głową.

– Zatrzymaj sobie. Znasz ją?

– Pewnie. Kto jej nie znał. Szkoda laski.

Gabriel spojrzał na Pilsza, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Szkoda?

– No. – Żeberko wydawał się szczerze zdziwiony. – To ta zamordowana.

– Skąd wiesz, że to ona?

W mediach nie podano danych Marty. Na pruszkowskim portalu pojawił się wprawdzie artykuł, w którym użyto inicjałów ofiary, ale Żeberko nie wyglądał na takiego, co lubi czytać. Tekst o zabójstwie należał do najchętniej czytanych. Dopóki portal nie poinformował, że w Pruszkowie nie będzie wody. Znowu. Po raz trzeci w ciągu dwóch miesięcy. Gabriel przyzwyczył się już do charczącego kranu i beczkowsów na ulicach. Reszta miasta najwidoczniej nie.

– Wszyscy to wiedzą. – Żeberko zaczął obmacywać się po kieszeniach. Wyciągnął niewielki telefon. – Chcecie zobaczyć zdjęcie?

Jeżeli mówił prawdę i zdjęcie z miejsca zbrodni faktycznie znalazło się w czyichś rękach, mają duży problem. Gabriel obszedł dołek i odebrał smartfona z ręki Żeberka.

– Zdjęcie? – Pilsz włączył się w rozmowę. – A niby skąd je masz?

– Młody mi przesłał. A on miał je od Agresta. Każdy je ma. Paskudna sprawa.

Odblokowywany aparat wydał z siebie westchnienie podnieconej kobiety. Głośne „och” odbiło się od dębów.

– Serio? – Pilsz uśmiechnął się. – Podejrzewam, że nie jest to nagranie twojej dziewczyny.

– Tylko niech pan mi go odda. – Żeberko zrobił się purpurowy. Siedzenie na ziemi w obszczanych spodenkach nie przerażało go tak, jak to, że nie ma władzy nad swoim telefonem. – Mam tam osobiste rzeczy.

– Ma oczy?

Odpowiedź na pytanie Pilsza miała zasadnicze znaczenie. Jeżeli zdjęcie przedstawiało ofiarę w innym stanie, niż zastali ją policjanci, mogło ich to naprowadzić na ślad morderców.

– W galerii – doprecyzował Żeberko, patrząc, jak kciuk Gabriela przesuwa się niecierpliwie po ekranie.

– Nie gorączkuj się. – Byś powiększył zdjęcie. – Marta w całej okazałości. Nic nowego.

Wyglądała identycznie jak wtedy, gdy pojawił się na miejscu zdarzenia. Brakowało tylko techników szwendających się po mieszkaniu i Anny Toczeń dobierającej się do trupa. Reszta przypominała scenerię z horroru. Rozciągnięte ciało tonęło we krwi, a kiepska jakość zdjęcia potwierdzała, że nie trzeba dużo, by wywołać w człowieku uczucie niepokoju. Przejechał kciukiem kilka razy.

– Spójrz na to! – Rzucił smartfon Januszowi.

– Ej! – Żeberko podniósł się gwałtownie. – To osobiste.

– Siadaj na dupie!

Podziałało. Żeberko potulnie wrócił do poprzedniej pozycji, ale nie spuszczał wzroku z policjanta.

– Czy ja dobrze widzę? Toż to nasza ofiara.

– Z fiutkiem Jarusia w ustach – doprecyzował Gabriel. – Bo to twój, prawda?

– Sterydy mu nie służą. Zabieram to.

Pilsz schował telefon do kieszeni. Żeberko nawet nie próbował wstawać z ziemi. Usilnie starał się wymyślić jakieś wytłumaczenie. Gabriel widział jego rozbiegany wzrok. Prawdopodobnie w głowie zachodziły mu teraz takie operacje, o których wcześniej mózg mógł tylko pomarzyć. Jarus przypominał krewetkę złapaną w sieć.

– Odbierzesz na komendzie, jak wszystko sobie przejrzę. – Pilsz wygramolił się z dołka i ruszył w stronę samochodu.

– Skąd to masz? – zapytał Gabriel. – Tylko nie mów mi, że przesłał ci je jakiś Poziomka czy inny krzew owocowy.

– To mój – wydusił Żeberko. – Mój fiutek. Pozwoliła mi.

Zmiana taktyki mogła wyjść im tylko na dobre. Metoda Baldwina, z której chętnie korzystali angielscy śledczy, powinna się tu sprawdzić. Proste zachowania są najlepsze i Gabriel wielokrotnie się o tym przekonał. Skarcenie i chłodne traktowanie przy negatywnym nastawieniu przesłuchiwanego oraz miłe, gdy ten decydował się na współpracę. Wprawdzie dół w ziemi nie nadawał się na pokój przesłuchań, ale warto było spróbować.

– Słuchaj, wiem, jak się teraz czujesz. – Łagodny ton samemu Gabrielowi wydał się nienaturalny, zbyt szybko zmienił taktykę, ale Żeberko nie wyglądał na zaniepokojonego. Przynajmniej nie bardziej niż przed chwilą. – Martwisz się o matkę, co?

– Tak.

– Nie przejmuj się. – Przykucnął tak, by znaleźć się jak najbliżej chłopaka. – O niczym się nie dowie. Masz na to moje słowo.

– Obiecuje pan?

– Oczywiście.

Stał się wybawcą, kimś, komu Żeberko mógł zaufać i w kim widział jedyne wyjście z sytuacji. Pilsz idealnie odegrał rolę kata. Chłopak nawet nie podejrzewał, że jego występ doskonale wpasował się w trójkąt dramatyczny Karpmana. Kolejną metodę przesłuchań wykorzystywaną przez takie tuzy, jak CIA, FBI i dwóch facetów w podpruszkowskim lesie.

– Kto przesłał ci zdjęcie z mieszkania? Młody?

Kiwnął głową.

– Skąd je miał?

– Wszyscy je sobie rozsyłaliśmy. Nie wiem, kto zaczął. Ja też wysyłałem.

– Dlaczego?

– Nie wiem, wszyscy wysyłali.

– Czemu to nie trafiło do gazet?

Żeberko przestał oddychać. Po policzku spłynęła mu łza. Znikąd pomocy.

– A Marta? – Gabriel pozwolił mu odpocząć.

– Pozwalała robić sobie zdjęcia. – Żeberko poddał się. – Nie zawsze, ale czasem mogliśmy strzelić fotę, a ona nic nie mówiła.

Wyglądało na to, że ta kobieta potrafiła owinać wokół palca każdego faceta.

Chłopak od przeprowadzek ślinił się na samą myśl o niej, Adam pozwalał jej wychowywać dzieciaka, a teraz Żeberko mówił, że podczas stosunku pozowała do zdjęć, które mogłyby zdobić rozkładówkę „Hustlera”.

– Zdradzała Adama?

– Nie, to znaczy tak. Nie do końca. On wiedział.

– Wiedział, że zdradzała go z kupłami z siłowni?

– Wszystkim dawała. Adam ustalał grafik. To jedna z dziewczyn Dziergi.

To nazwisko wydało się Gabrielowi znajome. Przez lata pracy w policji zapomina się większość nazwisk ludzi, którzy przewinęli się przez tylną kanapę służbowego samochodu. Większość, ale nie te najważniejsze. Nie te, które znała cała Polska.

– Zeznasz to? – Pilsz wrócił i wrzucił do dołka duży worek na śmieci. – Przed prokuratorem?

– Nie! – Żeberko zerwał się. – Zwariowaliście? Równie dobrze możecie zastrzelić mnie tu na miejscu.

– Da się zrobić.

– Czekaj. – Gabriel złapał Pilsza za dłoń, która właśnie wędrowała do kabury. – Andrzej Dzierga? Sądziłem, że po procesie uciekł do ciepłych krajów czy gdzieś.

– Otworzył grajbudę w Komorowie. – Pilsz wyciągnął kolejny batonik. – Sąd zaliczył mu areszt na poczet kary. Gównu na niego mieli, tak jak na większość chłopaków z Pruszkowa.

– Wrócił do interesów?

– Nie oficjalnie, a dzięki takim cipkom jak Żeberko – wskazał na chłopaka nadjedzonym batonem – gównu możemy mu udowodnić. Zmieścisz się cały do worka czy będziemy musieli ciąć?

Żeberko wyskoczył z wykopanego przez siebie dołu i pobiegł przed siebie. Potykał się o wystające z ziemi korzenie, gałęzie chłostały go po twarzy, ale nie obejrzał się ani razu.

– Dzięki. – Gabriel włożył ręce do kieszeni. – Dobrze mi szło. Nie powinniśmy go zawołać?

– Po co, upaprze mi tylko tapicerkę. – Pilsz ruszył w stronę samochodu. – Trafi do domu, jesteśmy jakieś trzysta metrów od trasy. Wróci na kolację.

– Czyli kłamałeś z tym cmentarzem w środku lasu?

– Nie, ale kijanka zakopałaby się w połowie drogi, a ja nie mam ochoty wzywać pomocy drogowej, bo Żeberko uniósł się honorem szczura i nie chciał gadać.

Okolice Pruszkowa skrywały znacznie więcej tajemnic, niż Gabriel podejrzewał. Lata dziewięćdziesiąte zostawiły po sobie wiele mafijnych mitów. Groby rozrzucone wokół miasta widać nie były jednym z nich.

– Ale podpałka do grilla?

– Żeberko sprzedaje trawkę dzieciakom w gimnazjach, miałem go pogłaskać po główce? Zresztą, może nam się jeszcze przydać. Widziałeś, łatwo się łamie.

Miał rację, ale Gabriel wolał nie wypowiadać tego na głos. Sam tak robił, licząc, że nawiązana znajomość doprowadzi go wyżej. Stopień po stopniu. Czasem to zdawało egzamin, czasem jego kontakt wyławiano z Wisły. Koszty wkalkulowane.

– A reszta? Ten Agrest, Młody czy jak im tam?

– Takie same płotki. Tylko oni prędzej odsiedzą rok w kryminale, niż nam kogoś sprzedadzą. Skończyły się czasy, gdy łapało się całe tiry koksu. Jedziesz czy idziesz w ślady Jarusia?

Noc w lesie, nawet położonym blisko drogi, nie zapowiadała się zachęcająco. Ruszył za Pilszem, zastanawiając się, jak jego zwaliste ciało mieści się w tak małym samochodzie.

– Nie wiedziałeś, że ofiara była dziwką?

– A ty znasz wszystkie w Warszawie? – Janusz usiadł za kierownicą i odpalił silnik. – Nie łążą po ulicach, szukając turystów. Teraz siedzą po domach, ogłaszają się w internecie. Dwudziesty pierwszy wiek, komisarzu, trzeba nadażać.

– Macie coś na Dziergę?

– Teczkę pełną dokumentów. – Janusz powoli ruszył. – Wszystkie kurewsko legalne.

Koncesja na alkohol, oznakowane wyjścia ewakuacyjne, gaśnice umieszczone w strategicznych punktach. Wszystko w Pieczarze było zgodne z literą prawa. W lokalu znajdował się nawet monitoring, podpięty do zewnętrznej sieci i zapewniający przyjazd firmy ochroniarskiej w ciągu pięciu minut od otrzymania zgłoszenia. Mimo to goście przypominali mieszankę starych pijaczków i odtrąconych poetów, a nad podłogą unosił się swąd kryminalnego półświatka.

Katarzyna uwielbiała ten zapach.

Mieszanka zepsucia, straconych nadziei oraz testosteronu osiadającego na włosach pod pachami. Miejsce idealne dla spragnionych porządnego łomotu. Szczególnie w piątkowe i sobotnie noce, kiedy do Pieczary zjeżdżała śmietanka pruszkowskich blokowisk. Parking szczelnie zapełniały wtedy bmw z ukrytymi w bagażnikach butlami na gaz, a straż miejska omijała okoliczne ulice szerokim łukiem. Nikt się nie awanturował, nie kiedy na dole siedział Dzierga, a jego ochroniarze przechadzali się między klientami. Kaśka wiedziała, że znajdzie go na miejscu. Niedziele rezerwował dla swoich współpracowników, a Pieczara zmieniała się w ekskluzywną salę dla biznesmenów.

Przynajmniej w mniemaniu Dziergi.

– Jest zajęty.

Ochroniarz zastąpił jej drogę.

– Ja tylko na chwilę. – Uraczyła go najładniejszym ze swoich uśmiechów.

Nawet niewielki grymas twarzy przypominał jej, że kilkanaście godzin

wcześniej miała bliskie spotkanie trzeciego stopnia z pięściami. Przed przyjściem do Pieczary nałożyła makijaż, ale nie na tyle starannie, by ukrył ślady pobicia. Chciała, żeby wszyscy, których będzie mijala, zobaczyli ślady. Miała zostać zapamiętana. Krótka spódnica odsłaniająca siniaki na udach i wysokie obcasy, które wykańczały jej łydki. Każdy się za nią oglądał, ale Kaśka wystroiła się dla tego jedyne.

Wszystko dla Dziergi.

– Ja tylko na chwilę – powtórzyła, zbliżając się do postawnego faceta.

Przewyższał ją o głowę, a gdyby tylko zechciał, bez najmniejszego wysiłku położyłby brodę na środku jej czaszki. Przejechała opuszkami po klapie marynarki, szczelnie opinającej napakowane sterydami ciało. Nie była z tego powodu dumna, ale łysa głowa lśniąca odbitym światłem nielicznych żarówek rozjaśniających wewnątrz Pieczary działała na nią obezwładniająco.

– Czy wyglądam, jakby mnie to interesowało?

Stracił jej dłoń, jakby pozbywał się drobinek łupieżu. Gdyby nie to, że Katarzynie zależało na spokojnym wieczorze, wbiłaby mu nóż w jądra za taką zniewagę. Odtrącenie coś ostatnio często ją spotykało. Powinna chyba zastanowić się nad zmianą fryzury. Przynajmniej poprawi sobie humor.

Ruszyła w stronę baru. Stołki obite popękaną czerwoną skórą były równie niewygodne jak wszystko inne w klubie. Nie mogła sobie przypomnieć żadnego innego miejsca, gdzie klient stanowił ostatnie ogniwo w łańcuchu potrzeb właściciela. Nawet cętkowane toalety stanowiły wyzwanie dla pośladków. Szczególnie gdy trzeba było lewitować nad powierzchnią obsikanych desek.

Usiadła, krzyżując nogi. Bolało, ale wywarła wrażenie na grupie studentów sączących piwo przy małym stoliku. Jeden z nich odważył się posłać jej uśmiech. Odwzajemniła, to mogła zrobić za darmo. Pełen cennik przedstawiała dopiero przy bliższym spotkaniu.

Wewnątrz małej torebki na złotym łańcuszku nie mieściło się wiele. Kaśce udało się jednak włożyć tam trzy najpotrzebniejsze rzeczy. Telefon, nóż, który dała Adamowi, a który on jej bezczelnie oddał, i kondoma. Bezpieczeństwo stawiała zawsze na pierwszym miejscu. Wybudziła smartfona. Urządzenie automatycznie połączyło się z bezprzewodową siecią Piekielko666. Hasło miała wpisane na stałe i było równie ambitne jak u większości użytkowników – 1234.

Wiedziała, że zadanie, którego podjęła się dla Joanny, może nie przynieść jej żadnych korzyści. Musiała jednak zaryzykować, zbyt długo zwlekała z uzyskaniem odpowiedzi. Odłożyła już wystarczająco dużo gotówki, by zniknąć i zacząć gdzieś od nowa. Potrzebowała tylko odciąć kilka sznurków, które trzymały ją na miejscu. Uwielbiała swoje życie, ale stanowczo za długo się z nim mocowała.

– Teodor Różycki – wyszeptała do ekranu telefonu.

Pierwszych kilka wyników do niczego konkretnego nie prowadziło. Odnosiły się do powieści *Różycki*, wydanej na początku wieku przez Teodora Jeske-

Choińskiego. Informacja ta nijak jednak nie zbliżała Kaśki do postaci tajemniczego kochanka. Tego się obawiała. Jeżeli czegoś nie ma na pierwszej stronie w wynikach Google, to nie istnieje.

– Hej, postawić ci drinka?

Chłopak, któremu nieopatrzenie podarowała uśmiech, stanął przed jej nogami. Skupiał wzrok na niewielkim trójkącie, który utworzył się między materiałem sukienki i skrzyżowanymi udami. Wiedziała, czego tam wypatrywał.

– Nie stać cię.

– Słucham? – Zmrużył przekrwione od trawki oczy.

– Masz na sobie koszulę z sieciówki, którą mógłbyś przy okazji wyprasować, a te tenisówki tylko z daleka wyglądają na markowe.

– Nieładnie oceniać ludzi po wyglądzie.

– Zdecydowałeś się podejść i porozmawiać ze względu na moją fascynującą osobowość czy może zafrapował cię kawałek stringów, który przed chwilą zobaczyłeś?

Za jego plecami ujrzała wychodzących z podziemia mężczyzn. Korowód źle ubranych facetów w markowych dżinsach i koszulkach z logo Ralphi Laurena na piersi. Śmietanka pruszkowskich klatek schodowych ubierała się odświętnie tylko na specjalne okazje. Dyskoteka, pasterka i wizyta u Dziergi.

Zeskoczyła ze stołka. Chłopak odwrócił się i ruszył w stronę swoich kumpli. Kaśka zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Czekał – powiedziała, patrząc, jak goście Dziergi się żegnają. – Gdzie ci się spieszy?

– Zawsze jesteś taka... dzika?

Piękny zwód, pomyślała. Gdyby odpowiednio nad chłopakiem popracować, mogłoby coś z niego być. Na przykład obywatel, który nie będzie tłuł w przyszłości żony czy nie podglądał dziecka w kąpielni. Ale ona nie miała czasu na bycie wychowawcą. Goście Dziergi ciągnęli już do wyjścia.

– Wiesz, jak mówią – chwyciła go za krocze i przyciągnęła do siebie – kobieta zmienną jest.

Zareagował prawidłowo. Potrzebowała chłopaka, jego kudłów opadających na ramiona, pleców. Służyły jej za zasłonę i pozwalały ukryć się przed Roczewskim, który żegnał Dziergę na Brezniewa. Kiedy tylko ich minął, odsunęła od siebie chłopaka, który w ciągu pół minuty zdążył zagrać palcami na jej pośladkach *Sonatę księżycową*.

– Trzy stowy, złotko – szepnęła mu do ucha. – Obciągnę ci za sto pięćdziesiąt. O ile skończysz w dziesięć minut.

Dzierga zniknął w podziemiu. Ochroniarz, który przed kilkanaście minutami uświadomił Kaśce, gdzie jest jej miejsce, przywołał ją dłonią i wskazał schody.

– Za pięć minut w damskiej toalecie. – Ruszyła w stronę schodów. – Gotówka.

Minęła ochroniarza i uważnie spoglądając pod nogi, zaczęła schodzić w dół.

Zastała Dziergę w tym samym miejscu co poprzednio. Siedział rozparty przy stoliku, zastawionym po brzegi kieliszkami i pustymi butelkami. Brakowało jedzenia.

Tylko wódka.

– Na bogato – rzuciła, siadając naprzeciwko. – A gdzie zagrycha?

Mielił ją spojrzeniem.

– Wpadłaś pod autobus? – spytał, ignorując jej kurtuazyjne rozpoczęcie dyskusji.

– Przyszłam po pomoc.

Wziął ze stołu napoczętą butelkę sobieskiego. Podniósł jeden z kieliszków i ostentacyjnie strząsnął na podłogę krople wódki zalegającej na dnie. Rozlał i przesunął kieliszek w stronę Katarzyny.

– Pieniądze? – Wypił jednym haustem. – Dostałaś ostatnio za opiekę nad Joanną.

– Nie o to chodzi. – Łyknęła. Nie dała po sobie poznać, że alkohol nie zrobił jej dobrze. Zbyt mało zjadła w ciągu dnia, by teraz pić jak zwykle. – Przysługa.

Ponownie napełnił kieliszki.

– Już jedną ci wyświadczam, pamiętasz?

Wiedziała, co miał na myśli. Jej matkę i to, co rzekomo mogła zaoferować jej Joanna. Informacje, których on sam podobno nie posiadał. Tolerowała te kłamstwa. Nie miała innego wyboru.

– Jestem ci za to wdzięczna – skłamała, przechylając kolejny kieliszek. – Tym razem to coś poważniejszego. Roczewski.

– Co Roczewski?

– On mi to zrobił. I ten jego pacholek.

Spodziewała się ostrej reakcji. Dzierga pomagał jej wejść w dorosłość, uchronił od strasznych ciotek. Zrobił to na swój szorstki, męski sposób, ale czuła, że nie jest mu obojętna. Andrzej nie miał dzieci z Jagodą, nie pozwoliła mu na to. Cięża zniszczyłaby figurę wypracowywaną przez lata na lokalnych siłowniach, wyjazdowych spa i razem z młodszym o dziesięć lat instruktorem fitness z ogromnym penisem.

– I? – spytał, nalewając sobie.

Tym razem jej nie nalał.

– Jak to i? Spójrz na mnie, wyglądam, jakby przeleciał mnie pieprzony niedźwiedź! Ledwo siedzę, a ty mówisz: „i”?

– To nie pierwszy raz.

W sam środek. Trafił w najczulszy punkt, jak zawsze.

– Ale nigdy aż tak. Mam nagranie.

Kieliszek stuknął o blat.

– Co masz?

– Film.

Przesunęła torebkę z ramienia na uda. Zamek miała cały czas otwarty. Gdyby Dzierga zdecydował się na atak, nie zdążyłaby nawet wyciągnąć

składanego ostrza, by wbić je w tętnicę szyjną. Bezpieczeństwo w jej profesji powinno stać na pierwszym miejscu. Kondom i nóż należałoby rozdawać każdej osobie parającej się tym zawodem. Niezawodny zestaw pierwszej potrzeby. Zupełnie jak apteczka w samochodzie czy jajka z masłem w lodówce.

– Obiecałaś mi – zaczął spokojnie. – Miałaś tego nigdy więcej nie robić. Nigdy nie nagrywamy klientów.

– Wiem, ale...

Uniósł dłoń w górę.

– Dlaczego mnie nie szanujesz?

Odczekała, aż się uspokoi.

– Potrzebowałam zabezpieczenia.

– A od czego masz mnie? Przecież zapewniam ci wszystko. Jak każdej z was.

– Jak z Martą?

– Nie wkurwiał mnie! – Podniósł się z krzesła. – To nie był klient!

Wyglądał jak przeciążona na jedną stronę ciężarówka. Masywna, zbliżająca się niebezpiecznie do granicy, po której nie będzie już odwrotu i skończy w jakimś rowie.

– Wiesz, kto to zrobił?

– Oczywiście, że wiem. Nic nie dzieje się tutaj bez mojej wiedzy. To Adam.

Przeczuwała taką odpowiedź. Najprostszą, niezmuszającą do zagłębiania się w problem i sprawiającą, że każda inna droga wydawała się zła. Adam, wzgardzony kochanek, ojciec Janka oraz morderca. Kaśka wiedziała, że to nieprawda.

Dzierga również.

– Nie wierzę.

– Nie musisz. – Wyciągnął telefon z kieszeni. Dziś miał na sobie ciemny garnitur. Wyglądał w nim szczuplej. – Podejrzewam, że nie udało ci się go znaleźć.

– Nie. – Ścisnęła mocniej torebkę. – Nie mam pojęcia, gdzie może teraz być.

W tej kwestii nie kłamała. Odkąd Adam zniknął, zostawiając ją przy rozbitym samochodzie z pokiereszowanym policjantem, nie miała z nim żadnego kontaktu. Podejrzewała, że już dawno jest za granicą.

– Chyba nie jesteś tak głupia, żeby szantażować naszego znajomego tym nagraniem?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Wideo stanowiło zapłon. Dziergi nie obchodziło ani jej podbite oko, ani siniaki na ciele. Równie dobrze mogłaby przyjść do niego z nożem pod żebrami. O ile świat nie pokaże jej środkowego palca, nagranie zostanie tam, gdzie jest. Dobrze ukryte.

– Nie pomożesz mi, prawda? – Nie.

Wstała i ruszyła w stronę schodów. Dzierga stał odwrócony plecami, przy uchu trzymał smartfona. Ledwo wspięła się na górę. Przy schodach, ciągle niewzruszony, stał ten sam ochroniarz. Chłopak, którego wykorzystała jako tarczę, zerwał się z miejsca i szybkim krokiem udał się do damskiej toalety.

Musiała się wyładować.

– Zamknij drzwi – powiedziała, wchodząc do środka.

Opuściła klapę sedesu i usiadła w rozkroku. Zimny plastik działał kojąco na siniaki. Chłopak przesunął prymitywny zamek; zanim się odwrócił do Kaśki, zdążył rozpiąć rozporek.

– Masz pieniądze?

– Tak. – Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął zmięte banknoty.

Przeliczyła. Cztery dwudziestki, sześć dziesiątek.

– Mogę liczyć na jakąś zniżkę? – spytał, wyciągając na wierzch serdelkowaty atrybut męskości.

Równie dobrze mogła mieć przed oczami rozjechaną dżdżownicę. Nawet zapach był podobny. Chłopak założył ręce za głowę i zamknął oczy. I natychmiast je otworzył, czując ostrze przebijające mosznę. Pisnął głośno, ale Kaśka zdążyła zamknąć mu usta dłonią i przyprzeć go ściany. Tuż za jego głową znajdowała się płytką z lampartem.

– Zapamiętaj – lekko przekręciła nóż – kobietom należy się szacunek.

Wyciągnęła ostrze, chłopak skulił się i opadł na podłogę.

– Zachowuj się jak facet.

Schowała nóż do torebki i wyszła z łazienki.

Czy ja cię pytam o zdanie?

Gabriel musiał mieć w sobie coś, co sprawiało, że wyglądał na niegodnego zaufania.

– Chcemy porozmawiać z panem Dziergą – powtórzył niechętnie.

Facet blokujący zejście do podziemi był wysoki, postawny, łysy i najwyraźniej głuchy. Gabriel czuł się jak na szkolnym przedstawieniu. Znajdował się w centrum uwagi, wygłaszał nic nieznaczące formułki, które publiczność słyszała już wielokrotnie. Niektórzy z gości ziewali, tylko dziewczyna wychodząca właśnie z toalety patrzyła w ich stronę z żywym zainteresowaniem.

– To może trochę zająć. – Monika wskazała kciukiem na bar. – Chcecie coś?

– Dla mnie piwo. – Pilsz rozpromienił się. – Ciemne. Jestem po służbie.

– Dzięki, nic.

Kobieta stojąca w drzwiach toalety wyglądała jak źle wymieszany drink, w którym sok osiadł na ściankach naczyń, a wódka zaległa na dnie. Przykuwała wzrok tak mocno, że Gabriel stracił całą swoją buńczuczność.

– Wpuść ich.

Potężny głos dobiegał z podziemi. Ochroniarz bez słowa przesunął się, jego ciało przestało tarasować schody. Gabriel skinął mu głową, ale mężczyzna nie zrozumiał żartu.

– Będę przy barze.

Nie czekając na odpowiedź, Monika odeszła, kłapiąc policyjnym obuwiem.

Szyk to ostatnie, czego wymagano na posterunku. Im mniej funkcjonariusz rzucał się w oczy, tym lepiej na tym wychodził. Czasem na komendę przychodziły pisma pochwalne, w których pisano, że policjanci tak dobrze się maskują w co bardziej niebezpiecznych rejonach miasta, że w ogóle ich tam nie widać.

Wchodząc do podziemnej salki, Gabriel ledwo powstrzymał się od zatkania nosa. Takiego natężenia perfum nie czuł nawet w burdelach. Siedzący za stołem tęgi mężczyzna dodawał swojskiej aury taniej speluny, popalając cygaretkę. Popiół strząsał do kieliszka, tworząc w nim szare błoto.

Kliska, pomyślał Gabriel. Brakowało tylko białego kota na kolanach i konsjerża.

– Proszę wybaczyć, panowie. – Mężczyzna podniósł się z krzesła. – Moi pracownicy nie zawsze wykazują się manierami, ale za to doskonale sprawują swoje obowiązki. Andrzej Dzierga.

Wyciągnięta dłoń zawisała nad stołem. Byś zawahał się; nie spodobały mu się kropelki potu spływające po skórze rozmówcy. Wolał unikać kontaktu z wydzielinami ciała, którego nie znał i nie zamierzał poznawać. O Dzierdze słyszał wiele, nigdy nie miał jednak wątpliwej przyjemności poznania człowieka będącego jednym z cyngli pruszkowskiej mafii.

Podobno.

– Komisarz Gabriel Byś. – Jednak uściśnął wyciągniętą dłoń. Równie dobrze mógłby witać się z krowim językiem, choć w przeciwieństwie do tego kulinarnego rarytasu dłoń Dziergi nie straszyła mikroskopijnymi ostrzami.

– Brzmi znajomo. Jest pan jakoś spokrewniony z firmą śmieciarską?

Złotówka za każde takie pytanie dałaby Gabrielowi spokojną emeryturę wśród palm. Z kolorowymi drinkami, całodobowym dostępem do basenu i chłopcem na posyłki w spodenkach z trawy.

– Przypadkowa zbieżność nazwisk. A to aspirant Janusz Pilsz.

Rytuał powitalny został odegrany w identyczny sposób. Janusz nie wzdrygnął się na widok spoconej skóry tylko dlatego, że większość potu została na Gabrielu.

– Co panów do mnie sprowadza? Proszę usiąść, napiją się panowie czegoś?

– Nie, my tylko na chwilę. Znał pan Martę Zręb?

– Oczywiście. – Poprawił się na krześle. – Była jedną z moich dziewczyn. Wielka tragedia.

Takiej otwartości Gabriel się nie spodziewał. Za to Pilsz wyglądał na wyjątkowo wyluzowanego.

– Słucham? – Byś wolał upewnić się, czy przypadkiem się nie przesłyszał. – Kim była?

– Jedną z moich dziewczyn. – Dzierga odchrząknął. – Przepraszam, źle się wyraziłem. Pracowała dla mnie.

– W charakterze?

– W charakterze modelki, komisarzu. Oprócz Pieczary prowadzę jeszcze

niewielkie studio fotograficzne, nasze dziewczyny nieraz już trafiały na okładki magazynów. W większości dla nastolatków. Marta od dawna nie pozowała, zajmowała się stroną organizacyjną, na sesje była odrobinę za stara.

Gdyby Gabriel był kobietą, musiałby wstać, spoliczkować faceta i wytłumaczyć mu, że wypominanie wieku nie należy do dobrego tonu. Nie wiedzieli, ile ma lat, ale wyglądała na nie więcej niż trzydzieści. Z całą pewnością nie można było o niej powiedzieć, że jest za stara na cokolwiek.

– Za stara? – powtórzył. – Czy pan zwariował?

Przez twarz Dziery przemknął piorun.

– Detektywie – Byś nie sprostował, Dzięrga znał policyjne stopnie lepiej niż niejeden funkcjonariusz – nie jestem już młodym człowiekiem, pan również. Teraz każdy, kto kończy dwadzieścia kilka lat, umiera dla społeczeństwa. Ulice i kluby pełne są walczących z czasem mężczyzn i kobiet, którzy w oparach wódki, nasmarowani kremami z napletków waleni, dalej próbują mieć te naście lat. To nasza wina.

– Nasza?

– Pańska. Moja. Całego pokolenia. Wtargnęliśmy w kapitalizm, rzuciliśmy się na pojawiające się miliony i zaczęliśmy czcić idącą za tym młodość. Nikt nie chce oglądać kobiet z pierwszymi zmarszczkami na twarzy. Nawet aktorki w pornosach muszą nakładać kilogramy makijażu, by wyglądać młodziej. Ciało się nie liczy, nawet to najlepsze, i to wszystko nasza wina. Życie mocno się spłaszczyło. Wódka, narkotyki i seks. Żadnych wartości.

Dzięrga nalał sobie wódki i wypił całą zawartość kieliszka. Procenty mocno już szumiały pod siwymi włosami. Zdradzał to jego mętny wzrok. Wyciągnął chusteczkę, wytarł spocone czoło i napełnił ponownie kieliszek. Gabriel spojrzął na Janusza, ale ten wzruszył ramionami.

– Dzieciaki muszą coś zrobić, żeby się oderwać od pracy.

Byś sam uważał się jeszcze za pacholę, które najchętniej siedziałyby na kolanach i ssało cycka. Coraz trudniej było mu pogodzić się z tym, że lata dziewięćdziesiąte nie skończyły się dziesięć lat temu. Na kryzys wieku średniego nie miał pieniędzy. To mało zabawny widok, kiedy zamiast w porsche facet próbuje odmładzać się w almerze.

– Pracy? – Dzięrga syknął. – Myślą, że złapali Pana Boga za nogi, gdy trafiają w sidła korporacji. Odkładają złotówki, by zamknąć się na strzeżonym osiedlu i wpierdalać suchy chleb, bo na nic innego ich już nie stać. Sprowadzają się do Pruszkowa i narzekają. Nie ma klubów, dyskotek, kina. Ciągłe słyszę, jak im ciężko, jak potrzebują oderwać się od pracy, bo kredyt ich dobija. Jak ktoś był na tyle głupi, żeby brać go w obcej walucie, niech nie pierdoli, że czegoś mu teraz brakuje. Nie tu. Nie w moim mieście.

Pory na twarzy Dziery wypełniły się kropelkami potu, a skóra w sztucznym świetle przypominała świeżo umytą karoserię samochodu.

– Kto panu powiedział o Marcie? – Gabriel liczył na odrobinę szczerości pijanego.

– Pruszków to małe miasto, detektywie. Tylko udaje metropolię. Ludzie dojeżdżają do Warszawy, stoją w korkach, pocą się w pociągach, spędzają tam całe dni, czasem noce. Ale zawsze wracają tutaj! – Uderzył palcem w stół. – Tutaj jest ich serce i to ja je dźwigam. Udają tylko, że tego nie widzą. Podtrzymujemy wszystko w okolicy. Wszystko. Nikt się tutaj nie ukryje.

– Nikt?

Dzierga uśmiechnął się kpiąco.

– Co pan o mnie słyszał?

– Plotki.

– Dokładnie, plotki. Nie odcinam się od przeszłości. Nie piszę książek o byłych kolegach, nie łączę po telewizjach z kominiarką na łbie. Nie mam ku temu żadnych powodów. Jestem pieprzonym alergikiem, który przez cały rok przyklejony jest do chusteczki. Nawet stoły mam hipoalergiczne. – Pogładził dłonią metalowy blat. – Mam swoje interesy. Legalne. Wiodę spokojne, ułożone życie, a jak coś się dzieje, u kogo pojawiają się psy jako pierwsze? U byłego mafiosa.

To słowo musiało w końcu paść. Gabriel siedział twarzą w twarz z kimś, o kim do tej pory czytał tylko w brukowcach. Kiedy sławy pruszkowskiego półświatka rozbijały się samochodami i pieprzyły z kolejnymi Miss Polonia, on odpracowywał policyjną pańszczyznę na rogatkach miasta. Nie interesował go świat przestępczości zorganizowanej, bagno mógł znaleźć wszędzie. Pakowanie się do niego na siłę, bez odpowiedniego przygotowania, skończyłoby się oglądaniem dna stawu z perspektywy ryby. Nie podobało mu się, że teraz śledztwo zahaczało o postać byłego mafiosa.

– Musimy zbadać wszystkie tropy. – Gabriel uniósł dłonie do góry. – To, czym pan się zajmował w przeszłości, nie ma tutaj najmniejszego znaczenia.

– Jakoś panu nie wierzę, komisarzu.

– Nie musi pan.

Pilsz kopnął Gabriela pod stołem. Popędzał go i miał rację. Bez wiarygodnych świadków czy dowodów nie miał powodu do odwiedzania klubu. Prokurator wyrwałby mu serce, gdyby się o tym dowiedział. Dalsza rozmowa nie miała najmniejszego sensu. Dzierga współpracę z policją ograniczał do pokazywania środkowego palca rozstawionym przy trasie patrolom. Janusz wyłuszczył Gabrielowi najważniejsze rzeczy w drodze do Pieczary. Zapomniał tylko wspomnieć, że widział Dziergę w tygodniu. Stał wśród tłumu gapiów i obserwował spowodowany przez Adama Kupczyka wypadek. Delektował się sytuacją. Pilsz rozmawiał wtedy ze świadkami zdarzenia. Rozmawiał też z Dziergą.

– Dziękujemy za pouczające spotkanie. – Gabriel wstał jako pierwszy. Pilsz odczekał chwilę i również się podniósł.

– Nie musi pan ironizować. – Dzierga nie ruszył się nawet o grubość włosa. – Starszym należy się szacunek. Mógłbym być pańskim ojcem.

– Mam już jednego.

- I jest pan zadowolony?
- W zupełności mi wystarczy.

Darował sobie pożegnalny uścisk.

- A, jeszcze jedno pytanie. Zna pan Adama Kupczyka?

Dzierga wytarł się do sucha chusteczką i złożył ją w niewielki kwadracik, który następnie położył na krawędzi stołu. Przez chwilę wyrównywał go, by krawędzie były zupełnie gładkie.

- Dziękuję panom za wizytę.
- Do zobaczenia.

Kiedy wychodzili na powierzchnię, bar wyglądał zupełnie inaczej niż przed kilkoma minutami – opustoszały niemal wszystkie zajęte wcześniej miejsca. Z toalety wychodził wkurzony barman z wiadrem w jednej ręce i ociekającym wodą mopem w drugiej. Monika siedziała przy barze. Do blatu na drugim końcu lepił się Żeberko z chłopakiem, który najwyraźniej zapomniał, jaki nosi rozmiar ubrań. Spodnie i bluza wisiały na nim jak na kołku.

- Mówiłem, że się znajdzie. – Janusz klepnął Bysia przyjacielsko w ramię. – Szczura nie tak łatwo ubić.

- Niestety.

Chłopak w ubraniu po starszym bracie zauważył ich pierwszy. Złapał Żeberko za ramię i siłą wyciągnął z baru. Wyglądali, jakby chcieli złapać ostatnią nocną kolejkę. Mieszkanie na obrzeżach czegokolwiek to męczarnia dla lubiących rozrywkowe życie. Tu Gabriel musiał przyznać Dzierdze rację. Zabawa toczyła się z dala od Pruszkowa.

- Mówili coś ciekawego? – Gabriel wyrwał Monikę z zamyślenia.

- Co? Ona? – Otrząsnęła się. – Oni? Nie, nic, gadali o pierdołach.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. – Oczy Moniki zdradzały, z jak daleka właśnie wróciła. – Jak wrażenia po spotkaniu z naszą gwiazdą?

Jeżeli Dzierga faktycznie posiadał taką sławę, przyście do niego mogło skończyć się znacznie gorzej. Chciał poznać człowieka, który mógł mieć związek z dochodzeniem. I miał rację, pierwsze, co powinni zrobić, to iść właśnie pod ten adres. Wyszło inaczej, niż sobie zaplanował. Patrzenie, jak zacierają się ślady, powoli wchodziło Gabrielowi w nawyk.

- Mieszane – przyznał. – Jakież wieści o Adamie i Janku?

- Żadnych. Zapadli się pod ziemię.

- *Child Alert*?

Nawet nie odpowiedziała. Gabriel po raz kolejny przekonał się, że media do niczego mu się nie przydadzą.

- Musimy ich znaleźć. – Pilsz wypił duszkiem połowę stojącego przed nim kufła. – Dzieciak to póki co nasz jedyny świadek, a Adam, cóż, jedyny podejrzany.

- Dzięki za raport. Widziałaś dziewczynę, która wychodziła z łazienki? – zwrócił się do Moniki.

- Nie masz przypadkiem żony czy coś?
- To akurat nieistotne, w pracy nie mam żony. – Uśmiechnął się. – Wypytaj barmana, czy ją zna. Koleś wygląda na takiego, co chętnie przyjmuje kobiece komplementy. Mogłabyś go połechtać tu i ówdzie.
- Nie za dużo ode mnie wymagasz?
- Ja go mogę połechtać. – Janusz dokończył piwo i gestem przywołał barmana, który już dłuższą chwilę mocował się z drzwiami schowka.
- Dlaczego tak ci na tej dziewczynie zależy?
- Spodobał mi się jej tyłek.

Ciało wiszące na linie holowniczej nie było już jego towarzyszem broni. Stało się zbiorem powiązanych ze sobą mięśni i nerwów, które powoli obumierały.

Nie walczył.

Poddał się, zanim stal owinęła się wokół szyi. Stchórzył, nie zasługiwał na to, co właśnie od niego dostawał. A oddał mu największy honor, jaki mógł.

Szacunek.

Wyprostował się i po raz ostatni spojrzął na twarz, która będzie mu się śniła do końca jego dni.

Liczył, że nie będzie to trwało długo.

Dzień czwarty

„Poniedziałek nie jest taki zły, to twoja praca jest do dupy”.

Gabriel, chodząc po melinach, widział chyba wszelkie możliwe przejawy wandalizmu. Penisów i skrótów wypisywanych na ścianach nawet nie rejestrował. Wszystkie te JP czy CHWDP w większości pisały małolaty na wagarach, które w kilku składały się na jeden spray, żeby zamanifestować na murze swoją niezależność. Widział też sztukę tworzoną z pasją i talentem. Obrazy na ceglach godne najszacowniejszych galerii.

Ale nigdy nie natrafił na hasło tak skutecznie odwracające percepcję. Cuchnące moczem pomieszczenie zmieniło się w świątynię mądrości. Różowa farba przykuwała wzrok. Wyróżniała się wśród czarnych napisów i czerwonych wyznań bez terminu ważności.

Jedno proste zdanie.

– Chcesz z nim porozmawiać?

Monika ledwo trzymała się na nogach, a jej opuchnięte oczy zdradzały więcej, niż Gabriel chciał wiedzieć. Ścisnęła w obleczonych lateksem dłoniach notatnik, jakby to była ostatnia rzecz, która trzyma ją w pionie. Głową wskazała Gabrielowi siedzącego na składanym krześle mężczyznę. Ogromna broda z resztkami jedzenia między sterczącymi włosami. Wypisz, wymaluj Rubeus Hagrid, gajowy i strażnik kluczy z *Harry'ego Pottera*. Tylko że on pilnował przylepionej do brudnej dłoni butelki z cytrynowką. Byś podejrzewał, że zapach unoszący się w pomieszczeniu pochodzi właśnie od niego.

– Raczej nam nie pomoże. Znalazł trupa i niech na tym skończy się jego udział w sprawie.

– Popieram. – Odetchnęła z ulgą. Krótka rozmowa, którą odbyła z brodaczem, wystarczyła, by mundur Moniki przesiąkł zapachem trzyletniego worka na śmieci. – Chodź, popatrzemy na breloka.

Opuszczony budynek w środku miasta, zabite deskami okna, dziury w dachu. Idealne miejsce na dom spotkań wielbicieli dykty zmieniło się w policyjną bazę. Technicy manewrowali na wąskich schodach tak, by przypadkiem nie dotknąć niczego swoimi kombinezonami. Na pierwszym piętrze, tuż obok pomieszczenia służącego przychodzącym tam desperatom za WC, zebrała się grupa dowodzenia.

– Czy mogę wiedzieć, czemu uważa pan, komisarzu, że to coś – prokurator wskazał końcówką srebrnego długopisu na rozciągnięte na spróchniałych deskach ciało – ma cokolwiek wspólnego ze sprawą morderstwa Marty Zręb? Mówiłem chyba ostatnio, że jestem dość zajęty. To niejedyne moje dochodzenie.

Spoglądając na płaszcz Bertranda, Gabriel nie mógł się nadziwić, jak mocno

zakorzeniony w prokuratorze jest gen kiepskiego stylu.

– Nasz breloczek został znaleziony dziś rano przez pijaczka – zaczął. – Wstępny rysopis podany przez dyspozytorkę pozwala myśleć, że być może wisielec to sam Adam Kupczyk. Tyle szczęścia nie mieliśmy, ale mamy coś innego.

Gabriel skinął głową Annie. Lekarz medycyny sądowej czekała na ten moment. Patrzył, jak podeksytowana zbliża się do głowy nieboszczyka. Prawą ręką złapała za górną część twarzy, przykrywając otwarte oczy, a lewą za żuchwę. Musiała użyć siły, by osiągnąć zamierzony efekt, ale warto było.

– Jezu! – Bertrand zrobił krok w tył. Po sekundzie opanował się i wrócił do swojej pierwotnej pozycji, opuszczając dłonie wzdłuż ciała.

– No tak. – Gabriel nie krył satysfakcji. – Zapomniałem zupełnie o tym... szczególe.

Szczegół patrzył martwo w sam środek sufitu. W trupich ustach tkwiło ludzkie oko.

– Zaczyna cuchnąć, ale nie jest nawet nadgryzione – powiedziała Anna, zbliżając twarz niebezpiecznie blisko warg nieboszczyka. – To wyjaśnia, czemu żuchwa tak łatwo chodzi. Została wyłamana, inaczej włożenie oka do środka mogłoby skończyć się uszkodzeniem narządu. Wiedzieliście, że gałka oczna przestaje rosnąć, gdy człowiek ma trzynaście lat, a jej rozmiar jest niemal identyczny u wszystkich dorosłych?

Nie oczekiwała odpowiedzi, nawet nie spojrzała w stronę Gabriela, nie mówiąc już o Bertrandzie czy Monice. To, co leżało przed nią, w zupełności jej wystarczyło.

– Czy to oko Marty Zręb?

– Nie mamy żadnych informacji o innych zaginionych gałkach ocznych, panie prokuratorze.

Działanie w myśl zasady, że na głupie pytania należy udzielać takiej samej odpowiedzi, sprawiało Gabrielowi niemałą radość. Szczególnie przy kimś takim jak Bertrand. Wprawdzie stuprocentową pewność, że gałka oczna pochodzi od ofiary, uzyska dopiero po badaniach, satysfakcja pojawiła się natychmiast.

– Chyba nie powinniśmy jej tak nazywać. – Monika postanowiła dołożyć swoją cegiełkę. – Wie pan, to jej nieprawdziwe dane.

– Tak, tak. Mówiono mi.

Niechęć wymalowana na twarzy prokuratora podkreślona została postawą, wyrażającą skrajne wyczerpanie. Brak wyników i dołożenie kolejnej niewiadomej do równania nie działało na niego pobudzająco. W przeciwieństwie do Moniki.

– Wiemy już kto to? – spytał, starając się, by jego ton nie brzmiał na znudzony.

– Brak portfela, dokumentów i telefonu. Trzeba będzie przejrzeć zdjęcia, sprawdzić odciski, to może trochę zająć.

Rozbudzona sierżant wydawała się Gabrielowi znacznie bardziej

interesująca. Chociaż i tak ją podziwiał. Nie wiedział, czy on byłby w stanie normalnie funkcjonować po stracie dziecka. Zabiłby każdego, kto maczałby palce w takim zdarzeniu.

– Podsumujmy, żebym miał stuprocentową jasność. – Bertrand wyciągnął z kieszeni płaszcza notatnik. – O ofierze nic praktycznie nie wiecie, zgubiliście małoletniego świadka, a konkretnie daliście go sobie porwać jedynemu podejrzanemu w sprawie. A teraz, żeby dołożyć mi siwych włosów, mówicie, że ten napuchnięty facet jest z tym wszystkim jakoś powiązany. Coś ominąłem?

– Morderców było dwóch. Tak wynika ze śladów na ciele ofiary.

Tłumaczenie się ze swoich poczynań w żaden sposób nie popychało dochodzenia do przodu. Gabriel wiedział o tym równie dobrze jak prokurator. To, co teraz robił, stanowiło taniec godowy nadający ton ich relacji. Żaden nie chciał wyjść na tego niekompetentnego.

– To może być wspólnik Adama Kupczyka? – Prokuratorowi oczy rozbłysły nadzieją.

– Być może, ale to muszą potwierdzić badania. Nie sądzę jednak, żeby Kupczyk był drugim mordercą.

– Wszystko na to wskazuje, komisarzu. Proszę nie budować żadnych teorii na swojej intuicji, już raz pana zawiodła.

Zatrzasnął głośno notes i schował do kieszeni. Gabriel wątpił, żeby cokolwiek miał w nim napisane. Oprawny w czarną skórę kajecik służył jako rekwizyt władzy. Coś jak królewskie berło albo policyjna legitymacja.

– Informujcie mnie.

Nachylił się nad Anną, ale ta odpędziła go machnięciem ręki.

– Później do pana zadzwonię – powiedziała, próbując otworzyć szerzej usta nieboszczyka. – Jestem w trakcie poważnej rozmowy.

Prokurator wyprostował się i szybkim krokiem ruszył w stronę schodów.

– I zróbcie coś z tym śmierdzielem na dole – powiedział Bertrand do mijanej właśnie ścianki działowej z ogromnym rysunkiem penisa pośrodku. – Cuchnie jak na dołku.

Nikt nie zareagował na jego słowa. Technicy dalej machali swoimi miotełkami, a błyski flesza raz po raz rozświeślały pomieszczenie. Rozstawione na ziemi numerki przypominały trofea rozrzucone wokół głównego aktora przedstawienia. Im dalej od niego, tym mniejsza numeracja. Gabriel przyglądał się zaznaczonym śladom, ale żaden nie wydał mu się interesujący. Żaden też nie musiał pochodzić od mordercy. Takie miejsca przyciągają wszystkich, którzy chcą uciec, zostawiając za sobą przeszłość. Choćby na godzinę, potrzebną na opróżnienie butelki taniego wina. Gabriel znał to aż za dobrze. Przesiedział w takich melinach spory kawał liceum, zostawiając między ścianami wszystkie problemy związane z ojcem. Stracił przez to tyle lekcji geografii, że z trudem wymieniał co większe stolice Europy.

– Naprawdę uważasz, że Adam jest niewinny?

Monika podążała wzrokiem za spojrzeniem Gabriela, lustrowała każdy

przedmiot, który przyciągnął jego uwagę. Nawet rozbita butelka wydała jej się wyjątkowo interesująca.

– Nic za tym nie przemawia. Poza tym nie zostawiłby Janka w mieszkaniu. Wzięłyby go ze sobą.

– I nie musiałby go potem odbijać z rąk Juniora – dokończyła jego myśl.

– Właśnie. Nie znalazłaś nic w jego ciuchach?

– Czysto, ale spójrz na spodnie.

Ominął wzrokiem plamę zdobiącą dżinsowe krocze trupa i skupił się na kieszeniach. Obie nosiły ślady przetarc. Prawa nogawka musiała służyć za miejsce przechowywania portfela, a lewa telefonu. Gabriel widział nawet odcisnięte ślady obudowy. Wyglądały na świeże.

– Nasz perfumiarz – powiedział i ruszył na dół.

Zbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Chciał zdążyć, zanim mężczyzna ulotni się, zostawiając tylko smród i odcisk brudnego tyłka na podłodze. Gabriel zatrzymał się pośrodku pokoju. Facet siedział w identycznej pozycji, nie obchodzili go chodzący wokół policjanci i technicy. Patrzył w podłogę. Monika zatrzymała się kilka centymetrów za Bysiem. W dłoni trzymała broń.

– Oddaj. – Gabriel wyciągnął dłoń w stronę brodacza.

Mężczyzna westchnął głęboko, słysząc trzask odbezpieczanego pistoletu. Gabriel nie mógł zajmować się obiema rzeczami naraz. Wierzył, że stojąca za nim sierżant nie zrobi nic głupiego. Zagrożenie było czysto epidemiologiczne, jedyne, co mogło ich zaatakować, to bakterie.

– Oddawaj – powtórzył głośniej.

– Już dobrze, kierowniku, pan się nie denerwuje.

– Powoli.

Rękawiczka odsłaniająca brudne palce wysunęła się spod zielonej parki. Brodacz położył portfel na podłodze i przesunął pewnym ruchem pod stopy Gabriela.

– Telefon.

– Nie było, kierowniku. – Podniósł głowę. Spod krzaczastych brwi patrzył na Bysia pech w czystej, hojnie podlanej wódką postaci. – Tylko to.

Gabriel założył lateksowe rękawiczki, kucnął i podniósł portfel przesiąknięty zapachem znoszonych ubrań. Komisarz niemal czuł każdą minutę, którą spędził pod pachą pijaczka.

Otworzył.

– I? – Monika schowała broń do kabury. – Kto to?

Trup.

Trup.

Trup.

Każda postać ze zdjęcia od dawna leżała kilka metrów pod ziemią. Kaśka

sprawdziła dwukrotnie. W internecie można znaleźć każdą informację, jeśli się wie, gdzie szukać.

Brakowało jej danych o stojących z tyłu personach. Joanna nie miała jednak tak dobrej pamięci, jak sama zakładała. Zdjęcie przedstawiającą całą teatralną trupę spoczywało bezpiecznie w tylnej kieszeni spodni, a oczy nieboszczyków wpatrywały się beczelnie w pośladki Kaśki. Nie zabrała oryginału, skopiowała i wydrukowała fotografię. Joanna źle znosiła zmiany, a zniknięcie tak znaczącego puzzla z przeszłości wpędziłoby ją do grobu. Na to Kaśka nie mogła pozwolić.

Przynajmniej nie za szybko.

Będzie jej jeszcze potrzebowała. Szukanie śladów Rózyckiego ugrzęzło. Ktoś, kto nie istnieje w internecie, łatwo popada w zapomnienie. Odkryła to, dogrzebując się do starych nekrologów, które jakiś hobbysta spisywał na swojej stronie internetowej. Wołała nie wnikać, co ukrywający się pod nickiem „Necro” robi w czasie wolnym. Dostarczył Kaśce wystarczająco dużo złych wiadomości jak na jeden dzień. Teraz przyszedł czas na te dobre.

Zapukała.

Jedno stłumione szcęknięcie oznajmiło, że uderzenie w drzwi było słyszalne wewnątrz. Miała nadzieję, że po drugiej stronie nie czeka na nią napakowany amstaff głodzony przez ostatni tydzień. Jeżeli miałaby umrzeć, wołała nie robić tego na podwórku pełnym wózków ukradzionych z hipermarketów.

– Czego?

Łucja Król, najlepszy dostawca wódki domowej produkcji, nie przyjmowała gości. Jej wyjścia ograniczały się do targu we wtorki i piątki. To w zupełności wystarczało do spokojnej egzystencji. Jeżeli ktoś nachodził jej zapuszczone domostwo, musiał mieć bardzo ważny powód.

– Nie mam wódki – zdążyła powiedzieć, zanim Kaśka otworzyła usta. – Już wypijaś to, co dałam ci w piątek?

– Ja nie w tej sprawie. – Pokazała trzymaną w dłoni torbę. – Mam prezent.

Rozpuszczone włosy zakrywały niemal całą twarz Łucji. Niezgrabnie odsunęła je za uszy, a następnie zajrzała do wnętrza torebki. Ziemniaki i cukier.

– To jak, pani Łucjo? Sześć kilo. Ręce mnie już bolą.

– Wchodź.

Mieszkanie Łucji było lustrzanym odbiciem kryjówki Joanny, tylko zamiast książek wszędzie poniewierały się gazety z nieważnym od lat programem telewizyjnym. Za stolik w salonie służył stos kaset VHS, większość z produkcją o tonącym statku i człowieku niepotrafiącym wejść na dryfującą deskę. Nic tu nie wyglądało na nowe.

Oprócz destylatora.

Sprzęt zajmował centralne miejsce na kuchence gazowej. Wypolerowany i zadbane. Kaśka słyszała przelewający się przez rurki zacier.

– Zdradzisz mi kiedyś recepturę? – spytała, stawiając na podłodze torbę.

– To akurat zabieram ze sobą do grobu. Czego chcesz?

Konkretna jak zawsze. Kaśka namęczyła się, by wyciągnąć wydruk z kieszeni spodni. Łucja powinna docenić jej starania, ledwo wcisnęła się w džinsy. Pralka musiała coś pomieszać z ustawieniami, bo ulubione spodnie dość znacznie zmniejszyły swoją powierzchnię całkowitą. Położyła zdjęcie na kuchennym blacie.

– Czekaj... – Łucja wyciągnęła z szuflady okulary. – Pamiętam. Stare dzieje.

– Szukam kogoś.

– Dla niej?

Stuknęła długim paznokciem w twarz Joanny, zostawiając na wydruku niewielki wklęsły półksiężyc.

– Nie lubiliśmy się. Żadna mnie nie lubiła. – Przejechała palcem po kobiecych twarzach. – Miały mnie za kurwę.

– Kobiety nie lubią nieuczciwej konkurencji.

– Wyposażenie mamy takie samo, ja wiedziałam, jak je wykorzystać. Dalej z niej taka hetera?

– Z Joanny? Oj tak, czasem mam ochotę wbić jej nóż w środek głowy.

– Celuj tu. – Łucja postukała palcem w głowę Kaśki tuż za okiem. – Rozwiązesz tym wiele problemów.

Schyliła się i przestawiła torbę z ziemniakami do szafki pod zlewem. Kaśka zrozumiała, że dostanie to, po co przyszła.

– Większość gryzie piach. – Łucja usiadła na krześle. Podwinęła spódnicę, odsłaniając spuchnięte kostki pokryte mapą sinych żył. – Nie wiem, w czym mogę ci pomóc.

– Szukam Teodora Rózyckiego. Nie mogę go znaleźć w sieci.

Łucja spojrzała na Kaśkę, ale nie dała po sobie poznać, że nie rozumiała ostatniego zdania. Trzymała fason, zupełnie jak Joanna dalej odgrywała swoją rolę.

– Bawidamek. – Jej oczy powędrowały do góry. Znak, że odtwarzała w myślach wspomnienia. – Każda o takim mężczyźnie marzyła.

– Czemu?

– Bogaty był i przystojny. Potrafił namówić do wszystkiego.

– Ciebie również?

– Mnie nie musiał. Wiesz, dlaczego go szuka?

Kaśka miała kilka teorii na ten temat. Jedna z nich zakładała utraconą przed laty miłość, inna chęć nawiązania zwykłego ludzkiego kontaktu z przyjacielem. Jednak najbardziej prawdopodobna wydawała się jej ta, że Joanna nie ma już komu zatruwać życia i potrzebuje nowego worka treningowego.

– To dla niego odeszła z teatru. Obiecał ślub, dziecko i wszystko, co się obiecuje w takiej sytuacji. Joanna kochała deski, ale bardziej kochała Teodora.

– Nie spełnił obietnicy.

– Udawała, że nie widzi. One zawsze udają.

Kochanka to diabelnie niewdzięczna rola. Ciągłe ukrywanie się przed

wścibskimi oczami, samotność w pościeli pachnącej wypalonymi papierosami i potem. Gorsze od tego wydaje się tylko być tą drugą. Tą, do której wracają z podkulonym ogonem.

– Zostawił ją?

– Oczywiście. – Łucja rozpromieniła się. – Jak każdą poprzednią i kolejną.

– Wiesz dlaczego?

– Zniknęli z salonów, nie interesowałam się. Potem był stan wojenny i wszystko się posypało.

Joanna wybrała najgorsze wyjście. Stała się desperatką, liczyła zapewne na to, że Teodor wróci do niej, targany wyrzutami sumienia. Ale takie rzeczy się nie zdarzają.

– Czy on żyje?

Destylator wydał z siebie przenikliwy pisk.

– Czy wyglądam ci na kogoś, kto może znać bogatego starucha do wzięcia?

Dom Łucji Król wymagał generalnego remontu, którego koszt przewyższyłyby wartość nieruchomości. Wiele dzieciaków wchodzących w dorosłość oddałoby nerkę za taką rudere, byleby tylko nie brać kredytu. Kaśka oddałaby nawet dwie za brak długów. Podwórko też było zaniedbane. Kaśce przypominało zużytą prezerwatywę, rzuconą na środek drogi.

Pryszcze Pruszkowa, pomyślała.

Joanna, Łucja, Pieczara. Ludzie wszędzie potrafią zrobić bagno.

– Czyli nie pomożesz mi go znaleźć?

– Wiesz, że Teodor to jego pseudonim. Sam go sobie nadał. Wstydział się.

– Czego?

– Imienia. Moim zdaniem nie miał się czego wstydzić, ale jak się facet uprze, to nie ma zmiłuj. Mnie się podobało, mówiłam mu, ale on był uparty. Mało szlacheckie, mówił. Kleofas Różycki.

Niezbyt popularne imię. – Monika przeciągnęła się na krześle. – Rodzice musieli go nie lubić.

Kręciła się, szukając czegokolwiek, co mogłoby posłużyć jej za broń, którą wykorzysta i zamorduje stojący przed nią komputer. W pierwszej kolejności oberwałby monitor, piętnaście cali zbierających kurz między plastikowymi żeberkami obudowy.

– Chryste. – Spoliczkowała ekran. – To będzie trwało wieki.

– Spokojnie. – Gabriel bezskutecznie próbował podłączyć się do sieci bezprzewodowej. Telefon beznamiętnie raz za razem oznajmiał, że połączenie jest niemożliwe. – W końcu KSIP coś ci wypluje.

Westchnęła.

– Nawet swojego dynksa przyniosłam, bo przecież maila normalnie ściągnąć nie mogę.

Wystający z obudowy bezprzewodowy modem stanowił własność Moniki,

podobnie jak wiele innych rzeczy stojących na biurku. Zszywacz wprawdzie widniał na stanach magazynowych, ale zszywki już nie. Spinacze, notes i długopis stanowiły prywatny majątek sierżant. Każdy policjant, który chciał mieć choć częściowy komfort pracy, otwierał rachunek w najbliższym papierniczym.

– Korzystając z chwili przerwy – Monika jeszcze raz potraktowała monitor solidnym uderzeniem – operator sprawdził mi numery. Michał Woźniak nie ruszał się z kwadratu ulic w Pruszkowie. Ponad kilometr od miejsca zdarzenia. Telefon cały czas był zalogowany do sieci. Więc albo siedział w domu, albo zostawił sprzęt. Arka, tego drugiego montera, tak samo, tylko na warszawskim Bródnie.

Gabriel strzelał na ślepo. Podejrzewał, że nic z tego nie wyjdzie, ale musiał mieć pewność.

– Raczej to pierwsze. – Poprawił przekrzywiony monitor. – Który dzieciak teraz wychodzi z domu bez komórki? Ale smalił cholewki do ofiary.

– No i to jest motyw. Odrzucony, mógł żądać od niej rekompensaty, a gdy odmówiła, ciach.

„Dbaj o to, jak postrzegają cię inni”. Te słowa ojca Gabriel pamiętał najlepiej. Toczyli długie boje o jego długie pióra i fajki. Niestety, to nie on miał rację, ale Grzegorz. Nie chciał wyjść przed Moniką na szowinistyczną świnię, mówiąc, że przecież prostytutka nikomu nie odmawia. Bardziej przerażała go jednak inna myśl. Zmieniał się w ojca i nawet nie zauważył, kiedy to się zaczęło.

– Może – odparł po chwili. – Ale to było zbyt brutalne. Z ciała Marty wyciekała wściekłość. Połamane zebra, krępowanie, podtapianie i te oczy. Strzał w klatkę piersiową to czysta litość. Dobito ją jak konia, który nie ma siły ciągnąć już wozu.

– Od początku chcieli ją zabić.

– Nie jestem pewny.

– Dlaczego? – Monika tym razem wyżyła się na klawiaturze. Mocny cios wyrzucił plastik z literą F na blat. – Zaraz coś mnie strzeli.

– Sztuczna krew. – Gabriel podniósł klawisz. Lekko wytarty, ale nie wyglądało na to, żeby w jakikolwiek sposób się uszkodził. – Jeżeli chcę kogoś zabić, nie bawię się w kuchnię i nie gotuję kilku litrów posoki. Tego nie potrafię zrozumieć. Wiesz, że zdjęcie z miejsca zbrodni krąży po Pruszkowie? Ma je każdy diler.

– A media?

– Bingo! Nie mają. I to mnie martwi, bo coś takiego już dawno powinno wypłynąć. Boją się wysłać to zdjęcie dalej.

Ciche klik oznaczało, że przycisk bez problemu trafił na swoje miejsce. W żaden sposób nie zmieniło to rzecz jasna szybkości, z jaką sprzęt łączył się z siecią. Nawet bity, pozostawał nieugięty i stanowił wzór dla reszty komputerów na komendzie.

– Eee, przepraszam.

Głowa Juniora, obwiązana bandażem, wyglądała dziwnie. Jak źle naprawiona piłka lekarska, którą wuefista, zamiast wyrzucić do kosza, owinął pierwszą szmatą, która wpadła mu w ręce.

– Dalej siedzisz na recepcji? – Gabriel omijał wzrokiem jego twarz. – Co tam?

– Przyszła pewna pani... – Podrapał się po bandażu. – Chyba powinniście z nią porozmawiać.

– Bo? – Monika wyciągnęła modem ze złącza USB. – Jesteśmy zajęci.

– No wiem, ale ona w waszej sprawie.

Za plecami Juniora w bezpiecznej odległości stała kobieta. Ścisnęła w rękach torebkę, za którą Gabriel mógłby kupić kilka wagonów papierosów. Doczepiane srebrne pasemka między długimi czarnymi włosami i tipsy widoczne z kilku metrów. Przypominała modelkę z czasopisma dla zgorzkniałych fryzjerek.

– Kto to?

Gabriel oddałby włosy z głowy, byleby tylko potwierdzić swoje przypuszczenie w kwestii przybyłego na komendę gościa. Czekał na to od chwili, kiedy Anna spuściła mu bombę na głowę w prosektorium.

– Weronika Rosiecka. – Junior zerknął na protokół trzymany w dłoni. – Twierdzi, że jest partnerką...

– Adama Kupczyka – dokończył Gabriel. – Dawaj ją do pokoju przesłuchań, już idziemy.

Chłopak odmaszerował uszczęśliwiony.

– Pójdiesz ze mną?

– Chyba nie masz wyjścia, komisarzu. – Monika kliknęła kilkakrotnie myszką. – Przepisy jasno to definiują.

Wstała i ze złością dosunęła krzesło pod biurko.

– To i tak nie ma sensu. – Ostatnie rozpaczliwe kliknięcie oznaczało kapitulację.

Monika wyszła z pokoju. Gabriel spojrzął na jej monitor. Czarne tło i pusty pulpit z niezbędnymi ikonami. Dioda świecąca na obudowie zdawała się uśmiechać kpiąco. Wiedział, że nie wolno pokazywać urządzeniom, jak bardzo człowiekowi zależy na czasie. Komputery wyczuwały strach i skutecznie to manifestowały. A drukarki były chyba fabrycznie wyposażane w tę funkcję.

Dogonił Monikę.

– Janusza dziś nie ma?

– Musi coś załatwić na mieście. – Zatrzymała się przed drzwiami pokoju przesłuchań. – Poradzimy sobie bez niego.

Kobieta siedziała wyprostowana przy stole. Torebkę postawiła na rogu blatu, tak by każdy wchodzący do pomieszczenia widział złote logo. Stukała tipsami w płytę MDF z częstotliwością trzech uderzeń na sekundę. Niejeden gitarzysta rytmiczny chętnie umieściłby ją u siebie na półce w roli metronomu.

– Dzień dobry. – Gabriel usiadł po przeciwnej stronie stołu. – Komisarz

Gabriel Byś, a to sierżant Monika Ruszka. W czym możemy pani pomóc, pani Weroniko?

– W końcu! – Pochyliła się, nie przestając stukać. – Czekałam na dole godzinę, zanim ten z dziwną głową się mną zainteresował. Godzinę!

Mimo chłodnego wystroju pomieszczenia, oprócz stołu z krzesłami znajdował się tu tylko wiszący na ścianie zegar, to Weronika stanowiła najzimniejszy punkt. Choć wyglądała, jakby właśnie opuściła solarium, jej miętowy oddech mroził krew.

– Jestem pewien, że policjant miał inne zadania na głowie – uspokoił ją Gabriel. – Jest pani partnerką Adama Kupczyka?

Podniosła wysoko wyskubane brwi.

– Byłą. – Stukanie ustało. – Byłą partnerką. Ja właśnie w tej sprawie. Nie mam z nim żadnego kontaktu, od trzech dni nie odbiera telefonów. Myślałam, że jest z tą swoją dziwką, ale na drzwiach jego mieszkania policja przykleiła jakąś naklejkę. To jak, wiecie, gdzie jest?

– Jest pani matką Janka? – Monika uprzedziła pytanie Gabriela.

– Tak. – Rozczapierzyła palce i utkwiała wzrok w czerwonym lakierze. – To jak, wiecie, gdzie jest Adam?

Informacja o zniknięciu Janka obiegła media. *Child Alert* działał, ale widać nie dotarł do Weroniki. Gabriel coraz bardziej nienawidził szumu, który robili dziennikarze. Ich praca do niczego nie prowadziła. To, co zgotowali mu w przeszłości, gdy wyławiał z rzeki niemowlę, wystarczy mu do końca życia. Tym bardziej że nie było się czym chwalić.

– Szukamy go. Razem z Jankiem – zaczął. – Nic pani nie wie?

– Coś tam słyszałam.

– Pani partner jest podejrzany o udział w morderstwie. – Monika nie kryła satysfakcji.

Sierżant z wyczekiwaniem wpatrywała się w Weronikę. Gabriel znowu był tym „dobrym” policjantem.

– I? – Weronika kontynuowała inspekcję paznokci. – Po pierwsze, były partner, a po drugie, wiedziałam, jaki jest. Prędzej czy później musiało się coś takiego stać.

– A Janek? – Gabriel nie wierzył własnym uszom. – Nie martwi się pani o niego?

Patrzyła na policjantów, przeskakiwała z Moniki na Gabriela, nie wiedząc, komu odpowiedzieć. W końcu zdecydowała się na Bysia.

– Adam prędzej sam się zabije, niż pozwoli zrobić Jankowi krzywdę. Z nikim go nie zostawiał dłużej niż na godzinę. Dba tylko o niego i o to swoje auto.

– Dlaczego pani tu w ogóle przyszła? – zaatakowała Monika. – Nie obchodzi pani, gdzie jest jej dziecko?

– Uważaj na słowa, chudzielcu! Janek wymaga opieki i leków, a z nim jest bezpieczny. – Wyprostowała się i spojrzała wprost w oczy Moniki. – Bardziej niż byłby tutaj z wami.

– Czego więc pani od nas oczekuje? – Gabriel pomasaował skronie.

– Że go znajdziecie. – Uśmiechnęła się; biel zębów odcięła się ostrą linią od zbrązowiałej skóry. – Skurwiel zalega mi z alimentami już drugi miesiąc. Wiecie, ile kosztuje utrzymanie astmatyka? Adam potrafił tylko obiecywać. Teraz tak samo, miał mi zapłacić, jak odwiezie Janka po weekendzie.

Pieniądze. Gabriel mógł się domyślić. Złotówki spływające na konto działały kojąco na wszelkie rodzinne kłopoty. Pamiętał, jak jego rodzice kłócili się pod koniec każdego miesiąca, nie zważając, że pociecha słyszy ich słowa. W wypadku Weroniki i Adama musiało być tak samo. Widząc, ile warte było samo ubranie kobiety, Gabriel czuł, że kłótnie u nich pojawiały się znacznie częściej niż w rodzinie Bysiów.

Wyciągnął z kieszeni marynarki notes, wyrwał jedną kartkę i przesunął w stronę Weroniki.

– Proszę napisać numer jego telefonu. – Położył na blacie długopis. – Abonament?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na Bysia jak na upośledzone dziecko, które pyta, czy mama dziś przyjedzie do bidula. Jak się chce zniknąć z radaru, to pierwsze, co powinno się zrobić, to odciąć od wszystkiego, co posiada w sobie elektronikę. Telefon na kartę to dobre rozwiązanie. Adam z pewnością wyrzucił swój poprzedni aparat do kanału, wcześniej wyjmując z niego baterię.

Weronika odsunęła kartkę w stronę Gabriela. Numer podała z pamięci, co znaczyło, że Adam miał go dłużej niż kilka dni, więc był już nieaktualny.

– Dajcie mi znać, jak go znajdziecie. – Otworzyła torebkę i wyjęła z niej okazały smartfon. – Muszę iść, klienci czekają.

– Gdzie pani pracuje?

Ton głosu Moniki uruchomił pod czaszką Gabriela lampkę ostrzegawczą. Im dłużej sierżant przebywała w obecności kogoś, kto nie przejmował się dziełem swoich trzewi, tym bardziej prawdopodobne było, że go zastrzeli.

– Prowadzę solarium na Wojska Polskiego, tuż przy pizzerii. – Weronika włożyła telefon do torebki i głośno ją zatrzęsnęła. – Powinna pani do mnie kiedyś przyjść, trochę koloru nigdy nie zaszkodzi.

Podniosła się i ruszyła w stronę drzwi. Odłączony od sieci policjant musi chwycić się najprostszych rozwiązań. Skoro tam się nie dało poszukać informacji o wisielcu, Gabriel musiał spróbować czegoś innego.

– Mówi pani coś nazwisko Zenon Ługowski?

Stanęła bez ruchu, trzymając dłoń na wytartej klamce. Gabriel widział, jak palce Weroniki zaciskają się na metalu.

– Tak. – Odwróciła się. – Byli razem na misji. Nierozłączni. Jebani muszkietierowie, zasługiwali na siebie.

– Muszkietierowie?

– No tak. Adam, Zenon i Tomasz. Wszyscy tak samo bezużyteczni i do każdego pasuje to samo słowo: chuj.

Proste cięcie.

Szybko i bezboleśnie wycięła najnudniejszy oraz zupełnie bezużyteczny kawałek. Nie żałowała minut, które wylądowały w koszu. Pierwszy montaż zakładał długi, poprzedzony budzącym grozę wstępem, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. Wideo powinno być treściwe, przekazywać najważniejsze emocje.

Nic ponadto.

Kolejne dwa pliki podzieliły los poprzednika. Opróżni kosz, kiedy będzie pewna, że nie wycięła czegoś potrzebnego. Dane można odzyskać, ale nie miała czasu ani ochoty na długie zabawy z zero-jedynkowym przeciwnikiem. Szczególnie że laptop zaczynał się buntować.

Sprzęt przenośny nigdy nie osiągnie takiej mocy obliczeniowej, jak stacjonarny. Nie do tego został stworzony, ale Kaśka nie miała miejsca w mieszkaniu na trzymanie standardowego blaszaka. Laptop wystarczał jej do podstawowych działań. Tylko że obróbka wideo do nich nie należała. Ściągnięty z sieci program pożerał coraz więcej pamięci. Wiatraczek komputera pracował na najwyższych obrotach, wydając z siebie dźwięk umierającej wiertarki.

Plik wyjściowy zajmował zdecydowanie zbyt dużo miejsca. Trwające siedem minut nagranie ważyło prawie sto megabajtów. Tam, gdzie je chciała wysłać, mogło odbić się od skrzynki pocztowej. Politycy swoje tajemnice trzymali na serwerach dziurawych jak skarpety bezdomnego albo tak zapchanych przez reklamy powiększania penisa, że jej wiadomość automatycznie wylądowałaby w spamie.

Roczewski nie należał do wyjątków. Jego strona internetowa, stworzona na czystym HTML-u, przyprawiała o ból głowy. Żadnych podstron, zakładek czy nawet najpotrzebniejszych informacji. Białe tło, ogromne zdjęcie paszportowe, multum tekstu o przeszłości i ani słowa o przyszłości. Radni widać nie musieli przejmować się rzeczami, które mogą się wydarzyć. Wystarczyło, że ich konto bankowe puchło z każdym miesiącem i pojawiali się na sesji rady miasta, by tam dać wyraz swojemu niezadowoleniu ze stanu budżetu. Kaśka była na jednej takiej sesji, razem z parą wyglądających na zagubionych staruszków. Opuściła przybytek urzędu miasta po piętnastu minutach.

Jedyny plus strony internetowej, która wywoływała w Kaśce odruch wymiotny, to adres mailowy. Drobny font, ledwo widoczny na jednolitym tle i potwierdzający jej tezę, że politycy nie potrafią obsługiwać niczego, co ma większą moc obliczeniową niż kalkulator.

Włączyła program do konwersji, otworzyła nagranie i ustawiła format wyjściowy na avi. Wątpiła, by komputer Roczewskiego odtwarzał coś ponad podstawy dostępne w starszych systemach operacyjnych.

Kliknęła.

Podgląd na żywo podczas konwersji spowalniał proces, ale zyskała dzięki temu szansę na rozprostowanie nóg. Z czułością zdjęła laptopa z kolan

i uważając, żeby przypadkiem nie odłączyć kabla zasilania, odstawiła go na podłogę. Z rozmysłem wyłączyła opcję wygaszania ekranu. Raz jej sprzęt postanowił się automatycznie zaktualizować, a nagranie trzeba było montować od zera. Musiała widzieć, co dzieje się na wyświetlaczu, by odpowiednio szybko reagować na wyskakujące powiadomienia. Teraz miała przynajmniej pięć minut spokoju. Wystarczająco na papierosa.

Kuchnia wyglądała inaczej. Zdjęcie na lodówce zyskało towarzysza i nie był to kolejny magnes wyprodukowany w Chinach. Fotografia, którą otrzymała od Dzięgi, wisiała obok zdjęcia znad morza. Wycięła wszystkich facetów prężących się wokół jej matki. Został tylko cienki pasek, nie większy niż trzy centymetry. Trzydzieści milimetrów nowego spojrzenia na przeszłość. Przejechała po nim palcami. Błyszczący papier i smugi.

Nic więcej nie miała.

Czas nie działał na jej korzyść, w każdej chwili mogła mieć towarzystwo. Zdjęła zdjęcia z lodówki i włożyła do szuflady, bezpośrednio na sztućce. Mieszkanie wróciło do stanu pierwotnego. Nie licząc siedzącego w sypialni na komodzie Teddy'ego z dziurą w brzuchu i wybitej w drzwiach szyby, stanowiło przykład idealnego lokum bez lokatora w środku. Puste i bezosobowe.

Wróciła do sypialni i kucnęła nad laptopem. Plik wyjściowy ważył niecałe dziesięć megabajtów. Odpaliła. Jakość nie zachwycała, a dźwięk nie zgrywał się do końca z obrazem, miał dwusekundowe opóźnienie. Nie to jednak było najważniejsze. Widziała siebie, Katarzynę Sokół, rozpiętą i gwałconą przez Roczewskiego.

Teraz on mógł to zobaczyć.

Włączyła przeglądarkę i zalogowała się do poczty. Nick „Niunia96” powinien przykuć uwagę radnego. Załączyła plik. Nie potrzebowała treści, słowa na nic się tu już nie zdadzą. Otworzyła kolejne okno przeglądarki i wpisała adres.

Irytujący dźwięk domofonu wdarł się do mieszkania.

Sądysz, że jest w domu? – Gabriel nie zdejmował palca z niewielkiego przycisku umieszczonego między metalowymi kratkami. – Nic nie słyhać.

– Zobaczymy. – Monika patrzyła na niego z politowaniem. – Nie dociskaj tak, z pewnością słyszała. Podobnie jak wszyscy sąsiedzi.

Zdobycie adresu kobiety, którą widzieli wczoraj w barze, zajęło sierżant kilka minut i dwa uśmiechy. Gabriel obserwował, jak podeszła do barmana i szepnęła mu coś do ucha. Mężczyzna potulnie nalał jej kieliszek białego wina, a na kartce napisał to, czego Byś potrzebował.

– Słucham.

– Dzień dobry – zaczął Gabriel, ale zanim dokończył, usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i słowa:

– Trzecie piętro.

Otworzył drzwi i wskazał wejście Monice.

– Proszę. Trzecie piętro.

W korytarzu pachniało środkiem czyszczącym i wilgocią. Gabriel zerknął na skrzynkę pocztową umieszczoną tuż przy wejściu. Z otworu przy numerze dwadzieścia jeden wystawał kawałek papieru. Począł, aż Monika wejdzie na półpiętro, i wyciągnął ostrożnie kartonik.

Widokówka.

Nadana ze Szwecji. Koślawe pismo i niewyraźne litery. Przeczytał i wsunął przesyłkę z powrotem na miejsce. Monikę dogonił na trzecim piętrze. Bieganie było w modzie, codziennie widywał wystrojonych maratończyków z białymi słuchawkami wciśniętymi w uszy. Gabriel ostatni raz biegał na testach sprawnościowych, które zaliczono mu tylko dlatego, że trenerowi zrobiło się szkoda policjanta. Teraz z trudem łapał oddech.

– Dobrze, że u mnie jest winda – powiedział, wciskając dzwonek umieszczony przy drzwiach.

– Chyba nie działa. – Monika zapukała. Gabriel patrzył na nią z zazdrością. Nie złapała nawet lekkiej zadyszki.

Dźwięk kroków i trzask zamka sprawiły, że Gabriel wyprostował się, uspokajając oddech. Pierwsze wrażenie, pomyślał, wypinając pierś.

– Zapraszam.

Dziewczyna otworzyła drzwi na całą szerokość, przez chwilę zatrzymała wzrok na Monice. Mundur sierżant wywołał tylko lekkie uniesienie brwi.

– Za pary biorę podwójnie – rozpromieniła się – a fetysze liczone są ekstra.

Bingo!

– Katarzyna Sokół?

Gabriel wprost nie mógł uwierzyć, jak makijaż potrafi zmienić kobietę. Alicja nie malowała się za często, a kiedy już to robiła, to subtelnie, w ograniczonym zakresie. Zdziwiło go, że stojąca przed nim kobieta w ogóle nie przypominała tej widzianej w Pieczarze. Ubrana w wyciągnięty dres i koszulkę z logo zespołu, którego nazwy nie potrafił rozszyfrować, wyglądała na zupełnie obcą osobę. Podbite oko też nie dodawało jej uroku.

– Tak – odparła. – W czym mogę pomóc szanownej władzy?

– Komisarz Gabriel Byś oraz sierżant Monika Ruszka. Możemy gdzieś usiąść?

– Jasne. – Ruszyła w głąb mieszkania. – Zapraszam do kuchni. Wybaczcie ten wstęp, rzadko przyjmuję gości.

W to akurat nie uwierzył. Idąc za nią, zerknął do sypialni. Czysta, schludna i zupełnie bezosobowa. Rozstawiony na podłodze laptop wyświetlał tylko czarno-białą stronę internetową z dziwnym logo. Gabriel zdążył odczytać litery umieszczone na górze, zanim usłyszał dźwięk włączanego czajnika.

Monika już się zadomowiła przy stole. Rozłożyła notatnik i zapisała pierwsze spostrzeżenia na temat Katarzyny Sokół. „Spokojna, opanowana”. Jakby opisywała psa ze schroniska. Gabriel postanowił, że skoro w kuchni są tylko dwa krzesła, on zachowa się jak dżentelmen i postoi. Katarzyna postawiła na blacie trzy identyczne, białe jak kokaina kubki.

– Herbata czy kawa? Kawę mam tylko sypaną.

Obserwował, jak się porusza. Wpuściła ich do domu, zupełnie obcych ludzi, ale czuła się wyjątkowo swobodnie. Otworzyła szafkę i do dwóch kubków wrzuciła po torebce herbaty. Gabriel skinął głową.

– Herbata wystarczy.

– Słodzi pan, komisarzu?

– Dwie poproszę.

Dziewczyna wlała wrzątek do kubków. Najpierw podała Monice, a później Gabrielowi. Usiadła i skrzyżowała nogi, które nawet obleczone w dres wyglądały interesująco.

– To w czym mogę pomóc? – Upiła łyk herbaty, krzywiąc się przy tym mimowolnie.

– Widzieliśmy panią wczoraj w Pieczarze.

– Trochę się odstawiłam, to prawda. Też zwróciłam na pana uwagę.

– Cudownie. – Zacisnął palce na gorącym kubku. – Pasuje pani do rysopisu świadka przestępstwa.

Nie mógł tego ująć inaczej. Powiedzenie na głos, że przyszedł ją rozpytać, bo ma płaski tyłek, byłoby niegrzeczne. Mógł oglądać zeszkieletowane zwłoki, rozbite głowy i przestrelone klatki piersiowe, ale mówienie kobiecie o mankamentach jej urody nie wchodziło w grę.

– Wczoraj w barze popełniono przestępstwo?

– Była pani w okolicach dawnego żydowskiego cmentarza w sobotę? Między Pruszkowem a Komorowem. – Gabriel zignorował jej pytanie. – Ulica Kolejowa. Około południa.

– Nie wiem. – Przejechała językiem po wargach. – Może tamtędy przechodziłam. Nie spisuję wszystkiego, co robię.

– Nikt tego nie robi – uśmiechnął się – ani ja tego nie oczekuję, ale nie było to tak dawno, żeby pani tego nie zapamiętała. Dwa dni to chyba niedużo?

– Proszę to powiedzieć musze minutówce.

Musiał to przyznać, dziewczyna potrafiła być zabawna.

– Żartuję, panie komisarzu. – Odstawiła kubek na stół. Gabriel zerknął do środka, był prawie pusty. – Przechodziłam tamtędy, ale samego wypadku nie widziałam. Karetka tarasowała przejazd. Trochę gapiów i tyle. Obawiam się, że nie pomogę.

Monika kręciła głową, łapiąc słowa wypowiedane raz przez Kaśkę, a raz przez Gabriela. Mecz tenisowy. Do końca seta było jeszcze daleko.

Żadne nie chciało powiedzieć wszystkiego.

– Co się pani stało?

Gabriel wykonał w powietrzu kilka niezdarnych gestów, które w jego mniemaniu miały opisywać ogólny nieład na twarzy rozmówczynie. Starał się nie przypatrywać, ale ciekawość ma znacznie większą siłę niż dobre wychowanie. No i był policjantem, a tego z krwi wymazać się nie da.

– Przewróciłam się pod prysznicem.

– Musiało boleć. – Monika dodała do swojego opisu słowo „niezdarna”.

– Bywało gorzej.

– Marta Zręb – spróbował Gabriel.

Tempo rozmowy zwalniało, nie zamierzał odpuścić, dopóki nie będzie miał pewności, że Kaśka faktycznie nie pomogła Juniorowi podczas wypadku. Jeżeli to była ona, mogła wiedzieć, gdzie znajdował się Adam.

– Nic mi to nazwisko nie mówi.

Odpowiedziała za szybko. Mieszkanie Sokół znajdowało się kilkadziesiąt metrów od wejścia na teren osiedla, gdzie kilka dni temu ktoś wyłupił oczy Marcie Zręb. Stojąc pod wejściem do klatki schodowej, Gabriel doskonale widział miejsce, skąd przegonił pracowników firmy pogrzebowej. Dziewczyna musiała coś wiedzieć, zwłaszcza że prawdopodobnie również należała do „drużyny Dziergi”. Znowu myślał stereotypowo, lata oglądania ulicy od tej drugiej strony zrobiły swoje.

– Adam Kupczyk? – Nie poddawał się. – Tomasz Frączak? Zenon Ługowski?

Przy ostatnim nazwisku zawahał się. Nowy trup, nowe możliwości, które teraz mógł nieopatrnie spalić, zanim cokolwiek wyskoczy w bazie danych. Cała trójka wskazana przez partnerkę Adama stanowiła nowe zmienne. Niewiadome, które będzie musiał uwzględnić w równaniu.

– Chyba traci pan czas. – Kaśka uniosła ramiona, demonstrując swoją bezradność. – Nie znam ich. Wolę swoje towarzystwo, nie mam zbyt wielu znajomych.

Monika dopisała kolejne słowa w notatniku. Nie wyglądała na zainteresowaną rozmową. Wpatrywała się w wydrukowane na ekologicznym papierze strony i powoli dopijała herbatę.

– Mieszka tu pani od niedawna?

Formalnie nie miał najmniejszego powodu pojawiać się w mieszkaniu Katarzyny Sokół. Szukał po omacku. Z pożółkłych drzwi lodówki patrzyły na niego chaotycznie poprzyczepiane magnesy. Ich właścicielka musiała często wyjeżdżać. Kartka pocztowa, którą znalazł w skrzynce pocztowej, poniekąd to potwierdzała. Przynajmniej Gabriel wiedział, że matka dziewczyny podróżuje.

– W Pruszkowie?

– Nie, w tym mieszkaniu.

– Kilka lat. Nie wygląda, co?

– Nie o to mi chodziło – zaprzeczył, choć oboje doskonale wiedzieli, że kłamie. – Chciałem się więcej o pani dowiedzieć.

Uśmiechnęła się, zmarszczki wokół oczu zbliżyły się do siebie, a żółtosiny siniak nabrał zupełnie innego koloru. Biła od niej radość, której Gabriel się nie spodziewał. Wchodząc do mieszkania Katarzyny, węszył jak pies, ale nic nie wyczuł. Czysto, pusto i smutno, a teraz dołączyła jeszcze cisza, którą zagłuszał nieregularny oddech Moniki.

– Czym się pani zajmuje?

– Czy ta rozmowa do czegoś zmierza, komisarzu? Jeżeli chce mnie pan lepiej

poznać, są na to ciekawsze sposoby niż przychodzenie z obstawą.

Wskazała palcem na Monikę z zapamiętaniem kolorującą kolejne kratki w notatniku.

– Przekażę żonie. – Odstawił kubek na stół. – Dziękujemy za pomoc, nie będziemy dłużej pani przeszkadzać.

Klepnął Monikę w ramię i wyszedł z kuchni, dając sobie kilkusekundową przewagę. Wystarczającą, by zdążyć odczytać ze stojącego w sypialni laptopa adres strony internetowej.

– Jeżeli coś sobie pani przypomni... – Włożył rękę do kieszeni dzinsów i wyciągnął paragon. Na odwrocie napisał swój numer telefonu. – Proszę dzwonić.

– Nie dają policjantom wizytówek? – Kaśka odebrała kawałek papieru, muskając palce Gabriela.

– Dopiero jak złapie się tysiąc bandziorów.

Przekręciła zamek i przez judasza patrzyła na korytarz. Czuła, jak w plecy wbijają się igły, kiedy komisarz wyszedł z kuchni, a ona straciła go z pola widzenia. Kilka sekund. Kilka cholernie długich sekund, które mogły zawazyć na jej życiu.

Odczekała, aż ciężkie kroki ustaną zupełnie. Potwierdził to głośny trzask zamykanych na dole drzwi, który rozszedł się echem między piętrami. Weszła do sypialni i sprawdziła, czy wszystko jest w porządku.

Strona, którą oglądała przed przyjściem policjantów, wyglądała na nieruszaną. Żadnych zaznaczeń ani poruszonego paska nawigacji. Przeskoczyła w oknie przeglądarki. Mail dalej spoczywał w wersjach roboczych, wystarczyło kliknąć jeden przycisk, by znalazł się w skrzynce odbiorczej Roczewskiego.

Odetchnęła.

Wcisnęła „Wyślij” i otworzyła nowe okno w przeglądarce.

– Kim jesteś, Gabrielu?

Znajdź mi wszystko, co się da, o Katarzynie Sokół. Miejsca zamieszkania, pracy, gdzie chodziła do przedszkola i z kim spała. Wszystko, co tylko możesz. I pogoń tych facetów z laboratorium o odbitki zdjęcia z miejsca zbrodni.

Gabriel czekał, aż doczłapie do nich ochroniarz. Z daleka przypominał prokuratora Stachowicza, tylko zdecydowanie gorzej ubranego. Widać nie każdy mundur działa uszlachetniająco.

– Jasne. – Monika odzyskała kolory na świeżym powietrzu. Nie było w niej nawet ułamka złości, w niczym nie przypominała kobiety, która jeszcze niedawno chciała rozszarpać przesłuchiwaną na komendzie wyrodną matkę. – Coś jeszcze?

– Wyszperaj mi coś więcej o ofierze. Skoro wzięła nazwisko od zaginionej, skontaktuj się z rodziną. Koniecznie coś o dzisiejszym breloku Ługowskim i tym

trzecim, Frączaku. Według Weroniki to najlepsi kumple. Jeden już nie żyje, szkoda by było, żeby drugiego spotkał ten sam los. Kręcimy się w kółko.

Skinęła głową i ruszyła w stronę samochodu.

– Wpaść po ciebie, jak skończysz? – spytała.

– Poradzę sobie.

– Dzwoń, jakby co.

Zniknęła w momencie, gdy cytrynowy oddech uderzył w kark Gabriela.

– Ma pan klucze?

– Tak, możemy iść. – Gardłowy głos ochroniarza pasowałby do kapeli metalowej, gdzie wykrzykiwane słowa łączą się dla słuchacza w jeden permanentny jazgot glebogryzarki. – Proszę za mną.

Gabriel zazdrościł Monice popołudnia spędzonego nad klawiaturą. Wyszukiwanie informacji nawet siedząc przyszpilonym do niewygodnego krzesła, wydawało się rajem w porównaniu z wejściem do mieszkania, gdzie przed trzema dniami znaleziono trupa. Gabriel, wjeżdżając windą, czuł nie tylko zapach cytrynówki oraz mocnych, ale także resztek Marty Zręb. Wiedział, że nikt nie zamówił ekipy sprzątającej, a miejsce zbrodni pozostało w niemal niezmienionej formie. Kilka dorodnych much siedzących na zaschniętych plamach krwi pojawiło się gratis.

Ktoś za to wypastował dokładnie korytarz, ścierając ślady policyjnych buciorów. Widać sąsiedzi przycisnęli administratora budynku, by zatarał ślady tego, co działo się kilka dni temu obok ich mieszkań.

Stanął przed drzwiami i zerwał policyjne plomby – kawałki papieru, które nie chroniły przed niczym. Wnętrze wyglądało tak samo jak ostatnio. Bałagan przy wejściu, mozaika dziecięcych rąk na drzwiach łazienki i wielka plama krwi w salonie. W jej środku pusta przestrzeń, którą wcześniej zajmowała Marta Zręb. Kleks w kolorze podłogi wyglądał o wiele mniej komiksowo niż w kreskówkach.

– Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego całe to obrysowywanie ciał w filmach to jedna wielka bzdura? – Gabriel ostrożnie przechodził nad rozsypanymi przyrządami do makijażu.

– Bo to może zatrzeć ślady.

Ochroniarz stał na korytarzu, obserwując mieszkanie z bezpiecznej odległości. Kiwał się w przód i w tył, robiąc z wypastowanych butów łódeczki.

– Nie wejdzie pan?

– Nie, dziękuję, przyniosłem tylko klucze. Jakby mnie pan potrzebował, będę robił obchód. – Uniósł dłoń i pomachał niewielkim pilotem. Urządzeniem, które musiał przykładać w różnych miejscach budynku, by szef wiedział, że nie śpi na służbie. – Proszę tylko wyjść na balkon i głośniej krzyknąć, znajdziemy się.

– A co z nagraniami?

– Jakimi nagraniami?

– Z monitoringu. – Gabriel stanął nad kałużą. Wyglądała jak galaretka malinowa i pachniała zaskakująco dobrze. – Musimy je dostać.

Brak odpowiedzi to znak, że w umyśle rozmówcy dzieją się dziwne rzeczy. Sprzeczne sygnały walczą ze sobą o to, czy powiedzieć prawdę i dostać lanie, czy skłamać i dostać lanie. Przyzwyczajenia z przedszkola zostają na całe życie. Wprawdzie Gabrielowi nigdy nie przetrzepano skóry za leżakowanie, ale przygryzający teraz wargę ochroniarz najwidoczniej swoje w dzieciństwie przecierpiał.

– Nie przekazali panu?

– Czego?

– Tu nie ma monitoringu. Jeszcze.

– A ten cały osprzęt wiszący na zewnątrz?

– Atrapy. – Ochroniarz spoglądał z uwagą na swoje buty. – Wewnątrz upchane są przewody. Mieli podłączyć, ale jakoś nie wyszło.

– Kto miał podłączyć?

– No, administracja. I my oczywiście. – Dumnie wskazał na swoje ramię. Czerwona naszywka znacząca mundur z daleka wyglądała jak rana postrzałowa z naprędcie nałożonymi szwami. – Szef się jakoś z nimi nie dogadał czy coś. Nie wiem dokładnie, ale kamer nie ma. Znaczący są, ale nie działają.

Niewielkie pocieszenie. Zupełnie jakby Gabriel brał udział w wyścigu, a siedząc za kierownicą sportowego samochodu, zorientował się, że ma pusty bak. Pewnie wiszące na elewacji kamery odstraszały drobnych złodziejasków, ale mordercy albo musieli wiedzieć, że nie działają, albo nie interesowało ich to, czy zostaną zauważeni. Obie wersje nie napawały Gabriela entuzjazmem.

– Jestem jeszcze potrzebny?

– Mówi coś panu nazwisko Frączak? Tomasz Frączak?

– Oczywiście, pracujemy razem. Ściągnęli mnie z urlopu, bo nie pojawił się na zmianie.

– Jak to? – Gabriel poczuł, jak krew buzuje pod skórą. – Z Frączakiem? Tutaj?

– Tak. – Ochroniarz wyglądał na szczerze zdziwionego. – W Parasolu. A o co chodzi?

– Przepraszam, muszę zadzwonić. – Gabriel wyciągnął telefon i wybrał numer Moniki. – Znajdę pana, jak skończę.

Ochroniarz zamknął za sobą drzwi, zostawiając komisarza samego. Gabriel wreszcie miał chwilę na spokojne zastanowienie się. Przy ludziach kiepsko mu się pracowało, a pachnące trupem mieszkanie pomagało rozwiązać panującą w umyśle mgłę. Zapach śmierci działał na niego lepiej niż kokaina. Rozłączyło go automatycznie po kilku sygnałach. Jeżeli Frączak rzeczywiście pracował jako ochroniarz obiektu, wiedział o braku kamer. Gabriel wysłał do Moniki wiadomość, żeby dokładnie prześwietliła agencję ochroniarską. Po krótkim zastanowieniu dodał na końcu esemesa trzy wykrzykniki. Nie schował telefonu do kieszeni, wolał mieć go jak najbliżej, gdyby oddzwoniła.

Do badań zabrano z mieszkania prawie cały sprzęt elektroniczny. Laptop i telefon ofiary spoczywały bezpiecznie w jednej z szuflad policyjnego

magazynu. Gabriel wątpił, żeby cokolwiek udało się z tych sprzętów wyciągnąć. Wierzył Robertowi, a jak on mówił, że szanse są znikome, zazwyczaj miał rację.

Meble w salonie pokryte były cienką warstwą kurzu. Kanapa zachęcała do odpoczynku, a jej zielone obicie działało usypiająco. Ból pleców wprawdzie nie powrócił, ale Gabriel i tak zdecydował się usiąść. Przed sobą miał czarno-białe zdjęcia mostu Golden Gate oraz wiszący na ścianie telewizor. W ekranie odbijała się jego postać. Westchnął i przewertował zawartość stojaka na gazety. Cztery czasopisma motoryzacyjne, powycierane na rogach od ciągłego przeglądania. Dwa numery magazynu dla panów, gdzie ukryty na okładce króliczek był ostatnią rzeczą przyciągającą wzrok, oraz wciśnięte na siłę mapy.

Wyciągnął je i rozłożył na stoliku kawowym. Oglądanie klasycznych, składanych na kilka części map było wyjątkowym przeżyciem. Oddechem przeszłości. Te, które miał przed sobą, z pewnością nie nadawały się już do użytku. Duże, odrapane na krawędziach wydruki były starsze niż właścicielka mieszkania. Warszawa, Wrocław, Katowice, Gdańsk i Pruszków.

Po co ci były mapy sprzed trzydziestu lat?

Skupił się na Pruszkowie. Szukał zakreśleń, śladów długopisu czy czegokolwiek, co oznaczałoby, że służyła do czegoś innego niż do zbierania kurzu. Pod światło faktura papieru przypominała źle zamiecioną podłogę, pełną małych, denerwujących paprochów. Nic dziwnego, że nikt się nią nie zainteresował przy oględzinach miejsca zbrodni. Odwrócił mapę na drugą stronę, ale była zupełnie pusta. Brakowało nawet reklam, które w późniejszych latach pojawiały się na każdej wolnej przestrzeni. Gabriel rozprostował ręką nierówną powierzchnię i raz jeszcze przyjrzał się kartce.

– Chryste – podniósł się z kanapy – daj mi coś! Cokolwiek.

Echo nadało słowom morderczy oddźwięk, ale sytuacji nie zmieniło. Przeszedł do aneksu kuchennego. Czysty, wyglansowany blat nie zdradzał śladów ludzkiej bytności. Szafka nad zlewem pusta, ociekarka sucha. Od dawna nieużywane. Otworzył klapę zmywarki. W środku stał garnek, a w specjalnej przegródce łyżka. Znak, że sztuczną krew przygotowywano na miejscu, gdy Marta siedziała przywiązana do krzesła. Gorąca woda w połączeniu z detergentem wyprała z garnka wszelkie ślady biologiczne. Z baniaka, który znaleziono w śmietniku, mordercy musieli skorzystać później.

Zatrzasnął zmywarke.

Sypialnię ominął, sprawdził ją już dokładnie z Moniką. Zabawki seksualne, trochę ciuchów i ubrań dla Janka. Patologiczny koktajl. Ostrożnie otworzył drzwi do łazienki. Nie chciał dotykać śladów krwi, rozmazanej po całej powierzchni. Zapach przypominał ten, który drażnił go na basenie. Chlor. Brakowało tylko kąpielówek rozwieszonych na grzejniku. Prosta i jasna przestrzeń, tak samo bezosobowa jak reszta mieszkania. Marta miała więcej wspólnego z Katarzyną Sokół, niż z początku podejrzewał.

Kucnął przy szafce pod umywalką. W środku znalazł osiem opakowań

prezerwatyw i drugie tyle papierowych ręczników pozwijanych w grube rolki. Wszystko ustawione równo obok siebie, jak na wystawie w sklepie z artykułami do samogwałtu. Dodatkowo kilka tubek żelu nawilżającego o smaku truskawek, kajdanki z futerkiem i zatyczka od inhalatora, ale Gabriel wolał nie wiedzieć, do czego mogła posłużyć. Wstając, zobaczył, że ekran telefonu się rozświecił. Znowu musiał niechcący przełączyć go na tryb cichy.

– Już zaczynałem się martwić. – Przyłożył słuchawkę do ucha, ekran momentalnie zrobił się czarny. – Masz coś?

– Gabriel. – Robert. – Zawalony robotą jestem, ale mam dla ciebie coś ciekawego. Masz coś do pisania?

– Tak, poczekaj.

Gabriel przeszukał kieszenie. Znalazł długopis, ale nic, na czym mógłby go wykorzystać. Przeszedł do salonu i usiadł na kanapie. Rozłożona mapa i jej czyste plecy stanowiły idealne miejsce na zapiski. Położył telefon na blacie i przełączył na tryb głośnomówiący.

– Dobra, mam.

– Dużo ci nie pomogę, ale tak jak mówiłem, to grafy. Dużo wariacji na temat tego samego przykładu. Zapisz sobie macierz sąsiedztwa, a ja podeślę ci na maila rozrysowany graf, okej?

– Jasne.

Metodycznie i powoli Robert dyktował cyfry. Jedną po drugiej, mówiąc, w którym momencie Gabriel ma zakończyć wiersz. Osiem wierzchołków w grafie, osiem wierszy i tyle samo kolumn. Całość wyglądała jak źle skomponowana plansza do gry w statki.

– Masz?

– Chyba tak.

Gabriel spoglądał na tabelkę. Pamiętał, że sam próbował bawić się w tego typu rzeczy, ale to było dawno. Życie nie pozwoliło na dalsze zabawy z matematyką. Żałował, ale nie było po prostu wyjścia. Przejechał długopisem po wierszach, powtarzając na głos każdą cyfrę.

	1	2	3	4	5	6	7	8
1	0	1	1	0	0	1	1	1
2	1	0	1	0	0	0	1	0
3	1	1	0	1	0	0	1	0
4	0	0	1	0	1	1	1	0
5	0	0	0	1	0	1	0	1
6	1	0	0	1	1	0	1	1
7	1	1	1	1	0	1	0	0
8	1	0	0	0	1	1	0	0

– Co mi to daje?

– Wiesz, jak wyglądają grafy, prawda? Miałeś je na zdjęciach w telefonie. To tak, jakbyś grał w kropki, tylko że nie wszystkie wierzchołki ze sobą łączysz. A ta macierz właśnie pokazuje, jak połączone są ze sobą wierzchołki w grafie. Jeżeli w wierszu masz wpisana jedynekę, dany wierzchołek łączy się z każdym do którego ta jedynka pasuje. Ten z numerem pierwszym łączy się więc z drugim, trzecim, szóstym, siódmym i ósmym. – Robert mówił spokojnie, jak do młodszego, głupszego brata, który jak nikt nie patrzy, wydłubuje z nosa jego zawartość. – Każdy kolejny wiersz to następny wierzchołek. Rozumiesz?

– Jasne. – Pozwalał Robertowi na nauczycielski ton. Wiedział, że czasem warto schować dumę do kieszeni. – To graf nieskierowany?

Cisza. Pomyślał, że Robert przypadkiem przerwał połączenie, ale po chwili usłyszał w słuchawce głęboki wdech.

– Oczywiście, inaczej macierz nie byłaby symetryczna.

– Oczywiście.

– Ale ma przypisane wagi do poszczególnych gałęzi.

Gabriel nie zagłębiał się w tajniki teorii grafów. Wiedział, jak wyglądały, i znał ich podstawowe własności. Matematyka to doskonała rozrywka dla umysłu, o ile nie zaprzatają go martwe noworodki czy kobiety bez oczu. Nie mógł sobie darować, że aż tak zatopił się w policyjnej robocie. Cud, że Alicja cały czas chciała z nim być, a nawet wspominała o dziecku. Jeżeli chcesz ją zatrzymać, dorośnij, pomyślał, kreśląc na odwróconej mapie kółka.

– Wagi?

– No, liczby, które coś symbolizują.

– A w tym wypadku?

– To już twoje zadanie, detektywie. – W tle usłyszał trzask otwieranej puszki. Robert nie wyobrażał sobie pracy przy komputerze bez czarnego, musującego napoju. – Podeślę ci na maila ten, który rozrysowałem. Widać, że nad nim pracowała najdłużej, ale grafów jest sporo. Nie mam czasu bawić się w Eulera i rozgryzać te, które mają po kilkadziesiąt wierzchołków.

– Kogo? – Gabriel doskonale słyszał słowa Roberta, miał tylko nadzieję, że pamięć go nie zawiodła. – Mógłbyś powtórzyć?

– Leonhard Euler, matematyk, który rozwiązał problem mostów królewieckich. Wiesz, taka zagadka, czy da się przejść wszystkie mosty w mieście tylko raz i wrócić do punktu wyjścia. Połączenia między wierzchołkami symbolizowały właśnie kładki i Euler znalazł na ten problem sposób. Tutaj też widać, że ktoś, kto robił ten graf, bawił się minimalnymi drzewami rozpinającymi, ale z marnym skutkiem. Niby są jakieś ścieżki, ale...

– Wyjaśnisz mi to później. – Gabriel zerwał się z kanapy. Mapa wylądowała na podłodze. Jej odwrót zdobiło osiem niemal idealnych okręgów, nakreślonych według fantazji komisarza. – Oddzwonię. Dzięki.

Wcisnął ikonę z czerwoną słuchawką. Pamiętał to nazwisko, wisiało w przedpokoju. Szwajcarski banknot bezpiecznie spoczywał na swoim miejscu.

Gabriel zdjął i obejrzał ramkę z każdej strony. Otworzył ostrożnie zaczepy i wyciągnął banknot.

– Oczywiście.

Pusto. Dziesięć franków szwajcarskich. Gabriel nie wiedział, czy to edycja specjalna, czy każdy tak wyglądał. Nie miało to znaczenia. Marta powiesiła banknot, by codziennie gdy wychodziła z łazienki, widzieć twarz matematyka. Jak nastolatka zadurzona w piosenkarzu albo aktorze.

Wrócił do salonu. Zabrał telefon i podniósł mapę z podłogi. Złożył wydruk ze swoimi notatkami i schował do kieszeni. Wiedział, że jeżeli nie przestanie wnosić rzeczy z miejsc zbrodni, w końcu go za to wywalą albo przypną łątkę kleptomana. Nie wiedział, co byłoby gorsze. Taras zachęcał, by wyjść i zapalić. Powietrze miło drażniło skórę. Włożył papierosa do ust. Patrzył, jak ulicą przejeżdżają samochody, a w paskudnym zielonym bloku naprzeciwko kobieta wylewa przez okno jakąś dziwną ciecz. Choć miała na sobie tylko stanik, Byś nie poczuł nic oprócz obrzydzenia. I tego, że coś mu umyka.

Wyciągnął telefon i wybrał numer Alicji.

– Już nigdy nie będę narzekał, że nasze okna wychodzą na cmentarz – zaczął, gdy tylko usłyszał jej głos.

Nie wierzę. – Sama wydała się zaskoczona tym, jak potrafi zmienić ton głosu, gdy jej na czymś zależy. – Naprawdę mogę?

– Oczywiście. – Kobieta po drugiej stronie telefonu przeciągała samogłoski. – O ile nasz pensjonariusz się na to zgodzi, rzecz jasna.

Wiedziała, że się zgodzi. Łucja dostatecznie dużo opowiedziała Kaśce o mężczyźnie, który rozkochał i porzucił Joannę. Bawidamek, zapatrzony w siebie i łasy na pochlebstwa. Kleofas Teodor Różycki żył, oddychał i spożywał posiłki niecałe trzydzieści kilometrów od niej. Ukryty za grubymi murami domu starców. Wystarczyło uderzyć w odpowiednią strunę i czekać na odzew, a Kaśka miała pewność, że w taką trafiła.

– Zechce pani poczekać na linii?

– Tak, dziękuję.

Słuchawka wylądowała na blacie. Nie był to dźwięk, który słyszy się na co dzień. Podejrzewała, że w domu dla emerytowanych artystów nie będzie miejsca dla aparatów stacjonarnych, ale z tego typu ośrodków widać nigdy nie znikną. Tak jak karty pacjentów notorycznie trafiające w magiczne miejsce, które obsługa nazywa „zaginione”.

Kaśka siedziała na podłodze, wpatrując się w otwartą przeglądarkę. W ciągu godziny znalazła wszystko, czego potrzebowała. Teodor stoczył się na samo dno. Kiedy zawitała do Polski telewizja z prawdziwego zdarzenia, taka z reklamami podpasek i proszków do prania, teatr zaczął umierać. Zaczęło się od aktorów, którzy nie potrafili przyciągnąć do siebie nowej publiczności. Brakowało im charyzmy, a sam fakt, że dumnie nazywali się „starą szkołą”,

niewiele zmieniał. Producenci zrozumieli to najszybciej, aktorom takim jak Teodor zajęło to znacznie dłużej.

Chwytał się każdej chałtury, niezależnie od tego, czy w jakikolwiek sposób powiązana była z teatralnymi deskami. Kaśka znalazła całkiem pokaźny spis jego osiągnięć. Kleofas Różycki występował głównie w domach kultury, gdzie w godzinach przedpołudniowych zabawiał znudzone przedszkolaki swoją wersją *Pinokia*.

– Halo, jest pani jeszcze na linii?

Kobieta podniosła słuchawkę tak cicho, że Kaśka nie usłyszała najmniejszego szmeru.

– Tak. – Odchrząknęła. – Tak, słucham.

– Pan Różycki chętnie się z panią spotka.

Małe zwycięstwa.

– Dziękuję, to bardzo dobra wiadomość. Jutro rano, tak?

– Tak. Nie powiedziała mi pani, dla jakiej gazety pisze.

– Jestem freelancerką. Przygotowuję tekst, a następnie szukam redakcji, która zechce go ode mnie kupić.

– I da się z tego utrzymać?

– Oczywiście. – Nie miała pojęcia, czy to prawda. Podejrzewała, że praca jest równie niewdzięczna i niepewna, jak jej. – Wie pani, jak jest, czasem lepiej, czasem gorzej.

– Oby w takim razie spotkanie z naszym miłym pensjonariuszem pani pomogło.

– Oj, na pewno tak będzie.

Usłyszała szybkie i niewyraźne pożegnanie, a następnie trzask odkładanej słuchawki. Zdawało jej się, że w tle zamiauczał kot, ale to raczej niemożliwe. Z tego, co wiedziała, w ośrodkach pomocy, szpitalach i domach starców nie można były trzymać zwierząt innych niż wszy. Słyszała wprawdzie o psach, które pomagały żołnierzom przetrwać wojenną traumę, ale to co innego. Lizanie po twarzy musiało mieć zbawienny wpływ na ludzką psychikę. Lizanie po jajach pomagało zawsze.

Odłożyła telefon na podłogę. Nie spodziewała się, że pójdzie tak łatwo. Zamknęła okno przeglądarki. Tę sprawę mogła odhaczyć na liście. Spojrzała na zakładkę z pocztą. Nowa wiadomość. Od czasu wysłania maila do Roczewskiego minęło kilka godzin. Już dawno powinien go odczytać. Ona by tak zrobiła.

„MegaKUMULACJA – dołącz do zwycięzców”.

Kolejny spam. Codziennie miała skrzynkę wypchaną kilkunastoma mailami od osób, które chciały jej pomóc w osiągnięciu sukcesu na polu finansowym, zawodowym i seksualnym. Ustawianie reguł wiadomości na nic się nie zdawało. Wystarczało nie sprawdzać poczty przez kilka dni, żeby liczba nieprzeczytanych wiadomości osiągnęła wartość trzycyfrową. Kasowała je bez żalu, jak wszystkie śmieci, które ją otaczały.

Odśwież.

Nic.

Po raz pierwszy zapaliła w sypialni. Zapach dymu przedostanie się przez włókna tkanin, osiadzie na stałe i zadomowi się obok Kaśki. Przyzwyczai się, jak do wszystkiego. Teraz potrzebowała zajęcia.

Odśwież.

Odśwież.

Odśwież.

Odśwież.

Otwierasz tu czasem okno?

Gabriel skupił się na głowie Juniora. Skupiłby się na wszystkim, by tylko zapomnieć o smrodzie.

– Długo będziesz to nosił? – Wskazał przekrzywiony bandaż.

– Szef powiedział, że dopóki nie zmądrzeję. Weźmiesz to na górę?

Torebka zaszeleściła w dłoniach Juniora.

– Co to?

– Miałem uprzątnąć samochód, zanim oddamy go do warsztatu. – Spuścił wzrok. Takiej hańby nie zmywa się od razu. – Znalazłem to i chciałem wam przekazać.

Długopis, pluszowy miś, kawałek plastiku wyglądający jak źle wyprofilowana rączka od odkurzacza. Inhalator z rozpylaczem albo lek na gardło. Wszystko zmieściło się w opakowaniu wielkości torebki śniadaniowej.

– Dzięki. – Gabriel złapał podarek i wcisnął do kieszeni kurtki. – A jak odbierałeś Janka ze szpitala, lekarz mówił coś o lekarstwach?

– Nie pamiętam. Przepraszam.

– Co tu tak cuchnie?

– Kebab. – Junior podrapał się po nosie. – Szesnaście opakowań ostrego i cztery łagodnego na puszystym.

Nawet w barze woń nie była tak intensywna. Przedzierała się przez wszystkie inne, które przez lata pracowały na swój ślad na posterunku. Od krwi do łez, pachniało tu całym człowiekiem.

Do teraz.

– Po cholere?

– Chłopaki z patrolu zatrzymali dostawcę za przejechanie na czerwonym. Byli głodni, to sobie wzięli jeden z zestawów. – Uśmiechnął się. – W środku było pięć gram maryški, wciśnięte pod sałatę. No i teraz przeszukują inne zamówienia w sali obok. Reszta pojechała wybebeszać bar. Często bywamy w okolicy ostatnio. W bloku obok popełniono morderstwo, nad którym pracujecie.

– Na Prusa? Jedliśmy tam w piątek.

– Nie smakowało dziwnie?

– Jak zwykle – skłamał. – Monika na górze?

– Tak, zakopła się w papierach. Wpadła tu jak taran i nie wstaje od biurka. Zameczy się kiedyś.

Przez zapach Gabriel zrobił się głodny, a wypowiadając kolejne zdanie, nie myślał już logicznie. Inaczej zamknąłby jadaczkę i poszedł na górę.

– Musi zająć czymś ręce, to zrozumiałe po tym, co ją spotkało.

I dlatego mężczyźni nie powinni znać żadnych sekretów.

– Przejebane. – Junior, jak na faceta w czepku z gazy, mówił dość składnie. – Szkoda dziewczyny. Została zupełnie sama, facet zniknął. Nie pojawił się nawet w szpitalu, wyobrażasz sobie? Tylko jedna koleżanka ją odwiedzała. No i my. Komisariat.

– Trzeba trzymać się razem. – Frazes o zerowym odwzorowaniu w rzeczywistości. – Złapali tego kierowcę?

Tę informację Pilsz zostawił dla siebie. Gabriel powinien spytać o to od razu, podczas pogawędki w palarni. Uniknąłby rozmowy z Juniorem, która nigdzie nie prowadziła, a sprowadzała ich do roli przekupek. Policjant powinien trzymać sferę prywatną z dala od drzwi komisariatu.

– Nie, samochód zapadł się pod ziemię. – Junior obrócił się na krześle. – Zeznania Moniki były do niczego, żadnych świadków. Nawet rysopisu sprawcy nie było. Czekać, dam ci coś.

Odepchnął się nogami, kółka fotela zaskrzypiały, trąc o podłogę. Junior przejechał metr, który dzielił go od wielkiej szafy, i zatrzymał się tuż przed jej drzwiami. Grzebał przez chwilę w środku, a gdy wynurzył białą głowę z powrotem na powierzchnię, w rękach miał plik wymiętoszonych kartek. Odbił się stopami od ziemi i zatrzymał przed kontuarem.

– Pilsz prosił mnie kiedyś o ksero akt, ale jakoś do tej pory ich nie odebrał.

– Tylko tyle?

Sześć stron. Wliczając tytułową.

– Nie było czego spisywać – usprawiedliwił się Junior, choć ze sprawą nie miał nic wspólnego. – Pytaj Janusza.

Zerknął na nazwisko prowadzącego sprawę.

Aspirant Janusz Pilsz.

Monika tkwiła zgarbiona nad stertą papierów. Z daleka wyglądała jak ofiara Wezuwiusza, przysypana popiołem i czekająca, aż ktoś ją zdmuchnie w niebyt. Gabriel dopiero gdy stanął blisko, zauważył, że oczy sierżant przeczesują tekst leżący na blacie.

– Masz coś dla mnie?

Krzesło nieprzyjemnie zatrzeszczało pod jego ciężarem.

– Sekunda.

Przyjrzał się leżącym na biurku dokumentom. Monika wydrukowała internet. Widział nawet puste prostokąty z ikoną, która oznajmiała, że nie odnaleziono

źródła fotografii. Sporo ich było, szczególnie przy starszych tekstach. W sieci informacja żyje krótko, szybko zastępuje ją kolejna, tę kolejną, a każda ciekawsza od poprzedniej. Wyjątkiem są zdjęcia celebrytów, te żyją wiecznie, uaktywniają się, gdy trzeba komuś z nich dowalić.

– Słuchaj. – Monika odłożyła kartkę na stos. – Nasz triumwirat był razem w Afganistanie. Kupczyk, Ługowski, Frączak. Pierwsza tura. Wprawdzie tutaj są same inicjały, ale wiemy, o kogo chodzi. Mam znajomego w WKU, który wisił mi przysługę. Zieloni niechętnie dzielą się informacjami.

Wygrzebała wydruk ze sterty dokumentów i podała Gabrielowi. Mężczyźni na zdjęciu mieli zasłonięte oczy, ale prostokąty wypełnione czarnym kolorem zakrywały niewiele. Iluzja tajemnicy, zupełnie jak stringi. Twarz można było rozpoznać od razu. Adam stał pośrodku. Zenon i Tomasz po jego bokach, lekko z tyłu. Zenona nie poznał, ale do tej pory widział go tylko na zdjęciu z dowodu osobistego oraz napuchniętego, ściągniętego prosto z wisielczej linki. Miał prawo się zawahać.

– Niech zgadnę – położył kartkę na biurku – zrobili coś niedobrego.

– Nic im nie udowodniono. Szybka piłka. Sprawa nie była tak medialna jak Nangar Khel. Panowie rozstali się z wojskiem w zgodzie. Tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna.

– A nieoficjalna?

– Tu nie jest tak prosto. Ostrzelano ich patrol, co zdarzało się zresztą częściej, niż się może wydawać. Chłopaki sprawdzali wiochy wokół bazy Bagram. Kiedy padły strzały, odpowiedzieli ogniem. Bez namysłu. Dwóch cywili, jedno dziecko. To Frączak rozsmarował mózg dzieciaka na ścianie, ponoć nie było co zbierać. Zamknięta trumna, jak to mówią. Sąd ustalił, że to był wypadek. Pomogło to, że jeden z zabitych naprawdę miał broń. W mediach pojawiło się kilka artykułów, ale każdy z późniejszego okresu i piętnujący Nangar Khel. Później się z tego piętnowania srogo tłumaczyli, a nasi chłopcy zostali niemal całkowicie pominięci. Tylko że strat wyrządzonych przez pismaków nie dało się już cofnąć. Byli spaleni. Przynajmniej w wojsku. To ich jedyne zdjęcie z mediów.

– Dziwi cię to? Początek misji w Afganistanie, rząd potrzebował pozytywnego przekazu, a nie ciągnięcia żołnierzy po sądach. Nikt nie chciał wtedy złej prasy. To i tak cud, że ktoś o nich napisał. Wiesz, co robili potem?

Pokręciła głową.

– Żadnego oficjalnego zatrudnienia, opłacanych składek, nic. Cała trójka miała wziąć udział w terapii. Tylko Frączak się zgłosił, ale nikt tego tak naprawdę nie monitorował.

– Terapii? PTSD?

– Tak. Syndrom stresu pourazowego. Przepisy czy coś tego wymagały, ale który facet dobrowolnie przyzna się do problemu?

Trafna uwaga. Równie dobrze Monika mogła położyć na biurku penis i przestać udawać, że jest kobietą. Rozumiała mężczyzn znacznie lepiej niż oni

sami. Gabriel nie lubił przyznawać się do słabości, nawet Alicji. Wiedziała o nim najwięcej ze wszystkich, ale wyznaczył nieprzekraczalne granice. Demony wolał rozdeptywać w samotności.

– Czy takie coś w ogóle pomaga? Siedzisz, gadasz do jakiegoś typa w swetrze, zastanawiasz się, czy ma cię za wariata i dlaczego, do cholery, ściany mają kolor Smerfетки.

Wyglądało na to, że Monika miała swoje przejścia z psychologiem. Będąc na jej miejscu, Gabriel nie wychodziłby z gabinetu i błagał doktora o receptę na coś, co zmieni go w chodzącą roślinę.

– Terapia to nie tylko gadanie do koleśka w swetrze – starał się rozładować atmosferę. – Wiesz, spotkania grupowe, farmakoterapia. Ponoć selektywne inhibitory zwrotnego wychwyty serotoniny nieźle działają na PTSD.

Na depresje również.

– Zdziwiasz mnie czasem. – Odsłoniła dziąsła, markując uśmiech. – Co nie zmienia tego, że musieli wrócić stamtąd nieźle pokiereszowani. Zostawiam ci to i spadam, okej?

Burko tonęło w dokumentach. Monika szybko zgarnęła je w jedną kupkę i ułożyła stos. Przez moment patrzyła na niego, jakby zastanawiała się nad tym, czy uporządkować kartki, czy podpalić. Włożyła ręce do kieszeni, ale nie wyciągnęła zapalniczki. Gabriel odetchnął z ulgą, sam szukałby informacji zdecydowanie dłużej.

– Nie chcesz wiedzieć, co nasza trójka robiła po służbie?

– Wiem, co robili. – Wyciągnęła rękę z kieszeni i poprawiła włosy. – Wszędzie gubię spinki.

Nie wiedział, czy jej to nie obchodziło, czy rzeczywiście była tak zaabsorbowana poszukiwaniem wsuwki, że nic więcej się nie liczyło.

– Nic nie robili – dokończyła. – Znalazłam zeznania o pobiciach, których rzekomo dopuścili się Adam Kupczyk i Tomasz Frączak. Mam tego całą stertę. Wszystkie później wycofano. Świadkowie często to robią. Od wyjścia do cywila byli czyści, ale jak widać, nie próżnowali. Chłopcy do wynajęcia to chyba dobre określenie.

– Pracowali w Parasolu – oświadczył Gabriel. – Firmie, która zajmuje się ochroną budynku, gdzie znaleźliśmy ciało Marty.

Monika znieruchomiała. Odchrząknęła i wzruszyła ramionami.

– Pewnie siedzieli na śmieciówkach albo w ogóle bez umowy. Skąd o tym wiesz?

– Nie wyobrażam sobie, że wyszkoleni wojskowi rozmieniają się na drobne i pilnują podziemnego garażu. Powiedział mi o tym ochroniarz, który wpuścił mnie do mieszkania denatki.

– A powiedział ci, że właścicielem Parasola jest Andrzej Dzierga?

Tego akurat Gabrielowi oszczędził.

– Mogłem się domyślić. Jest coś, czego ten facet nie posiada w Pruszkowie?

– Zabawne. – Uśmiechnęła się, tym razem szczerze. – Podobno kościoły są

pod innymi rządami, ale właściciel nie pojawia się na inspekcjach i nikt nie wie, jak wygląda. Jedyne znane szczegóły rysopisu to długa broda i niechęć do rodzaju ludzkiego. O, znalazłam.

Wsuwka, wyciągnięta spod zdjęć zakrwawionego ciała, znalazła swoje miejsce tuż za uchem Moniki. Odślonięte policzki w odblasku jarzeniówek wyglądały jak piłka do koszykówki. Bładopomarańczowa skóra pokryta morzem drobnych wypukłości. Dodawało to sierżant uroku i odciągało wzrok od pustych oczu.

– Poradzisz sobie, prawda? Masz tu wszystko, czego potrzebujesz.

– Jestem dużym chłopcem, poradzę sobie bez kobiecej ręki drapiącej mnie za uszkiem.

Monika schowała włosy pod czapkę z daszkiem. Obeszła biurko i stanęła przy Gabrielu. Nachyliła się i zastygła. Poczul papierosowy oddech na twarzy, ale nie drgnął. Czekał, aż sierżant wyprostuje się, położy mu dłoń na ramieniu i pójdzie do domu. Całe piętro należało do nich. Biurka innych policjantów świeciły pustkami, a migające pod monitorami diody stanowiły jedyną oznakę, że ktoś tam w ogóle bywał. Czuł, że wargi Moniki znajdują się coraz bliżej pokrytego zarostem policzka.

– Dobranoc, pani sierżant.

Koleżeński pocałunek, oznaka zażyłości, na którą nie mógł sobie pozwolić. Sierżant była inteligentną i piękną kobietą, ale przede wszystkim jego współpracownicą. Osobą, której w razie potrzeby będzie mógł w pełni zaufać. Uścisk dłoni i poklepanie po plecach, nic więcej. Wszystko ponad to wprowadzało zamęt.

– Dobranoc, panie komisarzu.

Wsluchiwał się w odgłos jej kroków. Odczekał, by mieć pewność, że został sam, i dopiero wtedy zdecydował się odwrócić. Komenda stała się nagle wyjątkowo nieprzyjemnym miejscem. Przesiadł się na krzesło Moniki i spojrzął na stertę dokumentów. Przejrzenie wszystkiego zajmie mu pół nocy, ale liczył, że gdzieś między wydrukami znajdzie ślad Marty Zręb. Zadowolony się czymkolwiek, co choć odrobinę przybliży go do rozwiązania. Teraz miał same poszlaki i domysły, których prokurator nie klepie. O sądzie nawet nie marzył.

Komputer Moniki cały czas był włączony. Poruszył myszką, ekran rozświetlił się momentalnie. Żadnego okienka logowania, kontroli dostępu, policyjny informatyk nie dostanie za to premii. Vista, system operacyjny sprzed dziesięciu laty. Zaskakująco nowy jak na komendę powiatową. Gabriel szczerze go nienawidził, każda operacja poważniejsza niż otworzenie katalogu kończyła się kilkoma nic niewnoszącymi powiadomieniami.

Odpalił przeglądarkę. Mail od Roberta jeszcze nie dotarł, ale Gabriel wiedział, że jeszcze tej nocy będzie miał go w skrzynce. Ufał mu na sto procent. Otworzył kolejną kartę i wpisał pierwsze, co przyszło mu na myśl w sprawie ofiary. „Prostytutka Pruszków”, czternaście tysięcy trzysta trafień. Wiedział, że musiała się gdzieś reklamować. Na ekskluzywną, znaną tylko z polecenia

dziewczynę, Marta była za biedna. Mieszkanie wyglądało zbyt normalnie, żadnych drogich dodatków, które miały przekonać klientów o jej statusie. I że wydają pieniądze na usługę lepszą niż ta, którą mogą dostać od zmęczonej żony. Marta Zręb była zwykła, pospolita, a na dodatek martwa.

Pierwsza strona informowała o miejscach, gdzie rozstawiają się tirówki, kilka następnych przekierowywało na strony burdeli. Pełne napompowanych piersi, które z całą pewnością nie należały do pracujących tam dziewczyn. Wielki półprzezroczysty napis „Stockphoto” pod ich sutkami dobitnie to potwierdzał. Będzie musiał wyczyścić historię przeglądania, zanim wyłączy komputer. Dopiero szósta strona dawała nadzieję. Uporządkowane anonse z podziałem na miasta. Pruszków miał swoją zakładkę, a w niej sześć ogłoszeń. Zaledwie.

Każda dziewczyna oprócz zdjęć dała opis. Zupełnie jak w salonie samochodowym, wypolerowana wystawka z wydrukowaną pospiesznie ofertą. Dwustrefowa klimatyzacja, podwójna penetracja, skórzane obicia, rimming, ABS, anal. Wszystko podane na tacy, by klient nie poczuł się oszukany. On się tak nie poczuł. Zamazana twarz i odsłonięte walory nie przykuły jego wzroku tak, jak wiszący na ścianie plakat.

– Golden Gate! – Uderzył dłonią w blat. – Mam cię.

Przyjrzał się każdemu zdjęciu. Dwa zostały zrobione w salonie, a jedno w łazience. Teraz miał stuprocentową pewność, że ogląda mieszkanie Marty. Jej anons połączony był z jeszcze jednym. Link prowadził do ogłoszenia, ocenionego przez bywalców odrobinę niżej niż ten Marty. W tym mieszkaniu Gabriel również był, ale jego właścicielka żyła i robiła paskudną herbatę.

Chcesz mi powiedzieć, że to nie robi na tobie żadnego wrażenia?

Odblaskowy ekran tabletu to przekleństwo. Nie sposób utrzymać takiego sprzętu w czystości. Za to przed znajomymi prezentował się znakomicie i świetnie spełniał rolę rzeczy, którą można się pochwalić. Jak zegarkiem z komunii.

– Nikt nie kazał ci tłuc jej do nieprzytomności.

– Zapłaciłem! – Wyłączył nagranie. – Miało nie być problemów. Polecano ją.

– Kto?

Dziera przesunął dłonią po stole. Brud pod skórą rolował się w małe, czarne glisty lgnące do ciała. Niewiele brakowało, a zacisnąłby drugą pięść schowaną pod blatem i zgniótł trzymany w niej przedmiot. Opanował się, strząsnął paprochy na ziemię. Wiedział, że przyjdzie taki dzień, gdy zatęskni za sprzątaczką.

– Kto? – powtórzył.

– Ta druga. – Roczewski poprawił krawat. – Marta. Chyba.

– Dobrze wiesz, jak miała na imię.

Nie podniósł głosu. Nie ruszył się także z miejsca, ale wyczuł, że Roczewski

zrozumiał. Przełknął ślinę odrobinę zbyt głośno, by przeszło to niezauważenie. Bał się. Przeszedł po pomoc, ale za późno zrozumiał, że tutaj jej nie dostanie. Nie mógł też odstąpić, nie teraz.

– Czego oczekujesz?

– Rozwiązania. – Postukał palcem w ekran tabletu.

Ślady palców Roczewskiego tworzyły niezbyt skomplikowany wzór. Dzierga bez problemu odgadł kod, którym biznesmen odblokowywał sprzęt. Ludzie są tacy przewidywalni, pomyślał.

– To twoje dziewczyny. Z tamtą sobie poradziłeś.

– Środkowe pole, dwa rzędy w dół, jeden ruch w prawo i jeden do góry.

– Co?

– Twój kod, ślad czy jakkolwiek to się nazywa, co pozwala odblokować ten sprzęt.

Dzierga stuknął paznokciem w wyświetlacz. Elektronika nie należała do sfery jego zainteresowań, ale znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak potrafi być niebezpieczna. Ignorowanie nowości mogło obrócić się przeciwko innowiercom, zamkniętym na kilkurdzeniowe procesory i zapatrzonych w telefony z klapką.

– Nie przyszedłem tutaj po rady... informatyka. Za dużo mamy wspólnego, żebyś teraz zostawił mnie samego.

– Każdy chłystek potrafi wejść w twoje dokumenty. – Dzierga spoglądał na tablet. Roczewski zniknął z jego pola widzenia, kiedy zignorował Martę w sposób, w jaki bogacze traktują służbę. – Odblokowanie zajmie sekundy. Hasła pewnie masz wpisane na stałe, nie zaprzętałybyś przecież sobie nimi głowy. Wszystko masz pod ręką do czasu, aż zostawisz to na stole i pójdziesz się odlać.

– Ale...

– Tylko że teraz to, co jest w środku, dotyczy także mnie. Chcę, żebyś to wiedział i zrozumiał. Nikt nie powinien mieć dostępu do takich informacji. Nikt. Wiesz, komu możesz ufać?

Roczewski oddychał coraz płycej, powietrze wciągał nosem tak, że wąsy zaczynały falować. Andrzej widział, jak w jego oczach rodzi się pragnienie ucieczki. Jak marzy o tym, by stojący za plecami ochroniarz zabrał go z Pieczary. Złapał za marynarkę, wyciągnął z kłębowiska żmij, szorując plecami o podłogę. Wszystko, byleby nie zostawać dłużej w obecności Dziergi.

– Nikomu?

– Nikomu. – Dzierga uśmiechnął się pierwszy raz. – Oprócz rodziny. Przyjaciele cię zdradzą albo ty zdradzisz ich, jak tylko pojawi się okazja. Kochanka, żona czy dziwka odejdzie. Rodzina zostaje, a ta, którą sam wychowałeś, zostaje na zawsze. Mogą cię nienawidzić, pluć na ciebie i przeklinać, ale pierwszym skurwielem, o którym pomyślą, gdy otworzą oczy, będziesz ty.

– Powiniennem już pójść. – Roczewski podniósł się z krzesła, wyciągając rękę

po tablet.

– Zatrzymam to. – Dzierga przyciągnął sprzęt do siebie. – Są rzeczy, którymi powinieneś się teraz zająć.

– Tak. – Roczewski poruszał się ociężale. – Tak.

Dzierga obserwował go, dopóki nie zniknął na schodach. Kilka kroków za nim podążał ochroniarz, dzieciak, którego czasem wykorzystywał na posyłki. Przywoził leki z apteki, zakupy czy nieposłuszne dziewczyny. Musiał ostrożniej dobierać współpracowników. Chłopak obnosił się z pieniędzmi, śmierdział kradzionym na kilometr. Zegarek na jego rękę zobaczyłby nawet ślepiec. Dzierga oddał dzieciaka Roczewskiemu dawno temu, licząc, że zmieni się przy radnym. Na próżno. Spalił go bez większego żalu. Ludzie obstają przy swoim nawet wtedy, gdy ksiądz siłą kreśli krzyż na ich czole i zamyka powieki.

– Coraz trudniej o dobrych współpracowników. – Wyciągnął dłoń spod stołu i ostrożnie rozprostował palce.

Pomarańcza lepiała się do skóry.

Pachniało żółtym serem.

Gabriel domknął plastikowy pojemnik i postawił na półce. Nie wiedział, czemu w ogóle otworzył lodówkę. Stał przed nią, wpatrywał się w rzeczy, na które nie miał ochoty. Zamknął drzwiczki i otworzył je ponownie, ale nic się nie zmieniło. Tak musieli czuć się ludzie sprawdzający co trzy dni wyniki losowania Lotto.

Czekał, aż laptop się uruchomi, co mogło potrwać kilka minut. Z komendy zabrał przygotowane przez Monikę dokumenty i ułożył je na kuchennym stole. Nie wziął wszystkiego, wstępnej selekcji dokonał jeszcze przy biurku sierżant. Targanie tony makulatury zostawił sobie na szczęśliwe lata emerytury, kiedy ciągnąc zardzewiały wózek, będzie przemierzał ulice miasta. Gabriel nie był optymistą. Alicja nie skomentowała przyniesionego stosu, nawet wtedy, kiedy odstawił bez pytania jej ulubiony kubek do zlewu. Westchnęła tylko cicho i zamknęła się w łazience.

Klepsydra przy kursorze zaczęła mrugać. Gabriel znał ten objaw. Jeszcze moment i będzie mógł zacząć pracować. Zamknie tylko cztery wyskakujące okna, które informują go o nieprawidłowo ładujących się plikach. Spytał Roberta, czy to oznacza coś złego, ale w odpowiedzi doczekał się jedynie pogardliwego spojrzenia, co w pełni go jednak satysfakcjonowało. Oznaczało, że nie musi się przejmować. Przynajmniej jak długo komputer będzie się uruchamiał w akceptowalnym przez niego czasie.

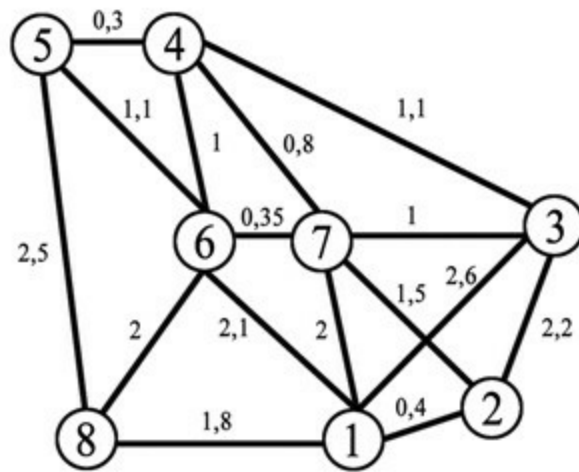
Za to przeglądarka wystartowała szybko. Gabriel swoją pocztę założył w czasach, kiedy z siecią łączono się przez modem, który odcinał jednocześnie linię telefoniczną. Psy sąsiada uciekały ze skowytami, słysząc, jak próbował się zalogować. Czas spędzany przed komputerem ograniczał do minimum ze względu na niebotyczne rachunki. Mało kto korzystał wtedy z poczty. Dziś

wiadomości mógł sprawdzać w telefonie, który miał więcej mocy obliczeniowej niż Apollo 11.

Tak jak przypuszczał, mail od Roberta czekał na przeczytanie. Pogrubiony i minimalnie powiększony font, informacja, że jeszcze nikt nie dotykał wiadomości o wymownym tytule „Radź se sam następnym razem”. Gabriel rozprostował na stole mapę zabraną z mieszkania Marty. Rozrysował na niej swoją wersję grafu i liczył na to, że będzie identyczna z tą, którą podesłał Robert. Treść wiadomości ograniczyła się do jednego zdania i załącznika:

„Tak to wygląda, mniej więcej”.

	1	2	3	4	5	6	7	8
1	0	1	1	0	0	1	1	1
2	1	0	1	0	0	0	1	0
3	1	1	0	1	0	0	1	0
4	0	0	1	0	1	1	1	0
5	0	0	0	1	0	1	0	1
6	1	0	0	1	1	0	1	1
7	1	1	1	1	0	1	0	0
8	1	0	0	0	1	1	0	0



Zrozumieli się z Robertem, ich rysunki można było uznać za bliźniacze. Wprawdzie odległości między wierzchołkami były inne, ale to drobiazg. Gabriel sprawdził zapisaną przez siebie macierz, wszystko się zgadzało. Liczby wpisane przez Roberta między wierzchołkami to wagi. Nie wiedział tylko, co oznaczały w tym przypadku. Jeszcze. Potwierdziło się to, co Gabriel wiedział od dawna: matematyka to królowa nauk.

– Telefon ci dzwoni.

Alicja weszła do kuchni, zostawiając za sobą mokre ślady. Rajcowało ją chodzenie boso; nawet w zimie, kiedy na podłodze można było studzić wódkę, rześko maszerowała, wystukując wilgotny rytm. On czuł się nagi bez czegoś, co oddzielało go od podłoża. Nawet w łóżku lądował w skarpetach. Alicja nie komentowała, ale Gabriel czuł, że jej koleżanki doskonale wiedzą, jak wygląda ich życie seksualne. Ze szczegółami.

– Dzięki. – Podniósł z blatu telefon i automatycznie odrzucił połączenie.

– Naucz się włączać dźwięk, to będzie się można do ciebie dodzwonić.

– Kiedyś ludzie radzili sobie bez komórek.

– To samo można powiedzieć o mikrofalówkach, pasach bezpieczeństwa i Kardashiankach.

– O czym?

Pocałowała go w policzek. Uwielbiał zapach, jaki rozsiewała świeżo po kąpieli. Wcierała w siebie tyle produktów, że Gabriel ze swoim płynem *all-in-*

one czuł się jak średniowieczny parobek. Zawłaszczyła niemal wszystkie półki w łazience, a on nie wnikał w to, czy potrzebowała kolejnego olejku o zapachu suszonej brzoskwini, czy akurat w sklepie była promocja. Ważne, że zapach Alicji przywierał do niego na cały dzień.

– Nieważne. Czemu nie odebrałeś?

– Oddzwonię za chwilę. Kładziesz się?

– Muszę o siebie dbać. – Wstrzymała oddech. – Ty też powinieneś.

– Zaraz przyjdę, chcę tylko przejrzeć dokumenty.

– Kłamiesz. – Ścisnęła ramię Gabriela. Zauważył, że znowu ma poobgryzane skórki. – I nie dzwoń do kochanki, jak jestem w pokoju obok.

– Wyjdę na korytarz.

Alicja zaśnie w kilka minut, a on, kiedy tylko wślizgnie się obok, poczuje na skórze paprochy z jej bosych stóp. Wkurzało go to bardziej niż wiecznie zapchany włosami odpływ w łazience, ale nigdy tego Alicji nie powie. Niektóre rzeczy warto zachować dla siebie.

– Nie za późno na telefon? – powiedział, gdy usłyszał głos w słuchawce.

– Ty mi powiedz.

Ledwo mógł zrozumieć, co do niego mówiła. Anna brzmiała jak bywalec portowego baru. Inaczej niż zwykle. Wesoła, roześmiana, w tle brakowało tylko dźwięku pianina i skrzeczącego głosu papugi, by dopełnić obrazu śmierdzącej śladem mordowni. Wątpił, żeby Anna Toczyńska siedziała teraz w barze, ale słyszał w jej głosie fale rumu rozlewające się po organizmie.

– Żona nie jest zazdrosna?

– A prokurator? – Oddzielał życie osobiste od psiego, na każdą zaczepkę zareagowałby podobnie. – Co masz?

– Wyniki badań. Tej bez oczu. Większość brunatnej cieczy wokół denatki stanowiła sztuczna krew. Prosta mieszanka, banalna nawet. W internecie znalazłam kilka przepisów, które były trudniejsze niż to. Miałam rację.

– W to nie wątpiłem.

Teraz rozumiał humor Anny. Bertrand, jak przystało na prokuratora, zachował się po męsku i postawił obiecaną na oględzinach wódkę. Albo trzy.

– To nie wszystko. Brelokowi ktoś pomógł. Tak jak przy ciele kobiety, znalazłam ślady otarć na nadgarstkach. Został skrępowany.

– Powieszono go za życia?

Słyszał, jak Anna nabiera powietrza. Zapowiadało się na dłuższy wykład albo właśnie łyknęła setkę. Nie wymagał, żeby zachowywała się oficjalnie po godzinach pracy.

– Tak uważam. Są rękawiczki i skarpety, krew odpłynęła i osadziła się na dłoniach oraz stopach wręcz podręcznikowo. Bruzda wisielcza również wygląda na klasyczną. Ktoś się kurewsko natrudził, żeby facet swoje wycierpiał, a przy tym wyglądało, jakby sam tego chciał. Podejrzewam, że zuchwę wyłamano chwilę po zgonie. Inaczej trudno byłoby rozewrzeć szczęki i wpakować tam oko.

– Podekscytowana? – Gabriel słyszał, jak szybko pracowały płuca Anny. Pod koniec wypowiedzi ledwo łapała oddech.

– Nie bardziej niż ty. Widziałam twój wzrok w prosektorium, musiało ci tego brakować.

– Wyrosłem z ekscytowania się takimi rzeczami. Mam sprawę do rozwiązania i tyle.

– Marnie ci idzie.

– Dzięki za przypomnienie.

– Miałam na myśli kłamanie.

Dzień piąty

Kobieta blokowała wejście do pokoju, trzymając dłoń na klamce. Poruszała nią nerwowo, nabrzmiące sine żyły wiły się pod skórą. Kaśka starała się nie patrzeć, ale to jak z wypadkiem na autostradzie – im mocniej próbujesz odwrócić wzrok, tym szybciej zdejmujesz nogę z gazu i szukasz trupa pod czarną płachtą. Nawet jeżeli później ma ci się śnić po nocach, nie oderwiesz wzroku od gęstej plamy na asfalcie.

– Cały czas nie jestem przekonana do tej rozmowy.

– Proszę się nie przejmować, staram się tylko rzucić trochę światła na przeszłość pana Teodora. Niesłusznie odszedł w zapomnienie.

Powieka nie drgnęła jej nawet o milimetr, kłamała już w poważniejszych kwestiach. Kobieta po raz kolejny, odkąd Kaśka weszła do ośrodka, zlustrowała jej ubiór, lekko przy tym wzdychając. Wkładając sukienkę przed kolano, bez wyzywającego dekoltu, chciała wysłać sygnał „zaufaj mi”. Taksówkarz, który przywiózł ją do Skolimowa, musiał odczytać go inaczej. Przez całą drogę lusterko wsteczne skierowane było na przerwę między jej udami. Siadała jak facet, nie była przyzwyczajona do sukienek. W męskim towarzystwie częściej nosiła spodnie, a najczęściej nic.

– Jakiś problem?

– Nie, skądże. – Odsunęła się odrobinę, klamki jednak nie puściła. – Martwię się po prostu o pana Teodora. Nie nawykł do takich wizyt. Boję się, że może nie wytrzymać.

Przyjeżdżając do domu starców, Kaśka liczyła się z tym, że może spotkać kogoś na skraju żywota. Nie zauważyła wprawdzie ambulansu przed drzwiami, ale mógł stać z tyłu, czekając na wezwanie. Podobnie jak karawan.

– Dużo mu zostało? – Sama się skrzywiła, gdy usłyszała, co mówi.

– Będę w okolicy. – Kobieta skinęła głową. – Powodzenia.

Zdjęła rękę z klamki i ruszyła w stronę recepcji. Kaśka odczekała, aż mokry ślad wyparuje z metalu.

Zapukała.

Zapach starości ginął w chmurze aromatów w aerozolu. Obsługa skutecznie dbała o to, by wszyscy czuli się godnie. Staruszek siedział w fotelu, wpatrując się w grupkę pensjonariuszy zgromadzonych za oknem.

Stanąła za jego plecami. Przez rzadkie pasma siwych włosów widziała skórę głowy. Spojrzała za okno. Ubrani w wiosenne płaszcze pensjonariusze zebrali się pod drzewem. Jeden z mężczyzn niezdarnie próbował wbić w ziemię łopatę. Kobiety stojące w tłumie miały na głowach toczone z żałobnymi woalkami, a między palcami papierosy.

– Śliczny zapach. Chanel, prawda?

– Skąd...

– Pachnie trochę inaczej niż kiedyś. Subtelniej.

Wstał. Był jej wzrostu, ale wyprostowany i pewny siebie sprawiał wrażenie znacznie wyższego. Młodszego. Jeżeli ona będzie tak się trzymać po osiemdziesiątce, pojedzie do Hiszpanii i wbije przed śmiercią lancę w byczy kark. Ostatni zryw, zanim powieki przykryje noc. Nie rozumiała, czemu Teodor Różycki siedzi sam, zamknięty w pokoju imitującym dom. Klitki o powierzchni kilku metrów kwadratowych nie ośmieliłaby się nazwać inaczej. Nawet jeżeli na regale stały książki, a na stoliku leżał ostatni numer „Playboya” z dziwnie pomarszczonymi stronami.

– W czym mogę pani pomóc?

Otaksował Kaśkę wzrokiem i przeszedł do łóżka. Usiadł na skraju, zsunął kapcie, a następnie powoli przesunął się w głąb, aż uda w całości znalazły się na materacu. Szuranie koca musiał słyszeć nawet czekający na nią przed bramą taksówkarz.

– Proszę. – Teodor wyciągnął dłoń, wskazując krzesło.

– Dziękuję. – Obróciła mebel i usiadła, zarzucając nogę na nogę. Poprawiła sukienkę, która odsłaniała zbyt duży fragment uda. Zawał to ostatnie, co chciała dostać od Teodora. – Katarzyna Sokół, jestem dziennikarką.

– Nie. – Poprawił koszulę. – Nie jest pani.

Rozszyfrował ją szybciej, niż zakładała. Sprawdziła w internecie, jak ubierają się dziennikarki, przynajmniej te, które zasłużyły na to, by dostać swoje zdjęcie na redakcyjnej stronie. Omijała blogerki, dla nich każdy, kto publikował w sieci, był dziennikarzem. No i nie miała tyle pieniędzy co one. Chciała się dopasować, ale wiedziała, że trudno będzie oszukać kogoś, kto zarabiał na życie, kłamiąc w żywe oczy przedszkolakom.

– Nie bardzo rozumiem.

– Powinna pani wybrać inną przykrywkę, nawet ja nie uwierzyłem, że ktoś chce ze mną przeprowadzić wywiad. Co panią do mnie sprowadza? Tak naprawdę.

Teodor odwrócił głowę i spojrzał za okno, dając jej czas, by lekko odłoniła udo. Dopełniali się. Jeżeli dobrze to rozegra, wystarczy, że staruszek sobie popatrzy, a Kaśka będzie miała czyste sumienie oraz sukienkę. Aktor odchrząknął, przesunął się i schował do szafki nocnej „Playboya”. Nie wstydził się, chciał, żeby zobaczyła, że cały czas jest zdolny do erekcji.

– Joanna. – Kaśka nie miała ochoty na kolejne kłamstwa. – Pamiętasz ją?

Konwenanse mogła odłożyć na bok. Teodor potrafił zapanować nad sytuacją, a ona miała dostęp tylko do tego, na co pozwalała. Bawiąc się w podchody, straciła czas. Musiała odwrócić rolę.

– Proszę, bądź precyzyjna, dużo ich znałem.

– Zielińska. Też aktorka.

– Proszę nie kpić. – Nachylił się. – To nie była żadna aktorka. Przechadzała się po scenie jak królowa, żadna oklasków i bukietów. Nic więcej.

– Czyli pamiętasz.

Jak wilk dżgany patykiem, pomyślała. Wyliniały, bez kilku zębów, ale cały czas gotowy przypuścić atak, jeśli ktoś odpowiednio go zmotywuje. Teodor musiał poczuć krew, a złość pomaga. Każdej ze stron.

– Przysłała cię po pieniądze?

Kaśka rozejrzała się po pokoju. Proste łóżko, prosta szafa i sterylność. Kilka książek z porwanymi okładkami. Tylko fotel, na którym zobaczyła Teodora po raz pierwszy, przedstawiał jakąś wartość. Solidne drewniane nogi wygniotły na podłodze swój ślad. Resztki tapicerki unosiły się w powietrzu razem z drobinami kurzu. Kaśka obserwowała je w świetle wpadającym do pokoju i wiedziała, że ten pył to ostatnie złotówki, jakie Teodor ma przy sobie.

– Nie masz żadnych pieniędzy, które mógłbyś oddać. – Przewiesiła torebkę przez oparcie krzesła i nachyliła się w jego stronę. – Albo którymi chciałbyś się podzielić. Nie po to tu przyszłam.

– Wszystkie tego chciały. – Przywarł plecami do oparcia łóżka. – Pieniądze to jedyna rzecz, na której zależało tym pindom. Lgnęły do każdego, kto miał ich trochę więcej niż odźwierny. Pieniądzy i poklasku. Aśka nie była inna.

– Nie mogę jej sobie jakoś wyobrazić w roli łakomej na kasę.

– Według ciebie każdy, kto uśmiecha się do publiczności ze sceny, jest coś wart? – Teodor czuł się coraz pewniej. Rozluźnił ramiona, pokrzywione palce zaczęły błądzić po koszuli. – Wszyscy byliśmy jednakowi. W teatrze. Na deskach. To były czasy.

Brzmiał jak Dzierga. Marudzenie najwyraźniej stanowiło domenę staruszków, przynajmniej tych, których znała. Brakowało jej tylko tego, by zaczął odpływać w sferę wspomnień. W myślach liczyła, ile zapłaci taksówkarzowi za każde wypowiedziane przez Teodora słowo. Nie wzięła ze sobą zbyt dużo gotówki. Nie wierzyła, że podróż do Skolimowa i postój może zająć więcej niż piętnaście minut. Spodziewała się śliniącego się ochłapu człowieka, strzępu mężczyzny przyklepionego do łóżka, a nie staruszka, który wygląda jak wyliniały samiec alfa. Nawet pachniał testosteronem, choć jego jądra musiały już przypominać źle zakonserwowane pomidory.

– Możemy sobie darować? Taksometr tyka, a ja znam przeszłość Joanny. Inna wersja mnie nie interesuje – przerwała Teodorowi. – Aktorka, która poświęciła się dla rodziny, a konkretnie dla ciebie.

– Wiesz tyle, ile ci powiedziała, nic ponad to.

– Wiem też, jak dziś wygląda. – Obciągnęła sukienkę.

Miła aparycja, kultura i styl. Cechy człowieka, którego polubi każdy. Kleofas Teodor Różycki nie miał żadnej z nich. Kaśka zniecierpiała go bez żadnego powodu i była zła na siebie. Nie podeszła do sprawy profesjonalnie, niepotrzebnie przedłużyła całą wizytę w ośrodku. Zachowała się jak dzieciak, który oczekuje, że sprzedawca da mu cukierka za ładny uśmiech.

Wstała i zbliżyła się do łóżka Teodora. Pachniał formaliną, a to, co ugniatała przez sztruksowy materiał, w ogóle nie przypominało żywego organizmu.

Niczego więcej nie mogła się tam spodziewać.

Obrzydliwe.

Gabriel stał niecały metr od staruszka, który z determinacją basseta po dwóch wylewach próbował zapiąć spodnie. Nie zareagował na słowa komisarza, tylko bezceremonialnie pokazał mu coś, czego Byś nie zamierzał oglądać przez najbliższe trzydzieści lat. I to tylko we wnętrzu swoich spodni.

– Zimno jest. – Staruszek wreszcie zapiął rozporek. – Miałem prawo.

Przeszedł obok Gabriela, zostawiając go samego nad świeżo rozkopaną ziemią. Kopiec na samej górze miał niewielkie zagłębienie, z którego właśnie wylewała się strużka żółtego płynu i niebezpiecznie szybko zbliżała się do butów Bysia.

– Mogłeś chociaż nie łać w jedno miejsce.

Uwaga trafiła w pustkę. Dziadek zniknął za masywnymi drzwiami ośrodka, Gabriel stał pod drzewem zupełnie sam. Spojrzał w stronę bramy, ale taksówkarz także odjechał. Nim to zrobił, przyjął czterdzieści sześć złotych i czternaście groszy, czyli wszystko, co komisarz miał w portfelu. Na uwagę Bysia, że mógłby go zgarnąć za tarasowanie przejazdu, taksówkarz ruszył tylko wąsem, odchrząknął i schował pieniądze do przyczepionej na pasku torebki.

Gabriel, stojąc nad świeżo wykopanym grobem, czuł się nieswojo. Widywał trupy regularnie, jednak ten mały kopczyk świeżej ziemi wywarł na nim większe wrażenie niż Marta Zręb skąpana we krwi, bez oczu i z poderżniętym gardłem. I z raną postrzałową, o której ciągle zapominał. Tego było za dużo jak na jedną skromną kobietę.

Czuł, że zawiedzie. Mówiła mu to każda kość, mięsień i żyła. Pruszków miał na niego zły wpływ, strącił go na samo dno i nie pozwalał podnieść się z kolan. Gabriel nie bał się, że zawiedzie Martę. Miał to gdzieś. Była tylko kolejnym ciałem w kostnicy. A Janek ze swoim ojcem pewnie jest dawno za granicą. Prokuratura puściła za nim list, ale to nic nie da. Bał się o siebie, o porażkę, którą przepowiedział mu ojciec, jak tylko dowiedział się o zamiarach syna i jego wyjeździe na policyjne szkolenie do Piły. Najgorsze było to, że miał rację, a Gabriel doskonale o tym wiedział.

Otrzeptał buty z błota i wszedł do ośrodka. Wnętrze przerażało ciszą, którą ośmielił się zakłócić, zamykając drzwi. Słyszał, jak głucho tąpnięcie rozchodzi się echem po korytarzach. Nie spodziewał się żadnej reakcji, większość pensjonariuszy prawdopodobnie nawet nie słyszała hałasu.

– W czym mogę pomóc?

Kobieta musiała wyjść z któregoś pokoju, kiedy Gabriel nasłuchiwał odbijających się od ścian dźwięków. Inaczej dostrzegłby ją wcześniej. Był tego pewien. Tak to sobie przynajmniej próbował wytłumaczyć. Ludzie nie pojawiają się ot tak. Znikają, owszem, ale w drugą stronę to nie działa, co było sporym szokiem dla nastolatków stojących w kolejce po becikowe.

– Dzień dobry. Mam odebrać pewną młodą pannę.

– Dziennikarkę?

To, jak silna jest potrzeba rozmowy z drugim człowiekiem, fascynowało Gabriela, odkąd poznał tajniki przesłuchań. Ludzie są w stanie powiedzieć niemal wszystko, gdy myślą, że wiesz to samo, co oni. Albo że ich lubisz. Nie miał pojęcia, po co Katarzyna Sokół przyjechała do Skolimowa, ale wiedział na pewno, że nie w sprawie materiału dziennikarskiego.

– Tak. Czekałem w samochodzie, ale sama pani rozumie, nudno. No i redaktor się niecierpliwi.

– Redaktor.

– Tak. – Błąd. – Naczelny się znaczy. Szef taki.

Powieki rozmówczyni drgnęły. Wyczuła kłamstwo. Dopiero gdy odwróciła się do niego bokiem, uzmysłowił sobie, do kogo jest podobna. Ubrana zupełnie inaczej niż w filmie Formana, ale miała coś z siostry Ratched. Odzwierciedlała dokładnie to, co Ken Kesey napisał w swojej powieści. Chłód spojrzenia maskowała uśmiechem, którego w żaden sposób nie mógł rozszyfrować.

– Często pan tak wozi koleżanki z redakcji?

Splotła dłonie na brzuchu i ruszyła w głąb korytarza. Gabriel podążył posłusznie za jej wystudiowanym krokiem, rozsiewającym zapach świeżo wypastowanych podłóg. Nie mógł rozszyfrować, czy to woń ośrodka, czy jej.

– Jak trzeba, to zawiozę. Różnie. Czasem nie zawiozę.

– Pokój na końcu korytarza.

Skinął głową. Kobieta miała w oczach coś, czego nie chciał za długo oglądać.

– Następnym razem niech pan zdejmie chociaż obrączkę. – Stała obok Gabriela, wskazując na swój serdeczny palec. Bez obrączki. – Tajemnice mają to do siebie, że długo nimi nie pozostają.

– To nie tak.

– Radzę nie wchodzić bez pukania.

Odmaszerowała. Gabriel czuł się jak w hotelu. Sprzątaczką musiała wyrabiać w ośrodku nadgodziny, nie zdziwiłoby go, gdyby na prześcieradłach pojawiły się ręczniki złożone w łabędzia. Nasłuchiwał.

Cisza.

Odsunął się. Stał naprzeciwko drzwi pokoju, a następnie przykucnął, opierając się plecami o ścianę. Chciał wejść do środka, ale intuicja podpowiadała mu, że w tej sytuacji warto odpuścić. Wyciągnął z kieszeni pomięte kartki papieru. Zanim grzecznie wyprosił taksówkarza i wszedł do przerażająco czystego domu starców, rysował. Siedział w samochodzie, gapiąc się na ekran telefonu, przeglądał zdjęcia, a na papierze powstawały kolejne wariacje grafów.

Fotografie, które zrobił notatnikowi znalezionemu w schowku Marty, w końcu do czegoś się przydały. Sekwencje cyfr w połączeniu z głównym grafem, przesłanym przez Roberta, nabierały sensu. Częściowego, bo Gabriel cały czas nie mógł rozszyfrować, jakie to może mieć powiązanie z zabójstwem

Marty Zręb. I czy w ogóle ma.

Przyłożył długopis do kartki i wodził nim między narysowanymi wierzchołkami.

1-7, 7-4, 4-7, 7-1

Niemal linia prosta.

Widział symetrię w zapisie. W innych konfiguracjach również się pojawiała, ale nie w tak oczywisty sposób. Czasem ograniczała się do dwóch, trzech gałęzi grafu lub dzieliła zapis na połówki, gdzie każda była symetryczna względem siebie.

1-8, 8-5, 5-8, 8-1, 1-7, 7-4, 4-7, 7-1

Szlaczek.

Notes Marty pełen był wzorów i cyfr, które mogły posłużyć za grafy. Rozrzucone na kartkach, poupychane na marginesach i ukryte między zero-jedynkowymi ciągami znaków. Gabriel nie mógł rozpisać wszystkich. Gdyby zajął się tylko tym, spędziłby najbliższy tydzień zgarbiony przy biurku. Skupił się na grafie wskazanym przez Roberta. Kartka zapełniona wierzchołkami i gałęziami przypominała pryszczate plecy nastolatka, na których ktoś grał w kropki niezmywalnym markerem. Jedyne, co powtarzało się przy każdym zapisie, to jedyńka, od której ciągu się rozpoczynały i na której się kończyły.

Punkt startowy.

Po raz kolejny docisnął długopis do papieru. Zaczynał od wierzchołka z numerem jeden i za każdym razem do niego wracał. Przeprowadzał cały cykl, za każdym razem poprawiając nakreślone wcześniej linie. Rysunki stały się zupełnie nieczytelne.

Drzwi otworzyły się, gdy wstawał rozprostować nogi. Światło padające zza pleców Katarzyny Sokół rozjaśniło jej włosy, zmieniając ją na chwilę w blondynkę. Musiał zmrużyć oczy, a gdy te przyzwyczyły się do światła, zobaczył wyciągnięte w swoją stronę dłonie.

– Widziałeś gdzieś łazienkę?

– Co?

– Łazienkę czy gdzieś widziałeś, komisarzu.

– Na końcu korytarza.

Minęła go. Dłonie trzymała cały czas przed sobą, jakby niosła w nich zaczerpniętą ze strumienia wodę. Gabriel zajrzał do pokoju. Na łóżku leżał staruszek. Nie ruszał się, ale oddychał. Pierś podnosiła się i opadała, a spomiędzy suchych warg wydobywał się cichy charkot. Gdyby nie rozpięty rozparek oraz wystający z niego sprzęt, Gabriel wziąłby to za zwykłą drzemkę.

– Ej! – krzyknął w stronę Kaśki. – Co zrobiłaś?

– Udzieliłam ostatniego namaszczenia.

Spadamy, zanim Annie Wilkes się obudzi.

Gabriel miał nadzieję, że dłoń, która ścisnęła teraz jego ramię, została

odpowiednio umyta, odkażona i raz jeszcze umyta.

– Kto?

– No ta pielęgniarka czy kimkolwiek się tutaj mianuje. – Kaśka przysunęła się bliżej, a Gabriel poczuł zapach gumy mentolowej. – Niby mnie wpuściła do środka, ale jakoś tak dziwnie jej z oczu patrzyło. Przerazająca, a widziałam w życiu różne rzeczy.

– Nie wątpię.

Wyswobodził się z niechcianego uścisku.

– Czuję, że komisarz nie czytał *Misery*. Radzę nadrobić, ludzie mylnie oceniają Kinga i patrzą na jego twórczość tylko przez pryzmat horroru. To doskonały obserwator zachowań.

– Dzięki. – Wziął ją pod ramię i ruszyli w stronę wyjścia. – Uwzględnię twoją radę przy kolejnej wizycie w bibliotece.

– Nie pożałujesz.

Zadziwiająco szybko Katarzyna zaczęła do niego mówić jak do kumpla. Gabriel wolałby oficjalną formę, ale patrząc na tę kobietę, nie miał wątpliwości, że nie da się jej ujarzmić, a do celu będzie dążyła wszelkimi możliwymi sposobami. To, co zrobiła za zamkniętymi drzwiami pokoju staruszka, tylko go w tym utwierdziło.

– Cieszę się, że policja troszczy się o obywateli i sprawdza, czy wszystko u nich w porządku – biegła posłusznie obok, jak dziecko dumne z tego, że ciągną je do dyrektora – ale widzisz, mam już transport do domu.

Pchnął drzwi, wyprowadził Kaśkę na zewnątrz i dopiero wtedy ją puścił. Udało im się wyjść z ośrodka bez przywoływania cerbera. Nie miał ochoty spotykać się z pielęgniarką. Nieważne, czy pochodziła z powieści Kinga, czy Keseya. Przerazała.

– Odprawiłem twojego wąsatego taksówkarza. – Odetchnął głęboko. – Musimy pogadać.

– Zdaje mi się, że powiedziałam już wszystko.

Poprawiła sukienkę. Zrobiła to tak seksownie, że poczuł się nieswojo. Odwrócił wzrok.

– Mogę za to zdradzić, kogo tam zakopano. – Wskazała kupkę ziemi. – Czy ktoś ją obsikał?

– Wiem, co tam zakopano. – Gabriel zaczął żałować przyjazdu do Skolimowa. – Kota.

– A wiesz dlaczego?

– Pewnie zdechł. Kotom się to zdarza.

– No i tu się myślisz. – Wydęła usta i puściła w przestrzeń buziaka. – Ukatrupili go. Taboretom. Sierściuch podobno przepowiadał śmierć, a jak kostucha zabrała panią Janinkę, stała bywalczynią czwartkowych spotkań przy brydżu, miarka się przebrała. Filemon poluje teraz na myszy w lepszym świecie.

Historia była tak głupia, że aż prawdopodobna.

– I to wszystko powiedział ci ten staruszek, jak...

– Tak – przerwała mu. – Idziemy? Bo chyba planujesz odwiedzić mnie do domu? Z tego wypizdowa powrót do Pruszkowa zajmie mi ze dwie godziny. O ile złapię stąd jakiś autobus na dworzec w Piasecznie. A potem do Warszawy i...

– Znałaś Martę – powiedział. – Dlaczego to zataiłaś?

Ruszył przed siebie. Szedł wolno, by Kaśka miała czas do namysłu. Albo powie mu prawdę, albo pojedzie na komendę, gdzie spędzi kilkanaście najbliższych godzin. Oboje to wiedzieli.

– Skąd pomyśł, że cokolwiek zataiłam?

– Powiedzmy, że w internecie można znaleźć dużo ciekawych informacji.

Przepuścił Kaśkę, przytrzymując metalową furtkę. Całe ogrodzenie zrobiono z metalowych pręseł, tak jakby obawiano się, że któryś z kilkudziesięciu wiekowych pensjonariuszy ucieknie. Widząc, do czego są zdolni, Gabriel docenił obecność w ośrodku takich osób jak siostra Ratched. Ludzie kultury są wyjątkowo nieobliczalni.

– Gdzie zaparkowałaś?

– Tam.

– Nie płacą wam najlepiej, co?

Almera stała schowana w cieniu drzew po przeciwnej stronie ulicy. Niecałe sto metrów od głównej bramy Domu Artystów Weteranów. Gabriel wcisnął się w jedyne wolne miejsce na tyle blisko, by w razie konieczności móc ruszyć za samochodem, który przywiózł Kaśkę do ośrodka. Nie przewidywał tylko, że tak szybko się znudzi i odprawi taksówkarza. Cierpliwość nie należała do cnót, które trzymał w swoim portfelu.

Poczekali, aż między jadącymi samochodami pojawi się luka, i przebiegli na drugą stronę. Rzeczy w torebce Kaśki obijały się o siebie, wydając głucho dudnienie; kiedy zatrzymała się na poboczu, do uszu Gabriela doleciały kolejne dziwne odgłosy.

– Nosisz tam garnki?

– Tylko jeden. – Ruszyła w stronę samochodu.

Byś zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając za Katarzyną do Skolimowa i nikogo o tym nie informując. Kierował się swoją intuicją. Przełożeni, współpracownicy, a nawet prokurator nie mieli pojęcia, gdzie teraz przebywa. Wprawdzie nie widział w dziewczynie zagrożenia innego niż opryszczka, ale jeżeli rozpedzone tico wypadnie z drogi, wszyscy z ośrodka opiszą go jako tego, „co zdradzał żonę w domu starców”. Kiepski napis na nagrobku.

Wyciągnął kluczyki z kieszeni.

– Otwarte jest.

Katarzyna wsiadła pierwsza, trzaskając głośno drzwiami. Gabriel usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki. Coś nie pasowało. Miał podciągnięte kolana, a pedał sprzęgła był stanowczo za blisko. Nie w takiej pozycji zostawił

siedzisko. Powoli przesunął dłoń w stronę kabury.

– Jedź – usłyszał i jednocześnie poczuł chłód lufy na potylicy.

Odpalił.

Las.

Gabriel nienawidził lasu, a sterczał w nim już po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni. Obawiał się kleszczy, szerszeni i meszek wchodzących do oczu. Teraz do listy rzeczy, które mu przeszkadzały, mógł dopisać glocka wbijającego się pod żebra.

Miejsce wyglądało niemal identycznie jak to, gdzie razem z Pilszem straszili Żeberko, że spalą go żywcem. Tylko drzew było więcej, słońce ledwo przeświecało przez gałęzie. Almera, grzęznąc w podmokłym podłożu, z trudem przedarła się tak daleko w głąb lasu. Lusterko od strony Katarzyny złożyło się, gdy Gabriel zahaczył o jedno z mijanych drzew, ale nie miał tyle szczęścia, żeby się stłukło. Wsiadając z samochodu, nie zauważył żadnego szkła wśród poszycia.

Potrzebował czegokolwiek, co mogłoby posłużyć do zabicia człowieka.

– Masz jeszcze jakąś broń?

Facet, który przystawił mu glocka do czaszki, chował właśnie jego służbowy pistolet do plecaka. Przez całą drogę odzywał się półsłówkami, kierując Gabriela na odpowiednie zjazdy. Kaśka patrzyła przed siebie, ściskając kurczowo torebkę. Nie odezwała się ani słowem.

– Nie. – Gabriel przycisnął dłonie mocniej do dachu samochodu.

Kaśka opierała się rękami o maskę, niemal stykając się z nią głową. Mężczyzna kazał jej stanąć w rozkroku, po czym przeszukał ją, nie omijając żadnego kawałka ciała. Nie opierała się, stała posłusznie wypięta w jego stronę, ściskając coraz mocniej torebkę.

– Czego chcesz? – spytała, nie odwracając głowy.

– Lubisz sprawiać kłopoty. – Mężczyzna odrzucił plecak pod drzewo. Przejechał lufą po odsłoniętym udzie Kaśki. – Nie wszystkim się to podoba.

Gabriel odwrócił się nagle i skoczył. Nie docenił jednak refleksu i szybkości tamtego. Facet odskoczył od Katarzyny, pozwalając komisarzowi przelecieć między nim a dziewczyną. Byś poczuł pierwsze trafienie.

Upadł.

Plecy piekły go jak przypalane. Z trudem łapał powietrze, usta miał pełne ziemi. Spróbował się odczołgiwać, ale poczuł kolejne uderzenia. Kolba broni spadała raz po razie, odbijając się od kręgosłupa. Dźwięki docierały do Gabriela z opóźnieniem. Słyszał jednostajny szum, przerywany przez suche trzaski.

– Zostaw go!

Mężczyzna porzucił Bysia i z impetem przywarł do Kaśki. Chwytał ją wolną ręką za włosy i przyciągnął głowę blisko swoich ust. Patrzył w rozszerzone

strachem źrenice.

– Bronisz tego psa? Dałaś mu?

– Czego chcesz?

– Pochwały.

Owinął włosy Kaśki wokół dłoni i uderzył jej głową w maskę samochodu. Dźwięk wyginanego metalu zagłuszył chrupnięcie kości nosowej. Krew chlusnęła na karoserię.

Gabriel próbował wstać. Słyszał głucho tąpnięcia, jedno po drugim. Jeżeli chciał żyć, musiał wstać. Poruszył głową, wzrok powoli wracał do normy. Brud zlepiający rzęsy zaburzał ostrość widzenia, ale Gabriel dostrzegł kopiec świeżej ziemi przed sobą. Wysoki, po jego zboczu wchodziła jaszczurka, zapadając się w wilgotną ziemię. Zmierzała do jedyne go świecącego przedmiotu w okolicy.

Do łopaty.

Gabrielowi udało się podeprzeć na rękach. Kontuzja, której nigdy do końca nie wyleczył, sprowadziła go teraz do stanu ludzkiej glisty, z trudem pełznącej w stronę wykopanego grobu. Nic nie czuł. Zamknął oczy. Otworzył je, gdy do nosa wdarł się zapach pasty do butów. Przy jego głowie kucał mężczyzna. Po kolbie trzymanego przez niego pistoletu spływała krew.

– Ona to lubi, wiesz? – Podniósł rękę do twarzy i głęboko zaciągnął się zapachem. – Uwierz mi, sprawdziłem.

Chwycił Gabriela za ramię i jednym ruchem przerzucił go na plecy. Byś jęknął, krztusząc się śliną. Leżał teraz na wznak. Nie miał siły unieść rąk. Widział opartą o maskę samochodu Kaśkę. Twarz ukryła w dłoniach, spomiędzy palców sączyła się brunatna maź.

– Popsułeś mi plany. – Tamten wyprostował się. – Zanim strzelisz samobója, obejrzyj coś ciekawego. Lubisz patrzeć, prawda?

Broń włożył za pasek spodni. Zachowywał się jak pies spuszczonej ze smyczy. Niemal tanecznym krokiem doszedł do Kaśki i zarzucił jej sukienkę na plecy.

Nachylił się.

– Co tam charczysz?

– Mam kondomy. – Krew ściekała Kaśce do gardła, osiadała na zębach. – Prezerwatywy.

– Myślisz, że to przeżyjesz, dziwko. – Zaśmiał się i rozpiął dżinsy. Spodnie opadły na ziemię. – W ciążę nie zajdziesz, ale masz rację, nie chcę złapać jakiejś mendi. Dawaj.

– Mam w torebce.

Gabriel patrzył na to z ziemi. Zaczynało wracać mu czucie w nogach i rękach. Potrzebował jeszcze kilku minut, by móc się podnieść. Wątpił, żeby Kaśce zostało aż tyle czasu. Zostanie zgwałcona, a później zastrzelona i zakopana. On też skończy z kulą w głowie. Media się ucieszą. Przez kilka dni będzie królem jedynek. Powieki zaczęły opadać, pot sklejał włosy. Zemdleje.

Nie on jeden o tym wiedział.

– Wstawaj, chuju! – Mężczyzna podciągnął spodnie. Jedną ręką trzymał je

w pasie, a drugą sięgnął po broń. – Nie śpimy! Oglądamy!

Obrócił lekko głowę i wyszczerzył kły. Patrzył na Bysia jak na śmiecia, który przykleił się do świeżo wypastowanego buta.

– Wstawaj!

Na twarzy Gabriela wylądowały krople plwociny. Facet nadal celował w czoło Bysia, ale w jego nieskazitelnej postawie strzeleckiej pojawiła się skaza: nóż, wbity po rękojeść w bok czaszki. Kość klinowa, motyl wciśnięty między kości twarzy, skroniowe i potyliczne, jest mniej twarda, niż można by przypuszczać. Facet padł obok Gabriela. Na jego miejscu wyrosła Kaśka.

Jej głośny oddech to było ostatnie, co Byś usłyszał, zanim zemdłał.

Kiedy otworzył oczy, Kaśka kuciała przed nim; a z nosa odpadał jej właśnie płatek zaschniętej krwi.

– Nastawiłam. – Dotknęła palcem twarzy. – Boli jak skurwysyn. Łyka?

Przed twarzą Gabriela znalazła się butelka wody mineralnej. Kaśka musiała wyciągnąć ją z bagażnika alмеры. Zauważył męski zegarek zdobiący jej nadgarstek. Musiał być wart niebotyczne pieniądze. Ostatnio widział go na ręku faceta, który celował w jego głowę.

Dużo się zmieniło, kiedy leżał nieprzytomny.

Teraz siedział oparty o bok samochodu. Mężczyzna, który ich sterroryzował, zniknął. Podobnie jak wielki kopiec ziemi.

– Dzięki – wycharczał; zaschło mu w gardle o wiele mocniej, niż przypuszczał. – Wyjmiesz coś z samochodu?

– Jeżeli mają to być kajdanki, to zapomnij.

– Tabletki, mam je w kurtce. Leży na tylnym siedzeniu.

Wstała i obeszła almerę. Gabriel całym ciałem czuł, jak Kaśka otwiera, a później zatraskuje drzwi. Ból nie był już tak intensywny, ale ze wstaniem trzeba było jeszcze poczekać. Przynajmniej wzrok wrócił do normy. Prawie.

– To?

Otworzyła dłoń Gabriela i położyła na niej garść tabletek. Stała nad nim niczym zmartwiona matka i patrzyła, jak wygrzebuje spośród przyniesionych dwie tabletki.

– Dzięki. – Połknął i popił wodą. – Zaraz będzie lepiej.

– Wątpię. Łykałam tramal. – Usiadła obok niego. – Mocna rzecz. Rzuca na głębę w najmniej spodziewanym momencie, ale swoje musisz odczekać. Trochę tu posiedzimy. Nie masz po nim mdłości?

– Czasem – przyznał. – Jak za dużo wezmę.

– A dużo bierzesz?

Oparł głowę o karoserię. Nie podobała mu się ta rozmowa.

– Gdzie on jest?

Wykonał przy tym ruch ręką, jakby strzepywał z niej krople wody. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Chciał chyba jakoś zaakcentować fakt, że brakuje

trupa. Kaśka zaczęła zdrapywać z nosa zaschniętą krew.

– Zakopałam. – Strząsnęła na ziemię strupy, które osiadły wcześniej na dłoniach. – Łatwa sprawa, grób sam wykopał. Tylko trudno było go tam zaciągnąć. Skurwiel ważył chyba z tonę. Z tobą poszło łatwiej.

Powinien być pewnie wdzięczny, że nie zakopała go żywcem razem z tamtym. Przyglądał się jej z coraz większym zaciekawieniem. Siedziała niewzruszona, zupełnie jakby takie sytuacje zdarzały się jej codziennie. Gabriel miał przesłanki, żeby tak myśleć. Widział ślady pobicia na twarzy Kaśki, ale w porównaniu z tym, co teraz wykwitało na jej skórze, poprzednie uderzenia musiały być łagodne. Albo makijaż nieskazitelny.

– Czemu nie leżę razem z tym gnojem?

– Nie jestem morderczynią. To była samoobrona. Chyba.

– Jasne. – Odkasznął i splunął krwią między nogi. – Chyba powinienem dziękować.

Przyjrzał się swoim spodniom. Na szczęście się nie posikał.

– Gdyby nie ty, nie miałabym szans wykorzystać okazji. Okazji też bym nie miała.

Sięgnęła po leżącą obok koła torebkę. Wyciągnęła z niej nóż i z dumą pokazała Gabrielowi. Schowane w ręczce ostrze miało około dziesięciu centymetrów długości. Sprzęt wyglądał na wojskowy, wyciągnięty prosto z magazynu. Nieużywany i zastały.

– Przypomina bagnet. – Wysilił się na uśmiech. – Chyba od kałacha.

– Brawo, widać, że czegoś w policji jednak uczą.

– Kto to był?

Nie mógł dłużej czekać z tym pytaniem. Siedzieli w środku lasu, oboje pokiereszowani i zamieszani w morderstwo.

– Chłopiec na posyłki, ochroniarz, gwałciciel, morderca. Wybierz sobie – odpowiedziała. – Pies puszczonego na łowy. Nikt.

– Kto go przysłał? I dlaczego?

– Latał dla różnych gości. – Zamyśliła się. – Kiedyś dla Dziergi. Pieprzonego esbeka, któremu się wydaje, że czas się zatrzymał i wszystko mu wolno. Powiedzmy, że nie byłam grzeczną dziewczynką.

– Musimy to zgłosić.

– Żartujesz, prawda? – Odwróciła się w jego stronę. – To gówno nikogo nie zainteresuje. Koleś nie żyje, nie ma ciała, nie ma sprawy.

– Jest ciało, tam je zakopałaś! – Wskazał dłonią przestrzeń między drzewami. – Jestem policjantem, do kurwy.

Chciał podkreślić to, że mimo chwilowej niedyspozycji cały czas ma władzę.

– Tym bardziej nie powinieneś tego zgłaszać. Koleś zabrał ci broń i pobił, a życie uratowała ci dziwka – przypomniała. – Kiepska reklama, a i tak nie masz najlepszej renomy na mieście.

Gabriel zacisnął pięści.

– Tak, komisarzu. – Uśmiechnęła się. – Ja też potrafię korzystać z internetu.

Jak się nazywała ta kobieta? Wiesz, ta, która rzekomo zamordowała swoje dziecko, a później znaleziono ją powieszoną na pasku w celi? Jakubowska?

Medea.

Sprawa, która zakotwiczyła go w Pruszkowie na zawsze. Obraz wyławianego z Utraty dziecka wracał do Gabriela regularnie. Kaśka nie musiała mu o tym przypominać. Popełnił wtedy błąd, podejrzewając matkę. I choć kobieta przyznała się do wszystkiego, chroniła tylko męża. A on tego nie wyłapał. Zignorował ślady, poszedł na łatwiznę. Zachował się jak amator.

Tak jak teraz.

– Tak, Jakubowska. – Nie wymawiał tego nazwiska od dawna. – Tamta sprawa nie ma nic do rzeczy.

– Ma, komisarzy, ma.

Zaprzeczanie nie miało sensu. Był na wygnaniu, od przełożonych dostawał same ogony. Nic, co mógłby zepsuć. Do teraz. Pilsz miał rację: to, że dali mu taką sprawę w Pruszkowie, nie było odkupieniem win, tylko zsyłką. Dla swojej komendy stanowił bezużyteczny element pobierający pensję. Gorzej niż szcotka do kibla. Wtedy nie stracił pracy tylko dlatego, że media znalazły sobie inną dzieciobójczynię. Taką, która na wizji wyglądała ciekawie, a w bikini prezentowała się jeszcze lepiej. W chwili gdy podali informację, że rozwiązano sprawę Medei z Pruszkowa, przestano się nią interesować. Bysiem również. Kolejna wpadka oznaczałaby dla Gabriela koniec pracy w policji.

Koniec życia.

– Nie przejmuj się, nie wydam cię.

Kaśka wstała, otrzepała sukienkę i starła ziemię z ud. Wzięła od Gabriela butelkę z wodą, umyła ręce. Ostrożnie obmyła twarz, pozbywając się ostatnich śladów krwi ze skóry. Gdyby nie opuchlizna, zmieniająca jej nos w kartofel, i podkrążone oczy, wyglądałaby normalnie. Jak na kogoś, kto zamordował człowieka, trzymała się nad wyraz dobrze.

– Sądysz, że pozwolę ci odejść? – Sięgnął po broń do kabury, ale ta okazała się pusta. Walther cały czas spoczywał w plecaku zabójcy, ale Gabriel nigdzie go nie widział. – Nie pozwolę na to.

– Pozwolisz. – Nachyliła się. – Zniknę, mam odłożone pieniądze, nie zobaczysz mnie nigdy więcej. Problem się rozwiązał, nic więcej mnie tu nie trzyma. Jeżeli ktokolwiek znajdzie kiedyś ciało, nie połączy tego z nami. Przy grobie było nawet wapno, wszystko przygotowane jak w kuchni.

Kaśka rysowała przed Gabrielem bardzo kuszącą perspektywę. Wiedział jednak, że nie ma zbrodni doskonałych. Ślady zostają zawsze, tylko nie zawsze da się je ze sobą połączyć. Potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć. By wymyślić historię, która nie spali go żywcem. I potrzebował czegoś, co pozwoli wypłynąć mu na powierzchnię.

– Marta Zręb.

– Co Marta? – Kaśka odsunęła się. – Pracowałam z nią kilka razy, nic więcej. Inteligentna jak cholera. Sprzedawała się za dwie dychy lub wódę lokalnym

pijaczkom.

– I tyle? Tania? Inteligentna? – drążył. – Nic więcej o niej nie wiesz? Łączyło was chyba coś więcej?

– Chryste, wiem, jak smakowała jej cipa. Zadowolony?

Podparł się ręką i zaczął wstawać. Tramal potrafił działać cuda, ale nie aż takie. Wokół Gabriela tworzyła się niewidzialna bańka, wygłuszająca otaczający go świat. Nawet szum drzew przestał docierać do jego uszu. Na wszelki wypadek wziął jeszcze jedną tabletkę.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło. – Kaszlnął. – Daj mi coś.

– Nie była stąd – zaczęła po chwili. – Nie lubiła się zwierzać. Powiedziała mi kiedyś, że jacyś żołnierze przywieźli ją do Polski, gdy była nastolatką. Nie wiem skąd. Mało pamiętała z tamtego okresu. Niemcy, Holandia, Czeczenia. Nie wiem. Dostała fałszywą tożsamość i zaczęła odpracowywać swój dług, jak skończyła piętnaście lat.

– Dług?

– Nie ma nic za darmo, komisarzu. Utrzymanie bandy dziwek kosztuje, a jak je przyzwyczaisz do wygod, liczą się z kosztami.

– Kto za to płaci?

– Ten, kto je kupił. Wujek Andrzej. – Oparła się o almerę. Gabriel miał jej kolana na wysokości oczu. – Dzierga ma więcej za uszami, niż możesz sobie wyobrazić. Wiesz, jak szybko taka inwestycja się zwraca?

Wiedział. Za miejsce do spania, żarcie i opiekę medyczną pobierano od dziewczyn odpowiedni procent. Odejmoano za wszystko, tak by kobietom zostawało tylko na najpotrzebniejsze rzeczy. Gabriel znał ten mechanizm. Wszędzie wyglądało to tak samo. Jediną osobą, która zarabiała na prostytutce, był właściciel dziewczyn.

– Marta miała jakichś niezadowolonych klientów?

– Ona? – Parsknęła. – Tanio się sprzedawała, to i klientela mało wymagająca. Wyobrażasz sobie, że pozwalała im nocować? Robiła z domu schronisko, jak ktoś nie miał gdzie spać, bo stara wyrzuciła go z mieszkania.

– Czemu to w ogóle ciągnęła? Dzierga nie przywiązał jej do drzewa. Żyła w wolnym kraju, mogła zwać.

– Mogła? – Kaśka wydlubała spomiędzy zębów fragment lakieru samochodowego. – Dzierga znalazłby ją w tydzień. Musiałyby mieć pieniądze, żeby zniknąć. Inaczej skończyłyby w innym burdelu albo w rowie. Nie potrafiła odkładać i dobrze o tym wiedziała. Doiła, póki mogła.

Nie przekonała go. Widział w Marcie kogoś więcej niż tylko dziewczynę rozkładającą nogi za garść drobniaków.

– Raz uciekła. Miała dość i wsiadła w pierwszy pociąg, który wjechał na dworzec.

– I co się stało?

– Znaleźli ją. – Odchrząknęła. – Kilka godzin po tym, jak postawiła stopę na peronie w jakimś wygwizdowie.

Widział, że nie chciała dalej o tym mówić. Dał jej moment, by pozbierała myśli.

– Odcięli jej mały palec. Wrzucili ją do samochodu i wyciągnęli sekator. Nawet się nie zatrzymali w drodze powrotnej, tylko przypalili jej ranę zapalniczką, by przypadkiem się nie wykrwawiła.

– Ja pierdołę. – Zabolało go na samą myśl. – Kto?

– Drużyna Dziergi.

– Szantażowała go?

– Nie odważyłaby się. – Kaśka z czułością macała nos. – To byłby wyrok, nie znała go tak jak ja. Nikt go tak nie zna.

– A co z Adamem?

– Nie wierzę, że to on ją zabił. Jest pojebany, ale najmniej z nich wszystkich.

– Wszystkich?

Milczała. Gabriel domyślił się, że mówiła o Frączaku i Ługowskim. Muszkieterach.

– Z wojny nikt nie wraca w jednym kawałku. Dzierga nie zatrudniał byle kogo. Dam ci go na tacy. Dam ci Dziergę. Tylko pozwól mi uciec. Nie chcę, nie mogę tu dłużej zostać.

Kaśka sięgnęła po torebkę leżącą na ziemi i wygrzebała z niej papierosy. Włożyła jednego w usta Gabriela, a następnie podpaliła. Kiedy nachylał się nad jej dłońmi z zapalniczką, czuł, jak intensywnie pachną ziemią.

– Dokąd chcesz uciec? – Zaciągnął się do bólu płuc. – Do matki?

– Skąd o niej wiesz?

– Widziałem pocztówkę. – Wypuścił dym. – Wystawała ze skrzynki.

Lekko się uśmiechnęła.

– Moja matka nie żyje – powiedziała. – Pewnie leży gdzieś w tym lesie. Pocztówki to taka mała nagroda dla mnie. Za wytrwałość. Przypominają mi, że nie wszystko na świecie jest zupełnie zjebane. Wysyłają mi je znajomi. Dziwne, co?

– Słyszałem o dziwniejszych rzeczach. Każdy potrzebuje, by go czasem poklepać po plecach.

– Na przykład ty?

– Na przykład ja.

Nie jestem przekonana, że pozwolenie ci prowadzić było dobrym pomysłem.

Kaśka powtarzała to zdanie po raz trzeci. Pierwszy raz, gdy Gabriel urwał lusterko, cofając między drzewami. Drugi, gdy zarysował błotnik na wysokim krawężniku, wyjeżdżając na asfalt. Teraz musiała je powtórzyć po raz trzeci.

– Nie mieszkam tutaj – dodała, kiedy Gabriel wrzucił wsteczny. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak – odparł, łapiąc za zagłówek pasażera i odwracając głowę. Zabolało jak cholera. – Nie jechaliśmy do ciebie.

Wewnątrz almetry mieszały się zapachy spalin, benzyny i mchu. Wydłużające się parkowanie potęgowało smród.

– Co tu robimy?

– Pamiętasz aspirant Monikę Ruskę? – Wyłączył silnik. – Posiedysz u niej.

– Z tą cnotką niewydymką?

– Jeżeli sądziłaś, że pozwolę ci ot tak zniknąć, byłaś w błędzie. A poza tym jeżeli Dzierga raz próbował cię zabić, zrobi to ponownie.

Wysiedli z samochodu. Kaśka trzasnęła drzwiami i ruszyła w stronę odrapanego bloku, przed którym zaparkowali. Mruczała coś, ale Gabriel nie dosłyszał.

– A ty dokąd?

– Wyszczuć się muszę.

Szła przed Bysiem. Krzywa kostka, którą wybrukowano prawie każdy chodnik w mieście, utrudniała spacer. Za to doskonale zbierała brud ulicy. Widział, jak z butów Kaśki odpada zaschnięte błoto. Potrzebował wytchnienia, a Monika była jedyną osobą, której mógł teraz zaufać. Pilsz stanowił zagrożenie.

Kaśka wbiegała po dwa stopnie naraz. Gabriel wchodził powoli. Czekali półtorej godziny, zanim był w stanie podnieść się z ziemi. Wolał nie przedobrzyć.

– Tutaj?

– Tak. – Wskazał metalowe drzwi z przyklejonymi równo cyframi dwa i jeden. – Ani słowa o tym, co się stało w Suchym Lesie, jasne?

– Nie jestem głupia.

Adrenalina wymieszana z tramalem skutecznie zagłuszała poczucie winy, ale Gabriel wiedział, że to nie potrwa długo. Jeżeli Kaśka mówiła prawdę i da mu dowody, które załatwią Dziergę, wróci do łask. Więcej, przyjmą go z otwartymi ramionami, jak dawno niewidziane dziecko. I wymażą błędy przeszłości. Procesy mafiosów kończyły się wyrokami tak łagodnymi, że sędziowie z trudem je odczytywali. Brakowało twardych dowodów na poważne przekręty, morderstwa i handel żywym towarem.

Jeżeli Byś to zmieni, stanie się bohaterem.

Głośne walenie wytrąciło go z marzeń. Kaśka uderzała w drzwi otwartą dłonią, a gdy zobaczyła spojrzenie Gabriela, wzruszyła ramionami.

– Co? Naprawdę muszę!

– Jak z dzieckiem. – Przesunął ją na bok i położył rękę na klamce. – Mogła odebrać telefon, jak dzwoniłem, prawda?

Nie było zamknięte. Gabriel próbował dodzwonić się do Moniki, jak tylko na wyświetlaczu telefonu pojawił się zasięg. Po czwartej próbie zrezygnował. Kaśka wyminęła go i pobięła do łazienki.

Pokój po lewej stronie wyglądał na wyremontowany. Jasne niebieskie ściany przyozdobiono gwiazdozbiorem wyciętych z tektury gwiazd. Tworzyły konstelacje królika, ptaka i wielkiego uśmiechniętego kota. Łóżeczko dziecięce

stało pod ścianą, a na nim leżał mały materac. Cały czas w folii ochronnej. Gabriel wycofał się i poszedł do kuchni.

Monika leżała na podłodze. Z kącików jej ust wylewał się czarny płyn i ściekał po policzku. Pod głową utworzyła się mała kałuża, pełna bąbelków i resztek jedzenia. Spodnie od pasa do kolan były mokre.

– Chryste! – Gabriel uklęknął i podciągnął głowę leżącą.

Przekręcił ją na bok. Pozycja boczna ustalona. Monika wykrztuszała z siebie kolejne porcje czarnego śluzu, który spływał po rękach Gabriela. Podniósł jej powieki, źrenice zareagowały na światło. Najgorsze miała za sobą.

– Ja pierdołę! – Kaśka stała w drzwiach kuchni. – Co jest, kurwa!

– Pomóż mi ją zanieść pod prysznic!

Monika była lekka, ale jej mięśnie nie pracowały. Gabriela również. Gdyby nie Kaśka, oboje leżeliby na podłodze. Policjantka próbowała poruszać nogami i coś mówić, ale bez skutku. Położyli ją w wannie. Zareagowała po pierwszym uderzeniu zimnej wody. Szum prysznica wypełnił łazienkę.

– Dzwon po karetkę – powiedział Gabriel, podtrzymując głowę Moniki, by nie zalała jej woda.

– Nie – wycharczała sierżant.

Wypluła resztę zalegającej w ustach mazi.

– Proszę. – W jej oczach Gabriel zobaczył strach. – Błagam.

Podał słuchawkę prysznicową Kaśce, a ta zmniejszyła strumień i odkręciła kurek z czerwoną kropką. Gabriel wyszedł z łazienki i wrócił do kuchni. Na stole leżała zażółcona lufka, zapalniczka i folia aluminiowa z resztkami białego proszku.

Szum wody ustał. Kaśka miała ręce mokre aż po łokcie.

– Crack?

Kokaina szła w kontenerach z Kolumbii najpierw do Afryki. Stamtąd trafiała na chłonne europejskie rynki, gdzie pomysłowi dilerzy mieszała ją z wodą i proszkiem do pieczenia. Crack przypominał starty żółty ser, zlepiony w małe, twarde grudki. Drogi, diabelnie uzależniający narkotyk, dający natychmiastowy haj. Krótkotrwały, pobudzający i piękny. Gabriel widział to, widział w oczach Moniki wszystko. Zachowanie policjantki zrzucił na karb stresu w pracy. Zmienne nastroje, wyszczerz, rozkojarzenie.

Wszystko pasowało.

Tylko że leżący na stole zestaw małego narkomana był czymś innym, niż Kaśka myślała.

– Którego policjanta stać na kokainę? – mruknął Gabriel. – To *designer drug*.

– Dopalacz?

Nachylił się nad stołem.

– Jest cztery razy tańszy. To może być mefedron, ale nie w czystej postaci. Namnożyło się tego gówna, a każde ma nową nazwę. Mexedron. Cocolino. Amfibia.

– Jesteś chemikiem czy co?

Zignorował pytanie. Jeżeli Monika brała cokolwiek, co zawierało 4-MMC, mogło być już za późno. Wymioty, zawroty głowy i palpacje serca to znak, że mefedron obszedł się z nią łagodnie. Po kilku tygodniach zażywania wpadłaby w paranoję, a jej ciało domagałoby się coraz większych dawek. Serce Moniki po którymś razie zatrzymałoby się bezpowrotnie.

– Kto?

Kaśka milczała. Wpatrywała się w czarną kałużę zostawioną przez Monikę.

– Kto?

– Młody.

– Gdzie?

– Nie wiem. Naprawdę. – Kaśka nie podnosiła głowy. – Rozwozi towar po mieście skuterem. Jak dostawca pizzy. Widziałam go kilka razy w Pieczarze, nic więcej.

– Dzierga załatwia mu towar?

Nie odpowiedziała. Gabriel wyminął ją bez słowa i wrócił do łazienki. Monika leżała w wannie, a jej skóra przypominała tarkę. Bluzka przylegała do ciała tak ściśle, że mógł policzyć wszystkie żebra. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaka jest chuda. Patrzyła na niego i trzęsła się z zimna, ale jej oczy cały czas zdradzały, że nie do końca rozumie, co się wokół niej dzieje. Ale oddychała już normalnie, a to oznaczało, że sytuacja, której Gabriel był świadkiem, nie była pierwszą w jej karierze narkomanki.

– Hej. – Kucnął obok wanny. – Gdzie jest Młody?

Monika mrugała, próbując wyostrzyć wzrok. Uciekała od jego oczu. Odpywała. Gabriel uderzył ją w policzek. Nie za mocno, ale na tyle silnie, by zaczęła kontaktować.

– Kto?

– Twój diler. Facet, który dostarcza ci narkotyki.

– Która godzina?

– Po piętnastej.

– Szkoła. – Odsunęła głowę. – Liceum.

Pogładził ją po twarzy i dla pewności raz jeszcze zajrzał w oczy. Monika wracała do życia, ale przez następnych kilka godzin będzie czuła się jak po wypadku samochodowym. Kości rozciągną się w piekącym bólu, a każdy ruch, każde napięcie mięśnia wyśle do mózgu impuls. Coś, co sprawi, że Monika będzie wymiotowała i błagała o skrócenie cierpień.

Gabriel podszedł do Kaśki i złapał ją pod ramię. Skóra dziewczyny lepiła się od brudu i potu. Musiała nieźle napracować się w lesie, by ich wspólny interes pozostał tam na zawsze.

– Przypilnuj jej.

– Co? – Kaśka spróbowała się wyrwać. Bezskutecznie. – Dlaczego?

– Muszę coś załatwić.

Zanim zdążyła zaprotestować, wyszedł z mieszkania. Trzasnął drzwiami tak mocno, że zdjęcie wiszące w korytarzu spadło ze ściany. Kaśka podniosła je.

Szczęśliwe małżeństwo Moniki zatrzymane w jednym kadrze. Zebrała szkło i wrzuciła do kosza w łazience. Zapełniony był po brzegi wacikami. Zdjęcie wepchnęła na siłę.

– Pospieszyłaś się z tym świętowaniem. – Usiadła na krawędzi wanny. – Masz szczęście, że przyjechałam.

Monika położyła głowę na udach dziewczyny.

– Już po wszystkim. – Kaśka zmierzwiła jej mokre włosy. – Już po wszystkim.

Mógł zaczekać.

Uspokoić się i załatwić wszystko na spokojnie. Być dorosłym, opanowanym policjantem. Mógł zrobić dużo rzeczy, ale przejeżdżając przez skrzyżowanie alei Wojska Polskiego z Kościuszki, nie myślał. Wyłączył się, za kierownicą zachowywał się jak automat. Sprzęgło, bieg, gaz. Hamulca praktycznie nie dotykał.

Nie wiedział, które z liceów wybrać. Zaparkował przy Parku Sokoła. Za plecami miał bank i ukryty w kamienicy gabinet ginekologiczny. Widział we wstecznym lusterku, jak z bramy wychodzą roześmiane nastolatki. Parkiem maszerowali uczniowie dwóch szkół, oddalonych od siebie o niecały kilometr. Podobno obie najlepsze w mieście, choć młodzież i tak uciekała do Warszawy. Tam oprócz edukacji były jeszcze kluby, kina i prawdziwa rozrywka.

Czekał.

Z nudów chciał zapalić, ale paczka z jego kurtki gdzieś zniknęła. Wziął kolejny tramal i popił solidnym łykiem wody. Zrobił to z przyzwyczajenia, ból nie był aż tak nieznośny, ale cały czas nie dawał o sobie zapomnieć. Sytuacja jak z rachunkiem za prąd, niezapłaconym i wciśniętym pod stertę gazet. Kłuje w oczy nawet z sąsiedniego pokoju.

Ludzi w parku było coraz więcej. Wracali z pracy, bliskość stacji PKP sprawiała, że momentami alejki zaludniał gęsty tłum. Gabriel wysiadł i ruszył do parku. Pachniało wiosną. Woń kwiatów zlewała się z zapachem otwieranych na ławkach piw. Lubił tę atmosferę wiosennego rozluźnienia.

Młodego zobaczył po chwili. Stał oparty o skuter, zaparkowany tuż przy alejce prowadzącej do placu zabaw, i poprawiał coś przy kasku. Gabriel poznał tę twarz od razu. Widział ją wcześniej. To Młody wyciągnął Żeberko z baru, kiedy po raz pierwszy rozmawiał z Dziergą.

Był sam.

Chłopak odłożył kask na siedzenie skutera i wyciągnął paczkę papierosów z obszernej kieszeni spodni. Nie robił sobie nic z obecności dzieci na pobliskich huśtawkach. Cały teren został wyremontowany, podłoże z EPDM-u jeszcze pachniało nowością. Nie powstrzymywało to meneli od rozbijania butelek o betonowe kosze. Gabriel wciąż nie mógł przestawić się na myślenie racjonalne. Cały czas miał przed oczami obraz Moniki wymiotującej czarną mazią.

Chwycił leżącą na ziemi butelkę.

– Siema!

Krzyknął głośniejszym głosem, niż zamierzał. Widział, że nie powinien zostawiać śladów na ciele chłopaka. Pierwsze uderzenie skierował na nogi. Młody dostał butelkę w zgięcie i przyklęknął na jedno kolano. Gabriel nie czekał, aż się podniesie, napał na niego ciałem, przygwoździł do asfaltu. Usłyszał, jak jedynki chłopaka rysują podłoże.

– Przestań wierzgać! – warknął i zaczął przeszukiwać kieszenie. – Chodzisz sam? Bez satelity?

Liczył, że trafi na coś, co pozwoli mu zapuszkować Młodego. Profesjoniści chodzą z czujką, kimś, kto trzyma towar z dala od nich i w odpowiednim momencie wychodzi z cienia. Jeżeli okaże się czysty, będą nieprzyjemności. Gabriel przestał o tym myśleć, kiedy namacał pierwszą paczuszkę. Schowana na dnie kieszeni, była najmilszą rzeczą, jakiej dziś dotykał. Znalazł jeszcze trzy inne. Wyciągnął wszystkie, wstał i oparł się o skuter.

– Amator. Co my tu mamy... – Rozpakował pierwsze zawiniątko.

Marihuana, przynajmniej pięć gramów. Przy odpowiednio zawziętym prokuratorze gwarantowała Młodemu ładnych parę lat. Powąchał zbite zielone grudki i od razu się rozluźnił. W przeciwieństwie do chłopaka, który nieporadnie próbował podnieść się z asfaltowej ścieżki. Przechodząca obok kobieta z wózkiem spojrzała na niego i przyspieszyła kroku. Gabriel nie dostrzegł, żeby wyciągała komórkę i gdzieś dzwoniła.

Druga paczuska to już wyższa klasa. I dodatkowych kilka lat do wyroku od prokuratora. Tabletki z uśmiechniętymi buźkami, królewskimi koronami i motylkami wyłobionymi w powierzchni. Ecstasy. Razem z nimi kawałek folii aluminiowej. Rozpakował ją, a leżący w środku biały proszek koniuszkiem palca wtarł w dziąsła. Niewielką ilość, ale pieczenie poczuł od razu. Kokaina.

Ostatnie znalezisko wyglądało inaczej.

Zapakowany w szary papier prostopadłościan był lżejszy, niż podejrzewał. Gabriel potrząsnął opakowaniem, nasłuchując, czy ze środka wydobędzie się jakiś dźwięk. Nawyk z dzieciństwa i podobnie jak wtedy, teraz też liczył, że w środku znajdzie prezent.

Miał rację.

– Inhalator?

Młody przeturlał się na plecy. Zakrywał twarz dłońmi, po policzkach leciały mu łzy.

– Masz astmę? – Gabriel przyjrzał się wyciągniętemu z opakowania sprzętowi. Niemal identyczny dostał od Juniora na komendzie. – Przecież to kupuje się w aptece.

– Na receptę.

– O, mówisz. – Przykucnął. – Fajnie. Przed chwilą widziałem, jak moja koleżanka prawie się przekręciła przez gówna, które jej sprzedałeś. Wiesz, o kim mówię?

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– O pewnej policjantce. Coś świta?

– Nic jej nie sprzedałem. – Młody odsłonił twarz. Górna jedynka była w połowie ułamana. – To był prezent.

– Prezent? Od kogo?

Młody pojawiał się w Pieczarze. Wyglądał na takiego, któremu imponują szybkie pieniądze. Z dilerki wyciągał pewnie więcej niż niejeden menedżer. Jeżeli Dzięga bawi się w narkotykowy biznes, przed Gabrielem leży właśnie niepowtarzalna okazja. Musiał ją tylko odpowiednio dopieścić i sprawić, żeby nie posikała się w swoje drogie spodnie.

– Żadnych więcej prezentów – wycedził przez zęby. – Nie zbliżasz się do niej, nie oddzwoniasz, a jak spotkasz ją na ulicy, zawracasz. Zrozumiano?

Oczy Młodego zrobiły się praktycznie czarne. Gabriel musiał zachować ostrożność. Nie mógł spłoszyć chłopaka. Miał go.

– Jasne. – Młody zaczął odczołgiwać się na bezpieczną odległość. – Jasne.

– A teraz interesy. – Gabriel wstał. – Komu miałeś załatwić ten inhalator?

– Adam – pisnął. – Łysy, napakowany koleś. Mówił, że potrzebuje dla dzieciaka i że to pilne.

Na tacy pojawiały się coraz smaczniejsze dania. Janek to astmatyk. W mieszkaniu Marty Gabriel trzymał w dłoniach nawet jego inhalator. Jedyny, do którego miał dostęp Adam Kupczyk. Teraz, gdy jego syn potrzebował lekarstwa, nie cofnie się przed niczym, by je zdobyć. Nie uciekł za granicę. Nie tak go szkolono. Miał walkę we krwi, jak każdy prawdziwy żołnierz.

Gabriel zaczął odczuwać efekty wycieczki do lasu i tabletek przeciwbólowych obijających się o siebie w jego żołądku jak tik taki.

Wszystko podchodziło mu teraz do gardła.

– Gdzie miałeś się z nim spotkać? – Oparł się o skuter chłopaka. – Konkretnie.

– Solarium w pasażu na Wojska Polskiego. Obok pizzerii. – Młody wstał. Krew z ust skapywała na białą bluzę, znacząc ją czerwonymi pasmami. – O dwudziestej pierwszej.

Gabriel miał jednak szczęście. Poszukiwany przez wszystkich policjantów w okolicy Adam Kupczyk sam do niego przyjdzie. Trzeba tylko trochę poczekać.

– Jeżeli komuś się wygadasz, zabiję. Zrozumiano?

– Tak.

– To spierdalaj.

Chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zniknął za krzakami w chwili, gdy Gabriel pochylał się nad koszem na śmieci. Wymiotując, zobaczył zgniecioną kartkę ze znajomym wzorem. Wyciągnął ją i rozprostował. Zygzak wyglądał identycznie jak jeden z grafów, które Marta miała zapisane w swoim notatniku. Kartka pachniała marihuaną. Młody musiał ją wyrzucić do kosza razem z innymi śmieciami, które nosił ze sobą. Przy wierchołkach grafu chłopak nabazgrał nazwy liceów, a na dole kartki coś, co sprawiło, że Byś

momentalnie poczuł się lepiej.

Pieczara.

Zajrzał jeszcze raz do kosza. Zogniskował wzrok na podłużnej żółtej tabletkę leżącej na wierzchu. Jej powierzchnię zdobiły pęcherzyki powietrza, znak, że organizm Gabriela zaczynał trawić tramal. Byś rozejrzał się, ale okolica wydawała się dziwnie opustoszała. Włożył rękę do kosza i wyciągnął tabletkę.

To był dobry dzień.

Kaśka odpaliła papierosa.

Paczka, którą wyciągnęła z kurtki policjanta, powinna wystarczyć do końca dnia. Miała więcej szczęścia niż rozumu i o tym wiedziała. Gdyby nie Gabriel, leżałaby teraz pod warstwą ziemi, a w oczy zaczynałyby się wgryzać pierwsze larwy. Wrzuciła papierosy do torebki.

– Załatwił go?

Monika siedziała na krześle, okryta szczelnie kocem. Z nosa ciekła jej cienka strużka krwi, którą niezdarnie ocierała wierzchem dłoni.

– Powiedzmy. – Kaśka zaciągnęła się dymem. – Ważne, że już po wszystkim.

– Wyjeżdżasz?

– Mam coś jeszcze do załatwienia, ale potem znikam. Nie chcę skończyć jak Marta. Bez oczu i wyżęta z krwi jak brudna ściera.

Policjantka kiwnęła głową.

– Zostało coś? – Monika wytarła kolejną strużkę krwi. – No wiesz.

Kaśka zgasiła ledwo co zapalonego papierosa w stojącej na stole szklance. W zimnej herbacie pływały już trzy.

– Spuściłam w kiblu. – Uśmiechnęła się. – Skończ z tym gównem, dobra?

– Jasne, jasne.

– I lekcja na przyszłość: znajdź lepszą skrytkę niż doniczka. Każdy pies to znajdzie. Jebane dopalacze? W coś ty się wpakowała, dziewczyno?

– W nic. – Monika zasłoniła się kocem. – Potrzebuję czasem kopa.

Kaśka podniosła się z krzesła, obeszła stół i stanęła za plecami Moniki. Pocałowała ją w sam środek mokrej głowy. Solidarność pokrzywdzonych.

– Teraz będzie już tylko lepiej.

Huk zatraskiwanych drzwi odrzucił Kaśkę od policjantki. Gabriel wszedł do kuchni i ciężko usiadł na krześle. Śmierdział.

– Wszystko okej? – spytała, gdy podniósł szklankę z herbatą i ją powąchał. – Mogę zrobić świeżą.

– Ta, w porządku. – Odstawił naczynie. – Jak się czujesz?

Monika nie odważyła się podnieść głowy.

– Lepiej.

– Skoro nie jestem już potrzebna, to idę się odlać i spadam. – Kaśka wyszczerzyła zęby.

Nie zdążyła wejść do łazienki. Gabriel dopadł ją w korytarzu.

– Powinniśmy pogadać, nie sądzisz? – wyszeptał, łapiąc ją za ramię.

– Nie ma o czym. Wszystko jest ustalone. Mówiłam już, że nikt tego trupa nie będzie szukać.

– A Dzierga?

– Dostaniesz go, jak będę bezpieczna. Słowo.

Wyrwała się i zatrzasnęła w łazience. Widziała przez mleczne szkło, że stoi pod drzwiami. Usiadła na sedesie, a gdy postać policjanta wciąż nie chciała zniknąć z pola widzenia, wyciągnęła rękę do umywalki i odkręciła kran. Siedziała, wsłuchując się w szum wpływającej do odpływu wody, dopóki cień Gabriela nie zniknął zza szyby. Odczekała minutę.

Wychodząc z łazienki, wiedziała, że jej czas się kurczy. Policjant nie wytrzyma długo, prędzej czy później będzie chciał, by siermiężne ramię sprawiedliwości na nią opadło. Nawet kosztem jego i tak nadszarpniętej już kariery. Bez namysłu zagrała kartą, jaka przyszła jej wtedy na myśl. Męską dumą.

Komisarz Gabriel Byś należał do mężczyzn, którzy zrobią wszystko, by zmyć plamę na honorze. Wiedziała to od chwili, gdy tylko wszedł do jej mieszkania. Dostatecznie dużo przeczytała o nim w sieci, żeby teraz być pewną jednego: on nie chce sukcesu, on go potrzebuje. Rozpaczliwie.

Dopóki nie przykryje czymś wtopy z dzieciobójczynią z Pruszkowa, może zapomnieć o dalszej karierze w policji. Czuła to.

– Wychodzę. – Stała za Moniką i ścisnęła ją za ramiona. – Powinna wrócić do siebie za kilka godzin.

Nikt nie zareagował. Kaśka chwyciła swoją torebkę i wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach, a kiedy poczuła świeże powietrze, głęboko się nim zaciągnęła. Zostało jej jeszcze tylko jedno do załatwienia i może uciekać. Otworzyła torebkę, by wyciągnąć fajki.

– Skurwiel!

Gabriel odpalił papierosa.

Patrzył na leżącą przed nim paczkę i nóż. Obie rzeczy wyciągnął z torebki Kaśki, kiedy ta udawała, że załatwia w łazience swoje potrzeby. Monika tylko patrzyła, jak grzebie w rzeczach dziewczyny. Nawet nie mrugnęła, widząc, że wrzuca do środka kilka kolorowych tabletek i zawiniątko z kokainą. Nie zapytała też o nóż, którego ostrze zdobiły żdźbła trawy. Znalazł w kuchni woreczki śniadaniowe i włożył narzędzie zbrodni do jednego z nich. Wytarł odciski palców. Wolał ograniczać swój udział w tej sprawie, choć wiedział, że i tak go pogrąży.

Chyba że będzie miał coś jako przeciwwagę.

Dziergę.

– Sprzedawałaś informacje za prochy?

– Nigdy.

Przez sekundę myślał, że Monika zerwie się z krzesła i zacznie przekonywać go o swojej niewinności. Ona siedziała jednak wpatrzona w leżący na stole nóż i coraz szczelniej owijała się kocem.

- Jestem zmęczona. – Podniosła głowę. – Mogę się położyć?
- Gdzie masz telefon?
- W sypialni.

Strzepnął popiół do szklanki i z palącym się papierosem w ustach poszedł do sypialni. Łóżko wielkości niewielkiego boiska piłkarskiego zasłano z jednej strony. Druga połówka wyglądała na dawno opuszczoną. Telefon znalazł na stoliku nocnym. Cztery nieodebrane połączenia przychodzące, wszystkie od niego. Schował aparat do kieszeni.

Odwrócił się i zobaczył ją w korytarzu. Wokół nosa Moniki zaczęły wykwitać brunatne strupy. Krew krzepła powoli. Organizm walczył ostatkiem sił, ale wygrywał.

- Mogę?
- Tak. – Przesunął się, pozwalając Monice wejść do sypialni. – Nie zamykaj drzwi. Będę w kuchni. Wyśpij się, przydasz mi się wieczorem.
- Co się stało?

Koc opadł na podłogę. Stała przed Gabrielem w samej bieliźnie, chuda jak nieszczęście. Na żebrach miała ogromny krwiak, który musiała sobie nabić, gdy padając na podłogę, zahaczyła o stół.

- Wiem, gdzie będzie wieczorem Adam Kupczyk.
- Ściągnij Pilsza.
- Nie ufam mu. – Strzepnął popiół na podłogę.
- A mnie ufasz?

Odwrócił wzrok i wyszedł z sypialni. W kuchni, gdzie nadal cuchnęło wymiocinami, choć podłoga została umyta, czuł się znacznie lepiej niż w obecności Moniki. Słyszał, jak układa się na łóżku, a pod jej lichym ciężarem trzeszczą deski. Odczekał, aż dźwięki ustaną, i dopiero wtedy pozwolił sobie na wzięcie głębokiego oddechu.

Rozsypał na stole tabletki. Siedem sztuk. Musi zacząć oszczędzać, inaczej skończą się szybciej niż poprzednie opakowanie. Regularnie uzupełniał te ukryte w słoiku z cynamonem, który do niedawna był bezpieczną kryjówką. Znajdzie inną. Alicja nie zrozumiałaby, gdyby powiedział prawdę.

Obok tabletek rozprostował znalezionej kartkę z rozrysowanym grafem. Śmierdziała wszystkim, co było w kubie na śmieci, ale zawierała to samo, co miał w notesie Marty. Pięć wierzchołków, choć tylko trzy z nich opisane. Gabriela najbardziej interesował ten z numerem jeden, Pieczara. Nora Dziergi nie znalazła się tam przez przypadek, był tego pewien. Kolejne dwa opisane wierzchołki na rysunku to Kościuch i Zan, najlepsze licea w Pruszkowie. Kilkaset metrów od nich dorwał Młodego.

Wagi.

Liczyby między wierzchołkami, tuż nad gałęziami łączącymi.

Teraz to dojrzał.

Wyciągnął swój telefon. Na ekranie miał informację o nieodebranym połączeniu od Alicji. Zignorował ją i w galerii odszukał zdjęcia notesu Marty. Powiększył odpowiednią fotografię. Zamarł. Musiał mieć rację.

Wybrał numer Roberta.

– Co tam? – usłyszał po trzech sygnałach.

– Siedzisz przy komputerze?

– Zadajesz głupie pytania.

– Sprawdź mi odległość między Kościuchem a Zanem.

– Trzysta metrów – usłyszał po chwili. – Przynajmniej tak mówi wujek Google. Cztery minuty spacerkiem. Po co ci to?

Rozłączył się. Robert nie będzie miał mu za złe, sam często tak robił. Ważniejsze było to, co Gabriel właśnie odkrył. Teraz potrzebował czystych kartek, dostępu do internetu, długopisu i trochę spokoju.

– Monika! Jakie masz hasło do Wi-Fi?

Stała bez ruchu, wpatrzona w skuloną postać. Nie miała pojęcia, jak długo trwała w takim stanie. Czuła tylko przejmujący chłód, który kłuł jej łydki i przyprawiał o gęsią skórkę. Nic ponadto.

Nie wiedziała, co zrobić.

Dwa trupy jednego dnia to stanowczo za dużo.

Joannę znalazła w gabinecie. Staruszka leżała na podłodze, ściskając w sztywnych dłoniach różowe zawiniątko. W powietrzu unosił się ostry zapach.

Wybielacz.

– Zajebicie.

Wyszła z gabinetu i pomaszerowała do kuchni. Rozbite szkło chrzęściło pod butami. Joanna musiała wypić wszystko, co znalazła w domu. Łącznie z płynem do naczyń i specjalnie przygotowanym dla niej drinkiem z wybielaczem, który zapomniała zabrać z szafki. Wyciągnęła spod zlewu parę żółtych gumowych rękawic. Cuchnęły moczem. Kaśka nie mogła doprosić się pani Haliny, by ta wyrzucała je po każdej przygodzie, jaką zafundowała im Joanna. Teraz i tak nie miała wyjścia. Nie zamierzała sprzątać, przynajmniej nie to, co zostawiła po sobie staruszka.

Znalazła płyn do usuwania pleśni, który na opakowaniu miał trupa czaszkę. Zaczęła od klamek. Każdą, której dziś dotknęła, spryskała obficie środkiem czyszczącym i wypucowała. Powtarzała czynności wszędzie tam, gdzie znalazła przedmiot, z którym miała styczność. Wszystkich śladów się nie pozbędzie, takich złudzeń nie miała, ale chciała mieć choć cień szansy na to, że organy ścigania jej nie znajdą. To, że sprawą zajmie się prokuratura, mało ją obchodziło. Wiedziała, kto jeszcze będzie interesował się śmiercią staruszki, a jemu nie chciała wchodzić w drogę.

Nie po tym, jak Dzierga wystawił ją goryłowi Roczewskiego.

Otarła pot z czoła. Skóra przesiąkła zapachem środka czyszczącego, który drażnił niezasklepione jeszcze rany. Długo tak nie wytrzyma. Wejście, korytarz i część kuchni miała za sobą. Został gabinet. Stała przed progiem i popatrzyła w leżącą na podłodze Joannę. Taka okazja więcej się nie powtórzy.

Zacząła przeszukiwanie od półki z książkami. Wycieczka do Skolimowa okazała się zbędna. Nie miała komu przekazać informacji o tym, jak wesoło żyje sobie Teodor i jak przyjeżdżają do niego młode dziewczyny, by robić mu dobrze. Chętnie opowiedziałyby o tym staruszce. Ból w jej oczach uratowałby Kaśki samopoczucie.

Półki uginały się od śmieci i książek, od lat nieruszanych. Drewno pod nimi zachowało swój naturalny ciemny kolor. Kurz gryzł w oczy, Kaśka kilka razy musiała przerywać poszukiwania, by odkaslnąć. Nie wiedziała nawet, czego szuka. Joanna mogła ją przecież oszukiwać, mówiąc, że coś wie o losie jej matki. Jeżeli wiedzę miała tylko w głowie, to koniec. Wszystko poszło na marne.

Zaczynało zmierzchać, gdy skończyła. Wszystkie przedmioty, na których mogły zostać jakiegokolwiek ślady, powycierała szmatką. Dłonie pociły się pod grubą gumą, ale nie odważyła się ściągnąć rękawic. Pudełko, które Joanna przed nią chowała, nie wniosło nic nowego. Mauzoleum życia. Zdjęcia i wspomnienia krótkiej kariery ładnej aktorki. Obecnie trupa.

Omijała ciało Joanny tak długo, jak się dało. Usiadła na podłodze, opierając się plecami o regał. Przyglądała się śmierci po raz drugi w ciągu kilku godzin. Nadal nic nie czuła, choć Joannę nawet ostatnio polubiła. Coś je łączyło.

Złe decyzje i bliskie spotkania z kuchennymi meblami.

Butelka z wybielaczem leżała przy głowie staruszki. Kaśka zobaczyła, że jest tylko lekko odkręcona. Płyn powoli sączył się pod korkiem i skapywał na drewnianą podłogę. Kolor w tym miejscu stał się o trzy tony jaśniejszy. Na czworakach ruszyła w stronę Joanny. W kolano wbił się jej kawałek szkła i z każdym ruchem wchodził coraz głębiej pod skórę. Kaśka nawet tego nie zauważyła. Przestały ją też obchodzić wszelkie ślady i wyboczyny zostawiane za sobą. Skupiła się na jednej rzeczy, na poruszających się ustach staruszki.

Zbierało się na burzę.

Pierwsze krople uderzyły o dach samochodu.

Monika ziewnęła po raz kolejny, przetarła oczy i nerwowo rozejrzała się za zapalniczką. Uchyliła okno, głęboko wciągnęła nosem zimne powietrze. Otworzyła torebkę i wyciągnęła służbową broń. W nissanie nie było za dużo miejsca, położyła więc swojego walthera na desce rozdzielczej. Wprost pod szybą, gdzie powoli zaczęła zbierać się para wodna. Zajrzała do torebki, ale oprócz opakowania wkładek higienicznych, blachy oraz notesu nie było tam nic więcej.

– Schowaj to.

Gabriel od godziny nie spuszczał wzroku z wejścia do solarium. Od momentu kiedy zaparkowali na parkingu. Monika włożyła broń do torebki.

– Masz ogień? Ciągle coś gubię.

– Za dużo palisz – odparł, podając jej zapalniczkę.

– Muszę znaleźć zajęcie.

W samochodzie zrobiło się jeszcze duszniej, i to nie z powodu wyłączonego nawiewu. Gabriel sądził, że Monika będzie mu wdzięczna, ale jej słowa nie przechodziły przez gardło. Widział, jak się męczy. Zachowywała się jak rasowy ćpun. Ciągle się drapała. Musiało swędzieć ją wszystko. Skóra, żyły, włosy, nawet zęby. Bez przerwy przejeżdżała po nich językiem, by chropowata powierzchnia dała moment ukojenia. Pomagało na chwilę, podobnie jak nikotyna.

– Dzięki – powiedziała.

Mruknął niewyraźnie i sam włożył papierosa do ust. Monika odpaliła, a potem podsunęła zapalniczkę Gabrielowi. Nachylił się do płomienia, który rozświetlił na sekundę jego twarz. Deszcz coraz mocniej bębnił o szyby.

– Spóźnia się. – Gabriel uchylił drzwi almery i wypuścił na zewnątrz trochę dymu. – Jeżeli Młody go ostrzegł, nigdy się nie pojawi.

– Przyjdzie.

Już nie był tego tak pewien, jak przed kilkoma godzinami. Z każdą chwilą czuł się gorzej. Papieros miał go wybudzić, ale powieki zrobiły się jeszcze cięższe. Zasypiał. Cała ekscytacja wyparowała z niego, gdy tłumaczył Monice swoje odkrycie. Potrzebował czegoś, co zajmie mu umysł.

– Sądzisz, że przesadzam z tymi grafami?

– Nie. – Monika odwróciła głowę. – Nie wiem. Nie do końca zrozumiałam, o co ci chodzi.

Gabriel rozprostował kartkę papieru na kierownicy. Przerysowany z notatnika Marty graf i dla niego na początku wyglądał niezrozumiale.

– Spójrz. – Przyłożył palec do wierzchołka z numerem jeden. – To jest knajpa Dziergi, punkt początkowy. Każdy kolejny wierzchołek oznacza inne miejsce na mapie Pruszkowa. Chińska kuchnia koło Pieczary to numer dwa, trójka to knajpa przy stacji WKD. Są jeszcze dwa licea, stacja paliw na wylotówce z miasta, zaraz przy pomniku w stronę Grodziska. A w samym środku kebab na Bolesława Prusa, który ostatnio wpadł z ziołem. Pamiętasz, ten obok mieszkania Marty. No i największe gimnazjum w Pruszkowie, tuż przy Wojska Polskiego. Wszystko się zgadza.

– Czyli co?

– Liczby nad gałęziami. Wagi. Każda wartość czemuś odpowiada. W tym wypadku to odległości między punktami. Od jednego liceum do drugiego jest trzysta metrów. Od Pieczary do stacji benzynowej kilometr i osiemset metrów. Każda z wartości jest zgodna z rzeczywistością, sprawdziłem na mapie w internecie. Wystarczyło znaleźć punkt startowy.

Monika poprawiła się w fotelu. Zaciągnęła się dymem i wyrzuciła peta przez uchylone okno.

– No dobra – powiedziała. – I co z tego? Ten cały algorytm, o którym mi mówiłeś, co robi?

– Minimalne drzewo rozpinające. – Gabriel przetarł oczy. – Upraszcza graf w taki sposób, że nadal pozostaje spójny, a jednocześnie suma wag jest najmniejsza. Pozbywa się zbędnych krawędzi, eliminuje je. Zdaje mi się, że Marta używała algorytmu zachłannego Prima. Inaczej, znajduje najkrótszą drogę z jednego punktu do drugiego.

– Dobra, ale po co? Pruszków jest tak mały, że to bez różnicy, którą pojedziesz, i tak szybko dotrzesz na miejsce. Różnice są minimalne.

Gabriel wyrzucił niedopałek. Na zewnątrz rozpadało się na dobre. Szum przejeżdżających za ich plecami samochodów działał na komisarza kojąco. Odczekał minutę, zanim zamknął drzwi samochodu.

– Wiem – przyznał niechętnie. – Też tego nie rozumiem. Notatki Młodego są bez sensu. Droga tam rozpisana powtarza krawędzie, a na dodatek można ją pokonać szybciej. To, co znalazłem w koszu, wygląda jak narysowane od niechcenia.

Złożył kartkę i schował ponownie do kurtki.

– Równie dobrze Młody mógł jeździć z zawiązanymi oczami. Jeżeli rozwoził narkotyki, korzystając z wyliczeń Marty, był po prostu idiotą.

– Masz same domysły. – Monika napięła pas bezpieczeństwa i podłożyła go sobie pod głowę. – Czymś takim prokurator nawet się nie podetrze.

Ofiara była inteligentna, wiedział o tym. Coś w tych rysunkach musiało być, tylko nie mógł rozgryźć co.

– Udało ci znaleźć o niej coś nowego? – zmienił temat.

Monika zamknęła oczy.

– Nic ponad to, co wiedzieliśmy. Lewe nazwisko, dane, wszystko. Oryginał leży pewnie gdzieś na dnie jeziora, bo nie przebiegła ścieżki zdrowia. Esbecja pozbywała się problemów wyjątkowo sprawnie. Jeżeli ta prawdziwa Marta kolportowała ulotki czy robiła cokolwiek wbrew jedynej słusznej władzy, nigdy jej nie znajdziemy. A wszystko na to wskazuje, że tak właśnie było. Ursus, siedemdziesiąty szósty.

– Po cholere ktoś się natrudził, by przejąć jej dane?

– Sieroty wszyscy mają w dupie, a ona nią była.

– A Frączak i Ługowski?

– Nic ponad to, co ci już powiedziałam. Zniknęli z radaru po Afganistanie.

Monika znalazła wreszcie wygodną pozycję. Uznała rozmowę za skończoną. Gabriel wyjął z paczki kolejnego papierosa. On również był zmęczony, ale musiał wytrzymać. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał dwudziestą drugą czterdzieści. W solarium cały czas paliło się światło, ale nigdzie nie widział Adama.

W kieszeni kurtki spoczywały tabletki oraz nóż.

Obudził go huk zatrzasniętych drzwi.

W samochodzie został sam. Monika z bronią w ręku przebiegała na drugą stronę uliczki. Deszcz ograniczał pole widzenia do kilkunastu metrów. Gabriel wyskoczył z samochodu. Mięśnie miał jak rozgotowany makaron. Służbowa broń ciążyła w dłoni, nogi ślizgały się na mokrym podłożu. Stracił równowagę i uderzył ramieniem o zaparkowany obok pojazd.

Zastąpił mięśnie uziemiły Gabriela. Mógł tylko patrzeć na Adama Kupczyka, klęczącego przed betonowymi schodami prowadzącymi do solarium. Na ich szczycie stała Weronika, chroniąc pod kusą skórzaną kurtką Janka. Dzieciak wczepił się w jej nogi, blokując możliwość jakiegokolwiek ruchu. Przed Adamem stał Pilsz, a obok niego Monika. Obydwoje celowali w głowę klęczącego.

Przez deszcz przedzierał się zapach gumy. Odwrócił głowę, by zobaczyć, o co opiera się plecami. Ogromne opony terenowego samochodu. Zupełnie nowe. Mokre wyglądały, jakby wyjechały prosto z fabryki. Tak też pachniały. Gabriel podciągnął się do góry, cały czas obserwując sytuację przed solarium. Teraz to zauważył: samochód, który zaparkował obok nich, należał do Adama.

Wielkie isuzu trooper.

Nie było na nim widać nawet najmniejszych śladów niedawnego wypadku. Za to na drzwiach od strony pasażera Gabriel dostrzegł długą, głęboką ryse, jakby ktoś przejechał po karoserii nożem. Dostrzegł nawet penisa wrytego tuż przy wlewie paliwa. Adam widać stanął na jakimś miejscu parkingowym, co poskutkowało plemiennymi rytami na aucie.

Monika wprowadziła partnerkę Adama oraz ich dziecko do solarium. Na zewnątrz został tylko Pilsz, który nie spuszczał wzroku z podejrzanego. Sytuacja była opanowana.

Teraz Gabriel miał szansę.

Otworzył drzwi isuzu i oparł się o siedzenie pasażera. Leżał na nim model samochodu. Mini morris, którego wyniósł dla Janka z mieszkania Marty. Schował zabawkę do kieszeni, a wyciągnął z niej nóż. Narzędzie zbrodni wepchnął do schowka między mapy a kasety magnetofonowe. Technicy go znajdą, przetrząsając samochód. Gdy nie dopasują ostrza do żadnej z otwartych spraw, zamkną je w kartonowym pudełku w jakimś kącie magazynu i świat o nim zapomni. Dopóki Gabriel sam nie zdecyduje się ruszyć sprawy zakopanego w lesie faceta.

Odetchnął.

Pocisk przeszedł przez czaszkę Adama, wyrzucając w deszcz czerwoną mgłę.

Dzień szósty

Brawo! – Podinspektor Włodczyk klasnął w dłonie. – Wyglądacie jak gówno! Na twarzy dowodzącego pruszkowską komendą malowało się uczucie ulgi. Wyglądał, jakby zrzucił z jelita zbyt długo trawione burrito. Skóra twarzy pojaśniała, dziury po ospie niepojętym sposobem zaczęły dodawać mu powagi. Gabriel spoglądał na niego jak na nowo narodzonego. Zazdrościł mu tej pogody ducha.

– Spaliście w ogóle?

Wycelowany w Gabriela palec Włodczyka przesunął się w powietrzu i zatrzymał na Pilszu. Policjanci siedzieli oddaleni od siebie o kilka metrów. Trochę bliżej, a Byś nie gwarantował, że nie uszkodziłby kolegi przy pierwszej okazji.

– Trochę. – Janusz wyjątkowo nie miał w rękach batona. Obie dłonie trzymał na kolanach. – Trzeba było ogarnąć miejsce, dziennikarzy. Kupa roboty, ale daliśmy radę.

Wysilił się na uśmiech.

– Dobrze sobie poradziliście. – Włodczyk wstał zza biurka i zaczął krążyć po gabinecie. – Szkoda tylko, że pół jebanego Pruszkowa wczoraj przyłazło popatrzeć. Kurwa, ludzie przychodzili z dziećmi. Chuj, że z dziećmi. Ze smartfonami. Zdjęcia trupa są wszędzie. Wskoczyło mi nawet na jebanym fejsbuku, jak chciałem w spokoju napić się rano kawy! A wy, Pilsz, przestańcie szczerzyć ryj. Was tu nawet nie ma!

– To była egzekucja.

Gabriel był zmęczony. Noc spędził w samochodzie, gdzie nie miał nawet jak dojść do siebie. Każdy kolejny tramal wrzucony do gardła odsuwał go powoli od rzeczywistości. Tworzył wokół siebie bańkę z lekarstw, do której nikogo nie chciał wpuścić. Monika siedziała obok, zgrzytając zębami i odpalając papierosa jednego po drugim. Coraz więcej radiowozów przyjeżdżało pod solarium, zastawiało ulicę, odgradzając gapiów od widowiska. Najlepsza rozrywka w Pruszkowie od dziewięćdziesiątego szóstego i zastrzelenia Kiełbasy.

Mógł być dumny.

Miał miejsce w pierwszym rzędzie.

– Komisarzu Byś – Włodczyk zebrał palcem z blatu biurka niewidzialny dla innych kurz – rozumiem, że za wami ciężka noc i macie prawo być zmęczeni. Obaj. To, co teraz usłyszałem, zrzucę na karb niewyspania i chciałbym, żebyśmy do tego nie wracali.

– Monika wszystko potwierdzi. – Gabriel zachowywał się jak uczeń. Prymus z pierwszej ławki, którego wszyscy nienawidzą, bo właśnie przypomniał nauczycielowi o zapowiedzianej klasówce. – Widziała, co się stało.

– Sierżant Ruszka została już przesłuchana przez prokuratora Stachowicza.

– Co on tu w ogóle robi? – Gabriel wycelował palcem w Pilsza. – Skąd wiedziałeś, że Kupczyk tam będzie?

Trafił do krainy absurdu, był tego pewien. Na jego oczach policjant z zimną krwią zastrzelił głównego podejrzanego i nikogo to nie obeszło.

– Prokurator z tobą rozmawiał. – Włodczyk odchylił się na krześle. – Prawda?

– Tak – niechętnie przyznał Gabriel. – Ale...

– Aspirant Pilsz został tymczasowo zawieszony oraz odsunięty od śledztwa i dobrze pan wie, komisarzy, że wyjaśnieniem zajścia zajmie się dalej prokuratura.

– Sięgał po broń – powiedział Pilsz. – Monika to widziała.

– Pierdolisz! – Gabriel zerwał się z krzesła. – Stałem kilkanaście metrów od was. Kupczyk był obezwładniony. Na kolanach. Dokonałeś jebanej egzekucji!

– Spokój, kurwa! – Podinspektor przywalił grubą dłońią w blat. – Siad!

Stał jeszcze przez kilka sekund, nie chciał od razu spełniać rozkazu Włodczyka. Przyjął go też jednak z ulgą, ból wciąż trzymał w kleszczach kręgosłup. Gabriel potrzebował odpoczynku, gorącej kąpieli czy czegokolwiek, co pozwoli organizmowi na choćby minimalną regenerację. Najlepiej od razu.

– Przy Kupczykowi znaleziono broń. Glock kaliber dziewięć milimetrów. Czy nie od takiego pocisku zginęła Marta Zręb?

– Tak, ale...

– Badania wykażą, czy to była ta broń, ale już od tej chwili możemy głosić, że odnieśliśmy sukces.

Podinspektor otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej tablet.

– „Pruszków reaktywacja”. – Przesunął palcem po wyświetlaczu. – „Mafia pod solarium”, „Miasto grozy”... I mój osobisty faworyt: „Skwarka”. Każę go sobie wydrukować i powiesić na ścianie. Sprytne nawiązanie do przeszłości, nie uważacie?

Dziennikarze popisali się kreatywnością, której Gabriel mógł im pozazdrościć. On ledwo wypisywał raporty. Nie potrafił łać wody, gdy musiał przepisywać przez kalkę kolejne bzdury. Tony papierów zalegały w policyjnych archiwach, a on nie zamierzał dokładać tam kolejnych niepotrzebnych stronic. Musiał jednak przyznać, że teksty, które dziś zdobiły niemal wszystkie internetowe jedyńki, przyciągały tytułami. Reszta to wysrane z palca brednie, okraszone cytatem przechodnia, który wykazał się na tyle zaawansowaną głupotą, że zdecydował się coś powiedzieć reporterowi. Pewne było, że podinspektor Włodczyk, rzecznik komendy i wszyscy, którzy w niej pracują, przez najbliższe tygodnie będą musieli odpierać ataki prasy.

– To wszystko nie trzyma się kupy. – Gabriel postanowił spróbować z innej strony. – Kupczyk może i wyglądał na pozbawionego mózgu osiłka, ale to wyszkolony żołnierz. Mam przypomnieć o Afganistanie?

– To nie ma nic do rzeczy. – Włodczyk nieustannie wpatrywał się w ekran,

rozświetlony rozmytą fotografią miejsca wczorajszej strzelaniny. – To, że był w wojsku, jest bez znaczenia. Powiem więcej, działa na niekorzyść Kupczyka i dobrze o tym wiesz. Przeszkolony w zabijaniu. Dowiedział się, co wyrabiała jego panienska, i mu odbiło. Żołnierze po powrocie z misji tak mają.

Groch rzucony o ścianę miałby większą siłę przebicia niż słowa Gabriela.

– On myślał logicznie. Zabrał Janka z radiowozu i zdobył dla niego lekarstwo. Pieprzony inhalator na receptę. Dlatego nie zwiął z kraju. Zależało mu na synu, a jestem przekonany, że na Marcie również. Doskonale wiedział, co robiła. Pracował w Parasolu, a ona w agencji modelek. – Gabriel postawił w powietrzu znak cudzystowu. – Ich oboje łączy postać Andrzeja Dziergi. Tak jak Zenona Ługowskiego i Tomasza Frączaka. Cała trójka pracowała razem w agencji ochroniarskiej, jeździła na misje, a teraz dwójka z nich nie żyje. Może w końcu powinniśmy poszukać tego trzeciego?

– Nie przypominam sobie, żeby Tomasz Frączak był o cokolwiek podejrzewany. Żadnych śladów na miejscach zbrodni, które by na niego wskazywały, nie ma. Kupczyk chciał się pozbyć Ługowskiego i zrobił to w wyjątkowo efektowny sposób. Tyle.

– Po co miałby to robić?

– Nie wiem. – Podinspektor oderwał w końcu wzrok od tabletu. – Może chciał wyeliminować współnika, a może mu odjebało. Sam mówiłeś, że morderców było dwóch. I masz ich dwóch. Zrozum, Byś, gównu mnie to obchodzi. Mam swoje problemy. Ten smród zostawiam specjalnie dla prokuratora i jego w tym głowa, żeby na wszystko miał kwity. Jeżeli coś nie będzie pasowało, znajdzie sposób, by stało się inaczej.

Nie było dowodów na obronę tezy, że Kupczyk nie zamordował Marty. Włodczyk bezlitośnie to wykorzystał. Gabriel pocieszał się tylko jednym: jeżeli podinspektor chciał w Pruszkowie doczekać spokojnej emerytury, powinien zdecydować się na nią tydzień temu. Media wycisną go teraz jak szmatę. Nikt mu nie odpuści i dopóki prokurator nie zamknie sprawy lub dziennikarze nie znajdą nowej atrakcji, Włodczyk pozostanie na świeczniku.

– Rozmawiałem z pałacem. Są zadowoleni, a ja wystosuję odpowiednie pismo, w którym napiszę, że pomoc komisarza Bysia okazała się nieoceniona. – Wstał i wyciągnął rękę nad biurkiem. – Możesz z czystym sumieniem wracać do siebie.

Łapa wielkości spasionego kota i równie mocno owłosiona zawisła przed twarzą Gabriela. Odwlekał tę chwilę najdłużej jak mógł, ale w końcu wstał, żeby ucisnąć dłoń podinspektora. Nie dano mu nawet szansy na wyjaśnienie, do czego doszedł w sprawie grafów oraz ich zastosowań. W całej sprawie było więcej niedopowiedzeń i domysłów niż faktów. Jego rola w pruszkowskiej komendzie dobiegła właśnie końca.

– Dziękuję – burknął. – Cieszę się, że mogłem pomóc.

– Liczę, że tym razem lepiej zapamiętasz pracę z nami.

– Bez wątpienia.

Puścił dłoń Włodczyka, nie dając po sobie poznać, że podinspektor niemal zmiął mu kości śródrečia. Zrobiono z niego idiotę. Wybrano najłatwiejsze wyjście, a jedyna osoba, co do której miał pewność, że jest zamieszana w sprawę Marty Zręb, nie żyje. Prokurator zajmie się kompletowaniem kwitów, a Pilsz po szybko zamkniętym śledztwie wróci do pracy.

Wychodząc z gabinetu podinspektora, powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami, choć miał ochotę wyrwać je razem z framugą. Przy biurku, które mu udostępniono na tych kilka dni, zobaczył Monikę. Stała zgarbiona nad kartonowymi pudłami. Obok jej kościstych dłoni leżały dokumenty.

– Przysłali w końcu zdjęcia miejsc zbrodni, skany notatnika i takie tam. – Wpatrywała się w kałużę krwi rozlewającą się po matowym papierze fotografii. – Trzeba to wszystko uporządkować dla prokuratury.

Nie podniosła głowy, gdy Gabriel przy niej stanął. Odłożyła zdjęcie Marty do pudła i podniosła kolejne. Tym razem spoglądali na Ługowskiego, wiszącego jeszcze na stalowej linie.

– W porządku – powiedział.

Rozumiał jej decyzję. Sam miał ochotę się poddać. Pruszków wysłał z niego całą energię, ale on stąd zaraz odjedzie, a ona zostaje w komendzie na stałe. Codziennie będzie patrzyła na Pilsza, Włodczyka, czując na plecach gorący oddech Dziergi.

– Muszę mieć zajęcie. – Monika przetarła kciukiem fotografię. – Nie podziękowałam ci nawet.

– Dajesz radę?

– Nie. – Chwyciła kolejne zdjęcie. Widok na mieszkanie Marty. – Horror.

Mogła mówić o wszystkim. O palących ją kościach, sterczących na skórze włoskach lub o fotografii rodem z filmu klasy B, którą trzymała w dłoni. Gabriel już o tym nie myślał. Miał jeszcze szansę wszystko naprostować, zanim prokurator przyklepie sprawę, by słupki wykrywalności się podniosły. Bertrand nie wtrącał się do tej pory, ale kiedy media tak nachalnie wkroczyły na teren miasta, musiał zareagować. Teraz nie wypuści z rąk Adama Kupczyka, a jego truchło wystawi na pokaz publiczny. Kozioł ofiarny w najlepszej, martwej formie. Gabrielowi nie zależało już na sprawiedliwości; chciał tylko w końcu pokazać, że potrafi.

– Skopij mi to. – Wziął jeden z protokołów przesłuchania i zaczął czytać. – Wszystko, co tu masz.

– Nie kazali ci wracać do Warszawy?

– Włodczyk coś tam wspominał, ale w moim wieku wolno się trawi informacje.

Twarz dziewczyny odzyskała kolory. Czuł, że ma w niej sojusznika, choć kryła Pilsza. Jeżeli miała wobec aspiranta jakiś dług wdzięczności, to wobec niego miała znacznie większy.

– Teraz tego nie wyniosę. – Monika wrzuciła kolejny plik zdjęć do pudła. – Przyjedziesz do mnie później? Pokseruję wszystko.

Gabriel położył protokół na biurku i wskazał palcem na dół strony.

– Czytałaś to?

Ludzie ją drażnili. Miała ochotę wystąpić o pozwolenie na broń, najlepiej masowego rażenia. Po całonocnym siedzeniu na plastikowym krześle jej nogi wyglądały jak wyciągnięte z kwasu akumulatorowego. Opuchnięte, czerwone, do tego wyskoczyło na nich kilka ciemnych włosków. Kosmetyczka ostrzegła, że tak może być i zabieg depilacji trzeba będzie powtórzyć.

– Czego pan ode mnie chce?

Mężczyzna w piżamie stał przed Kaśką, trzymając w wyciągniętej dłoni kartkę z narysowanym kotem. Poznała zwierzę tylko dlatego, że zostało podpisane.

– Panie Mikołaju, proszę wrócić do siebie i nie przeszkadzać gościom.

Lekarka ominęła mężczyznę, nie zaszczycając go spojrzeniem.

– Już, już – pospieszyła go, machając dłonią. – Nie jest pani z rodziny, prawda?

Usiadła obok Kaśki. Sapała przy każdym ruchu, a lekarski kitel ledwo dopinał się na okrągłym brzuchu. Siódmy, ósmy miesiąc. Patrzyła na nogi Kaśki z zazdrością, bo choć przemęczone, nie wyglądały jak biała kiełbasa wyciągnięta z wrzątku. Lekarka wróciła do przeglądania trzymanyh w dłoniach kartek.

– Wie pani, że nie mogę przekazać żadnych informacji o stanie zdrowia naszej pacjentki.

– Wiem. – Kaśka przybrała minę skrzywdzonej dziewczynki. – Ale Joasia jest sama, nie ma nikogo. Opiekowałam się nią od dawna. Byłam... jestem dla niej jak córka.

Chciała się rozplakać. Podobno kobietom w ciąży wariują hormony, a branie na litość mogło pomóc. Lekarka popatrzyła na nią, dopisała coś na kartce i głośno strzeliła długopisem.

– Pokój sto dwanaście. – Wstała, podpierając się plastikowym krzesłem. – Ma pani pięć minut.

– Przeżyje?

– Zasłabła i była mocno odwodniona. Uzależnionym trudno wyrządzić krzywdę. Jest silniejsza, niż pani myśli, pożyje jeszcze długie lata.

Cudowna wiadomość o poranku.

– Dziękuję. – Wstała i uściśnęła dłoń lekarki. – Bardzo dziękuję.

– Pięć minut. Nie dłużej, musi odpocząć.

Patrząc, jak lekarka odchodzi, kołyszając się na boki, Kaśka nawet jej zazdrościła. Wyglądała na szczęśliwą z tym sterczącym brzuchem i dolegliwościami, którymi mogłaby obdzielić dwanaście osób.

Szpital w Tworkach nie miał najlepszej opinii. Co jakiś czas po mieście rozchodziła się plotka, że uciekł kolejny psychiczny i zjada dzieci w parku

Potulickich. Za to pijaków leczyli cudownie, a Joanna dostała skierowanie na oddział w trybie ekspresowym. Zanim ją wypuszczą, Kaśka będzie już daleko.

Stała przed drzwiami i zapukała. Joanna leżała na łóżku i patrzyła przez okno.

– Jak się czujesz?

Kolory wróciły do jej ciała i zamiast wypraną bielą emanowała teraz odcieniem starej pomarańczy. Staruszka podrapała się w okolicy wenflonu, a gdy odwróciła głowę, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Przyszłaś.

Zapadnięte powieki zamykały się i otwierały tak szybko, że Kaśka z trudem mogła zobaczyć źrenice kobiety.

– Oczywiście. – Wzięła krzesło i przystawiła do szpitalnego łóżka. – Mam coś dla ciebie.

Otworzyła torebkę. Musiała uważać, by nie wyciągnąć niechcący prezentu od Gabriela. Kokaina mogła rozbudzić Joannę i ściągnąć zastęp antyterrorystów. Jedno i drugie nie było jej teraz potrzebne. Różowe zawiniątko, które staruszka trzymała wczoraj w dłoniach, okazało się dziecięcym ubrankiem. Starym i nigdy nienoszonym inaczej niż na rękach Joanny.

– Sądziłam, że może się przydać.

Położyła ubranko na kołdrze. Joanna wzięła je i uniosła do twarzy.

– Chciałam dać jej na imię Agnieszka – wychrypiała. – Albo Ania. Nie zdecydowałam do końca.

– Przykro mi.

Znała całą historię. Teodor wyznał wszystko jak na spowiedzi, kiedy masowała jego półmartwego fiuta. Aborcja, odrzucenie i samotność. Przebrzmiały aktor nie zapewnił Joannie nic więcej. Uciekł przy pierwszej okazji, zostawiając ją bez środków do życia i powodu do oddychania.

– Stare dzieje, dziecko – powiedziała Joanna, chowając różowe ubranko pod kołdrę. – Potrzebuję czegoś jeszcze z domu.

Ostatnia rzecz i koniec. Kaśka nie powinna zwlekać dłużej z ucieczką. Dzierga musiał już wiedzieć, co zaszło w Suchym Lesie. W każdej chwili mogła podzielić los ochroniarza.

– O co chodzi?

– Czerwony notes. Oprawiony w skórę. Będzie w gabinecie.

– Przyniosę.

– Znalazłaś go? – Joanna odwróciła głowę i znowu patrzyła na drzewa rosnące za oknem. – Teodora.

Nie musiała doprecyzowywać. Kaśka widziała, o kogo pyta.

– Tak. Nie żyje – powiedziała. – Zdechł jak pies.

Ujadanie usłyszał już na parterze. Zwierzak musiał mieć przynajmniej metr w kłębie, inaczej Gabriel nie słyszałby go aż tak wyraźnie. Uwielbiał psy, choć

one nie podzielały jego uczuć. Nieufne i przerażone tysiącem zapachów, jakie na sobie nosił, reagowały agresją na każdą próbę zaprzyjaźnienia się. Obawiał się, że teraz też tak będzie.

Przez niewielkie okna klatki schodowej doskonale widział całe osiedle. Jednakowe bloki, balkony i talerze satelitarne wycelowane w niebo. Kopiuj wklej epoki socjalizmu. Nawet powstające teraz budynki, choć wyglądały nowocześnie, powielały schematy przeszłości. Beton, ciasnota, tylko azbestu mniej.

W oddali biły kościelne dzwony. Boży przybytek, stojący w samym środku osiedla, wyglądał jak statek kosmiczny. Budowa kościoła Świętego Józefa zajęła lata i pochłonęła grube pieniądze, które parafianie tak chętnie rzucali na tacę. Proboszcz ich większość zostawił w kasynie. Nowoczesna bryła kościoła straszyla dzieciaki, które miały zajęcia w stojącej obok szkole podstawowej. Pakerom z siłowni, umieszczonej w jej podziemiach, to nie przeszkadzało. Podobnie jak mieszkańcom bloku, w którym się właśnie znajdował. Na każdych drzwiach widział napisane kredą inicjały Trzech Króli.

Zapukał. Szczekanie na chwilę ustało, a później wróciło z podwójną siłą, choć przytłumione.

– Zamknęłam Andrzeja w łazience.

Kobieta, która otworzyła mu drzwi, przywitała go szczerym uśmiechem.

– Nie lubi gości. – Przesunęła się, dając mu znak, że może bez obaw wejść do mieszkania. – Ale to dobry pies. Tylko nerwowy.

– Jak każdy. – Uśmiechnął się. – Dziękuję.

Mieszkanie lśniło. W różowych płytkach, którymi wyłożona została podłoga, Gabriel widział odbicie boazerii. Przed laty stanowiło to synonim luksusu.

Zaprosiła go do kuchni. Ubrana w staromodny fartuch i za duże klapki przypominała szkolną woźną, ale biła od niej słodycz. Powagi dodawały siwe włosy, upięte w staromodny kok.

– Mógłby pan powtórzyć nazwisko? Domofon strasznie zniekształca głos. No nic nie słyhać.

Podniosła z kuchni czajnik i napełniła go wodą.

– Komisarz Gabriel Byś z Komendy Stołecznej. Chciałem porozmawiać z pani synem.

– Odsypia w swoim pokoju. – Włączyła gaz, z wnętrza czajnika zaczęły wydobywać się dziwne odgłosy. – Dużo śpi ostatnio, prawie w ogóle nie wychodzi z domu. Zrobił coś złego?

Wyglądała na wystraszoną, ale starała się to maskować. Dłonie zaplotła na brzuchu, by Gabriel nie widział, jak się trzęsą.

– Nie – uspokoił ją. – Chcę po prostu coś wyjaśnić. Pójdę do niego.

– Słodzi pan? – Wrzuciła do szklanki torebkę herbaty. – Wygląda pan na takiego, co potrzebuje cukru. Trochę krzepy nie zaszkodzi.

– Dwie poproszę.

Zostawił kobietę w kuchni, ale wiedział, że pojawi się pod drzwiami pokoju

syna, by nasłuchiwać. Andrzej warknął złowieszczo, gdy mijał drzwi łazienki.

Chłopak nie spał.

Siedział na tapczanie i ręką wygładzał nierówności brązowej narzuty. Na ścianie wisiała antyrama wielkości stolika z piłkarzykami, a pod brudnym szkłem ukrywała się postać Roberta DeNiro, celującego w patrzącego z rewolweru. Innych ozdób Gabriel nie zauważył. Nieustawny pokój z gatunku tramwajowych, gdzie jedną ścianę zajmowała meblościanka, a drugą tapczan i biurko. W środku zostawał przesmyk nie szerszy niż metr.

Klaustrofobii dostawało się od pierwszej sekundy.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego. – Gabriel wysunął spod biurka obrotowy fotel i usiadł. – Gdzie masz nóż?

Michał Woźniak coraz mocniej ścisnął kolana. Wpatrzony w swoje bose stopy, próbował stać się niewidzialny. Sprana piżama sprawiała, że wyglądał na młodszego.

– Nie rozumiem – odezwał się najciszej, jak potrafił. – Wszystko panu powiedziałem.

– No tak. – Gabriel odchylił się i zaczął się kołysać. – Widzisz, przemilczałeś fakt, że w klatce obok masz znajomego. A raczej miałeś, ale tego możesz nie wiedzieć, bo widząc, w jakim jesteś stanie, przypuszczam, że nie śledzisz doniesień ze świata.

Chłopak podniósł głowę i spojrzał na Gabriela.

– Adam Kupczyk nie żyje. Ulżyło?

– Nie. – Spuścił wzrok.

– Od początku coś mi tu nie pasowało. Dlaczego w mieszkaniu Marty przez całą noc siedział Janek? Oczko w głowie tatusia, ukochany potomek. Jakieś pomysły?

Cisza.

– Adam nigdy nie zostawiał Janka z kimś sam na sam, tak przynajmniej twierdziła Weronika. – Gabriel zaczął kręcić się na boki. – Nie ufam eksdziewczynom, ale ta powiedziała coś, co teraz nabrało sensu. Adama trzeba było czymś zająć tamtej nocy, prawda? Nie mógł pojawić się w mieszkaniu Marty. Dlaczego?

– Poprosiła mnie o to.

– Ukochane auto Adama. Porysowane i z przebitymi oponami. Nie mógł tego tak zostawić.

Zadbane i dopieszczone isuzu stało teraz na policyjnym parkingu. Technicy patroszyli je cały ranek i z pewnością w raporcie wspomną o nowych oponach oraz poharatanym boku. Gabriel nie wierzył w przypadki. Protokół z przesłuchania Michała i adres bloku pokrywający się z adresem Kupczyka nie mogły nimi być. W takich miejscach sąsiedzi się znają. Nawet z widzenia.

A Kupczyka trudno było nie zauważyć.

– Wariował przy tym samochodzie. – Michał podciągnął nogi pod brodę. – Widziałem przez okno w kuchni. Nie miałem pojęcia, że Marta zginie tej nocy.

Że zginie, jak jego tam nie będzie.

– Czyli jednak byliście kochankami?

– Nie. – Wyprostował się. – To, co mówiłem o nas, to prawda. Ja chciałem, ona nie. Odsunęła mnie, unikała. Dopiero przeprowadzka zapowiadała zmiany. Otworzyła się, więcej rozmawialiśmy. Nie odbierała ode mnie telefonów, sama dzwoniła z różnych numerów, ale byliśmy przyjaciółmi.

– Komu tak zależało za skórę, że musiała zginąć?

Pragnął usłyszeć jedno słowo.

Dzierga.

Marzył, by rezydujący w podziemiach grubas okazał się winny. By mógł go zamknąć i odpłacić za to, co zgotował mu w Suchym Lesie.

– Marta miała dość pracy. Ciągłe klienci, coraz gorsi, biedniejsi. – Michał pociągnął nosem. – A ona chciała się uczyć, żyć jak inni. W każdej wolnej chwili siedziała przed komputerem i coś robiła. Szkoliła się. Ale nie była stąd, to nie jej świat i coraz bardziej to odczuwała. A on ją zmuszał, stawał się agresywny i nieprzewidywalny.

– Kto?

– Adam. Nie kochała go. Nikogo nie kochała, chciała tylko spokoju. Za to cały czas się bała. Wynajęła nas z Arkiem do przewiezienia rzeczy z mieszkania. Ja miałem dostać coś więcej za te opony. Mówiła, że po tym wieczorze w końcu wszystko będzie tak, jak chciała. Miały skończyć się problemy z facetem, z szefem. Ze wszystkim.

Chłopak mówił coraz ciszej. Gabriel musiał podjechać fotelem bliżej tapczanu. Wiedział, że matka Michała stoi pod drzwiami i słyszy każde słowo, ale nie chciał pytać jej później, co syn powiedział. Wolał usłyszeć wszystko sam.

– Kłopoty z szefem? Czyli kim?

– Nie wiem. – Michał odsunął się. – Nie mówiła mi, kto to jest. Wiem tylko, że się go bała, bo transporty nie szły tak, jak zakładano. Tylko raz mi o tym powiedziała, nie wiem, o co mogło chodzić. Dużo wiedziała, wiem, że gromadziła informacje od dawna, ale nie chciała o tym rozmawiać. Przepraszam, mogłem powiedzieć to wcześniej. Żałuję, że nie wyciągnąłem z niej więcej, może by wtedy żyła.

– Wątpię. – Gabriel podniósł się z fotela i odstawił go z powrotem pod biurko. – To nie twoja wina. Marta była zagadką nie tylko dla ciebie.

– Wiem, jak miała naprawdę na imię. Zdradziła mi to, kiedy poprosiła o zatrzymanie Adama w mieszkaniu. Mówiła, że uczestniczę w czymś ważnym, a ja uwierzyłem.

Wstał z tapczanu, minął Gabriela i z szuflady biurka wyciągnął notes. Najwyraźniej od kilku dni nie korzystał z prysznicza. Pasowali do siebie. Michał nerwowo przerzucał kartki.

– To jej pismo – powiedział, wyciągając przed siebie notes. – Piękne.

– Jovanka Sekulovic – przeczytał Gabriel na głos. – Chorwatka?

– Serbka. Tak mi powiedziała. Miałem to zatrzymać na wszelki wypadek, ale teraz chyba już nie mam po co. Reszta była u niej.

Wepchnął Gabrielowi kartkę wyrwaną z notesu i wrócił na tapczan.

– Reszta? Masz na myśli te matematyczne notatki?

– Nie. Dokumenty czy jakieś zdjęcia. Mówiłem, nie zwierzała mi się. Trzymała je na takim śmiesznym pendrivie, wyglądał jak resorak.

Jeżeli szczęście przychodzi na zawołanie, Gabriel musiał cholernie głośno wołać. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej mini morrisa. Obejrzał zabawkę. Pod spodem znalazł małą dźwignię, a gdy ją przesunął, klapa od silnika otworzyła się, odsłaniając złącze USB.

– Masz komputer?

Chłopak wskazał leżący na regale laptop. Gabriel chwycił sprzęt i otworzył pokrywę.

– Czy są jeszcze jakieś rzeczy, o których powinienem wiedzieć?

– Nie.

– Ile ci zapłaciła za to, żebyś przeciął opony w samochodzie Adama?

Pięć stów. Chrysteprzenajświętszy.

Kaśka usłyszała głos pani Haliny, jak tylko otworzyła drzwi. Wcześniej stała przed domem i obserwowała go przez pół godziny. Widziała ruch w środku, nie spodziewała się goryli Dziergi, ale wołała dmuchać na zimne. Dopiero gdy ujrzała w oknie twarz Haliny, zdecydowała się wejść. Z gabinetu Joanny wprost na korytarz wylewały się stosy gazet. Kaśka musiała je przeskoczyć.

– Co jest?

Gabinet jeszcze wczoraj wyglądał jak mauzoleum Lenina, gdzie kurz stanowił główną atrakcję. Teraz przypominał pobożowisko, a w samym jego środku klęczała Halina i kartkowała kolejną gazetę.

– Nic. – Kobieta odrzuciła na bok „Trybunę Ludu”. – Tu nic nie ma.

– A czego się spodziewałaś? – Podeszła bliżej. – Diamentów?

Obok Haliny leżała niewielka kupka banknotów. W większości dwudziestozłotowych, ale Kaśka widziała też dwie pięćdziesiątki i jedną setkę. Były również monety. Głównie pięciogroszówki.

– Wróci?

– Tak. – Minęła Halinę i podeszła do regału, na którym Joanna trzymała swoje pudełko ze skarbami.

– Kiedy?

– Nie wiem. Nieprędko, ale i tak trzeba uprzątnąć ten burdel.

– Wiem. – Kobieta podniosła się i przyłożyła dłonie do kręgosłupa. – Jak do mnie zadzwoniłaś, myślałam, że to koniec. Sama rozumiesz.

Rozumiała. Płacono im za opiekę, ale nie tyle, by spokojnie odkładać na emeryturę. Halina swoją miała, ale recepty też musiała za coś wykupywać. Nie oceniała jej, była po prostu szybsza.

– Możemy się podzielić – powiedziała Halina boleściwie, wpatrując się w niewielki stosik. – I tak się nie zorientuje.

– Weź wszystko.

Swoje pieniądze Kaśka miała. Zbierała je od dawna. Czekwały na ten dzień bezpiecznie schowane. Parę stów nic nie zmieni, ma środki, żeby zacząć nowe życie nawet w Norwegii. Nie zdecydowała jeszcze, gdzie się zaszyje, ale byle dalej od krainy, gdzie nie płynęło nic prócz wódki. Najbliższe miesiące spędzi na przyzwyczajaniu się do normalnej egzystencji. Pobudek bez bólu, krwotoków i zmęczenia.

– Dziękuję, Kasiu. – Halina pochyliła się i zebrała pieniądze. – Uprzątnę wieczorem.

– Jasne.

– Czuję się jak ksiądz po kolędzie. – Poprawiła zakiet. – Tylko mniej się trzeba nachodzić. Szukasz czegoś, dziecko?

Wpatrywała się w wybebeszoną szkatułkę, stojącą na biurku. Zdjęcia Joanny tańczyły w nieładzie, wymieszane z wycinkami gazet i resztkami zasuszonych kwiatów. Halina ruszyła do drzwi.

– Wrócę wieczorem.

Została sam na sam z zapachami starości. Atakowały ją z każdej strony tak intensywnie, że musiała otworzyć okno. Przeciąg zdmuchnął z biurka skarby Joanny i rozłożył je na podłodze. Schyliła się, by je pozbierać. Każde zdjęcie oglądała dokładnie, jeżeli jej matka stała gdzieś w tle, znajdzie ją. Z każdą kolejną fotografią traciła nadzieję. Miała w kolekcji aktorów, scenografów, a nawet jednego choreografa. Na odwrocie fotografii Joanna skrupulatnie wszystkich opisywała. Również Teodora, rozpartego na kanapie i sączącego szampana ze szklanki. W ogromnych okularach odbijała się uśmiechnięta Joanna.

Kaśka zebrała i upchnęła wszystkie pamiątki z powrotem do szkatułki. Nie przyszła tu się rozckliwiać. Od tego miała wenezuelskie seriale, które oglądała o poranku, lecząc rany po nocy. Jedyne, co znalazła, to kolejne dziecięce ubranka poupychane w szufladach biurka i za książkami na regałach. Wymięte, brudne i powycierane od częstego dotykania.

Notes oprawny w czerwoną skórę leżał na dnie szuflady w biurku. Kaśka przewertowała cały. Tylko numery telefonów. Setki, jeden pod drugim, bez żadnych informacji przypisujących ciągi liczb do właścicieli. Wyciągnęła komórkę i wpisała pierwszy, który wydał się jej interesujący.

W słuchawce usłyszała kobiecy głos, przemawiający do niej spokojnym tonem.

„Wybrany numer nie istnieje”.

Smartfon wylądował między kasetami. Idealnie wpasował się w przestrzeń na plastikowe pudełko.

Małe zwycięstwa.

Dym drapał w gardle, a świadomość, że nie rozmawiał z Alicją od ponad doby, załatwiała całą resztę. Żona nie odbierała telefonów, za to ojciec namiętnie próbował się dodzwonić. Informacja o szaleńczej nocy w Pruszkowie roznosiła się jak dzuma. W każdej stacji radiowej Gabriel słyszał głosy komentujące sprawę i przywołujące duchy przeszłości. Któryś z redaktorów przyrównał wczorajszą strzelaninę do zabójstwa Kiełbasy, wtórowały mu głosy ekspertów ściągniętych w ostatniej chwili przed mikrofon.

Gabriel wyłączył radio, zabrał telefon i wysiadł z samochodu. Ruszył w stronę bloku. Robert czekał w swoim mieszkaniu, choć kiedy się umawiali, nie wydawał się pomysłem zachwycony. Komisarz trafił na dzień wolny kumpla, ale potrzebował go bardziej niż on spokoju czy zimnego piwa. Freelancerka to doskonała inwestycja w samorozwój, o ile jest się zdyscyplinowanym i nakierowanym na cel. Robert taki był, ale dla spokoju

ducha raz w tygodniu odcinał się od wszystkiego.

A Gabriel mu to właśnie zniszczył.

– Wisisz mi dużą paczkę chipsów – usłyszał od Roberta, ledwie stanął w drzwiach. – No i przydałby się jakiś nowy wood.

Golf to sport dla ludzi wytrzymałych fizycznie. Obaj udawali, że tacy właśnie są, ale każdą partyjkę na dachu mocno odchorowywali. Gabriel leczył się tramalem. Robert słodyczami.

– Jesteśmy sami?

– Anka siedzi w salonie. A co?

Wyciągnął z kieszeni mini morrisa i podał Robertowi.

– Powodzi się. – Bez oglądania zabawki wysunął USB. – Cztery giga czy osiem?

– Nie wiem. Bardziej interesuje mnie to, co jest w środku.

– To właśnie jest w środku.

Robert zamknął drzwi swojej samotni, a Gabriel poszedł do salonu. Żona przyjaciela siedziała na kanapie i czytała książkę. Byś nie przypominał sobie, by choć raz widział ją z telefonem czy tabletem w ręku. Stanowiła absolutne przeciwieństwo Roberta. Atechniczna, spokojna i chuda.

– Hej, detektywie. – Anka odłożyła książkę. – Napijesz się czegoś? A może coś zjesz?

– Dzięki, babciu, ale nie.

Pocałował ją w policzek.

– Drapiesz. – Pomasowała skórę. – No i cuchniesz.

– Miałem ciężką noc. Może słyszałaś.

– Każdy słyszał. Alicja do mnie dzwoniła. Pytała, czy wiem, co się z tobą dzieje.

No, to teraz miał dopiero kłopoty.

– Co jej powiedziałaś?

– Nic, bo nic nie wiedziałam. – Wstała z kanapy. – Mogłeś do niej chociaż zadzwonić. Chodź do kuchni, nakarmię cię, bo zaczynasz przypominać menela. W takim stanie się jej przecież nie pokażesz.

Drzwi do pokoju Roberta były zamknięte. Gabriel, wkładając pendrive'a do komputera, liczył na cud. Dokumenty przewozowe, kontakty do dilerów z zagranicy, nagrania z monitoringów stoczniowych. Cokolwiek, co mogłoby naprowadzić policję na ślad narkotyków. Te krążyły po mieście i nie trzeba się było zbytnio trudzić, żeby je dostać. Wystarczył telefon, a Młody wsiadał na skuter i dostarczał zamówienie pod wskazany adres. Ale do Pruszkowa też musiały jakoś dotrzeć.

Na przenośnym dysku znalazł zdjęcia. Pokażną liczbę. Góry, morze i lamy jedzące trawę. Koty wpatrujące się w przestrzeń stanowiły główny motyw ponad połowy plików. Żadnych katalogów, żadnej segregacji. Nic. Zbiór zdjęć, które niczego nie odkrywały. Jeżeli Marta zbierała informacje, tam ich nie było. Robert stanowił ostatnią szansę, że cokolwiek uda się z mini morrisa

wycisnąć.

– Między wami w porządku?

Anka otworzyła lodówkę. Światło zamrugało, a po chwili zgasło. Westchnęła i wyciągnęła ze środka kawałek ciasta z rabarbarem.

– Co masz na myśli? – Usiadł na plastikowym stołku, który wydał z siebie nieprzyjemne skrzypnięcie. – Jest okej.

– Chodziło mi o to, jak się wam żyje. Wszystko gra?

Postawiła przed Gabrielem ciasto na talerzyku, obok położyła łyżeczkę. Usiadła naprzeciwko i zaczęła się w niego wpatrywać.

– Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? – Ciasto było zimne i rozpadało się przy próbie odkrojenia kawałka. – Dobrze. Sama piekłaś?

– Nie żartuj. Nie wiem nawet, jak włącza się piekarnik. Robert upiekł.

– Serio? – Odkroił kolejny kawałek. – Człowiek wielu talentów. U nas wszystko gra. Chyba że Alicja powiedziała ci inaczej.

– Nie – zaprzeczyła. – Dawno razem nigdzie nie wychodziliśmy. Jakaś kawa na mieście we czwórkę?

Nie uspokoiła go. Alicja uzewnętrzniała się obcym częściej niż jemu. Zbyt długo siedział w pracy. Topił się w niej, a wszystko wokół znikało. Żona go wyławiała, wyciągała na powierzchnię i robiła usta-usta. Rzadko rewanzował się tym samym. Za rzadko.

– Wiesz, jak jest. Mam dużo pracy.

– Robert też, ale jakoś znajduje dla mnie czas.

– Nie rób mi wyrzutów, okej? – Odsunął talerz z resztką ciasta. – Mam trochę inną robotę niż on.

– Chciałabym po prostu, żeby między wami było dobrze, i tyle. Teraz to szczególnie ważne.

– Teraz?

– Byś, rusz tu dupę!

Wrzask przedarł się przez betonowe ściany. Gabriel usłyszał go, zupełnie jakby kumpel krzyknął mu nad uchem. Robert mówił do niego po nazwisku tylko w sytuacjach ekstremalnych. Ostatni raz trzy lata temu, gdy po pijaku postanowili rozpalić grilla na dachu bloku. Byś poddał się dopiero po reprimendzie przyjaciela i czterech opakowaniach zapalek. Padający wtedy śnieg nie miał takiej siły sprawczej jak głos Roberta.

– Chyba go wkurzyłeś. – Anka zabrała resztę ciasta i zgarnęła ją do śmietnika. – Idź. Praca czeka.

Ta kobieta potrafiła dopiec każdemu. Robert wspominał o nadnaturalnych zdolnościach Anny w wynajdywaniu słabych punktów u płci przeciwnej, ale nie podejrzewał, że tak skutecznie potrafi je wykorzystać. Jedno zdanie sprawiło, że miał dość bycia policjantem.

– Ta, dzięki.

Pracownia Roberta stanowiła miłą odmianę po niemal sterylnej kuchni oraz salonie. Leżące na podłodze puste puszki po coli i opakowania po chipsach

odciągały wzrok od czegoś, co kilka lat temu miało być fikusem. Teraz stało się sterczącym i suchym drągiem na parapecie. Robert nie odwrócił się, gdy Gabriel wszedł do środka.

– Drzwi zamknij.

Posłuchał. Chciał wziąć coś do siedzenia, ale samotnia Roberta nie oferowała drugiego fotela.

– Co jest?

– W coś ty się, kurwa, wpakował?

To, co Gabriel zobaczył na ekranie, nie przypominało kotka.

Rany gnilne rzadko kiedy tak wyglądają.

Cuchnęło zepsutym mięsem.

Kaśka położyła notes na kuchennym blacie. Otworzyła lodówkę i głęboko zaciągnęła się zapachem. Nic. Czuła resztkę sopockiej, ale nic więcej. Dotknęła szynki palcem, ale mięso nie było nawet obślizgłe. Wzięła do ust plasterek.

– Dziwne. – Zamknęła lodówkę.

Usiadła na krześle i przejrzała listę połączeń. Wybrała siedemnaście numerów z czerwonego notesu Joanny. Na chybił trafił i z różnych stron. Większość przywitała ją informacją, że podany numer nie istnieje. Reszta o tym, że abonent jest poza zasięgiem. Joanna mogła po prostu zapisywać ciągi cyfr bez ładu i składu. W głowie staruszki panował chaos. Alkohol pomagał go okiełznać. Notes musiał być ujściem, wentylem bezpieczeństwa używanym w najgorszych sytuacjach. Inaczej gdzieś by się w końcu dodzwoniła.

Miała cholerne szczęście, że Joanna nie zdążyła wypić tego, co jej przygotowała. Czekając na karetkę, wylała wybielacz do kibla i trzy razy spuściła wodę, by pozbyć się zapachu. Smród podążał za nią, odkąd wyszła z domu staruszki. Noc w szpitalu, kolejna wizyta u Joanny. Czuła, że śmierdzi. Każdy centymetr skóry wydierał zapachy, od których robiło się jej niedobrze. Wstała i poszła do łazienki.

– Tego mi trzeba. – Odkręciła wodę.

Na dłoń wylała trochę płynu do kąpieli i rozpuściła pod strumieniem. Wanna łuszczyła się tu i ówdzie, a jej biel dawno przeszła w nikotynową żółć. Idealnie pasowała do łazienki, której świeżość też pozostawiała dużo do życzenia. Kaśka mogła za to siedzieć w wannie bez podkurczania nóg. Fajna sprawa, kiedy każdy ruch sprawia ból. Rozebrała się. Obejrzała ciało w lustrze. Siniaki przybierały nowe odcienie żółci.

Zostawiła odkręcony kran i poszła do sypialni. Smród cały czas podążał za nią; miała nawet wrażenie, że z każdym krokiem się potęguje. Wyciągnęła z szafy walizkę, rzuciła ją na łóżko. Zaczęła wkładać do niej leżące na półkach ubrania. Nie wybierała niczego szczególnego, wewnątrz lądowały wszystkie czyste rzeczy. Zostawiła jedną trzecią walizki pustą. Miejsce na gotówkę. Jej

skarb na końcu tęczy.

Podeszła do komody. Teddy wciąż leżał na blacie, wybebeszony. Wata rozlazła się na boki, a Kaśka nie miała czasu, by pozszywać przyjaciela. Pogłaskała go po głowie, zebrała resztki pluszowych wnętrzności i wcisnęła do brzucha maskotki. Stała obok komody, napała na nią całym ciężarem i przesunęła w stronę okna. Skrytka pod parkietem była najlepszą decyzją, jaką podjęła. Kucie w betonowej wylewce nie należało do przyjemności, ale było warto. Zmieściła tam prawie sto tysięcy.

Jej kapitał początkowy.

Uklęka i paznokciem podważyła jedną klepkę. Odeszła bez problemu. Kolejna również. Zatrzymała się. Nie tak je układała, nie w takiej kolejności. Sęki pokryte grubą warstwą lakieru powinny tworzyć jeden wzór.

– Nie! – krzyknęła, odrywając kolejne klepki. – Nie, nie, nie!

Hałas spadających na podłogę deszczułek odbijał się echem od ścian. Kaśka rzucała nimi bez opamiętania. Lampa wisząca nad łóżkiem rozprysła się, obsypując pościel drobkami szkła.

W wydrążonym betonie umieściła metalową skrzynkę. Bez zamka, kłódki, najprostszą, jaką znalazła.

Podniosła wieko skrytki.

Wewnątrz leżała kartka, przygnieciona truchłem szczura.

„Kawa? A.D.”.

Ciągle zapominam. Mleko?

Anka postawiła kawę na środku biurka.

– O, jaki śliczny kotek. – Spojrzała na ekran. – Chyba nie chcecie kupić teraz kota, co?

– Nie lubię kotów. – Gabriel uśmiechnął się przepaszająco. – Drażnią mnie.

– No tak. Nie przeszkadzam, chłopaki. Miłej zabawy.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Robert odczekał i upewnił się, że żona nie podsłuchuje, przytulona do framugi.

– Możesz wylać do fikusa.

– Dzięki. – Gabriel posłuchał rady. Anka w kuchni potrafiła robić jedynie dobre wrażenie. – A teraz konkrety.

Robert przełączył widok na ekranie. Zniknął kalejdoskop zwierzaków, a zastąpiły go zmasakrowane ciała.

– Serio nie poznałeś, że coś nie gra?

– Miałem w rękach pendrive zamordowanej pełen jebanych kotów, to chyba oczywiste, że coś jest nie tak. Inaczej bym tu nie przylazł.

– Nie o to mi chodzi. – Robert poruszył kursorem i najechał na jeden z plików. – Przy tej rozdzielczości waży więcej niż powinien. Dodatkowo zdjęcia są w BMP. Bezstratny format. To już powinno dać ci do myślenia. O ile nie używasz Painta wątpię, żebyś go kiedyś widział.

– Nie lubimy się z nowymi technologiami.

– To nie jest nowa technologia.

Zaczynało go to męczyć. Cierpliwość Gabriela miała swoje granice, a Robert niebezpiecznie szybko się do nich zbliżał.

– Dobra. – Odsunął się od kumpla, by nabrać oddechu. – Jak to zrobiłeś? Jak zamieniłeś sierściucha w... to.

Praca Bysia polegała na oglądaniu ciał. Różne stadia rozkładu, wnętrzności, robaki. Przywykł, ale widok masowego grobu, nawet na zdjęciu, skręcał mu jelita. Babcia, oprócz sutych obiadów, karmiła go także opowieściami z Dachau. Tylko ona i tylko gdy byli sami. Dziadek nigdy nie wracał do przeszłości. Gabriel chłonał opowieść, a ona nie przestawała mówić. Do dziś pamięta, jak opisywała stosy leżących na śniegu ubrań, butów i okularów. Skręcone ciała wepchnięte w głęboki dół.

Przed oczami miał teraz powtórkę w czerni i bieli.

Bez śniegu, tylko błoto.

– Nie postarała się. – Robert włączył wyszukiwarkę i przeciągnął do przeglądarki jedno ze zdjęć. – Widzisz?

Ekran monitora rozświetliły zdjęcia kotów. Pierwsze wyglądało identycznie jak to, które Robert wybrał ze sterty fotografii.

– Bez problemu znalazłem każde ze zdjęć, które było na pendrivie.

– Okej, czyli na dysku były zdjęcia, które znalazła w internecie. Ale po co?

– Potrzebujesz klucza do odczytania danych. W tym wypadku oryginalnego pliku. Jak go masz, trzy kliknięcia w Photoshopie i gotowe. Można było to zrobić łatwiej, a ta twoja ofiara wszystko robiła ręcznie. Są do tego programy, a ona każdy plik przygotowała oddzielnie. Po cholere ludzie się tak męczą?

Dalej nie rozumiał metody, którą posłużyła się Marta, by zamaskować zdjęcia. Obrazy pełne trupów schowane pod płaszczem z domowych zwierząt.

– Jeszcze raz, ale wolniej.

– To steganografia. – Robert wyłamał palce w obu dłoniach. – Sposób na ukrycie informacji tak, by nikt jej nie widział. Coś jak kod czy płaszcz. Przykrywasz istotną informację badziewiem. Amerykańscy żołnierze podczas wojny w Wietnamie powiekami nadawali kodem Morse'a, że są torturowani. Żółtki ich nagrywali, gdy mówili, jak dobrze ich traktują, a oni prawdziwą wersję przekazywali mruganiem. Nawet producenci drukarek to robią i znaczą wydruki numerem seryjnym. Niewidocznym dla ludzkiego oka oczywiście. W tym wypadku posłużono się zdjęciem, by ukryć inne. Tylko żeby nie stracić najważniejszego, potrzeba bezstratnego formatu. Stąd właśnie BMP.

Patrząc na minę Roberta, Gabriel miał pewność, że to, co usłyszał, w zupełności powinno wystarczyć za wytłumaczenie. Nie mógł liczyć na powtórkę ani taryfę ulgową.

– Da się to poznać, patrząc na pliki?

– Jeżeli wiesz, gdzie szukać.

– W każdym coś jest? – Gabriel przysunął się bliżej kumpla. – Kiedy wstawisz

tu jakieś krzesło dla gości?

– Kiedy będę chciał ich przyjmować.

Nie odrywając oczu od monitora, Robert wyciągnął spod biurka rybackie siedzisko. Gabriel rozłożył je i z radością klapnął obok.

– Jeszcze nie odczytałem wszystkich. Ale sądzę, że tak.

– Trupy?

– Też. – Robert obejrzał się przez ramię. Drzwi do pokoju nadal pozostawały zamknięte. – Słuchaj, kim była ta dziewczyna? Pieprzyć trupy, czołgi, pocztówki z misiem, jakieś listy, ale to?

Kliknął w kolejne zdjęcie. Gabriel spoglądał na dziewczynkę, nie więcej niż trzynastoletnią, wypiętą w stronę fotografującego. Nagą, przywiązaną za przeguby do metalowego wezglowia. Profil ukrywała pod spoconymi włosami. Brudnymi, pełnymi poskręcanych straków. Po udach ciekła krew, a między rozciągniętymi na boki kolanami, utworzyła się brunatna kałuża. Prześcieradło pełne było takich plam.

– Kiepskiej jakości. – Gabriel odwrócił wzrok. – To przez to ukrywanie?

– Powiedzmy. Trzeba zmieniać wartości na poszczególnych kanałach, to trochę psuje jakość.

– A to?

Przysunął palec do monitora. Zatrzymał go kilka milimetrów przed wyświetlaczem. Raz go dotknął i nie zamierzał powtarzać swojego błędu. Robert nie lubił, gdy ingerowano w jego świat. Nawet jeżeli dotyczyło to zebrania opuszkami odrobiny kurzu.

– To zaciemnienie na pośladku? – Robert przysunął głowę do ekranu. – Poczekaj, powiększ.

Obraz po przybliżeniu rozmywał się, jednak cały czas można było odczytać najważniejsze. Gabriel wiedział, czyja to skóra. Czuł jej zimno pod palcami w prosektorium.

– Wypalenie. – Przysunął się do monitora. – Jovanka.

– Kto?

– Tak miała na imię ofiara. Przynajmniej tak sądzę.

– A nazwisko?

– Czekaj. – Wyciągnął z kieszeni notatnik. – Sekulovic. Jovanka Sekulovic.

Robert zamknął plik i otworzył kolejny z długiej listy. Przedstawiał dłonie trzymające kartkę, na której jedno pod drugim ktoś wypisał nazwiska. Przy niektórych postawiono krzyżyk.

– Widzisz?

– Tak. – Gabrielowi zrobiło się słabo. – Jest na spisie.

Zdjęcie kartki nie wypełniało całego kadru, widać było coś jeszcze. Ludzkie nogi rozciągnięte na ziemi. Obleczone tylko w jeden but. Ktoś stał nad trupem, odhaczał kolejne nazwiska. Gabriel, nawet gdyby bardzo chciał, nie rozpoznałby kata. Po dłoniach obleczonych w skórzane rękawiczki trudno rozpoznać kogokolwiek.

– Ale przy jej nazwisku jest krzyżyk. – Robert przybliżył obraz kartki. – Widzisz? Co to oznacza?

– Nie wiem. Jeszcze trawię informacje, które mi podajesz. Można jakoś odczytać, gdzie robiono te zdjęcia?

– Żartujesz?

– Chciałbym, ale nie.

Patrząc, jak Robert przegląda kolejne pliki, Gabriel coraz bardziej odpływał. Zjedzone ciasto szukało najszybszej drogi ewakuacyjnej z żołądka. Przetarł oczy i zebrał pot znad górnej wargi. Rozpadał się.

– Serbka – powiedział, by zagłuszyć ciszę. – Jovanka była Serbką.

– I to ma mi jakoś pomóc?

– Nie tobie.

Widok na ekranie zatrzymał się na zdjęciu zniszczonej ulicy. Trafione przez pociski domy składały się jak kartony. Widział już taki krajobraz. Telewizja powtarzała te ujęcia do znudzenia.

– Sarajewo.

– Tak sądzisz. – Robert przybliżył obraz, by dojrzeć majaczący w tle budynek. – Faktycznie, wygląda jak ten hotel.

– Parlament.

– Ale mówiłeś, że była Serbką?

– Ofiary są zawsze po obu stronach. Możesz mi to wszystko wydrukować?

– Jasne. Spieszysz się gdzieś?

– Nie. – Gabriel poprawił tyłek na siedzisku. – Oficjalnie nie mam czego szukać na pruszkowskiej komendzie.

– To dobrze. Bo to nie wszystko.

Wędrował po niej dłonią.

Gładził gładką powierzchnię, a później przystawiał palce do nosa. Zaciągał się, choć nie miał prawa czuć niczego poza swoim własnym odorem. Kaśka patrzyła na ten rytuał z obrzydzeniem, ale uśmiech nie schodził jej z twarzy. Zrezygnowała nawet z makijażu. Chciała, żeby Dzierga widział, jak wygląda naprawdę.

– Nie trzeba było. – Przejechał dłonią po powierzchni butelki. – Niebieski Wędrowniczek to nie jest tania rzecz. Powinnaś oszczędzać.

– Chciałam podziękować. – Poprawiła się na krześle.

Przyjście do Pieczary przypomniało Kaśce o najgorszych chwilach w życiu. Tutaj po raz pierwszy się biła, wkłuła w żyłę, tu straciła dziewictwo. Czekając w kiblu, aż świat wróci na swoje miejsce i ktoś ją uratuje, płakała po raz ostatni. Nikt nie przyszedł, nie wyciągnął ręki. Ani wtedy, ani później. Teraz też nie liczyła na to, że Dzierga zechce pomóc. On nie troszczył się o nikogo, a to, że nie zabijał lojalnych ludzi, niczego nie zmieniał.

Ona nie była już lojalna.

– Dlaczego przyszedłeś? – Dzierga wytarł mokre dłonie w chusteczkę.

Butelka, którą Kaśka mu przyniosła, została odpowiednio schłodzona. Woda skraplała się na ściankach, a palce Dziergi zostawiały na kwarcu równoległe linie. Wiedziała, jak należy podawać alkohol, a ten wymagał specjalnej oprawy. Wykorzystała wszystkie swoje talenty, by płyn wlany do butelki w smaku, kolorze i konsystencji przypominał oryginał.

– Jak to?

– Coraz rzadziej to robisz. To już drugie zaproszenie, które musiałem ci wysłać. Kiedyś nie potrzebowałaś żadnego.

– Sam wiesz. – Odgarnęła włosy za ucho i obróciła lekko głowę. Lewy profil lepiej uwydatniał krwiaka. – Miałam trochę problemów.

– Na własne życzenie.

Wstał. Ochroniarz stojący przy schodach wyszedł. Pieczara opustoszała, wśród stołów unosiły się tylko dwa oddechy. Dzierga chodził między stołami, co chwila wpadał na jakiś i przesuwał go swoim ciężarem. Kaśka obserwowała ten przedziwny spacer. Nic innego nie przykuwało uwagi tak mocno jak on.

– To nie tak. – Obróciła całe ciało, by mówić w jego stronę. – Nie chciałam, żeby zrobił mi krzywdę. Miało być jak zwykle.

– Znowu ktoś chciał mnie szantażować. – Westchnął. – Wysłałaś mu film.

– Obejrzałeś?

Zatrzymał się.

Marynarka marszczyła się na jego rozległych plecach; Kaśka nie mogła oderwać wzroku od fałd rozciągniętych między łopatkami.

– Obejrzałem. – Zrobił dwa kroki i uderzył udem w kolejny stół.

Torował sobie trasę. Stąd do pomieszczenia ukrytego dla oczu postronnych bywalców Pieczary. Kaśka знаła każdy zakamarek klubu. Nie podobało jej się to, co mogło nastąpić.

– Teraz rozumiesz, czemu nagrałam Roczewskiego? – Chciała zapłakać, ale przypomniawszy sobie, że ostatnim razem Dzierga nie dał się nabrać. – Zgwałcił mnie jak zwierzę! Razem z tym chujkiem! Nie miałam wyboru.

Wpatrywała się w brudną podłogę i nasłuchiwała. Kroki. Coraz cichsze, oddalające się. Ledwo je słyszała.

– Nie chciałeś mnie bronić – dodała.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

Skrzypnięcie drzwi obudziło najgorsze wspomnienia.

– Mówiłam już.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

Dzierga zniknął w składziku. Dziurze w ścianie nie większej niż wnętrze fiata 125p. Kaśka sprzątała Pieczarę, gdy nie miała jeszcze piętnastu lat, a klienci bali się łatki pedofila. Wiedziała, co jest w środku. Obcęgi, folie malarskie, akumulatory, linki holownicze i gwoździe. Zestaw pierwszej pomocy dla torturujących. Powietrze wokół jej nóg stało się wyjątkowo ciężkie. Próbowwała oderwać stopy od betonu, ale zwały się w jedno z szarą masą. Przygwoździł ją

do podłogi samym dźwiękiem.

– Chciałam podziękować. – Słyszała swój głos i nie wierzyła, że może brzmieć tak płacząco. – Dużo dla mnie zrobiłeś.

– Tak uważasz?

Wyłonił się przed nią zupełnie niespodziewanie. Podeszedł do niej bezszelestnie. Wpatrywała się w podłogę i nagle zobaczyła buty. Wypastowane, z brązowej skóry. Małe, prawie dziecięce.

– Nie zabiłeś mnie – wykrztusiła.

Poczuła na włosach mokrą dłoń. Pogłaskał ją, a potem wrócił na swoje miejsce za stołem. Bała się odwrócić i zobaczyć, co przyniósł. Szła do Pieczary z podniesioną głową, gotowa zabić w razie konieczności. Teraz chciała tylko uciec. Zostawić butelkę, zostawić wszystko.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

Powtarzał to pytanie i powtarzał, a ona już nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przyszedł, bo nie miała wyboru. Zabrał jej oszczędności, bilet do świata bez wydzielin spływających po wargach i brodzie.

– Bo się boję. – Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Bo się, kurwa, boję!

– Bo się boisz. – Przetoczył dłonią pomarańczę po blacie. Wałkował owoc, aż ten puścił sok. – Szacunek wśród współników to rzecz, której nie da się kupić. Nie ty pierwsza nadszarpnęłaś mój wizerunek. Ale wiesz, że bym cię nie skrzywdził.

– Nasłałeś na mnie tego chuja!

– Nie. – Położył na blacie brzytwę. – Nikogo na ciebie nie naslałem.

Blask stali zahipnotyzował Kaśkę. Ostrze brzytwy zlewało się z powierzchnią stołu. Jedynie rączka z kości słoniowej odcinała się od reszty. Dzierga używał rzeczy tylko najlepszej jakości. Na resztę był uczulony. Poznanie każdej z nich zajęło jej trzy lata. Wykorzystała zdobytą wiedzę w stu procentach. W przygotowanym przez siebie napoju rozpuściła olejek pichtowy. Ekstrakt z jodły nadał bimbrowi odpowiedni zapach, nie zmieniając konsystencji. Wiedziała, że Dzierga się nie oprze i spróbuje tak wytrawnego alkoholu. Wiedziała też, że uczulenie, którym tak lubił się chwalić przed swoimi gośćmi, może go wtedy zabić. Na to liczyła, przynosząc butelkę.

– Chciałeś, by goryl Roczewskiego zarznął mnie w lesie. – Kaśka odzyskała siły. – Co to miało być? Inicjacja tego szczyla?

– Widzisz – podniósł brzytwę i przejechał ostrzem po twardej skórcie owocu – ja nic nie zrobiłem. Nie mógłbym. Wychowałeś się pod moimi skrzydłami. Popełniłeś błąd, ale cały czas jesteśmy rodziną.

Mocno zaakcentował ostatnie słowo i docisnął ostrze. Pomarańcza rozpadła się na dwie części. Z połówek trysnął sok. Dzierga podniósł rękę i polizał palce.

– Nie lubię oszustów.

– Nie jestem oszustką. – Odsunęła się z zasięgu jego rąk. – Nagranie i kamera były zabezpieczeniem. Niczym więcej.

– Spłaciłem go.

Pochylił się nad stołem, wbił ostrze brzytwy w połówkę pomarańczy, podniósł i przesunął w stronę Kaśki. Czekał.

– Kogo? – Ściągnęła owoc i schowała w dłoniach.

– Twojego ulubionego klienta. Roczewski nie będzie sprawiać ci problemów, a nasze interesy wrócą do normy. Pracownicy są drodzy, Kaśka, nawet ci głupi. Krematorium również. Nie postarałaś się. Płytko i niechlujnie. Nieładnie. No i zostawiłaś mu to.

Pociemniało jej przed oczami. Dzierga rzucił na stół portfel przyozdobiony grudkami ziemi. Znalazł trupa. Znalazł, wykopał i zutylizował.

Dla niej.

– Tego cię uczyłem? – Schował brzytwę do kieszeni marynarki, a następnie rozerwał pomarańczę i nie przejmując się sokiem plamiącym ubranie, włożył niemal całą do ust. – Gdzie nóż?

– Zgubiłam.

Milczał. Patrzył na nią swoimi zielonymi oczami. Przebijał nimi na wylot. Wiedział wszystko, była tego pewna. Chciał to tylko usłyszeć. Od niej.

– Oddałam.

– Jemu?

– Tak.

Wstał i zapiął marynarkę.

– Odpracujesz każdy grosz. Wykasujesz nagrania. Będiesz grzeczna.

Kaśka przestała dla niego istnieć. Stała się kolejną dziwką w korowodzie rozpieszczonych kurew.

Skóra przesiąkała nikotyną.

Gabriel ledwo odróżniał zapachy, które docierały do nozdrzy, ale tego jednego nie mógł pomylić z niczym innym. Odór papierosowego dymu zaczął go drażnić. Siedział zamknięty w samochodzie i pochłaniał zapachy lepiej niż gąbka. Długo zastanawiał się, czy dobrze robi.

Wysiadł i ruszył do Pieczary.

Wewnątrz było niemal pusto. Przy barowym kontuarze siedziało raptem kilku facetów. Dwóch z nich wyróżniało się na tle poszarzałych koszulek, niedopasowanych koszul i czerwonych nosów. Obaj mieli na sobie czarne garnitury i siedzieli tak, że nie mogli ze sobą rozmawiać. Jeden patrzył nieustannie na zejście do sali umieszczonej w podziemiu, drugi nie spuszczał wzroku z Gabriela.

– Nie przeszkadzajcie sobie. – Rozchylił kurtkę, by pokazać, że nie ma broni, i ruszył w stronę schodów. – Dziś prywatnie.

Podziemie wyglądało inaczej niż podczas ostatniej wizyty. Metalowe stoły stały krzywo, tworząc lej prowadzący przez środek pomieszczenia. Wszędzie unosiła się woń cytrusów. Zupełnie inna niż ta, która przywitała go na górze. Owoce pachną o wiele ładniej niż przypalony ser. Gabriel wyczuł coś jeszcze.

– Podobno w lokalach nie wolno już palić.

Dzierga siedział przy swoim stoliku. Odczekał, aż komisarz podejdzie bliżej, i dopiero wtedy zgasił papierosa w popielniczce. Wskazał dłonią miejsce naprzeciwko. Niewygodny taboret, mebel, na którym nie siedzi się zbyt długo.

– Nie sądziłem, że akurat panu będzie to przeszkadzać.

– To tylko luźna uwaga. – Gabriel odsunął krzesło i usiadł. – Czasem wychodzi ze mnie służbista.

– Wódki?

– Prowadzę.

– Widzi pan, dlatego warto mieć kierowcę. – Dzierga sięgnął po butelkę i napełnił pusty kieliszek. – To dużo ułatwia.

– Nie stać mnie na takie luksusy.

– Jeszcze.

Gabrielowi wydawało się, że Dzierga puścił do niego oczko.

– To może coś do jedzenia? Zamówić dla pana coś z baru?

– Dziękuję, nie zabawię tu długo.

Mimo wielkiej przestrzeni powietrze zrobiło się wyraźnie gęstsze. Dzierga wyciągnął spod stołu butelkę johnniego walkera blue i postawił dumnie na blacie. Odkręcił i z namaszczeniem przyłożył nos do zakrętki.

– Łagodny, prawie niewyczuwalny dąb. A jak się odpowiednio wczuć, nawet miód. Czy może być coś lepszego?

Zaciągnął się.

– Wie pan, natura bywa kurewsko złośliwa. – Zamknął oczy. – Na wachaniu mogę poprzestać. Już czuję, jak łzawią mi oczy. Wiedział pan, że dąb może uczulać? Kwiecień i maj to najgorszy dla mnie okres. Nawet tutaj czuję, że pyłki przedostają się do środka. Zwilżę gardło, a cholerna alergia mnie zabije. A może łyceczek nie zaszkodzi?

Ważył butelkę w dłoni. Zakręcił i odstawił na stół.

– Możemy przestać się wygłupiać? – Gabriel wyprostował się. – Siedzimy w podziemiu, na stole stoi droga whisky, a ja się czuję, jakbym trafił do kiepskiego serialu o mafii. Przejdźmy do konkretów.

Dzierga skinął głową, ale pozycji nie zmienił. Dalej odgrywał swoją rolę.

– Okłamał mnie pan.

Gabriel usłyszał za sobą szuranie. Ochroniarze usiedli pod ścianą, po obu stronach schodów, i wpatrywali się teraz w jego plecy.

– Widać zadawał pan niewłaściwe pytania.

Gabriel czuł jego oddech. Mocna woń papierosów i alkoholu przyprawiała o mdłości.

– Znaliście się z Martą troszkę lepiej niż tylko na stopie zawodowej.

Rozchylił kurtkę i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął kartkę, położył na stole, a następnie rozprostował i przesunął w stronę Dziergi. Zrobił to w najbardziej teatralny sposób, w jaki potrafił. Chciał wpisać się w obowiązującą w Pieczarze konwencję.

– Sopot, zgadza się?

Czarno-biała drukarka Roberta nie należała do najlepszych, ale poradziła sobie z wydrukowaniem wszystkich plików. Gabriel zabrał ze sobą tylko kilka, by zanęta nie była zbyt obfita. Na blacie położył zdjęcie młodego Andrzeja Dziergi. Chudszy o trzydzieści kilogramów, a zamiast złotego krzyża na piersi wisiął gruby łańcuch. Pod jego ramieniem stała nastolatka.

– Naprowadziło mnie molo w tle. – Gabriel postukał palcem w rozłożony papier. – Mam jeszcze z Zakopanego, Wrocławia, Krakowa i chyba Opola. Festiwal piosenki w dziewięćdziesiątym szóstym?

– Stare dzieje. – Dzierga zerknął na wydruk. – I po to pan do mnie przyszedł? Pokazać mi, że byłem kiedyś na wakacjach?

– To Jovanka, prawda?

Mięśnie pod garniturem Dziergi stężały. Gabriel widział, jak naprężają się, wygładzając fałdy materiału. Nie miał stuprocentowej pewności, że dziewczynka na zdjęciu to rzeczywiście ofiara morderstwa. Do teraz.

– Piękne imię – kontynuował. – Tak jak Slavica, Dubravka, Ivana i moje ulubione, Ljubica. Pierwszy raz w życiu zetknąłem się z czymś takim. To ostatnie pochodzi chyba od słowa miłość.

Każde z imion znalazł na odszyfrowanym zdjęciu. Lista była znacznie dłuższa, ale reszty nie mogli z Robertem odczytać. Jedno imię w zupełności mu wystarczyło, by zanęcić Dziergę. Nie potrzebował wszystkich.

Nie teraz.

– Tanie były?

– Nie wiem, do czego pan zmierza, komisarzy.

Dzierga wahał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu sięgnął po whisky. Wylał wódkę z kieliszka na podłogę i nalał trochę bursztynowego płynu. Gryzący zapach lasu rozszedł się po podziemiu.

– Pewnie nie było łatwo przewieźć dziewczyny do Polski? Trwała w końcu wojna. – Gabriel strzelał na ślepo. – Musiało pójść dużo marek na granicy. Ale to i tak łatwiej, niż szukać kobiet u nas, prawda? Polki są roszczeniowe, a te dzieciaki przynajmniej były wdzięczne za ratunek. Lepiej dawać dupy w Polsce, niż umierać w bośniackim błocie. Zupełnie jak Jovanka Sekulovic, którą dało się wychować jak zwierzę, by była potulna i nie sprawiała kłopotów. A jak sprawiała, łatwo można było ją naprostować.

Czas spędzony u Roberta nie poszedł na marne. Pliki ofiary odsłoniły ją na tyle, że Gabriel mógł szerzej otworzyć umysł. Elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Dzierga znajdował się tylko na kilku z ukrytych zdjęć i żadne z nich nie sprawdziłoby się w sądzie. Prokurator splunąłby na wydruki, a później spuścił je w kiblu. Jednak struna, w którą teraz uderzył Gabriel, zadrgała nawet głośniejsze, niż zakładał. Ale wciąż zbyt cicho.

– Dobrze pan wie, komisarzy, że nigdy nie zajmowałem się tym, co pan sugeruje. – Dzierga odsunął kartkę. – Rozmawialiśmy na ten temat poprzednim razem. Nie pamięta pan?

– Pamiętam.

– Sam pan widzi, nie mam krwi na rękach.

– To prawda, brodził w niej pan tylko po kolana.

Wiedział, że Dzierga nie powie mu niczego nowego. Nie złamali go w latach dziewięćdziesiątych, a to już o czymś świadczyło. Potrzebował wbić w niego coś innego niż oskarżenie.

Zadrę.

– Trzeba było coś zrobić po weryfikacji. – Zabrał kartkę ze stołu i schował do kieszeni. – Były esbek niskiego stopnia nie miał szansy na oszałamiającą karierę. Przeszłość potrafi ciążyć, panie Andrzeju, trudno odbudować nadszarpniętą reputację.

– Nic nie zostało nadszarpnięte.

Bingo.

Dostał to, po co przyszedł.

Dumę.

– Wychodzi pan czasem z tego podziemia? – Wyciągnął z kieszeni ostatniego papierosa, zapalił. – Świat wygląda trochę inaczej niż kiedyś, a pan chyba nadal uważa, że wszyscy są uczciwi i można im wierzyć na słowo.

– To pańska perspektywa. – Dzierga podniósł kieliszek i po raz kolejny dał się uwieść zapachowi whisky. – Wiem, komu mogę zaufać.

– Im? – Gabriel wycelował w ochroniarzy papierosem, zostawiając w powietrzu długi ślad dymu. – To najemnicy. Za garść srebrników zrobią wszystko.

Palce Dziergi powędrowały do zawieszzonego na piersi krzyża. Musiał go wygrzebać z gęstych siwych włosów, zanim umieścił między kciukiem a palcem wskazującym. Kręcił nim przez chwilę, zanim odpowiedział.

– To profesjoniści.

– Dopóki ktoś nie zaproponuje im więcej.

Nachylił się w stronę Dziergi.

– Zdradzą cię – szepnął. – Wszyscy co do jednego. Postąpią tak samo, jak twoi byli kumple. Rozprują się, gdy tylko zaproponuję im układ.

Dzierga się uśmiechnął.

– Wie pan, komisarzu, co robi się z agresywnym psem, gdy ten rzuca się na właściciela? Tresuje się go.

– Dziękuję za dobrą radę. – Gabriel podniósł się z krzesła. – Wezmę ją sobie do serca.

Ochroniarze wstali razem z nim. Mieli rozpięte marynarki i puste twarze.

– Na pewno nie napije się pan whisky? Pachnie wybornie.

– Nie przepadam za alkoholem. Szczególnie za tanimi podróbkami.

Zgasił papierosa w przygotowanym przez Dziergę drinku. Ochroniarze przepuścili go bez problemu. Czuł, że nie wyszedł z tej bitwy zwycięsko. Wytoczył armaty, których kule zostawiły zaledwie kilka rys na fasadzie.

Potrzebował bomby.

Czegoś, co sprawi, że Dzierga uwierzy w słowa o zdradzie.

Wchodząc do sali na parterze, zobaczył Młodego. Stał przy barze i bez skrępowania wręczał uśmiechniętej dziewczynie małą paczuszkę. Idealne zgranie w czasie. Młody podciągnął spodnie przypominające rozcięty worek na ziemniaki i tanecznym krokiem udał się do toalety. Dziewczyna schowała narkotyki do torebki, spojrzała na Gabriela i spłoszona wyszła z Pieczary. Byś upewnił się, że nikt nie wybiera się w stronę łazienki. Wyciągnął pasek ze spodni i obwiązał go wokół dłoni.

Toaleta wyglądała na czystą, nie brzydziłby się z niej skorzystać. Tylko wizerunki dzikich zwierząt umieszczone na kafelkach w żaden sposób nie pasowały do wnętrza. Młody stał przy jedynym pisuarze w pomieszczeniu i wesoło pogwizdywał.

Gabriel zamknął drzwi, podszedł cicho do chłopaka i kopnął go tuż pod kolanem. Młody przykleknął, a tracąc równowagę, obsikał ścianę. Zanim przewrócił się na bok, Byś złapał go za głowę i pchnął w odmęty pisuaru. Celował tak, by zielonkawa maź przyczepiona do ścianki znalazła się pośrodku czoła Młodego. Trzymając go za głowę, uderzył dwukrotnie w prawy bok. Tuż pod żebrami, w nerki. Dłoń owinięta paskiem od spodni zamortyzowała cios, ale nie na tyle, by Młody go nie odczuł; zacharczał i osunął się na ziemię.

Rozłożył się przed Gabrielem i w panice zasłonił dłońmi genitalia. Byś stanął na nich nogą, dociskając ręce Młodego najmocniej jak potrafił. Kości strzałkowe prawdopodobnie popękają pod ciężarem Gabriela. Albo już to zrobiły.

– Kurwa, człowieku! – jęknął Młody. – Pojebało cię?

Kontaktuje, to dobry znak.

– Pamiętasz mnie?

Młody przytaknął, ale nie stracił rezonu. Będąc na swoim terenie, czuł się znacznie pewniej niż w parku.

– Wiesz, dla kogo latam, psie?

Gabriel docisnął mocniej. Po grymasie, jaki przebiegł twarz Młodego, poznał, że dopiero teraz połamał mu kości.

– Dla Dziergi – odparł spokojnie. – Jak każdy w okolicy. Nie zrozumiałeś czegoś przy naszej ostatniej rozmowie?

– Przecież nic jej nie dałem. Słowo.

– A ta dziewczyna przy barze?

– Nie jest z psiarni. – Zrobił się czerwony, oczy ledwo mieściły się w oczodołach. – Człowieku, odpuść.

Gabriel wiedział, że nie przyda się w takim stanie na nic. Tylko podpisane zeznania coś znaczyły, a ten gnojek nic nie powie. Może i jest idiotą, ale nie jest głupi. Dzierga z pewnością się zabezpieczył. Dług nie do spłacenia, szantaż. Może nóż przy szyi rodzicielki. Bez różnicy, chłopak będzie milczał, choćby odciął mu nogę, a dla szefa zrobi wszystko.

Gabriel nie potrzebował jego zeznań. Potrzebował katalizatora, który

sprawi, że Dzierga zacznie popełniać błędy i wyjdzie ze swojego podziemia.

Wyprostował się i zszedł z Młodego. Ten odetchnął, zapiął zasikane spodnie i zaczął rozmasowywać rękę. Cały czas w pozycji leżącej.

– Nic ci nie powiem, człowieku. – Chłopak usiadł, ale nie patrzył w stronę Gabriela. – Nic.

– Wiem.

Podszedł do umywalki i opłukał dłonie. Nigdzie nie dostrzegł papierowych ręczników, wytarł więc je o spodnie.

Nikt nie stał pod drzwiami z nożem ani przygotowanym na szybko tulipanem. Dostrzegł za to Dziergę, który stał przy barze i żywo gestykułował.

– Zapomniał pan czegoś, komisarzu? – spytał, gdy dostrzegł Bysia.

– Coś się panu zepsuło w toalecie. Strasznie przecieka.

Alicja nie odezwała się, odkąd wrócił do domu.

Mijała Gabriela bez słowa, a na każde zająknięcie i próbę przeprosin reagowała tak samo: obojętnością. Przyniósł nawet kwiaty, ale bukiet czerwonych róż więdnął niebezpiecznie blisko zlewozmywaka. I kosza na śmieci. On sam siedział w kuchni przed włączonym laptopem i czekał. Alicja nie potrafiła długo tłumić w sobie emocji.

– Śmierdzisz – wypaliła, układając naczynia w szafce. – Mógłbyś się wykąpać. I oddawaj spodnie do prania.

Rzadko pozwalała mu wykonać pierwszy krok. Kiedy tego chciał i próbował, Alicja zbywała jego starania milczeniem. Musiała prowadzić, trzymać kierownicę w związku; Gabrielowi to nie przeszkadzało. Skoro czuła się szczęśliwa...

– Miałem ciężką noc. – Udał, że rozmasowuje kark. – I dzień.

– Słyszałam.

Odstawiła ostatni kubek do szafki i wytarła dłonie o koszulkę. Stanęła za plecami Gabriela i zaczęła masować mu ramiona. Łagodne, niemal niewyczuwalne ruchy. Uwielbiał to. Nie ujarzmił jej, nie przeprosił, ale czuł, że dostał kolejną szansę.

– Wracasz na stare śmieci?

– Prawie. Jeszcze nie skończyłem tej sprawy.

Dłonie Alicji oderwały się od jego ciała. Obeszła stół i usiadła naprzeciwko. Łagodnym ruchem zamknęła laptop.

– Jak to? – Obróciła rozłożone na stole kartki, by lepiej widzieć wydruki. – W telewizji mówili, że to Adam K. był zabójcą. Razem z tym drugim. Tym, co się powiesił.

– Zenon Ługowski – dopowiedział. – Był w to zamieszany, choć nie mogę rozgryźć, na czym polegała jego rola. Tak samo jak jego kumpla, Tomasza. Nie mam pojęcia, gdzie mógł się schować, a jest ostatnią osobą, która może mi pomóc rozwiązać zagadkę. Kupczyk z zabójstwem Jovanki nie miał nic

wspólnego.

– Kogo?

– Jovanka Sekulovic. Tak naprawdę nazywała się ofiara, chyba. Prawdopodobnie Serbka wywieziona z Bośni podczas wojny. Nie wiem, czy szantażowała klienta i szef chciał ją skasować, czy zrobiła błąd podczas wyznaczania trasy przewozu narkotyków. – Przeczesał dłonią włosy. – Chryste, nawet facet, z którym była, ją wykorzystywał i sprzedawał. Jej ciało powinno mi coś powiedzieć, a nie mam nic. Oprócz stosu grafów oraz wojennych zdjęć. A, zapomniałbym o dzieciaku, który do końca życia będzie łykał antydepresanty. Bo kto by nie chciał faszerować się cipramilem.

– Postaw się w jej sytuacji. Z tego, co mi mówisz, dziewczyna tak naprawdę nie miała nikogo. Nie mogła po prostu uciec?

– Kasy też nie miała. Mogła dalej tkwić po uszy w gównie i udawać, że wszystko jest w porządku, albo do końca życia oglądać się przez ramię. Żadne wyjście nie wyglądało zachęcająco.

Alicja słuchała i przerzucała kolejne strony. Każde zdjęcie dokładnie oglądała, zupełnie jakby szukała na nim odpowiedzi, której Gabriel nie widział.

– Zakotwaczyłeś się – rzuciła w przestrzeń. – Zafiksowałeś na jednym punkcie i nie widzisz nic więcej.

– Bo chcę go dopaść!

– Kogo?

Zawahał się.

– Mordercę.

– Kłamiesz, Gabi. – Złapała go za dłoń. – Odupść, proszę cię. Potrzebuję cię w jednym kawałku, a nie... takiego. Nie chcę pewnego dnia usłyszeć przez telefon, że znaleźli cię gdzieś w kałuży krwi. Potrzebuję cię.

– Nie martw się. – Mocniej ścisnął jej palce. – Poradzimy sobie. Jak zawsze.

Zabrała dłoń.

– To też są te ukryte zdjęcia?

Alicja wpatrywała się w kartoteki medyczne pracowników Parasola. Dokumentacja firmy ochroniarskiej prowadzonej przez Dziergę stanowiła część ukrytych danych Jovanki. Dziewczyna zbierała wszystko, co mogłoby się przydać, gdyby pisała biografie pracowników. Wykazy badań, śmieciówki i artykuły o wypadku z Afganistanu. Kupczyk, Ługowski, Frączak. Na temat każdego z nich coś miała.

Dane dostępne dla każdego.

To samo pokazała Gabrielowi wcześniej Monika. Nic z tego nie mogło posłużyć jako szantaż, za który ktoś gotów był zabić. Jedynie zdjęcie dokumentujące poniżenie Jovanki. Rozkraczona, zniszczona. I samotna. Żadnego oprawcy.

– Ta dziewczyna była inteligentna. I samotna.

– Okropne. – Alicja dotarła do fotografii, o której myślał. – Kto mógł zrobić coś takiego? Przecież to dziecko. I ten krzyż.

– Jaki krzyż?

– Na pośladku. – Przesunęła wydruk w jego stronę. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Wygląda jak Serbski Krzyż. Widzisz, cztery krzesiwa wokół skrzyżowanych linii.

Podniósł wydruk. Znak, który widział na żywo w prosektorium, wyglądał inaczej niż na zdjęciu. Teraz był wyraźny. Wcześniej nie zwrócił uwagi, co przedstawia; wziął go po prostu za punkt odniesienia pozwalający zidentyfikować Jovankę. Otworzył laptop i wpisał w wyszukiwarce odpowiednią frazę.

– Skąd wiedziałaś?

– Widać uważniej niż ty śledziłam, co działo się na świecie.

Przełknął zniewagę.

– Pewnie znakowano tak ludzi. – Alicja wzięła notatnik Gabriela i zaczęła go przeglądać. – Wiesz, żeby nigdy nie zapomnieli, kim są. Nie pierwszy raz w historii ofiary potraktowano jak zwierzęta. To te całe grafy?

Położyła notatnik na stole i docisnęła dłonią, by się nie zamknął.

– Tak – potwierdził. – To też możesz za mnie rozszyfrować.

– Przestań. – Puściła do niego oko. – Takie bazgroły? W życiu. Potrzebowałabym słownika, żeby odczytać z tego cokolwiek. A raczej podręcznika.

– Nie ty jedna. To strata czasu, jakiś chory żart, ciągnący się przez kilkadziesiąt stron. Te zapiski powinny pokazywać najkrótszą drogę między punktami, a przypominają serpentynę.

– Albo litery. To wygląda jak przekrzywione B.

Wstała, podeszła do Gabriela i ucałowała w sam środek głowy.

– Jak się nie wykąpiesz, śpisz na kanapie. – Ścisnęła jego ramię. – A później ją wypierzesz, brudasie.

– Nie podobam ci się z zarostem? – Przejechał ręką po policzku. – Teraz to modne.

– Jak się umyjesz, to pogadamy. Nie siedź za długo, Gabi, późno jest. Chcę cię w jednym kawałku, pamiętaj.

Wychodząc z kuchni, zamknęła za sobą drzwi. Słuchał, jak chodzi po mieszkaniu, a pod jej stopami skrzeczą panele. Uwielbiał pracować w nocy prawie tak samo, jak uwielbiał samotność. Przyciągnął do siebie notatnik i przyjrzał się rozrysowanym grafom.

Alicja miała rację.

Ciąg znaków, droga, którą stworzyła Jovanka, rzeczywiście przypominał literę. Wszystkie przypominały.

Spojrzał na główny graf. Ten sam, który pomógł mu rozrysować Robert. Zapiski Jovanki, ciągi cyfr, były trasą. Droga. Numerami wierzchołków, które musiał przejść, by dojść do celu. Rozpisał wszystko od nowa, przypisując każdej drodze literę, którą wydawała się do niej pasować.

I: 1-7, 7-4, 4-7, 7-1

M: 1-6, 6-8, 8-6, 6-1, 1-7, 7-2, 2-7, 7-1

U: 1-8, 8-5, 5-8, 8-1, 1-7, 7-4, 4-7, 7-1

E: 1-8, 8-1, 1-7, 7-6, 6-7, 7-4, 4-5, 5-4, 4-7, 7-1

B: 1-7, 7-6, 6-7, 7-4, 4-5, 5-8, 8-1

J: 1-8, 8-1, 1-7, 7-4, 4-5, 5-4, 4-7, 7-1

– Pięknie. – Wstał. – Razem daje mi to trzynaście punktów w scrabble.

Przypasowane do wierzchołków miejsca musiały mieć jakieś inne znaczenie. Czuł to. Najważniejszy, z numerem jeden, stanowił początek i koniec każdej drogi. Wszystkie zaczynały się i kończyły w Pieczarze, u stóp Dziery. Reszta wydawała się bez znaczenia. Dwa licea ukryte pod wierzchołkami 4 i 5, gimnazjum pod 6, restauracje pod 2 i 3, stacja benzynowa to 8 oraz szczęśliwa siódemka, upalony Kebab. Miejsca, gdzie bez problemów znajdzie się nabywców na kilka gramów maryški.

Zdjął spodnie, przewiesił przez oparcie krzesła i zgasił światło. Sterczał półnagi w kuchni, wpatrując się w okno. Siedem pięter niżej było tylko opustoszałe boisko do koszykówki. Od dawna nikt na nim nie grał, służyło za psi wychodek. Gabriel czuł się jak osiedlowa babcia, sprawdzająca, czy przypadkiem nikt nie pije piwa na ławce. Nikogo nie było. Obserwował pustkę.

Potrzebował ciszy. Odcięcia od wszystkiego, co do tej pory zebrał. Alicja miała rację, zakotwiczył. Teraz był w domu. Bezpieczny. Patrzył na wszystko z góry, schowany za grubymi ścianami, podwójnym zamkiem w drzwiach i domofonem na kod.

Sam.

– Kurwa jej mać!

Podbiegł do krzesła, chwycił spodnie i wywrócił kieszenie. Wyrzucił śmieci na blat. Każdy znaleziony paragon odwijał. Potrzebował tylko jednego.

Bładoróżowy tynek obsypał włosy Gabriela.

Pocisk minął jego głowę o kilka centymetrów. Miał szczęście, czego nie mógł powiedzieć o wiszącym w korytarzu lustrze. Trafione, rozsypało się na setki kawałków.

– Odbierz, odbierz, odbierz – szeptał do słuchawki.

Leżał za załomem ściany w mieszkaniu. Od przeciwnika oddzielał go kawałek byle jakiej ściany i korytarz. Niebezpiecznie krótki jego zdaniem. Monika nie odbierała telefonu. Wystukał 997.

– Frączak! – Sprawdził, czy walther jest odbezpieczony. – Tomasz, nie pogarszaj swojej sytuacji! Chciałem tylko pogadać!

Więszego banału nie mógł już wymyślić. Komunikacja to rzecz, nad którą będzie musiał solidnie popracować. O ile nadarzy się jeszcze ku temu okazja.

– Policjant pod ostrzałem! – krzyknął, gdy usłyszał w słuchawce głos dyspozytorki. – Pruszków. Ceramiczna. Blok TBS, trzecie piętro.

Rozłączył się, nie czekając na potwierdzenie. Strzały musiały zaalarmować

sąsiadów. Liczył, że wsparcie jest już w drodze. Długo nie da rady się bronić, a jeżeli Frączak zdecyduje się na atak, już po nim. A potrzebował go żywego. Ostatniego z muszkietierów. Pomylił się, to Tomasz stanowił furtkę do Dziergi, nie Młody.

– Hej! – krzyknął, nie wychylając się z za załomu. – Pogadajmy!

– Nie. – Trzask wkładanego do broni magazynka przetoczył się grzmiotem w czaszce Gabriela. – Przysłał cię, żebyś mnie zabił!

– Jestem z policji! Nikt mnie nie przysłał!

Gardło odmawiało posłuszeństwa. Powinien pomyśleć o rzuceniu palenia, daniu sobie kilku więcej lat życia, nawet jeżeli oznacza to dodatkowe kilogramy pod koszulą. Z jego przemianą materii i tak pewnie by nie przytył. Jedyne, o czym myślał, to śmierć, która zaczęła się na niego przez głupotę. Do bloku naprzeciwko mieszkania Jovanki poszedł sam. Chciał to zrobić osobiście, sprawdzić adres nabazgrany przez Michała na paragonie.

Poprzedni dom dziewczyny.

Bezpieczna przystań.

Kolejna rzecz, którą zignorował. Tomasz potrzebował schronienia, miejsca dobrze sobie znanego, gdzie mógłby w spokoju czekać na śmierć. Gabriel obiecał Alicji, że odpuści. Kłamał; jak zawsze, gdy chodziło o pracę. Śmierdział strachem. Wymieszany z potem zapach nawet jego odrzucał. Umrze z przestrzeloną piersią, cuchnąc jak śmierć.

– Frączak! Wiem, co się wydarzyło. To nie twoja wina!

Cisza.

Bał się wychylić głowę, by nie dostać kulki między oczy.

– Wiem, że nie chciałeś tego zrobić – spróbował łagodnym tonem. – Marta was wykorzystała. Ciebie, Adama, Zenona.

– Nie wspominaj o nim!

Miał chropowaty, zmęczony głos. Gabriel wykorzystał moment i przyciągnął nogą kawałek lustra. Nie większy niż paczka papierosów, ale powinien wystarczyć. Zaryzykował i wystawił go za ścianę.

Nawet z takiej odległości dojrzał przekrwione oczy Frączaka. Ubrany w mundur z pustynnym maskowaniem, siedział oparty o ścianę. Wokół niego stały butelki. W równych rzędach, odstępach, posegregowane według kolorów. Głównie po piwie, ale dostrzegł też po mocniejszych trunkach. Frączak dociskał lufę do krtani.

– Nie chcesz tego zrobić.

– Gównu wiesz! O mnie. O Zenonie.

– Powiesiłeś go na linie holowniczej. Potraktowałeś jak psa, którego tłuczesz metalową rurką, aż kości zamieniają się w masło. Mam prawo mówić o nim, cokolwiek zechcę!

Musiał go przycisnąć, wyzwolić agresję i wolę życia. Walka stanowiła siłę, której Frączak potrzebował, by nie rozsmarować swojego mózgu na ścianie. Poklepywanie po plecach działa tylko na filmach.

– Był słaby. – Tomasz opuścił broń. – Nie miał już siły. Zenon rozumiał. Wiedział, co musiałem zrobić. Żołnierz nie rezygnuje z misji. Świat musi wiedzieć, kim był.

– Dlatego zostawiłeś mu dokumenty?

– Anonimowość nie przystoi bohaterom. A nas okradziono z nazwisk. Gazety skróciły je do jednej jebanej litery!

Podniósł się z podłogi. Butelki zatańczyły i zaczęły się przewracać. Jedna po drugiej pękały pod ciężkimi butami.

– Jebane media zniszczyły wszystko, na co pracowaliśmy. Z czym nas zostawiły? Z niczym! Słyszysz?! – Strzelił w stronę Gabriela. – To jest hałas wojny, a nie te jebane samochodziki na gaz jeżdżące po ulicach. Zenon to wiedział. Marta też.

Pył ze ścian coraz grubszą warstwą pokrywał włosy komisarza.

– Marta też była słaba?

Dźwięk policyjnych syren doszedł uszu Gabriela. Jeszcze dwie minuty i wyjdzie z tego cało.

– O nie! Ona była twarda.

Wycelował i strzelił w drzwi mieszkania. Gabriel upuścił lusterko. Skulił się w swoim załomie.

– Przywiozła Janka. – Frączak zaśmiał się. – Dzieciaki nie powinny bawić się w wojnę! Na wojnie się ginie!

– Jak w Afganistanie.

– Zamknij ryj! Nikt nie wie, co tam przeżyliśmy. Widziałem w rękach tego chłopaka broń!

– Janek nie miał broni. – Gabriel podciągnął nogi, szykując się do skoku. – Musiałeś kogoś ukarać, więc zabiłeś Martę. Przyszliście z Zenonem ją nastraszyć, sprawić, by stała się potulna. Wiedziała, że Dzierga was przyśle. Mielście przywołać ją do porządku. Po raz kolejny. Posypało się, jak zobaczyliście Janka. Ty się posypałeś! Przypomniał ci się Bagram.

Słyszał zbliżające się kroki Frączaka. Podniósł broń i dwukrotnie strzelił w przeciwną ścianę. Musiał go zatrzymać. Jeśli dojdzie do bezpośredniego starcia, któryś z nich zginie.

– Sypiasz na podłodze! – Nie mówił normalnie, prawie krzyczał. Przez tę strzelaninę słyszał tylko przeciągły pisk w uszach. – Sypiasz w ogóle? Wyglądasz jak wrak.

– Nie spałem od lat.

Przytłumiony głos Tomasza docierał do Gabriela z opóźnieniem. Był zaryzykował i wychylił się. Frączak stał tyłem, zapatrzony w okno. Wychodziło na osiedle po przeciwnej stronie ulicy. Wprost na nowy, pachnący świeżą farbą oraz tynkami blok Jovanki. Idealny punkt widokowy.

Frączak chciał odejść. Wśród żywych nic go już nie trzymało. Liczył, że wyręczą go ludzie Dziergi. Gabriel nie mógł do tego dopuścić. Tomasz to fant grubszy niż Kaśka i Młody razem wzięci.

– Dzierga was do niej wysłał, prawda? Ale nie dowiedzieliście się, czym go chciała szantażować.

– Mówiłem, była twarda. Nawet nie pisnęła, jak lałem jej do gardła krwawy syrop. Ani jak wyjmowałem oczy.

A więc Anna się jednak myliła. Jovanka żyła, kiedy ją okaleczali. Gabrielowi ciasto z rabarbarem podeszło do gardła.

– Po co to zrobiliście? Adam był waszym przyjacielem.

– Uśpiłem ją. – Broń w dłoni Frączaka niebezpiecznie zatańczyła. – Wyobrażasz sobie, że Zenek próbował ją reanimować? Po tym, jak wpakowałem jej pocisk w serce. Pogubił się nawet w tym. Był słaby. Obaj byli, a ją traktowali jak terapeutkę. Obaj, rozumiesz? Mnie na terapii dali tylko psa, żebym sobie coś poprzytulał.

– Dlaczego nie zabiliście dzieciaka?

– Nie jesteśmy zwierzętami.

– Zostawiliście trzylatka przy ciele zamordowanej kobiety! – wrzasnął. – Nigdy nie będzie normalny.

– Jak my wszyscy. – Tomasz podniósł rękę. – Do zobaczenia.

Gabriel odbił się od podłogi najmocniej jak potrafił. Poczł rwący ból w plecach, ale się nie zatrzymał. Dopadł Frączaka w chwili, gdy ten naciskał spust. Huk wystrzału zamroczył Gabriela. Uderzyli w ścianę jednocześnie. Na dłoniach poczuł lepłą ciecz.

Frączak leżał na podłodze. Z głowy sączyła się cienka strużka krwi, z rozbitego nosa lał się cały strumień. Gabriel podniósł z podłogi piękną matową berette. Wsunął ją za pasek i odczołgał się na bok. Znowu nie czuł nóg. Wymacał w kieszeni ostatnią tabletkę.

– Zabiłeś mnie, człowieku. – Frączak trzymał się za rozbity nos i się śmiał. Przekręcił się na plecy, krew ściekała mu teraz po obu policzkach równymi liniami. – Zabiłeś mnie.

– Uratowałem cię, dupku.

– Nie dożyję procesu.

– O to się nie martw.

Drzwi frontowe wleciały z hukiem do mieszkania, a za nimi grupa kominiarzy. Ubrani we wszystkie odcienie czerni, błyskawicznie rozlali się po całym mieszkaniu. Światło z latarek przytroczonych do karabinów oślepiło Gabriela.

– Komisarz Byś – powiedział, wyciągając dłonie przed siebie. – Stołeczna.

– Znam go.

Wysoki głos dobiegał zza pleców rosnącego faceta, którego twarz zakrywały szczelnie kuloodporne gogle. Pilsz postąpił krok i stanął naprzeciwko Gabriela.

– Szybko wróciłeś na stanowisko. Nie odpuszczasz, widzę.

– Ktoś musi.

Tramał wesoło rozpuszczał się w kwasach żołądkowych. Byś czuł zbawcze mrowienie w nogach. Wyciągnął ze spodni wizytówkę prokuratora. Kartonik,

którego nie wyrzucił. Niczego nie wyrzucił.

– Pora zawiadomić kawalerię, że będą nadgodziny.

– Ładna wizytówka. – Frączak został podniesiony do pionu przez potężnego policjanta. – Dzierga ma taką samą.

Dzień siódmy

Kawa nie rozpuściła się dokładnie. Grudki pływały na powierzchni i brudziły białe ścianki kubka. Gabriel zamieszał dla pewności jeszcze raz, ale nic się nie zmieniło. Brud osadzał się wszędzie, gdzie pojawiały się jego ręce.

– Długo go przesłuchiwali?

Monika podniosła kubek do ust. Bładoróżowa pianka osiadła wokół jej warg. Rozpuszczone włosy zmieniły ją w lolitkę po heroinowym weekendzie na dworcu.

– Chyba dalej to robią. Próbują przynajmniej. – Gabriel rozparł się wygodniej na krześle. – Musiałem stamtąd wyjść, swoje zrobiłem. Szkoda, że nie zdecydowałaś się do mnie dołączyć.

Spuściła głowę.

– Miałam wyciszony telefon. Przepraszam.

– W porządku. – Machnął ręką. – Dobrze, że mnie nie odstrzelił.

– Czemu polazłeś sam?

– Frączaka mogło tam nie być. A ściąganie całego garnizonu, by wpakować się do pustego mieszkania, nie pomogłoby mi w karierze. Zresztą nie miałem z kim tam pójść.

Wstał i przeciągnął się. Chodnikiem pod blokiem Moniki maszerowały całe zastępy ludzi spieszących na poranną kolejkę do Warszawy. Parking zamienił się w opustoszałą wyspę z kostki Bauma. Gdzieniegdzie wykwiwały nadjedzone przez rdzę samochody, przypominające właścicielom, jak mało zarabiają.

– Przyznał się?

– Mnie tak. Bertrandowi nie, więc tak jakby nic na niego nie ma. Jestem pewien, że Anna dokopie się do czegoś w śladach. Łatwo nie odpuszcza.

– Racja. – Monika cały czas unikała jego wzroku. – Twoja teoria o grafach się sprawdziła?

– Źle je odczytałem. Założyłem, że każdy wierzchołek to punkt przerzutowy. Dotarło do mnie, jak bardzo się myliłem, kiedy obserwowałem swoje osiedle. Ona też to robiła. Sam środek grafu to nie był kebab, ale jej mieszkanie. To stare, którego nie sprawdziłem. Miałem nawet jego cholerny adres, zapisany na paragonie. Prawie od pierwszego dnia. Odległości się zgadzały, ale grafy posłużyły do czegoś zupełnie innego. Przynajmniej ten pierwszy.

– Nie rozumiem.

– Dzierga musiał ufać Jovance. – Skrzywił się i wrócił na krzesło. Pozycja pionowa niezbyt mu służyła. – Odchowwał sobie posłuszną, żądną wiedzy dziewczynę. Kiedy dała mu rozpiskę, jak jeździć po mieście, by było szybciej, wykorzystał ją. Pruszków posłużył jako poligon doświadczalny. Jovanka miała tego więcej w notatniku, dla wszystkich większych miast. Nie wiem od kiedy,

ale kurierzy korzystali z jej zapisków. Kreślili ogromne litery na planie miasta.

– Litery?

– Grafy, a raczej jego ścieżki, układały się w litery. Koślawe, pisane jak przez dziecko. Zbiór z pozoru nic nie znaczących znaków. Chyba że znasz serbski.

Monika podniosła w końcu głowę. Jeżeli spała w nocy, to góra kilka minut. Widział żyłki, które jak popękane szkło rozsypały się po powierzchni oka. Sam też wyglądał niewiele lepiej. Pocięła go tylko myśl, że niedługo będzie w domu. Weźmie gorący prysznic i zmyje z siebie kilka ostatnich dni.

– A ty znasz serbski?

– Wujek Google zna. Ona się zabiła. Wykorzystała do tego wszystko, co знаła. Wiedziała, że Dzierga nie zniesie upokorzenia szantażem, że chłopakom odbije, jak zobaczą Janka. Znała ich, pewnie niejedną nocowali na podłodze jej mieszkania. Przewidziała to. *Ubij me*. Napisała to na całym cholernym mieście. *Ubij me*.

Zabij mnie.

– Chryste! – Monika zakryła dłonią usta. – Dlaczego?

– Bo to było lepsze niż życie, które jej zgotowano. Przyparta do muru, sama i bez żadnych perspektyw na to, że może być lepiej. Nie wiem, czemu ten knur wysłał do niej tych chojraków. Może się zorientował, że grafy nic nie dają, a może dała mu do zrozumienia, że ma na niego haka. To nieistotne. Pociągnęła za sobą chłopaków i pewnie liczyła na to, że Dziergę również pociągnie.

– A Janek?

– Ofiara wojny. Taka sama jak Jovanka.

– Nie wierzę, że jakakolwiek kobieta byłaby do tego zdolna.

Zerwała się z krzesła.

– To, kurwa, chore!

– To tylko dzieciak. – Wyciągnął paczkę papierosów i wysupłał jednego. – Masz ogień?

– Pojechało cię! Przyszedłeś tutaj, żeby mnie wkurwić?

– Nie przyszedłem do ciebie.

– A do kogo? – Agresja wyparowała z Moniki całkowicie. Spokojnie wydmubywała brud spod paznokci. – Jesteśmy sami.

– Do Kaśki. Zawołaj ją.

Zanim Monika zdecydowała się cokolwiek zrobić, drzwi od sypialni otworzyły się. Kaśka weszła do kuchni i usiadła przy stole.

– Czego chcesz?

Miała zachrypnięty głos. Brakowało w nim melodii, która wydawała mu się tak zmysłowa. Wcześniej sądził, że tylko głos Alicji może tak na niego działać. Zapalił papierosa, wyciągnął kolejnego z paczki i podał Kaśce. Niemal wyrwała mu go z dłoni razem z zapalniczką. Przymknęła oczy, gdy odpalała. Jej powieki wyglądały jak dwie łódki odwrócone do góry dnem.

Płakała.

– Przydasz mi się jeszcze – powiedział. Słowa ledwo przeszły mu przez gardło. – Frączak się nie posypie. Może nawet go skażą, jak nie strzeli wcześniej samobója w celi, ale Dzierga zostanie tam, gdzie jest teraz.

– Zalażł ci za skórę, co? – Strząsnęła popiół do jego kubka z kawą. – I niech zgadnę: nie mam wyboru.

– Zawsze jest wybór.

– Nie, komisarzu. Tak się nam tylko wydaje.

– Skąd wiedziałeś? – Monika odsunęła się od nich i oparła o zlew. – Że Kaśka tutaj będzie.

Postukał palcem w kubek.

– To. Jak byliśmy razem u ciebie – machnął w stronę Kaśki – tylko mnie spytałaś, jaką piję herbatę. Monice przygotowałaś bez słowa, a jak przyjechaliśmy tutaj razem, to znalazłaś mieszkanie sierżant bez zająknięcia, choć nie podałem ci adresu.

Obie patrzyły na Gabriela.

– W tym mieście wszyscy się znają, co? To takie oczywiste. Dotarło to do mnie, gdy zobaczyłem, że to Pilsz prowadził twoją sprawę, Monika. I to, jak ją zamiótł pod dywan, by dać ci wolną rękę. A raczej wam, prawda? Ten zegarek, który ściągnęłaś z ręki trupa – kontynuował, patrząc na Kaśkę. – W aktach sprawy widniał jako jedyne, co Monika zapamiętała z wypadku. Cholerny zegarek. To był ten sam facet, prawda? Jego nasłał na ciebie Dzierga w lesie i to on potracił Monikę.

– Myślałam, że Dzierga go załatwi. Że zabije skurwiela, który mnie skrzywdził. Roczewskiego musiał oszczędzić, ale tego obszcymura? – Kaśka mocno się zaciągnęła. – Cóż, przeliczyłam się. A wiesz, co jest najzabawniejsze? Dzierga po nas posprzątał. Wykopał trupa i już. On ma w garści wszystko w tym jebanym mieście.

Wstała i podeszła do Moniki.

– Przynajmniej ona ma problem z głowy. – Chwyciła policjantkę za rękę. – Ten dupek dostał to, na co zasługiwał.

– Nikomu nie powiem. – Monika wyswobodziła się z uścisku. – Gabriel, to nie mogło się inaczej skończyć. Przykro mi, że ciebie też to dotknęło. Zrozum, on nie zasługiwał na życie. Zabrał mi jedyną istotę, którą kochałam. Tylko ona trzymała moje małżeństwo w jednym kawałku. Straciłam przez niego wszystko. Przez skurwiela, który nie zatrzymał się na pasach.

Milczał.

– Nie mogę tylko dojść, skąd się znacie.

– Z oazy. – Kaśka się uśmiechnęła. – Jak komuś wygadasz, zabiję.

– Nie wyglądasz na religijną.

– Jak powiem, że szukałam tam kochającego ojca, pewnie mi nie uwierzysz.

– Mam jeszcze koszule byłego męża. – Monika podeszła do Gabriela. – Powinny na ciebie pasować.

Gabriel spojrzał na siebie. Gdyby miał się pokazać Alicji w takim stanie, to

chyba tylko po walizki.

– A masz może maszynkę? – Przejechał dłonią po twarzy. Kłujący zarost zdążył zmienić się w miękką szczecinę.

– Mam depilator – powiedziała, wychodząc z kuchni.

Stłumiony śmiech Kaśki zabrzmiał jak rozrusznik łady.

– Uprzątnęłaś jej mieszkanie?

– Jeżeli chodzi ci o dragi, to tak. Jest czyste.

– Nic nie zostało?

– Tramal się skończył?

Przytaknął. Bał się przyznać do tego przy Monice. Nie po to przywracał ją do życia, by teraz wychodzić na hipokrytę. Między lekomanem a narkomanem stoi tylko farmaceuta. Gabriel miał ograniczoną odporność na kobiece wyrzuty, a spodziewał się, że trochę ich dostanie dziś od Alicji. Wolał zminimalizować straty.

– Jadę zaraz do szpitala, może uda mi się coś zwędzić. – Kaśka puściła do niego oko.

– Ładna?

Koszula, którą Monika trzymała w dłoniach, miała kolor łososiowego mięsa zbyt długo trzymanego na słońcu. Ale przynajmniej wyglądała na wyprasowaną, czego nie można było powiedzieć o tej przyklepionej do pleców Gabriela.

– Ładna – skłamał. – Dzięki.

– I co dalej?

Pytanie Moniki zawisło nad całą trójką.

– Wrócę do domu i ugłaskam żonę. Reszta nie ma na razie znaczenia.

Nie śmierdział.

Przynajmniej nie aż tak, jak przed godziną. Monika nie tylko dała mu koszulę byłego męża, ale użyczyła też jego perfum. Zapach, którym chyba usypiano szczury w wojskowych laboratoriach, na szczęście trochę już osłabł. Musiał jechać z otwartymi szybami, ale przynajmniej smród papierosów zelżał.

Dzień zapowiadał się rewelacyjnie. Gabriel skorzystał z okazji i zaparkował na miejscu Szawickiego. Upierdliwy staruszek z szóstego piętra niemal nigdy nie ruszał się z domu, a jego wiecznie czysty samochód prawie zrósł się z asfaltem. Taka okazja prędko się nie powtórzy.

Małe przyjemności.

Spojrzał we wstecznym lusterku, czy kawowy nalot na zębach nie jest zbyt widoczny, i wysiadł. Wszedł do klatki, sprawdził skrzynkę na listy. Pusto, żadnych nowych rachunków. Winda czekała na parterze.

Wcisnął siódmą.

Wyciągnął klucze z kieszeni i kręcił nimi wokół palca. Był potwornie zmęczony. Ostatni tydzień dokonał straszliwych spustoszeń w organizmie.

Nawet jeżeli wątroba znajdowała się nadal na swoim miejscu, to z pewnością nie była w jednym kawałku. Żołądek tak samo. Do tego doszły nerki, które swój stan zużycia oznajmiły mu, gdy spojrzął ostatnio w środek muszli toaletowej. Jeszcze przez kilka godzin wytrzyma bez tabletek przeciwbólowych. Liczył na to, że sen choć częściowo złagodzi objawy ostatnich dni.

Drzwi do ich mieszkania były lekko uchylone.

Wyciągnął broń. Sprawdził, czy ma pełny magazynek. Piętnaście naboí. Przynęął się do wejścia. Nasłuchiwał.

Cisza.

Korytarz cuchnął trawą i przetrawionym alkoholem. Zapachem, którego w ich mieszkaniu nie czuł od parapetówki. Usłyszał szmer dochodzący z salonu. Pod butem zaskrzypiał panel. Już nie był sam.

Alicja stała odwrócona plecami do drzwi. Wpatrywała się w okna wychodzące na ulicę. Przed nią, wrosnięty w podłogę, sterczał Młody. Mokry od potu. W wyciągniętej dłoni trzymał rewolwer. Celował w serce Alicji.

– Powinieneś częściej sprawdzać telefon. – Nie odrywał wzroku od żony Gabriela. – Próbowaliśmy się do ciebie z Alicją dodzwonić od godziny.

– Gabi?

Gardło Alicji wydało z siebie cichy pomruk. Gabriel ledwo zrozumiał, że odezwała się właśnie do niego. Młody wycierał wolną dłoń o spodnie. Pot zalewał mu oczy.

– Sądziłem, że już nie przyjdiesz. No, powiedz coś śmiesznego.

Gabriel był przerażony. Chłopak, który celował w jego Alicję, wiedział, co robi. Chłód spojrzenia mówił wyraźnie: nie masz szans.

Ruszył.

Młody też zrobił krok naprzód. Od Alicji dzieliło go nie więcej niż pół metra. Strzał z takiej odległości zabije ją na pewno. Gabriel stanął. Nie opuścił broni. Mierzył tuż nad sercem Młodego. Bał się celować w głowę. Jeżeli chybi, nie dostanie drugiej szansy.

– Porozmawiajmy. – Ostrożnie zrobił mały krok. – Nie chcesz tego robić.

– Pamiętasz, jak mnie potraktowałeś? Zgnoić! Teraz chcesz rozmawiać?

– Nie o to ci chodzi. Przysłano cię tutaj. – Nieznacznie opuścił lufę. – Nie wiem, czym cię do tego zmusił, ale uwierz mi, potrafię ci pomóc.

Płuca Młodego pracowały jak wentylator. Musiał go przekonać, że policja poradzi sobie z Dziergą, choć sam w to nie wierzył.

– Słuchaj...

– Jak mam na imię?

Każda żyła, którą płynęła krew w ciele Gabriela, skurczyła się. Czuł zatrzymujący się nad sercem płyn. Wcześniejsza suchość w ustach zniknęła. Zastąpiła ją pustynia. Zaciśnął zęby i nie mógł otworzyć szczęk.

– Daj mi na nią spojrzeć – wydusił z siebie.

Musiał ją zobaczyć. Twarz, która budziła go do życia przez ostatnie lata, rozmywała się. Patrzył teraz na tył jej głowy. To nie mogła być ona. Jedyne, co

widział, to włosy, i pragnął, by nie należały do Alicji.

– Przepraszam, Gabi – wyszeptała. – Nie wiedziałam.

Strzelił.

Huk zamienił się w uporczywe piszczenie. Gabriel nie słyszał łoskotu upadających na podłogę ciał. Łuska zatańczyła na panelach, zostawiając na nich brązowy ślad.

Joanna gapiła się za okno i coraz mocniej ścisnęła w dłoniach przyniesiony przez Kaśkę notes.

– To ten? Trochę ich tam było. Mogę uprzątnąć gabinet, zanim wrócisz.

– Ja nie wracam.

Pielęgniarka krzątała się po pokoju. Podeszła do łóżka Joanny, wyciągnęła spod niego kaczkę i wyszła z nią, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Nie rozumiem.

Miała dosyć tych gier. W ciągu ostatnich godzin straciła wszystko. Pieniądze, szacunek i pewność, że jej życie ma jakąkolwiek wartość.

– Wiesz, dlaczego musiałaś się mną opiekować?

– Dzierga mi kazał. Powiedział, że mu pomogłaś, jak był w potrzebie, i chce się odwdziżyć.

– Kutas! – prychnęła. – Naganiałam mu dziewczynki. Wiesz, ile ich przyłąziło do szkoły? Samotne matki, które nie miały pieniędzy na jedzenie. A on odpłacił się, przysyłając mi jedną staruchę i kurwę.

– Jeżeli chcesz mnie obrażać... – Kaśka zerwała się z krzesła.

– Siadaj! Andrzej nie zrobił tego z dobroci serca. Po mojej śmierci dostanie dom z działką w Komorowie. To masa pieniędzy, a tego akurat mu nie brakuje. To ja chciałam, byś była blisko mnie.

– Dlaczego?

– Twoja matka mnie o to prosiła. – Staruszka uśmiechnęła się. – Nie miej mi za złe. Trochę cię wykorzystałam.

Otworzyła notes leżący na pościeli. Przesunęła palcem po zapisanych tam cyfrach.

– Chcesz z nią porozmawiać?

Serce Kaśki uderzyło o zębra.

– Ale te numery nic nie oznaczają – szepnęła. – Próbowałam.

– Twoja matka jest daleko. Ukrywa się, chyba nie sądzisz, że trzymałabym jej numer w jakimś notesie.

– Dlaczego? Dlaczego ty?

– Nie tylko Andrzejkowi pomogłam. Notuj. Sześć, zero, dziewięć.

Dziesięć.

Jedenaście.

Dwanaście.

Trzynaście.

Czternaście.

Piętnaście.

Naciskał spust tak długo, aż przestał czuć palec. Szczęk pustego magazynka był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki dziś usłyszał. Młody jeszcze oddychał, gdy do niego podchodził. Odczołgał się pod ścianę, uciskając ranę. Gabriel źle wycelował. Kula przeszła pod obojczykiem. Uklęknął przed leżącym, przyłożył walthera do jego głowy i naciskał spust, póki ta zupełnie nie zniknęła.

Słyszał policyjne syreny.

Podszedł do żony, uklęknął obok. Poczuł, że Alicja ściska jego udo. Gładzi skórę, jak wtedy, gdy jeździli samochodem. Spojrzał na spodnie, ale ręki żony tam nie było. Fantomowy uścisk.

Został sam.

Raz.

Dwa.

Trzy...

Podziękowania

Za wielką wytrwałość i znoszenie tego, jak nieprzyjemne może być życie z człowiekiem, który zamyka się dla świata na kilkanaście miesięcy, by ślęczeć nad klawiaturą, chciałem podziękować Kasi Moskał. Nie zliczę, ile razy mi pomogła, i wiem, że bez niej ta książka dalej tkwiłaby w szufladzie.

Kolejne podziękowania ślę moim rodzicom, Zofii i Waldemarowi. Wspierali mnie w każdej decyzji, którą podejmowałem, i choć czasem nie były one najmądrzejsze, nie oceniali, a jedynie pomagali. Podobnie jak moja siostra Iwona Szczygielska-Borzym i jej mąż Maciek, na których zawsze mogłem i mogę liczyć, choć potrafię być diabelnie marudny. Dziękuję wam za cierpliwość oraz dobre rady, których dostałem więcej, niż mógłbym sobie wymarzyć.

Dziękuję także Julii Wizowskiej-Szymanik, która jakimś cudem wytrzymuje moje ciągle narzekanie i czasem postanawia się do niego dołączyć. Bez was wszystkich byłbym zupełnie innym człowiekiem.

Chciałem też podziękować wszystkim ludziom pióra, którzy poświęcili swój czas i postanowili przeczytać *Aortę* lub też wywarli na nią większy wpływ, niż mogliby się sami spodziewać (kolejność alfabetyczna): Katarzyna Bonda, Mariusz Czubaj, Joanna Jodełka, Mateusz M. Lemberg, Robert Małecki, Marta Mizuro, Grzegorz Szymanik. Specjalne ukłony przesyłam Panu Filipowi Modrzejewskiemu, który uwierzył w książkę i autora.

Podziękowania należą się także wielu innym osobom, które towarzyszyły mi w tej podróży. Jeżeli kogoś pominąłem, szczerze przepraszam (kolejność alfabetyczna): Magdalena Chodownik, Kamila Chrobak, Marcin Karbowski, Aleksandra Klonowska-Szalek, Jan Koźbiel, Leszek Koźmiński, Lodzia, Maria Kula i jej Perypetie, Marta Matyszczak, Piotr Mielczarek, Marek Pietroń, Katarzyna Pigłosiewicz, Magdalena Pioruńska i cały portal Szuflada.net, Magdalena Przyborowska, Recydywa MFK, Natalia Rusin, Magdalena Szopińska, Karol Szupryczyński, Patrycja Szwed, Łucja Wilewska, Adrian Witlib, Kinga Zagrodzka, grupa Żeberko i przemiłe policjantki, które poczęstowały mnie kawą i ciastkiem.

W pracy nad książką pomagali mi także specjaliści, ale fikcja rządzi się swoimi prawami. Jeżeli coś nie jest zgodne z rzeczywistością, ponoszę za to pełną odpowiedzialność. Wszystkie zdarzenia opisane w książce są moim wymysłem, a zbieżność miejsc czy nazwisk czysto przypadkowa.

I na samym końcu chciałem specjalnie NIE podziękować Michałowi Olędzkiemu, który zameczał mnie od samego początku pytaniami: „I jak idzie?”. „Napisałeś coś?”. Wykrakałeś.

¹ Krajowy System Informacji Policji – zbiór informacji o osobach podejrzanych o popełnienie przestępstw, poszukiwanych, ściganych etc.

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Jan Koźbiel

Korekta: Małgorzata Denys, Justyna Pogorzelska

Adiustacja: Joanna Czarnecka

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Fotografie wykorzystane na I stronie okładki: © PM Images / DigitalVision / Getty Images • © Juanmonino / E + / Getty Images • © Rob Jones III / Moment / Getty Images

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3334-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo

Spis treści

Motto

Dedykacja

Dzień przed

Dzień pierwszy

Dzień drugi

Dzień trzeci

Dzień czwarty

Dzień piąty

Dzień szósty

Pięć stów. Chryste przenajświętszy.

Dzień siódmy

Podziękowania

Przypisy